

# NICCI

ZŁAP MNIE, NIM UPADNĘ

# FRENCH



Świat Książki

Każda z siedmiu poprzednich powieści Nicci French trafiła  
na listy dziesięć najlepiej sprzedających się książek.  
*Złap mnie, nim upadnę z pewnością będzie ósma.*

Wspaniała książka...Na wskroś nowoczesny thriller...  
„Independent”

Bobby Kravitz żyje jak na polu zerzykłego rebe. Młoda bizneswoman z ustabilizowanym  
życiem prywatnym jest nieszczelnie zamknięta i podziwiana. Ale to tylko jedna strona  
Bobby, która w drugim momencie wypuszcza się na drugą stronę życia, gdzie ustawicznie  
popadała coraz bardziej lekkomyślna bryda. Kiedy ich obaj zaczęła się kłócić, Bobby  
trafił kontrolę nad całym system. Młodzi wracają, że kiedy ją śledzi. Kiedy ona zaczyna się  
od niej domagać śledczy, najbliżsi zaczynają trwać cierpliwie. Czy tylko ona posiada  
odpowiedzialność za to, że nie śledzi? Czy jej były to jedynie skutkiem paranoi, przemyślen  
stwierdy, czy też wskazuje całkowicie realnego niebezpieczeństwa? A jeśli nie może jej śledzi  
śled własnej ścieżki sfilant, czy znajduje kogoś na tyle zaufanego, żeby ją śledzi, zanim  
znowe w przegad?

Pod pseudonimem **NICCI FRENCH** kryje się walfajska para dziennikarzy Nicci Gerard i Dan  
French. Razem piszą pierwszorzędne thrillery kryminalistyczne. W wyjątkowo świet  
kajski skrzęty się: *Złap mnie, nim upadnę*, *Strano życie*, *W cielu strachu*, *Cherwony pająk*,  
*Receptury dem*, *Grzy pamieli*, *Jeżeli nie śledzi*.



# NICCI

ZŁAP MNIE, NIM UPADNĘ

# FRENCH

Z angielskiego przełożył  
*Andrzej Leszczyński*

Świat Książki

Tytuł oryginału

CATCH ME WHEN I FALL

Redaktor prowadzący

Ewa Niepokólczycka

Redakcja

Barbara Skalska

Redakcja techniczna

Lidia Lamparska

Korekta

Jadwiga Piller

Bożenna Burzyńska

Copyright © Joined-up Writing 2005

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Leszczyński,

Warszawa 2007

Świat Książki Warszawa 2009

Świat Książki Sp. z o.o. ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie Joanna Duchnowska

Druk i oprawa Perfect SA, Warszawa

ISBN 978-83-247-0303-6 Nr 5589

*Dla Jackie i Tomàsa*

*Umierałam dwukrotnie.*

*Za pierwszym razem chciałam umrzeć. Śmierć oznaczała dla mnie próg, za którym nie istnieje cierpienie i do reszty zanika wszelki strach.*

*Ale za drugim razem nie chciałam umierać. Mimo cierpienia i strachu doszłam jednak do wniosku, że pragnę dalej wieść swoje nieposkładane, przepojone lękiem, męczące, wspaniałe, bolesne życie ze wszystkimi jego upadkami i smutkami, jak też nagłymi i niespodziewanymi okruciami radości, które każą człowiekowi zamknąć oczy i nakazać sobie w duchu: zapamiętaj tę chwilę. Wspomnienia ułatwiają przetrwanie. Taniec w ciemnościach, widok wschodzącego słońca, wędrówka przez miasto, zagubienie w tłumie, nieoczekiwany uśmiech na twojej twarzy. To ty mnie ocaliłeś, kiedy sama już nie byłam do tego zdolna. Ty mnie odnalazłeś, kiedy całkiem się zagubiłam.*

*Nie chciałam umierać, ale komuś innemu bardzo na tym zależało. Nadzwyczaj się starał, żeby doprowadzić do mojej śmierci. Należę do ludzi, których inni albo uwielbiają, albo nienawidzą. Czasem aż trudno jest odróżnić tę nienawiść od uwielbienia. Nawet teraz, kiedy wszystko jest już poza mną, kiedy mogę spoglądać na to, przez co przesłam i co mam już za sobą, jakbym oglądała eksponat w muzeum, dostrzegam elementy, które pozostają dla mnie niejasne, stanowiące nieodgadniona tajemnicę.*

*Umieranie przenosi człowieka w zupełnie inne miejsce, gdzie w samotności, bez żadnego wsparcia, trzeba przekroczyć tę ostateczną granicę. Kiedy umarł mój ojciec, miałam szesnaście lat. Pamiętam to wiosenne popołudnie, gdy był chowany. Matka za wszelką cenę starała się mnie ubrać w żałobny strój, ale ojciec nie znosił czerni, toteż włożyłam różową sukienkę, wargi grubo umalowałam czerwoną szminką i wybrałam najdłuższe szpilki, w których głęboko się zapadałam w miękką ziemię. Naprawdę chciałam wyglądać jak lafirynda, jak zwykła dziwka, dlatego wypacykowałam sobie jeszcze powieki niebieskim cieniem. I pamiętam, jak pastor powiedział nad grobem: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz” - a wszyscy płakali i ściskali się nawzajem. Na pewno chcieli zobaczyć także moje łzy, dzięki którym mogliby i mnie ścisnąć i pocieszać, ale ojciec nie znosił również mazgajstwa. Zawsze się domagał, byśmy okazywali całemu światu, jacy jesteśmy szczęśliwi. Dlatego przez cały czas się uśmiechałam, a pewnie dlatego, że wszyscy się na mnie gapili, od czasu do czasu nawet chichotałam. Zanim grabarze spuścili trumnę do grobu, matka położyła na niej skromną białą różę, bo zapewne tak wypadło. Zaczęłam więc ściągać z rąk bransoletki oraz kółka i rzucać je za trumnę, toteż przez parę minut ceremonia bardziej przypominała pogański pochówek niż dostojny chrześcijański pogrzeb. Jedna z plastikowych bransoletek roztrzaskała się przy tym na kilka opalizujących kawałków, które z grzechotem potoczyły się po sosnowym wieku taniej trumny.*

*Potem przez jakiś czas myślałam, że oszaleję z samotności i rozpaczę, ale nikomu o tym nie mówiłam, gdyż nie potrafiłam dobrać odpowiednich słów. Przez dziesięć lat próbowałam go odzyskać. Niekiedy wręcz desperacko. Z miłości. Ale z obrzydzeniem i odrazą, dziką satysfakcją i pragnieniem zemsty.*

*Tak więc umierałam dwa razy. Tylko dwa razy. Można by pomyśleć, że w świetle moich szaleńczych zmagania z życiem to wręcz mizerny rezultat.*

*I spoglądałam na ludzi - zarówno tych, którzy mnie uwielbiają, życząc mi jak najlepiej i próbowali mnie ratować, jak też tych*

*ogarniętych nienawiścią, pragnących mojej śmierci, i żałujących, że nie umarłam. Wszyscy wyglądają na szczęśliwych. Radośnie patrzą na siebie nawzajem, trzymają się za ręce; niektórzy się nawet całują. Mogę się założyć, że składają sobie wzajemnie różne obietnice na resztę życia, na tę wielką i tajemniczą podróż w nieznane. Ale brakuje wśród nich jednej osoby.*



# UMIERANIE PIERWSZE

## 1

- Lubię niebezpieczeństwa - rzekł. - Zawsze je lubiłem. Czego się napijecie?

Zamyśliłam się na chwilę. Tylko spokojnie, Holly, powtórzyłam w myślach. Minęła zaledwie godzina, od kiedy razem z Meg wyszliśmy z biura, i wciąż szumiało mi w głowie. Byłam nabuzowana. Miałam kiedyś przyjaciela aktora, który opowiadał, jak to po każdym przedstawieniu godzinami dochodzi do siebie, co stanowi dość poważny problem, gdy kurtyna opada o wpół do jedenastej wieczorem, a ma się ambicję, żeby dotrzymać kroku całej reszcie świata. Z tego powodu obracał się niemal wyłącznie w środowisku aktorów, którzy tak jak on wyruszali na spóźniony obiad tuż przed północą, po czym w dni powszednie sypiali do południa.

Inna moja znajoma z college'u biega na długich dystansach. Jest niesamowita, o mało co nie zakwalifikowała się do reprezentacji olimpijskiej. Powtarza, że musi biegać szybko i daleko, żeby utrzymać się w wysokiej formie. A po przebiegnięciu odpowiedniego dystansu wspina się jeszcze na jakieś strome zbocza, jakby chciała swoje mięśnie dodatkowo ukarać. Po czymś takim po prostu nie da się wrócić do normalnego życia. Wyrusza więc na kolejną trasę biegową, żeby się wyluzować. Po zejściu z niej musi już okładać stawy lodem. Świetnie to rozumiem. Sama często miewam ochotę zanurzyć głowę w wiaderku z kostkami lodu.

- To wcale nie takie trudne - dodał. - Meg już się zdecydowała na białe wino.

- Słucham? - zapytałam.

Na chwilę zapomniałam, gdzie jestem. Musiałam się rozejrzeć dookoła, żeby sobie przypomnieć. Pogoda była wspaniała. Jesień nastąpiła tak ciepła, że nawet o tej późnej porze tłum wylewał się z baru na ulicę w Soho. Wydawało się, że lato nigdy nie odejdzie i nie ustąpi miejsca zimie, że nie wrócą chłody i deszcze. Ziemia potrzebowała opadów, koryta rzek wysychały, marniały uprawy, ale tu, w centrum Londynu, można było odnieść wrażenie, że jest się nad Morzem Śródziemnym.

- Więc czego się napijesz?

Także poprosiłam o białe wino i szklanek wody. Objęłam Meg, przytuliłam się do niej i zapytałam na ucho:

- Rozmawiałas z Deborą?

Zrobiła kwaśną minę. Znaczą, nie rozmawiała.

- Jeszcze nie - odparła.

- Naprawdę musimy o tym pogadać. Jutro, dobrze?

- Mineralnej czy gazowanej? - zapytał.

- Z kranu - rzuciłam. - I to od razu z samego rana, Meg.

- W porządku - mruknęła. - O dziewiątej.

Spoglądałam jej w oczy, gdy odwróciła głowę i podążyła wzrokiem śladem mężczyzny podchodzącego do baru. Miał przyjemne, pogodne rysy. Jak się nazywał? Chyba Todd. Wszyscy wpadliśmy tu po wyjściu z biura. Tym bardziej że mieliśmy za sobą naprawdę ciężki dzień. Przyszliśmy dużą grupą, ale z czasem wtopiliśmy się w tłum. Niemniej z każdej strony sali wyławiałam znajome oblicza, najczęściej szeroko uśmiechnięte twarze ludzi, którzy zdołali się wreszcie wyrwać z pracy. Todd był klientem, który przyjechał sprawdzić naszą propozycję, i jakimś sposobem zabrał się z nami. Właśnie próbował zamówić drinki ponad głowami ludzi tłoczących się przy barze. Nic mu z tego nie wychodziło, bo tłusta barmanka kierowała całą uwagę na jakiegoś niegrzecznego, wydzierającego się klienta. Była emigrantką - z wyglądu chyba z Indonezji - i pewnie dlatego mężczyzna niezbyt kulturalnie próbował zwrócić jej uwagę, że zamawiał coś innego. Ona tymczasem miała spore kłopoty ze zrozumieniem jej reklamacji.

- Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię! – warknął groźnie.

Todd wrócił w końcu, niosąc kieliszek wina dla Meg, kieliszek i szklankę z wodą dla mnie oraz piwo dla siebie.

- Nie dostałem wody z kranu - powiedział. - To mineralna z butelki.

Pociągnęłam niewielki łyżeczek.

- Wiemy już, że lubisz niebezpieczeństwa - podjęłam.

- W twoich ustach zabrzmiało to strasznie głupio. Ale tak, zgadza się, przynajmniej do pewnego stopnia.

Zaczął opowiadać o swoich ostatnich wakacjach, z których był nadzwyczaj dumny. Wraz z grupą przyjaciół postanowili coś uczcić i wybrali się na obóz sportów ekstremalnych w południowej Afryce. Przepłynęli na pontonach spienione progi rzeki Zambii, w Botswanie wybrali się kajakami między stada hipopotamów, skakali na bungee z wagonika kolejki linowej w górach Table Mountains i nurkowali między wielkimi rekinami białymi.

- Musiało być niesamowicie - mruknęła Meg. - Nie miałabym odwagi wybrać się na taki obóz.

- Było po prostu cudownie - rzekł Todd. - Ale czasami naprawdę strasznie. Z upływem czasu wspominam tę wyprawę coraz lepiej.

- Nikt z was nie został pożarty przez rekiny? - zapytałam.

- Spuszczali nas pod wodę w kłatkach, a że woda była trochę mętna, nie najlepiej było w niej widać nawet sąsiednią klatkę.

- W kłatkach? - powtórzyłam, krzywiąc się z pogardą. - Przecież mówiłeś, że lubisz niebezpieczeństwa.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

- Żartujesz? Chciałbym widzieć, jak ty wyskakujesz z wagonika kolejki zawieszzonego setki metrów nad ziemią, bez żadnej asekuracji, tylko przywiązana do cienkiej elastycznej linki.

Zaśmiałam się w głos, mając jednak nadzieję, że nie zabrmi to obraźliwie.

- Nie czytałaś naszej broszury? - zapytałam. - My też obsługujemy skoki na bungee. Przeprowadzamy kalkulację ryzyka i załatwiamy ubezpieczenia. Dlatego mogę cię śmiało zapewnić, że takie skoki są równie niebezpieczne, jak przechodzenie przez jezdnię.

- Ale dostarczają zdecydowanie więcej adrenaliny.

- Adrenalinę można sobie załatwić w ampułkach - rzuciłam odruchowo i zaczęłam się zastanawiać, czy potraktuje to jak obrazę, czy też skwituje tylko pobłażliwym uśmiechem.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się pobłażliwie.

- A co ty uważasz za prawdziwe niebezpieczeństwo?

Zamyśliłam się na chwilę.

- Realne zagrożenia, zwłaszcza istotne, jak chociażby poszukiwanie rozstawionych min i ich rozbrajanie. Czyli pracę sapera. Ale nie tutaj, w Wielkiej Brytanii, tylko w Rosji albo w krajach trzeciego świata.

- Co cię najbardziej przeraża?

- Mnóstwo rzeczy. Windy, byki, duże wysokości, złe sny. Prawie wszystko, co się wiąże z moją pracą. Perspektywa porażki. Publiczne wystąpienia.

Zaśmiał się krótko.

- Nie wierzę - mruknął. - Wygłosiłaś dzisiaj całkiem zgrabną przemowę.

- Co nie znaczy, że nie byłam przerażona. Zawsze się boję.

- Zatem powinnaś być podobna do mnie i lubić wyzwania.

Pokręciłam głową.

- O skokach na bungee i pływaniu kajakiem wśród hipopotamów mogłaś przeczytać w broszurze. Łatwo się było domyślić, co się z tym wiąże...

Usłyszałam podniesione głosy i obejrzałam się. Facet próbujący reklamować swojego drinka znów wyklócał się z barmanką, tym razem jeszcze głośniejsze. Ona próbowała się tłumaczyć, lecz widać było, że jest bliska łez.

- A co ty o tym sądzisz, Meg? - Todd zwrócił się do mojej przyjaciółki, która uśmiechnęła się wstydliwie i otworzyła już usta, żeby odpowiedzieć, ale jej przerwałam:

- Mówisz, że lubisz ryzyko?

- Oczywiście.
- I przyływ adrenaliny?
- Jasne.
- Więc mógłbyś nam to udowodnić?
- Holly! - syknęła nerwowo Meg.

Todd rozejrzał się pospiesznie na boki. Wyczułam u niego narastające podniecenie połączone z wyraźnym podenerwowaniem. Chyba jeszcze nie przeczuwał, co się święci.

- Co masz na myśli?
- Widzisz tamtego faceta przy barze? Tego, co niegrzecznie krzyczy na barmankę?
- Owszem.
- Nie sądzisz, że szuka zaczepki?
- To całkiem prawdopodobne.
- Więc idź i powiedz mu, żeby się uspokoił i przeprosił za swoje zachowanie.

Todd otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz tylko dziwnie zakasłał.

- Nie bądź niemądra - odparł po chwili.
- Boisz się, że oberwiesz? - zapytałam. - A podobno lubisz niebezpieczeństwa.

Spowaźniał błyskawicznie i sytuacja nagle przestała być zabawna. Od razu wyczułam, że zmienił się jego stosunek do mnie.

- Przecież on się tylko popisuje.
- Ale ty się boisz zwrócić mu uwagę.
- Oczywiście, że się boję.
- W takim razie jedynym sposobem na uwolnienie się od tego lęku będzie przełamanie się i zwrócenie facetowi uwagi. Pewnie tak samo było podczas nurkowania wśród rekinów. Tyle że teraz nie osłoni cię klatka.

- Nie.

Odstawiłam swoją szklankę i kieliszek na stół.

- W porządku - powiedziałam. - Sama to zrobię.

Meg i Todd zaczęli razem:

- Daj spokój, Holly...
- Lepiej...

Ale to mnie tylko zachęciło do działania. Podeszłam do faceta przy barze. Podobnie jak reszta mężczyzn na sali był w garniturze. Musiał dobiegać czterdziestki, bo miał już wyraźną łysinę, zwłaszcza na czubku głowy. Twarz mu błyszczała od potu, a może zarówno od całotygodniowego zmęczenia, jak i podenerwowania. Wcześniej nie zwróciłam uwagi, że jest tak potężnie zbudowany. Marynarka śmiesznie się marszczyła na atletycznych barach. Nie zwróciłam też uwagi, że jest w towarzystwie dwóch innych mężczyzn. Wciąż próbował coś niezbyt wyraźnie wytłumaczyć barmance.

- Co tu się dzieje? - zapytałam.

Obejrzał się na mnie, zaskoczony i rozzłoszczony.

- A kim ty jesteś, do cholery?! - warknął.

- Powinieneś przeprosić tę biedną kobietę.

- Że co?!

- Nie rozmawia się w ten sposób z ludźmi. Powinieneś ją przeprosić.

- Odpierdol się!

Wycedził te dwa słowa przez zaciśnięte zęby, robiąc między nimi dłuższą przerwę. Myślał, że zwyczajnie odejdę? Albo może się przestraszę i wybuchnę płaczem? Sięgnęłam po jego szklaneczkę stojącą na kontuarze, ciężką, z grubego szkła. Z impetem podsunęłam mu ją pod nos, zatrzymując rękę zaledwie o centymetry od czubka jego brody. Chciałabym napisać, że w barze zapadła nagle martwa cisza, jak w starym westernie, ale mój wyczyn wzbudził tylko zrozumiałe zainteresowanie w najbliższym otoczeniu. Facet spuścił wzrok i spojrzał na szklaneczkę, jakby chciał przy okazji dostrzec węzeł swojego krawata. Niemalże odbierałam myśli przelatujące mu przez głowę: „Co jej odbiło? Czyżby naprawdę zamierzała roztrzaskać tę szklaneczkę na mojej twarzy? Niby dlaczego?”. Muszę przyznać, że myśli przelatujące przez moją głowę były w przybliżeniu tej samej kategorii: „Jeśli potrafi się tak wydzierać i znieważać biedną barmankę za to, że nalała mu innego trunku, to jak zareaguje na mnie, skoro porwałam się na niego fizycznie?”. Przemknęło mi przez głowę to, co zapewne powstrzymało Todda: że facet mógł niedawno

wyjść z więzienia, gdzie odsiadywał karę na przykład za brutalną napaść, a szczególnie przyjemnością sprawiało mu katowanie kobiet. Jakoś wcześniej podobne myśli były mi całkiem obce. Popatrzyłam mu więc prosto w oczy, zdając sobie sprawę, że coraz intensywniej pulsuje mi żyłka na szyi. O zawrót głowy przygotowała mnie świadomość, że nie mam najmniejszego pojęcia, co się stanie w ciągu następnych pięciu sekund.

Mężczyzna jednak niespodziewanie uśmiechnął się szeroko.

- W porządku - rzekł. Delikatnie wyjął szklaneczkę z mojej dłoni i jednym haustem wychylił z niej trunk. - Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że się ze mną napijesz.

Zamierzałam już odmówić, z otwartymi ustami obejrzałam się na Todda i Meg, lecz ich nie było przy stoliku. Nie zauważyłam nawet, kiedy wynieśli się z baru. Czyżby z góry przewidzieli, czym się to skończy? A może przeraził ich dopiero mój wyczyn? Wzruszyłam ramionami.

- Czemu nie.

Sklonił się uprzejmie. Machnął ręką na zdenerwowaną barmankę, wskazał mnie i rzekł:

- Ta kobieta... Jak się nazywasz?

- Holly Krauss.

- Panna Holly Krauss oznajmiła mi, że byłem wobec pani niegrzeczny i powinienem przeprosić. Po krótkim namyśle doszedłem do wniosku, że ma rację. Zatem przepaszam za swoje zachowanie.

Kobieta zerknęła na mnie trwożliwie i z powrotem przeniosła wzrok na niego. Chyba nadal nie rozumiała, co się dzieje. Tymczasem mężczyzna, który miał na imię Jim, zamówił szybko dwie podwójne porcje dżinu z tonikiem.

- Na zdrowie - rzekł, unosząc szklaneczkę. - A tak na marginesie, strasznie kiepska z niej barmanka.

Kiedy opróżniłam szklaneczkę, zamówił następną kolejkę i od tej chwili wydarzenia zaczęły szybko nabierać tempa.

Czułam się tak, jakbym siedziała w wagoniku wielkiego młyńskiego koła, które przez cały dzień mozolnie wynosiło mnie coraz wyżej, a kiedy gwałtownie podsunęłam szklaneczkę Jimowi pod nos, znalazłam się na samym szczycie, gdzie byłam tylko przez chwilę, bo zaczęłam zjeżdżać coraz szybciej i szybciej. Odnosiłam wrażenie, że klienci baru to goście na przyjęciu, większość z nich znam bądź chciałabym poznać, a i oni chętnie nawiązałiby ze mną znajomość. Okazało się nagle, że dokoła jest więcej znajomych Jima i że wszyscy uważają epizod ze szklaneczką za bardzo zabawny, rozmowa obracała się więc wokół niego, z różnych stron sypały się żarty.

Wdałam się w dyskusję z mężczyzną pracującym na tym samym podwórku, naprzeciwko naszego biura, który wybierał się z przyjaciółmi na kolację do prywatnego klubu przy tej samej ulicy, zaproponował więc, byśmy poszli z nimi. Wydarzenia nie tylko nabierały tempa, ale stawały się też wyrwykowe, jak pojedyncze klatki filmu utrwalające się w mej pamięci niczym w błyskach flesza. Klub mieścił się w osiemnastowiecznej kamienicy, był wykończony surowymi chropowatymi deskami. Wydawało mi się, że w taki wieczór wszystko jest dozwolone i możliwe. Wśród mężczyzn siedzących z nami przy stoliku był dyrektor klubu, który żartował z kelnerami i zamawiał dla nas specjalne dania na spróbowanie. Wdałam się w długą i szczerą rozmowę z kobietą wykonującą niezwykle prace, związane czy to z produkcją filmów, czy z obróbką zdjęć do jakichś albumów albo czasopism. Później nie mogłam sobie przypomnieć z niej ani słowa, pamiętałam jednak doskonale, że przy pożegnaniu pocałowała mnie żarliwie w usta, aż poczułam na wargach smak jej szminki.

Potem ktoś zaproponował, żebyśmy poszli potańczyć. Zachęciła nas perspektywa odwiedzin niezbyt odległego, nowo otwartego lokalu. Spojrzałam wtedy na zegarek i spostrzegłam ze zdumieniem, że minęła już północ. Przebywałam w tym towarzystwie od wpół do szóstej. Nie miało to jednak większego znaczenia.



Poszliśmy wszyscy razem, mniej więcej dziesięcioosobową grupą, w której większość ludzi jeszcze godzinę temu nie znała się nawzajem. Jakiś mężczyzna objął mnie ramieniem i zaczął cicho śpiewać po hiszpańsku czy portugalsku. Miał piękny głos, bardzo głęboki, który rezonował basem w łagodnym jesiennym powietrzu, a gdy uniosłam głowę, zobaczyłam rozgwieżdżone niebo. Gwiazdy świeciły tak jasno, aż chciało się wyciągnąć rękę, żeby do nich sięgnąć. Ja także zaczęłam śpiewać, już nie pamiętam co, ale wszyscy się przyłączyli. Wszyscy śmiali się w głos, obejmując się wzajemnie. W ciemnościach błyszczały czerwone ogniki papierosów.

Znaleźliśmy się znowu w pobliżu biura. Przypominam sobie, że przyszło mi do głowy, iż zatoczyliśmy spore koło, a jestem mniej zmęczona niż na początku. Tańczyłam z facetem, który śpiewał po hiszpańsku, a potem z drugim, który przedstawił się jako Jay. W damskiej toalecie dostałam od kogoś ścieżkę koki. Klub był mały i zatłoczony. Jakiś czarnoskóry o pięknych oczach głaskał mnie po głowie i powtarzał, że jestem cudowna. Później zaczęła mnie kobieta, bodajże o imieniu Julia, i powiedziała, że jedzie do domu, a ja też powinnam już iść, zanim coś się wydarzy, więc możemy wziąć razem taksówkę. Ja jednak pragnęłam, żeby coś się wydarzyło, żeby wydarzyło się wszystko naraz. Nie chciałam jeszcze kończyć tej zabawy. Ani myślałam gasić świateł i wracać do domu. Ruszyłam znów do tańca, czując się tak lekko, jakbym miała za chwilę wzbić się w powietrze. Tańczyłam, dopóki pot nie zaczął mi sklejać powiek i ściekać strużkami po twarzy, dopóki włosy nie zaczęły mi się lepić do skóry, a bluzka do ciała.

Dopiero wtedy wyszliśmy. Był ze mną chyba Jay, tak mi się przynajmniej zdaje, i pewnie ten, który śpiewał po hiszpańsku, jak również kobieta o zdumiewająco czarnych włosach, roztaczająca wokół siebie zapach paczuli. Byli też inni ludzie, pamiętam ich ciemne sylwetki na tle nieba. Owionęło nas cudownie rześkie, chłodne powietrze. Wciągałam je głęboko w płuca, ciesząc się, że tak szybko wysusza mi skórę. Siedzieliśmy nad rzeką, która przypominała bezdenną czarną wstęgę. Słysząc było tylko cichy plusk

fal rozbijających się o brzeg. Miałam ochotę w niej popływać albo przynajmniej ułożyć się na wznak w czarnym nurcie, który uniósłby mnie do morza, gdzie nikt już by mnie nie odnalazł. Ale tylko cisnęłam w nią garść drobnych, mówiąc wszystkim, żeby wypowiedzieli w myślach jakieś życzenie. Zaledwie kilka monet doleciało do rzeki.

- A ty jakie pomyślałaś życzenie, Holly?
- Żeby zawsze było tak jak dzisiaj - odparłam.

Wsunęłam sobie w usta papierosa i ktoś się pochylił ku mnie, osłaniając dłońmi płomyk zapalki. Ale zaraz ktoś inny zabrał mi tego papierosa i zaczął mnie całować, odwzajemniłam więc pocałunek, zarzuciwszy człowiekowi ręce na szyję i zanurzywszy palce w jego włosach. Jeszcze ktoś inny zaczął mnie całować od tyłu w szyję, zadarłam więc głowę ku górze, wystawiając się na te pieścizoty. Czulałam się kochana przez wszystkich i ja wszystkich kochałam, spoglądając w przepelnione czułością, błyszczące oczy. Powiedziałam wtedy, że świat jest znacznie bardziej magiczny, niż nam się dotąd wydawało. Uwolniłam się z objęć i pobiegłam przez most. Z każdym krokiem odnosiłam wrażenie, jakbym już nigdy nie miała dotknąć stopami ziemi, czemu przeczył donośny stukot moich obcasów, któremu niczym echo towarzyszył tupot osób biegnących za mną, ale niemających szans, żeby mnie dogonić. Wołali moje imię, a przypominało to pohukiwania sowy: „Holly! Holly!”. Śmiałam się w głos. Przejechał samochód, światła jego reflektorów prześliznęły się po mnie i pozostawiły w ciemnościach.

W końcu zatrzymałam się dla nabrania oddechu przy pawilonie handlowym i tam mnie odnaleźli. Ale było ich już tylko dwóch. Tak mi się zdaje, bo nie jestem pewna. Pierwszy złapał mnie za ramiona i pchnął plecami na ścianę, mówiąc, że skoro wreszcie mnie dopadł, to już nie puści. Powiedział też, że jestem szalona, ale on może być równie szalony. Podniósł leżący na ulicy kamień. Tuż przed moim nosem wziął solidny zamach i niespodziewanie ujrzałam ten kamień lecący mi nad głową. Rozległ się donośny trzask, w witrynie najbliższego sklepu pojawiła się gęsta pajęczyna pęknięć, za szybą

runęła piramida jakichś puszek. Przez chwilę mogłoby się wydawać, że zaraz przejdziemy przez tę gwiazdę w rozbitej szybie do innego świata, gdzie będziemy mogli zacząć życie od nowa. Zupełnie od nowa.

Z tych marzeń wyrwał mnie donośny alarm, którego jękiwe zawodzenie zdawało się napływać ze wszystkich stron. Mężczyzna złapał mnie za rękę.

- W nogi!

Pobieśliśmy. Miałam wrażenie, że nadal jest nas troje, ale mogło mi się tak tylko wydawać. Biegliśmy równym rytmem. Nie wiem, dlaczego się zatrzymaliśmy, ale później znaleźliśmy się w taksówce mknącej pustymi ulicami, mijającej pogrążone w ciemności domy i sklepy zabezpieczone grubymi kratami. W pewnej chwili w snopach reflektorów zastygł bez ruchu oślepiiony rudy lis. Zaraz jednak czmychnął do najbliższego ogrodu i zniknął nam z oczu.

Kolejne zdarzenia wypływają z mej pamięci, jakbym to nie ja je przeżyła, jakby przytrafiły się komuś innemu, w filmie albo we śnie, z którego nie można się zbudzić. A może raczej jakby przydarzyły się mnie, tyle że byłam wtedy kimś zupełnie innym. Będąc jednocześnie sobą. Bo to na pewno ja byłam tą kobietą, która śmiała się w głos, idąc przed nim schodami na piętro; i to ja stałam w pokoju oświetlonym słabą nocną lampką, przy starej sofie zawalonej pękającymi poduchami, spoglądając na turkusową papuzkę falistą w klatce zwieszającej się spod sufitu. Naprawdę była tam jakaś papuzka, łypiąca na mnie swoimi przenikliwymi ślepkami, czy też doznałam dziwnej halucynacji wywołanej gorączką wieczornej zabawy? Czy to ja wyglądałam przez okno na dachy sąsiednich domów i urządzone na nich ogródki, na okolicę, której nigdy przedtem nie widziałam na oczy?

- Gdzie ja jestem, do cholery? - zapytała kobieta, pozwalając, aby żakiet zsunął jej się z ramion na pogrążoną w mroku podłogę. Nie oczekiwała jednak wcale odpowiedzi. - A kim ty jesteś, do cholery? - zapytała, chociaż w tym zakresie także nie chciała znać prawdy.

Nic nie miało znaczenia. Pewnie dlatego on zaśmiał się krótko, szybkim ruchem zaciągnął zasłonkę i przypalił papierosa, a może raczej skręta, którego zaraz jej podał. Czowała, jak stopniowo narasta w niej podniecenie, jak krew szybciej krąży w jej żyłach, usiadła więc na sofie, rozparła się między poduchami, wierzgnięciem zrzuciła z nóg pantofle i podkuliła bose stopy pod siebie.

- I co teraz zrobimy? - zapytała, mimo że doskonale wiedziała, co teraz nastąpi. Rozpięła górny guzik bluzki, świadoma przeszywającego ją męskiego wzroku. Papużka też się jej przyglądała, wydając z siebie idiotyczne denerwujące świergoty. Dostała do picia coś bezbarwnego i palącego, co rozlało się żarem po całym ciele, rozmiękczył kregosłup. Grała dziwna muzyka, rozbrzmiewająca jak gdyby pod jej czaszką, której rytm wydawał się zlewać z biciem serca. Wszystkie wrażenia zaczęły się zlewać w jedno doznanie.

Na krótko została sama w pokoju wypełnionym muzyką, ale on zaraz zjawił się przy niej. I nie byłam już dłużej samotna. Leżałam na wznak, niczym w rzece, nad którą wcześniej siedzieliśmy, pozwalając mu ściągnąć z siebie bluzkę. Potem z sofy przenieśliśmy się na podłogę. Jego palce nie radziły sobie z drobnymi guziczkami. Ilekroć zamykałam oczy, pod powiekami zaczynały mi tańczyć kolorowe światła, jakby cały ten przedziwny świat, nad którym nie miałam żadnej kontroli, czaił się, by zawładnąć moim umysłem. Staralam się więc trzymać oczy szeroko otwarte, choć nie miałam pojęcia, co jest przed nimi. Popękany sufit, noga krzesła, ściana odległa o kilkanaście centymetrów, czyjaś twarz pochylająca się nade mną, wykrzywienie ust. Poczułam smak krwi i przeciągnęłam językiem po wargach. To była moja krew. Dobrze. Dywan drapał mnie w plecy. Też dobrze. Palce wpijały się w moje ramiona, ugniatały moje ciało. Byłam sobą i nie sobą zarazem. Sobą i tą obcą kobietą, która szarpnięciem zerwała z siebie bluzkę, aż guziki potoczyły się po podłodze, i padła na wznak na łóżko, z włosami opadłymi na twarz, spoglądając na dłonie zrywające z niej stanik i czując przygniatający ją ciężar. Zamknęła w końcu oczy i pogrążyła się w tym jaskrawo

oświetlonym świecie pełnym wędrujących cieni, rozbłyskujących wielobarwnych plam i przesuwających się pasm ciemności.

- To takie niezwykle - powiedziała. Ja powiedziałam. - Nie przerywaj.

## 2

Coś łąziło mi po policzku, jakaś mucha kierowała się w stronę kącika ust. Nie otwierając oczu, uniosłam rękę i zgoniłam ją, a byzkanie szybko się oddaliło. Nawet bez patrzenia byłam pewna, że to wielka spasiona czarna letnia mucha, która na łapkach roznosi krew i zarazki. Gdybym ją rozduśiła, pozostałaby po niej duża czerwono-brunatna plama.

Nadal się nie ruszałam, wyczułam jednak, że coś jest nie tak. Z trudem uchyliłam jedno oko i pod czaszką natychmiast rozlał mi się dotkliwy ból. Przeciągnęłam opuchniętym językiem po wyschniętych wargach. Były obrzmiałe i spękane. W ustach czułam nieprzyjemny smak, jakby czegoś starego, okopconego, zatłuszczonego i brudnego.

Czar prysł w jednej chwili. To jedno na wpół otwarte oko raził mi dzienny blask bijący przez otwarte drzwi z wiszącym na nich znoszonym szarym frotowym szlafrokiem. Powoli przeniosłam wzrok na lewo i popatrzyłam na przebijające się przez cienkie zasłonki szarawe światło wstającego dnia. Wstrzymałam oddech i zastygłam bez ruchu. Od razu wyłowiłam odgłos czyjegoś regularnego oddechu tuż przy sobie. Zaciśnęłam z powrotem powieki i zaczęłam, aż sen rozwieje się do końca i będę w stanie zmierzyć się z tym nowym dniem i z własnymi wyrzutami sumienia. Ostrożnie przeciągnęłam palcami po twarzy, która sprawiała wrażenie obcej i nienaturalnej, niczym gumowa maska. Odliczyłam w myślach do pięćdziesięciu, po czym otworzyłam gwałtownie oczy i obróciłam powoli głowę w bok, czując, jak tępy ból narasta mi pod czaszką i rozlewa się w kierunku skroni.

Stopniowo zaczęłam rozróżniać przedmioty wokół siebie.

Leżałam po lewej stronie szerokiego małżeńskiego łóża, przykryta pomiętą wyblakłą kołdrą z białej jak zszytym wielkim rozdarcim pośrodku w kształcie litery L. Dość wysoko w ścianie było umieszczone pojedyncze kwadratowe okno, a na stojącym pod nim rowerze do ćwiczeń wisiały džinsy i stanik. W kącie pod drzwiami pokoju stała nylonowa sportowa torba, na niej leżała rakieta do squasha. Drzwi szafy były szeroko otwarte, na wieszakach wisiało kilka męskich koszul. W drugim rogu piętrzył się chwiejny stosik kolorowych czasopism. Obok leżała pusta butelka po winie. Spod łóżka wystawały czubki sportowych butów. Przy nich leżała zmięta w kulkę papierowa chusteczka. Zaledwie parę centymetrów od mojej twarzy stała przepełniona popielniczka, z której niedopałki wysypywały się na pasiaste bokserki. Tarcza elektronicznego budzika wskazywała brudną zielenią godzinę 4:46.

Gdy dzwignęłam się na łokciu i usiadłam, dostrzegłam ślady krwi na pościeli, wąskie rozmazane smugi, jak gdyby zrobione kilkoma pociągnięciami pędzla. Zapatrzona sztywno przed siebie, ostrożnie spuściłam nogi na podłogę. Kiedy wstałam, cały świat wokół mnie zakolysał się groźnie. Nakazałam sobie w myślach nie rozglądać się więcej, ale przemożna siła pociągnęła mój wzrok do tyłu i nie zdołałam się pohamować, by nie popatrzeć przez ramię na sylwetkę człowieka leżącego w łóżku. W pierwszej chwili ujrzałam wystające spod kołdry nogi porośnięte ciemnymi kręconymi włosami, potem kudłatą głowę spoczywającą na poduszce, rękę zakrywającą oczy i lekko rozwarte usta. Tylko tyle. Odwróciłam się szybko. Nie miałam pojęcia, kto to jest. I wcale nie chciałam tego wiedzieć. Wołałam nie wiedzieć.

Musiałam się wysikać, ruszyłam więc do drzwi i uchyliłam je ostrożnie, skrzywiwszy się nieco, kiedy cicho zaskrzypiały. Pod bosymi stopami podłoga wydawała się chropowata. Na wprost znajdowały się drugie drzwi. Otworzyłam je. Za nimi nie było jednak łazienki. Ujrzałam dywan na podłodze i pojedyncze łóżko, na którym ktoś się poruszył, uniósł głowę i wymamrotał coś niezrozumiałego przez sen. Poczulałam się jak idiotka, aż zatkało mi dech w piersi.

Odnalazłam w końcu ciasną toaletę i na miękkich nogach usiadłam na sedesie. Moje wychłodzone, lepiące się od potu ciało sprawiło wrażenie, jakby nie należało do mnie, kosztowało mnie sporo wysiłku, żeby wstać, wyjść znowu na korytarz i odnaleźć drogę do saloniku. Już w przejściu uderzył mnie kwaśny odór spoconych ciał i typowy dla pubów zapach piwa przemieszany ze swądem dymu papierosowego. Po całym pokoju wały się ubrania, moje i jego. Stolik leżał przewrócony na bok, tuż przy odłamkach zbitego kubka. Kolejna popielniczka było ledwo widoczna spod sterty niedopałków. Bezwiednie trąciłam nogą zgniecioną puszkę po piwie, która z brzękiem uderzyła w przewróconą butelkę po wódce. Na ścianie wisiał przekrzywiony obraz w krzykliwych kolorach, a pod nim także widniały rozmazane krwiste smugi. Ponadto na podłodze znajdował się podejrzany krąg, usypany chyba z ziaren brunatnego ryżu. Tknięta wspomnieniami, uniosłam głowę i popatrzyłam na zwieszającą się spod sufitu klatkę dla ptaków. Spała w niej lazururowa falista papuzka.

Odnalazłam na podłodze za sofą swoją spódnicę, a trochę dalej, w kącie pod ścianą, bluzkę. Został przy niej tylko jeden guzik, w dodatku była nadpruta pod pachą. Jeden mój but leżał pod stolikiem, miał nadłamany obcas. Po gorączkowych poszukiwaniach drugi znalazłam w korytarzu, w kącie przy drzwiach łazienki. Wstrzymując oddech, zakradłam się z powrotem do sypialni i ściągnęłam stanik z roweru do ćwiczeń. Śmierdział alkoholem, bodajże czystą wódką. Nadepnęłam bosą stopą na coś lepkiego. Kiedy spuściłam głowę, ujrzałam przyklejoną do skóry zużytą prezerwatywę. Wierzgnęłam z obrzydzeniem i z cichym młaśnięciem spadła z powrotem na podłogę.

Nigdzie nie mogłam znaleźć majtek. Klęknęłam i zajrzałam pod łóżko, potem ostrożnie wycofałam się na korytarz, ale i tu ich nie było. Musiałam sobie radzić bez nich. Bardzo mi zależało, żeby się stąd wynieść, zanim mężczyzna bądź osoba śpiąca w drugim pokoju czy choćby papuga się obudzą. Włożyłam spódnicę, stanik i porwaną bluzkę, którą zawiązałam sobie w węzeł na brzuchu. Wcisnęłam

bose stopy w rozchwiane buty. Narzuciłam na wierzch żakiet, ale miał idiotyczny krój i był zapinany na jeden wielki ozdobny guzik, toteż nawet nie zakrywał podartej bluzki. Marzyło mi się, żeby poczuć na sobie miękkie dotyk flanelowej piżamy i z zapachem mięty w ustach oraz czystymi rękami położyć się w świeżej pościeli. W ostatniej chwili przypomniałam sobie o torebce. Leżała przy drzwiach, otwarta, z zawartością częściowo rozsypaną po podłodze. Jednym ruchem zgarnęłam wszystko do środka, otworzyłam drzwi, wyszłam na korytarz i zamknęłam je cicho za sobą, po czym zbiegłam po schodach i wyszłam na pogrążoną w szarówce ulicę. Dopiero tu dopadło mnie znużenie. Aż musiałam przystanąć i pochylić się nisko, żeby zaczerpnąć oddechu.

Gdzie ja byłam?

Dowłokłam się do końca ulicy i odczytałam z tabliczki jej nazwę: Northingley Avenue, SE7. Nic mi to nie mówiło. W którą stronę miałam iść, żeby znaleźć jakiegokolwiek połączenie z centrum? Mój zegarek, który jakimś cudem wciąż miałam na ręce, wskazywał 5:10. Rozejrzałam się po pustej ulicy, w nadziei, że ni stąd, ni zowąd pojawi się nagle przede mną taksówka, po czym westchnęłam głośno i ruszyłam w wybranym na chybił trafił kierunku. Szłam koszmarnie długo, jakbym dreptała w miejscu. Przed wschodem słońca panował jeszcze nocny chłód, toteż, trzęsąc się z zimna, przemykałam wzdłuż ciemnych zabudowań, czując się jak ubłocony ślimak.

Dotarłam w końcu do ulicy, przy której znajdowały się sklepy. Sprzedawca właśnie otwierał kiosk z gazetami. Dałam nura pod daszek mocno okratowanej budki i wyłoniłam się przed okienkiem. Podniósł głowę znad paczek z gazetami, spojrzął na mnie i aż oczy mu się rozszerzyły.

- Co się...? - wybąkał. - Została pani...?

- Może mi pan wskazać drogę do najbliższej stacji metra?

Przez jego twarz przemknął dziwny cień, coś w rodzaju wyrazu obrzydzenia. Pospiesznie zebrałam dłonią luźne poły żakietu pod szyją i zrobiłam nonszalancką minę.



- Prosto tą ulicą, w przybliżeniu kilometr.

Poprosiłam o butelkę wody mineralnej i paczkę chusteczek higienicznych, po czym zaczęłam przetrząsać torebkę w poszukiwaniu drobnych.

- Dzięki - rzuciłam beztrząsco, ale wciąż gapił się na mnie jak wół na malowane wrota. Próbowałam się uśmiechnąć, lecz mięśnie twarzy odmówiły mi posłuszeństwa, jakby nagle wargi skleiły mi się na dobre.

Dziwni ludzie podróżują metrem o tak wczesnej porze. Jedni wracają zaspani do domów z nocnej zmiany, podczas gdy inni, nie mniej zaspani, jadą już do pracy, żeby zacząć nowy dzień.

Kiedy na stacji czekałam na przyjazd pierwszego pociągu, usiadł przy mnie na ławce facet z niesamowicie długimi kręconymi ciemnoblonde włosami i zaczął grać na organkach. Sięgnęłam do torebki, żeby dać mu parę groszy, ale powiedział, że nie jest żebrakiem, tylko wędrownym minstrelem, i od razu rozpoznał we mnie damę w tarapatkach. Dałam mu więc paczkę papierosów, a on dwornie pocałował mnie w rękę. Zrobiło mi się wstyd, że mam odrapaną skórę na knykciach i brud za paznokciami.

Już w pociągu, zmoczyłam wodą papierową chusteczkę i przetarłam nią twarz. Zmyłam smugi tuszu do rzęs i krwi. Próbowałam się przejrzeć w szybie wagonu, lecz w świetle jarzeniówek moje odbicie przypominało niewyraźną plamę. Przeczesałam szczotką włosy, zanim przesiadłam się na trasę Northern Line and Archway.

Kiedy stanęłam przed ciemnozielonymi drzwiami mojego domu, była za dziesięć szósta, a ja się czułam tak, jakbym pokonała urwiste pasmo górskie i przebiegła maraton. Otworzyłam drzwi kluczem i wtoczyłam się do holu. Rzuciłam torebkę na podłogę u podnóża składanej aluminiowej drabinki, obok pootwieranych puszek z farbą. Zrzuciłam pantofle i weszłam do kuchni, gdzie duszkiem wypilałam dwie szklanki wody. Za oknem szarzało. Pogoda była bezwietrzna, listki drzewa rosnącego na tylnym podwórku ledwie się poruszały.

Zdjęłam bluzkę, rozgarnęłam śmieci w koszu, wcisnęłam ją na dno wiadra i zakryłam puszkami i filtrami pełnymi fusów po kawie.

Schody wydały mi się tak strome, że weszłam na górę na czworakach. Dowlokłam się do łazienki i zrzuciłam z siebie resztę ubrań, które zebrałam w niewielką stertę, też upchnęłam na dnie kosza z brudną bielizną, i przykryłam innymi rzeczami. Kiedy spojrzałam na swoje odbicie, ledwie się powstrzymałam, żeby nie krzyknąć z przerażenia, gdyż z lustra patrzyła na mnie wymęczona, brudna, umazana czymś czarnym i zakrwawiona kobieta o spuchniętych wargach i zaczerwienionych oczach, z kołtunem potarganych włosów na głowie. Przypominałam dziwnego stworza, którego litościwi śmieciarze wyciągnęli z pojemnika i zostawili na ulicy, żeby sam się oddalił w bezpieczne miejsce.

Wzięłam kąpiel tak gorącą, jak tylko mogłam znieść, wystawiając każdy skrawek ciała na uklucia strumyków wody. Włosy myłam z takim zapamiętaniem, że aż zaczęła mnie piec skóra głowy. Potem szorowałam się gąbką, jakbym chciała zedrzeć z siebie całą warstwę skóry, by wyłonić się spod niej całkiem nowa, nieskaziona. Zęby szcزتkowałam, aż zaczęły krwawić dziąsła, po czym kilkakrotnie odkaziłam jamę ustną płynem do płukania. W końcu nakremowałam sobie twarz, natarłam się mleczkiem kosmetycznym, obficie posypałam talkiem wrażliwe miejsca i posmarowałam się pod pachami dezodorantem w sztyfcie.

Kiedy wkroczyłam do sypialni, mimo zaciągniętych zasłon spostrzegłam, że wstał już dzień. Budzik wskazywał 6:11. Upewniłam się, że jest nastawiony na dziesięć po siódmej, po czym wśliznęłam się pod kołdrę i zwinęłam w kłębek, obejmując ramionami kolana.

- Holly? - wymamrotał Charlie. - Już czas?
- Cicho. Śpij jeszcze. Wszystko w porządku.

Zasypiałam już, gdy przypomniałam sobie, że nie włożyłam z powrotem obrączki na palec.

### 3

- Holly! Holly! Przyniosłem ci kawę. Już dwadzieścia po siódmej.

Jeszcze przez chwilę leżałam bez ruchu, zasłaniając ręką oczy od dziennego światła. Ręce i nogi strasznie mi ciążyły, wargi miałam spękane, pulsowało mi w głowie i piekło w gardle. Miałam wrażenie, że nie przeżyję tego dnia. No i nie mogłam spojrzeć Charliemu w oczy.

- Holly! - zawołał jeszcze raz.

Opuściłam rękę, jakimś cudem rozwarłam powieki i popatrzyłam na jego miłą twarz, łagodne piwne oczy, w których nie było śladu obrzydzenia, ani nawet zdumienia.

- Dzień dobry, Charlie. Wczesnie wstałeś.

Sprawiał wrażenie solidnej, godnej zaufania życiowej podpory, choć był nieogolony i w starych ciuchach. Pracował w domu, więc nie musiał, jak ja, szykować się codziennie na kontakt z ludźmi, stać przed lustrem i nakładać na skórę kilogramy pudru, szminki i cienia do powiek, a jeszcze do tego trenować uśmiech. „Uśmiechaj się, Holly!”. Miał na sobie znoszone szare spodnie dresowe i rozchełstaną pod szyją brązową koszulę z długimi rękawami.

Uniosłam się na łokciu i pociągnęłam łyk kawy. Była cierpka, gorzka i gorąca.

- Późno wróciłaś? - zapytał.

- Dyskusja ciągnęła się bez końca.

- Nie słyszałem, kiedy przyszłaś.

- Spałeś jak zabity. Boże, naprawdę już tak późno? Musiałam przespać dzwonek budzika. Za chwilę zejść na dół.

Zamknęłam jeszcze oczy i zasłuchałam się w odgłos jego kroków na schodach. Miałam za sobą ledwie godzinę przerywanego snu, a teraz najwyżej trzy minuty na to, żeby upodobnić się do tych, którzy udają normalnych ludzi. Naciągnęłam kołdrę na głowę i zmusiłam się, żeby wrócić pamięcią do wydarzeń wczorajszego wieczoru. Próbowалам przypomnieć sobie tylko jedno. Miałam wrażenie, że zostałam pobita przez kogoś doświadczonego w takich czynach, gdyż

zadawał ciosy w takie miejsca, gdzie nie zostają ślady. Zatkąło mi od tego dech w piersi. Zaczepnęłam gwałtownie powietrza i odkaszlnęłam, jakby na plaży niespodziewanie zalała mnie gigantyczna fala. Przypomniałam sobie tę kobietę z wczorajszej nocy - samą siebie - która śmiała się w głos i bezczelnie flirtowała, bezmyślnie odpowiadając na każdą zaczepkę. Nawet nie odpowiadała, ale witała ją z radością, pragnąc być duszą towarzystwa. Teraz wydawała mi się odrażającą koszmarną nudziarą. Nie mogłam jednak uwolnić się od widoku tamtej sypialni z małżeńskim łóżem i śpiącego w nim mężczyzny. Nieważne, kto to był.

Tak to już jest z miłością i seksem. Ludzie piszą piosenki i wiersze, kręcą filmy, a my wdychamy z zachwytem i marzymy, żeby nam przytrafiło się coś podobnego albo nawet lepszego. A kiedy się w końcu przydarza, kiedy wychodzimy z eleganckiego klubu albo wyskakujemy z ciuchów, jak zwykle trafiamy na paskudne piegi na plecach, zaplamione prześcieradła czy też odpychające mieszkanie w jakiejś paskudnej części Londynu, której nigdy wcześniej nie widzieliśmy na oczy, i na śliską zużytą prezerwatywę na dywanie, której widok przyprawia o mdłości. Przemknęło mi przez myśl, żeby zbiec na dół, usiąść przy kuchennym stole naprzeciwko Charliego i opowiedzieć mu o wszystkim, co się zdarzyło minionej nocy, kiedy on spokojnie spał w naszym łóżku. Uznałam jednak, że byłoby to zwykłą głupotą, rzeczą obrzydliwą, odrażającą i zwyczajnie bezcelową. Niemniej ujrzałam w wyobraźni, jak stopniowo zmienia się wyraz jego twarzy w miarę moich wyznań, i tylko głębiej wsunęłam się pod kołdrę i jęknęłam głośno, czując obrzydzenie do samej siebie. Gdybym mogła cofnąć czas, wyszłabym z baru razem z Meg, odwróciłabym się plecami do wypełnionej gwarem i śmiechami sali i wróciłabym do domu, do męża śpiącego w naszym łóżku, zwiniętego w kłębek w czystej pościeli, po czym obudziłabym się dziś rano z czystym sumieniem. Gdybym tylko...

W głębi ducha zdawałam sobie świetnie sprawę, że na zawsze odmieniłam swoje życie. Jakiś głos w mojej głowie powtarzał na

okrągło: „Dopuszciasz się zdrady małżeńskiej”. Od razu przypomniały mi się szkolne lekcje religii i cytaty z Biblii mówiące o tym, że w sercu można się dopuścić małżeńskiej zdrady przez samo pożądliwe spoglądanie na kogoś. A ja nie popełniłam tej zdrady w sercu ani nawet w myślach. Uczyniłam to swoim ciałem, które następnie szorowałam zaciekle pod prysznicem, jakbym mogła w ten sposób uwolnić się też od świadomości zdrady. Nie mogłam powiedzieć o tym Charliemu. Postąpiłabym okrutnie, zatruliłabym całe nasze wspólne życie.

Mam wprawę w kłamstwach. To zawsze szło mi dobrze. Od tamtego jesiennego dnia sprzed jedenastu miesięcy - słonecznego i wietrznego, napawającego nadzieją - kiedy to zawlokłam Charliego do urzędu stanu cywilnego, nie mówiąc już o tych dwóch osłupiałych i zawstydzonych świadkach ściągniętych z ulicy, okłamywałam go wiele razy, udawałam różne rzeczy i mydliłam mu oczy bzdurami, ale jeszcze nigdy nie musiałam kłamać w takiej sprawie. Zdarzyło się to po raz pierwszy.

Usłyszałam, jak krząta się dole, odstawia z brzękiem naczynia i zbiera pocztę, która z trzaskiem wyładowała na gołej podłodze pod drzwiami. Ściągnęłam kołdrę z głowy, zmrużyłam oczy i popatrzyłam w sufit sypialni. Bolały mnie nogi, oczy piekły, a migdałki miałam wyraźnie powiększone. Pomyślałam z nadzieją, że złapałam grype. Miałabym doskonałą wymówkę, żeby jeszcze przez jakiś czas ukrywać się przed całym światem. Zaraz jednak uświadomiłam sobie, że to nie jest żadna grypa, tylko kac gigant i palące wyrzuty sumienia.

„Wyskakuj z łóżka, Holly”, nakazałam sobie w myślach, i niczym robot ignorujący rozkazy swojego pana, powoli usiadłam, próbując zapanować nad dotkliwym bólem głowy, a potem spuściłam nogi na ziemię. Zaczekałam, aż pokój przestanie mi wirować przed oczami, poczłapałam do łazienki i obmyłam sobie twarz zimną wodą. Popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze, na skołtunione ciemnoblonde włosy, które Charlie zwykł określać mianem lwiej grzywy, na szare

oczy, które spoglądały niewinnie spod ściągniętych gęstych brwi, i na pełne wargi wygięte w radosnym uśmiechu. Jak to możliwe, że mój umysł ginął pod grubą warstwą odrażającego brudu, podczas gdy twarz sprawiała wrażenie tak beztroskiej i szczęśliwej?

- Mnie nie oszukasz - syknęłam do siebie pod nosem, uśmiechając się chytrze do odbicia w lustrze. - Za dobrze cię znam, Holly Krauss. Mnie nie oszukasz.

- Nie wybierasz się do pracy o zwykłej porze? - Charlie wyjął z koperty jakieś pismo, przebiegł je wzrokiem i zmiął kartkę.

- Niestety, muszę. Jestem umówiona z Meg na dziewiątą. A wcześniej powinnam się jeszcze z kimś rozmówić.

Uniósł na mnie wzrok.

- To zabrzmiało groźnie - rzekł.

- Może i tak - odparłam. - A potem czekają nas gorączkowe przygotowania do następnego weekendu. Zapowiada się prawdziwy koszmarny. Od kogo było to pismo?

- Najbliższy weekend? Pierwsze słyszę. Co szykujecie?

- Już ci mówiłam. Dwunastu waśniaków chce przepłynąć staw na tratwie, żeby zacieśnić łączące ich więzy. A ty jakie masz plany na dzisiaj?

- Będę dalej prowadził rozmowy z chętnymi do pracy. Chcesz śniadanie?

- Nie jestem pewna - burknęłam.

Obudziłam się z myślą, że już do końca życia nie wezmę do ust niczego poza gorzką czarną kawą, lecz nagle dopadł mnie tak nieznośny głód, jakbym miała za chwilę zemdleć. Czyżbym nic nie jadła wczorajszego wieczoru? Przebiegłam go w myślach, jak gdybym oglądała wideo na maksymalnej prędkości. Było mnóstwo rozmów, picia i papierosów. Kilkakrotnie mój wewnętrzny czujnik wyłapał widok jakiegoś jedzenia na talerzu, ale jedynie grzebałam w nim widelcem. Sięgnęłam wspomnieniami dalej. Całkiem zapomniałam o lunchu, mogłam się więc domyślać, że śniadania także nie jadłam, mimo że wstałam o wpół do szóstej rano. Czyżbym miała

zapoczątkować nowy podgatunek człowieka, który nie potrzebuje snu ani pokarmu?

Zajrzałam do lodówki i jakby wbrew sobie zjadłam plaster wieprzowej pieczeni, po czym opróżniłam buteleczkę jogurtu. Wszystko miało smak siana, a skrajnie odmienne konsystencje obu rzeczy niemal przyprawiły mnie o mdłości, poczułam się tak, jakbym miała język i podniebienie oblepione pylistą kredą. Pomyślałam przy tym, że to niesamowite, iż człowiek wybiera różne produkty naturalne, rozdrabnia je w ustach na papkę, którą upycha w głębi ciała, żeby jej część stała się częścią jego organizmu. To skojarzenie na dobre pozbawiło mnie resztek apetytu, nie stłumiło jednak coraz silniejszego ssania w żołądku. Jednakże głód nie był już na tyle silny, by przypominać sygnał wysyłany przez robota, któremu wyczerpują się akumulatory.

Charlie przyglądał mi się badawczo.

- Napij się jeszcze kawy. Jeśli chcesz, przygotuję ci zaraz porządne śniadanie.

- Dzięki, to wystarczy.

- Usmażyłbym ci jajka na bekonie albo zrobił omelet z parówkami... Tyle że nie mamy parówek. Nie ma też bekonu, jeśli się nie mylę. Co do jajek też nie jestem pewny. Ale na pewno mamy chleb.

- Nie, dzięki - odparłam z uśmiechem, a raczej z jego namiastką z powodu narastającego bólu głowy. Czułam się jednocześnie jak widz i aktorka, obserwowałam z zaciekawieniem te nieudolne próby naśladowania normalnej kobiety. - Planowałeś coś na wczorajszy wieczór?

Zrobił zdziwioną minę.

- Wczorajszy wieczór? - zapytał.

- A nie tak powiedziałam?

- Wczorajszy wieczór spędziłem w domu. A na dzisiejszy nie mam jeszcze żadnych planów. Czyżbyś o tym nie wiedziała?

- Moglibyśmy gdzieś wyjść. Albo i nie. To też byłoby miłe. - Podeszłam i stanęłam przed nim, po czym zanurzyłam palce w jego gęstych puszystych włosach, pochyliłam się w jego stronę, a gdy

owionął mnie intensywny zapach wody kolońskiej, cmoknęłam go w policzek. - Charlie?

- Tak?

- Nic. Nieważne.

Sięgnęłam po omacku po kubek z kawą, trąciłam go i zwałam na podłogę. Roztrzaskał się na kawałki, a u moich stóp powstała czarna kałuża.

- Nic się nie stało - rzucił Charlie. - Zaraz to posprzątam.

Kucnął szybko, podniósł resztki kubka i zaczął zbierać rozlaną kawę kawałkami papierowego ręcznika.

- Pamiętasz? Kupiliśmy razem ten kubek w sklepie niedaleko Brighton. - Czułam, jak lzy cisną mi się do oczu.

- Spróbuję go posklejać.

- Nie warto. Przepraszam.

- Przecież tylko trochę się wyszczerbił i odłamało się ucho. Spójrz, Holly. Skleję go i nie będzie nawet śladu, że był rozbity. Już moja w tym głowa.

Popatrzyłam mu w oczy i pomyślałam: „Teraz. Powiedz mu o wszystkim. Przecież nie musisz się spieszyć do pracy. Weź go za rękę, patrz mu prosto w oczy i wyznaj wszystko szczerze, choćby ten jeden raz w całym swoim głupim życiu”. Przeszkodziło mi jednak pukanie do drzwi.

- Otworzę - powiedział.

To była Naomi, nasza sąsiadka, jedyna dobra znajoma na całym osiedlu, która sprowadziła się tutaj na początku roku. Wyglądała na tak zmarnowaną, jak ja się czułam. Włosy miała w nieładzie, oczy podkrążone, a na nogach kapcie.

- Przyszłam po prośbie - wybąkała, wchodząc do środka. - Skończyła mi się kawa.

- My mamy jej pod dostatkiem, w dodatku cały dzbanek świeżo zaparzonej. Wejdz, poczęstujesz się.

W zakłopotaniu popatrzyła na mnie, potem na Charliego.

- Jeśli nie będę przeszkadzała...

- Ja już wychodzę, ale Charlie nigdzie się nie wybiera. Zostawiłam ich razem w kuchni i wdzięczna losowi wyszłam z domu, między ludzi, którzy nic o mnie nie wiedzieli.

\*



Nawet dosyć lubię całkiem niewykonalne zadania, ponieważ klienci przyjmują z wdzięcznością, jeśli cokolwiek uda się zrobić. Właśnie takie zadanie zbliżyło nas z Meg prawie pięć lat temu, chociaż często mi się wydaje, że znamy się od wieków i aż nie mogę się nadziwić, że nie ma jej w żadnych moich wspomnieniach z dzieciństwa czy ze szkoły średniej. Dla nas obu była to pierwsza w życiu praca, toteż obie bardzo starałyśmy się wyróżnić w ledwie egzystującej firmie. Kiedyś w biurze zjawiała się kobieta, żeby sprawdzić, czy na następny dzień wszystko jest gotowe, tymczasem okazało się, że Derek, nasz szef, na śmierć zapomniał o jej zleceniu. I jakby tego było mało, zamknął się na głucho w swoim gabinecie. Mniej więcej po godzinie weszłam tam bez pukania i zauważyłam ze zdumieniem, że płacze. Do dziś mam przed oczyma jego nachmurzoną, pomarszczoną twarz i zaczerwienione oczy. Sprawiał wrażenie zdesperowanego, więc chcąc go pocieszyć, obiecałam, że wszystko będzie w porządku, bo same się tym zajmujemy. A on ujął oburącz moją dłoń i wyznał szczerze, że żona od niego odeszła, związała się z dekoratorem wnętrz.

Znalazłyśmy się więc w sytuacji bez wyjścia. Ale miałyśmy dopiero po dwadzieścia dwa lata i nie było dla nas rzeczy niemożliwych. Zadzwończyłyśmy do tej klientki, uzyskałyśmy od niej konieczne informacje dotyczące firmy, po czym znalazłyśmy odpowiedni hotel i pozbierałyśmy cenne doświadczenia od starszych pracowników naszej agencji. Przez całą noc szykowałyśmy zaproszenia i karteczki z krótkimi przemówieniami. A następnego dnia... No cóż, może nie było to najwspanialsze spotkanie pracowników biura, lecz razem z Meg przygotowałyśmy stanowisko powitalne, mając do dyspozycji tylko czerwony dywan, solidną deskę, gruby sznur, wiadro i trochę innych gratów, po czym flirtowałyśmy ze wszystkimi i rozdawałyśmy uśmiechy, aż nas rozboleły gęby, a przynajmniej mnie. W naszym duecie przeciwieństw Meg zawsze gra rolę tej lepszej. Nigdy nie podrywa facetów, bo nawet jak któryś jej się spodoba, po prostu traci głowę, ni stąd, ni zowąd wybucha gromkim śmiechem, a potem czerwieni się aż po czubki włosów. I nigdy się

nie popisuje. Ja to uwielbiam, a w takich chwilach Meg spogląda na mnie wzrokiem pełnym zazdrości i zrozumienia. Kiedy marszczy brwi, na czole robi jej się wyraźna pionowa zmarszczka, przez co nabiera takiego wyglądu, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

No więc stawałyśmy na głowie przez cały dzień, a później cały wieczór w barze. Tuż po północy kobieta, która zleciła nam organizację spotkania, uściskała nas serdecznie i dziękowała w nieskończoność, tłumacząc, że dzięki nam nie wyleci z pracy. Nazajutrz Derek tak się wzruszył, że znowu zaczął płakać. Siedziałam przed biurkiem w jego gabinecie i przyglądałam mu się krytycznie, próbując go pocieszać. Pamiętam, że wstrząsały mną dreszcze. Oboje byliśmy naładowani do granic wytrzymałości i tylko udawaliśmy, że nic się nie stało. Ale żadne z nas nie spojrzało w dół, gdzie nie było żadnej siatki zabezpieczającej i wystarczył najdrobniejszy błąd, żeby spaść z liny.

Równocześnie przeżywałam wtedy bodaj najwspanialszy okres swojego życia, i to pod każdym względem. Nieraz słyszałam, jak ludzie mówią, że dla nich najgorszym koszmarem jest perspektywa wyjścia na scenę w trakcie przedstawienia, gdy zupełnie nie pamiętają swojej roli. Tamten dzień udowodnił, że najtrudniejsze wyzwania nie stanowią dla mnie żadnego koszmaru. Wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej mobilizują. Dla mnie najgorszym koszmarem jest koniec przedstawienia.

Niedługo później razem z Meg postanowiłyśmy rozkręcić własny interes. Byłyśmy już wtedy ze sobą bardzo zżyte. Mam wrażenie, że po raz pierwszy w życiu właśnie przed nią nie musiałam niczego udawać, nie starałam się jej niczym zaimponować. Podświadomie wyczuwałam, że jest osobą o złotym sercu, przez co w jakiś szczególny sposób i ja stawałam się przy niej kimś lepszym, a w każdym razie trochę mniej złym. Będąc już po dwudziestce, znalazłam w końcu prawdziwą przyjaciółkę.

Zastanawiałyśmy się, czy nie dać naszej firmie jakiejś modnej nazwy w rodzaju „Świst”, „Oczarowanie” albo „Aspiracja”, lecz

ostatecznie pozostałyśmy przy „KS i spółka”, przebiegle wzięwszy skrót od pierwszych liter naszych nazwisk, mojego Krauss i jej Summers. Dawnemu chłopakowi Meg, dyplomowanemu grafikowi, zapłaciłyśmy aż pięć tysięcy dolarów za projekt logo firmy. Wyobraźcie sobie literę K, której prawa część stanowi zarazem górną połowę litery S, zbiegającej dalej na dół i powracającej szerokim łukiem aż do podstawy lewej kreski litery K. Pewnie trudno to sobie wyobrazić, lepiej byłoby zobaczyć. W każdym razie nam symbol wydał się wyrazisty, ale już w trakcie przyjęcia wydanego z okazji uruchomienia firmy - dość późno, gdy wszyscy byliśmy już nieźle wstawieni - ktoś zauważył, że ten znak firmowy bardzo przypomina symbol umieszczany w toaletach na kabinkach dla niepełnosprawnych. Niestety, było już za późno na zmiany, zresztą obie z Meg doszłyśmy do wniosku, że tego rodzaju skojarzenia są jedynie skutkiem dużej dawki alkoholu.

Lubię zatem zadania niewykonalne, lecz nawet w tym zakresie istnieje granica akceptowalności. W poprzednim tygodniu jedna z naszych pracownic odeszła na urlop macierzyński, a druga zrezygnowała z pracy, tymczasem zbliżał się termin organizowanego przez nas kolejnego spotkania biurowego, jednego z tych bardzo ważnych i pracochłonnych. Kiedy więc stałam na peronie metra, już po raz drugi tego poranka, z piekielnym bólem głowy, wyschniętym gardłem i przeczuciem zbliżającej się nieuchronnie klęski, zaczęłam w myślach rozdzielać zadania przydzielone wcześniej tym dwóm pracownikom. Później zrobiłam przybliżony harmonogram i określiłam najważniejsze sprawy do załatwienia w ciągu nadchodzących trzech dni. Ale kiedy pociąg wypadł z tunelu, zelektryzowała mnie myśl: Czy nie byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym zwała się tuż przed nim jak ścięte drzewo? Już nigdy nie musiałabym nad niczym łamać sobie głowy. W końcu pod każdym względem byłabym po prostu martwa. Co prawda, to samo czekało wszystkich tłoczących się wokół mnie na peronie, w większości jednak po latach cierpień i samotności, podczas gdy ja odeszłabym w młodym wieku. Poza tym

w grobach nie ma zaplamionych prześcieradeł. Nie ma szarówki. Jest tylko nieprzenikniona ciemność. Albo zupełna pustka. A może w ramach promocji odnalazłabym drogę do nieba, gdzie wcześniej trafiły wszystkie moje futrzaki z dzieciństwa, chomiki, królik i kot. Może nawet mogłabym się znowu spotkać z ojcem.

I oto nagle ujrzałam za szybą twarz motorniczego pociągu - zwalistego, nieogolonego, w domowych ciuchach - i jego oczyma spojrzalam na tłum ściśnięty na samej krawędzi peronu, nad torami. Czy w swoich sennych koszmarach jawił mu się taki moment, kiedy ktoś z tłumu zeskakuje tuż przed jego pociągiem?

Nasze biuro w niczym nie przypomina tego, co mój ojciec mógłby nazwać typowym biurem. Co prawda, on nigdy nie pracował w biurze. W każdym razie typowi ojcowie nie nazwaliby tego typowym biurem. Znalazłyśmy je na obrzeżu Soho i wynajęłyśmy od stojącej na krawędzi bankructwa firmy komputerowej. Wewnątrz nie ma żadnych ścian, przepierzeń ani drzwi. W rozległej sali znajdują się tylko ustawione równolegle do siebie długie stoły, co upodabnia ją do refektarza modernistycznego klasztoru. Dysponujemy odrębną salą konferencyjną, ale nawet spotkania z klientami odbywają się zazwyczaj przy centralnym stole, gdzie powinno się znajdować miejsce opata. Spod sufitu zwieszają się wielkie przemysłowe kasetony jarzeniowe, a pracownicy mają szafki na swoje rzeczy, nie ma jednak biurek ani terminali komputerowych - z wyjątkiem mojego stanowiska, bo wszędzie, gdzie usiądę, zostawiam po sobie tak straszny bałagan, że nikt nie chce dzielić ze mną miejsca. Ten wystrój odziedziczyłyśmy po firmie komputerowej i jakimś sposobem nie próbowałyśmy go nawet zmienić. Co prawda, obiecałyśmy sobie z Meg, że któregoś dnia urządzimy tu prawdziwe biuro, ze ściankami działowymi i pokojami, żebyśmy nie byli zmuszeni po całych dniach patrzeć sobie w oczy, podejrzewam jednak, że nigdy do tego nie dojdzie.

Weszłam do sali pięć po ósmej, co, wzięwszy pod uwagę wszelkie

okoliczności, samo z siebie zasługiwało na wpis w Księdze Rekordów Guinnessa. Nikogo jeszcze nie było, panowała cisza. Świetnie. Miałam jakieś pół godziny dla siebie. Zaparzyłam kawę i zabrałam się do pracy. Nagle usłyszałam jakiś hałas i szybko rozejrzałam się dookoła. Musiał dolecieć z ulicy. Uśmiechnęłam się niepewnie z powodu swojej nerwowości. Czulałam się jak włamywacz w moim własnym biurze. Tylko parę sekund zajęło mi odszukanie materiałów Debory. Zadanie było proste, gdyż dobrze wiedziałam, gdzie szukać. Jak doświadczony złodziej wcześniej dokładnie obejrzałam sobie jej stanowisko i orientowałam się, gdzie powinien być łup. Poczulałam przypływ satysfakcji z tego, że intuicja mnie nie zawiodła, ale zaraz dały o sobie znać wyrzuty sumienia. Szybko skopiowałam część dokumentów i zdążyłam odłożyć papiery na miejsce, zanim na schodach rozległy się kroki.

## 4

Od razu się domyśliłam, że to Meg, która zawsze przychodzi jako pierwsza. Tego dnia wyjątkowo zjawiłam się przed nią. Miała na sobie białą jedwabną bluzkę, a włosy gładko zaczesane i zebrane z tyłu głowy. Wpięła w uszy maleńkie srebrne kolczyki, ale nie była umalowana. Przemknęło mi przez myśl, że mimo to wygląda świeżo, jak owoc zerwany przed chwilą z drzewa, rumiane jabłko albo brzoskwinia. Na mój widok zrobiła zdziwioną minę, podeszła i usiadła obok.

- Myślałam, że dzisiaj będziesz bardzo późno - powiedziała. - Po wczorajszej nocy... Co cię tak zerwało z łóżka?

Wzruszyłam lekko ramionami, co miało znaczyć: „Później opowiem ci o wszystkim”.

Zapatrzyła się na mnie jeszcze bardziej zdumiona.

- Popełniłaś jakąś głupotę, zgadza się?

Popełniłabym wielki błąd, gdybym jej nie doceniała. Meg potrafi mnie przejrzeć na wylot. Odczytuje prawdę nawet z niepozornych wzruszeń ramionami.

- Nie teraz - odparłam. - Specjalnie przyjechałam wcześniej, żeby to wszystko sprawdzić. Tylko popatrz.

Rozłożyłam przed nią kserokopie dokumentów. Popatrzyła na nie ze zmarszczonymi brwiami.

- Będziesz musiała dokładniej wprowadzić mnie w tę sprawę - mruknęła.

- To tak zwane materiały przygotowane przez Deborę - wyjaśniłam. - Faktury, sprawozdania, kosztorysy, harmonogramy i tak dalej. Normalne papiery w naszej działalności.

- Tyle sama widzę.

- Ale to same śmieci - rzuciłam. - Spójrz chociażby na ten kosztorys. Przecież ona nawet się nie wybrała do Sussex.

- To prawda, lecz...

- A tu masz ostateczną wycenę spotkania zaplanowanego na następny tydzień. Podobno ślęczała nad nią od poniedziałku i ledwie zdołała ją skończyć. Proszę, oto ona.

Meg zapatrzyła się na prawie pustą kartkę papieru.

- Skąd wiesz? - zapytała. - Może trzyma resztę materiałów w domu.

- Wszystko dokładnie sprawdziłam i dręczy mnie już tylko jedno pytanie: Czy ona zwyczajnie nas oszukuje, czy jest fantastką wierzącą we własne kłamstwa. Pamiętasz, jak w ubiegłym tygodniu opuściła dzień pracy i tłumaczyła się, że uciekł jej pociąg, gdy wracała z pogrzebu przyjaciela? Sprawdziłam. W ogóle nie ma takiego połączenia.

Meg była zaskoczona.

- Jesteś tego pewna?

- Absolutnie.

- W takim razie musimy z nią porozmawiać.

- Musimy ją zwolnić.

- Wykluczone, Holly. Musimy przestrzegać prawa.

- Jesteśmy bardzo małą firmą, Meg. Ktoś taki jak Debora może nas pociągnąć w przepaść. Nie ma szans, żeby rzetelnie się z nią rozmówić. Jeśli będziemy z nią rozmawiać, to jedynie po to, by wyjaśnić sytuację i nakłonić ją do złożenia wymówienia. Możemy nawet zaproponować, żeby poszła do lekarza. I powinniśmy to zrobić, gdy tylko zjawi się w pracy.

- Nie będzie jej przez dwa dni. Bierze udział w konferencji.
- Więc zrobimy to, jak wróci. Nie możemy odkładać tej sprawy.

Meg przygryzła dolną wargę.

- Sama nie wiem - mruknęła. - Może lepiej porozmawiajmy o niej z Trish.

- Trish prowadzi to biuro, ale firma jest nasza i to my musimy podjąć decyzję.

- Jesteśmy przecież jak jedna rodzina.

- Więc tym bardziej nie powinnyśmy tolerować nikogo w rodzaju Debory.

Policzki Meg wyraźnie się zaróżowiły, jak zawsze pod wpływem silniejszych przeżyć.

- Jak ty to robisz? - wybąkała słabym głosem.

- Co?

- Wczoraj wieczorem w pubie omal nie wszczęłaś bójki, a chwilę później już piłaś z facetem, który powinien mieć ochotę, żeby cię zamordować. Zaraz potem wyszliśmy, jak tylko stało się jasne, że nic ci nie grozi. Gdzie później poszliście? Dzwoniłam do ciebie po powrocie do domu, ale cię nie było. A dzisiaj zjawiasz się bladym świtem i udajesz Sherlocka Holmesa. Jakim cudem tak ściśle rozgraniczasz różne aspekty swojego życia? Na pewno jedne rzeczy nie wpływają na pozostałe?

- Przecież na tym polega rozgraniczanie - odparłam, odsuwając papiery na bok. - To jego brak stał się przyczyną zatonięcia „Titanica”. Rozprucie burty nie miałyby większego znaczenia, gdyby grodzie były pozamykane i woda nie zapełniła całego kadłuba, przez co statek poszedł na dno. Gdyby został zatopiony tylko jeden przedział, „Titanic” mógłby kontynuować podróż i szczęśliwie zawiąłyby do Nowego Jorku.

- „Titanic”? O czym ty mówisz, do diabła?

Siedziałam na zebraniu z wyrazem profesjonalnego zainteresowania na twarzy. Kontrolowałam wszelkie szczegóły, zapisywałam sugestie naszych klientów i zapewniałam, że nadchodzący weekend

zaspokoi ich wszystkie potrzeby. Pochylałam się nad stołem z przymilnym uśmiechem na ustach. Zdołałam się nawet opanować, żeby nie powiedzieć kilku ostrzejszych słów przebiegłemu wicedyrektorowi przedsiębiorstwa farmaceutycznego.

- Scalanie zespołu - głędził, skubiąc się po brodzie. - Budowanie poczucia wspólnego celu, przygody intelektualnej, wzajemnej odpowiedzialności, zespołowego podążania w jednym kierunku. Właśnie czegoś takiego potrzebujemy.

Zamiast solidnej podwyżki i lepszego szefa? - zapytałam w myślach.

- A my jesteśmy od tego, żeby wam to zapewnić - odparłam.

- Kolega polecił mi waszą firmę. Powiedział, że po zakończeniu dwudniowego spotkania cała załoga aż buzowała z podniecenia. Chcielibyśmy osiągnąć taki sam efekt.

- Buzowania? - powtórzyłam. - Już nasza w tym głowa, żeby tak było.

Jedna z naszych starszych i bardziej doświadczonych pracownic zaniosła się tłumionym kaszlem, więc ostrzegawczo spiorunowałam ją wzrokiem.

Na pożegnanie uściśniłam gościom dłonie, zaszczycając ich swoim najserdeczniejszym uśmiechem.

- Teraz - powiedziała Meg, podając mi płaszcz - idziemy na kawę.

- Przecież możemy się napić tutaj. Mamy tyle...

- Tak łatwo się nie wykręcisz. Idziemy do Luigiego, gdzie będziemy mogły porozmawiać w spokoju.

Wyszliśmy więc na smaganą porywistym wiatrem ulicę i schroniliśmy się w maleńkiej, pogrążonej w półmroku kafejce, której ciepłe i przytulne wnętrze sprawiało wrażenie kabiny na jachcie w czasie sztormu wypełnionej stłumionym światłem i syczeniem ekspresu do kawy.

- Naprawdę byłam wczoraj taka okropna wobec tego gościa? - zapytałam. - Jak on się nazywał?



- Todd - odparła Meg. - Wydawało mi się, że go trochę przestraszyłaś.

- Był dosyć miły.

- Dosit - przyznała obojętnym tonem, aż uniosłam brwi, a ona błyskawicznie się zaczerwieniła i odwróciła głowę. - Więc co się ostatecznie stało wczoraj wieczorem? - zapytała po chwili. - Przecież o tym miałyśmy porozmawiać.

Spojrzałam na jej twarz o niewinnych, łagodnych rysach, kojarzącą mi się z epoką edwardiańską, zwłaszcza przez drobny dołek na czubku brody i bujne kręcone włosy. Nie było szans na to, by Meg mogła zrozumieć, co się naprawdę stało.

- Nic się nie stało. Tylko trochę przesadziłam. - Pociągnęłam łyżeczek gorącej kawy, sparzyłam sobie wargi i skrzywiłam się z bólu. - Pod koniec zdecydowanie za dużo wypiałam.

- Pod koniec?

- Jesteś moją przyjaciółką, a nie matką. Świetnie się bawiłam, to wszystko.

- Poszłicie jeszcze do jakiegoś innego lokalu?

- Tak, poszliśmy do... - urwała nagle, bo nie wiedziałam ani z kim się bawiłam, ani gdzie. Z mojej pamięci wypływały tylko chaotyczne oderwane wspomnienia, jak porozrzucane dokoła odłamki. Ciemna sala pełna ludzi, deptak nad rzeką, brzęk tłuczonego szkła, taksówka, chwile uniesienia w pościeli, ciężar czyjegoś nagiego ciała. Potarłam palcami skronie, próbując uwolnić się od tych natrętnych obrazów.

- Dokąd?

Wypiałam duszkiem kawę i gwałtownym ruchem odstawiłam filiżankę.

- Jeśli chcesz znać prawdę, to niewiele pamiętam z wczorajszego wieczoru.

- Film ci się urwał?

- Wszystko było jak we śnie. Pewnie znasz to uczucie.

- O której wróciłaś do domu?

- Czulałam się znów jak nastolatka - odparłam. - Krótco przed szóstą. - Zaledwie pięć godzin temu, przemknęło mi przez myśl. Jak

to możliwe, że tych pięć godzin upłynęło w tak żółwym tempie?

- Przed szóstą? Chryste, Holly, to jak ty się jeszcze trzymasz na nogach? A co na to Charlie?

- Prawie nie zareagował, spał jak zabity. A potem spieszyłam się do pracy.

- Naprawdę nic ci nie powiedział?

W myślach ujrzałam go, jak pochylał się w kuchni i ostrożnie zbierał odłamki rozbitego przeze mnie kubka.

- Chyba powinniśmy już wracać.

- Byłaś z jakimś facetem? - wypaliła Meg, co zabrzmiało bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

- Słucham?

- Chodzi mi o wczorajszy wieczór.

- Mniej więcej - mruknęłam, spoglądając na nią wyzywającym wzrokiem.

- Mniej więcej? Chcesz przez to powiedzieć, że uprawiałaś seks z obcym mężczyzną?

- Nic przez to nie chcę powiedzieć.

- Jak to nic?

- No więc upiłam się, poszłam na całość i wylądowałam w łóżku z nieznanym. Koniec.

- Moim zdaniem początek. Żałuj, Holly, że nie słyszałaś, jak to zabrzmiało.

Słyszałam. Mój własny głos dobiegał do mnie jakby z daleka, to też wsłuchiwałam się uważnie, usiłując zrozumieć poszczególne słowa, które zlewały się w jeden ciąg niczym nurt brudnej rzeki, musiałam więc się skupić, by wyłowić z nich sens.

- A co z Charliem? - zapytała Meg bardzo cicho, złowieszczo grobowym głosem.

- Charlie to Charlie - rzuciłam machinalnie.

- Zamierzasz mu o tym powiedzieć?

- Po co? Żeby i on czuł się tak samo podle? Co się stało, to się nie odstanie. Ważne, że nie powtórzy się nigdy więcej.

- Jesteś tego pewna?

- W każdym razie postaram się, żeby tak było, ponieważ... - W

gęstej mgle spowijającej moje myśli z trudem odnalazłam właściwe określenie: - ...to była chwilowa dewiacja.

Meg przyglądała mi się przez dłuższy czas. Z mocno bijącym sercem zmusiłam się, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. Nakazywałam sobie w myślach, że jako pierwsza nie spuszczę wzroku i nie odwróczę głowy, ale w końcu musiałam to zrobić, bo wyglądała na głęboko zamyśloną, jakby usiłowała podjąć jakąś trudną decyzję. Przyszło mi nagle do głowy, że rozplywa się w żalu nade mną, a tego nie mogłam znieść.

To dzięki Meg poznałam Charliego. Był znajomym jej kuzyna, Luke'a, razem kończyli akademię sztuk pięknych. Pewnego dnia Meg zaprosiła mnie, bym poszła razem z nimi do kina. Do dziś pamiętam ten film, *Między słowami*. Pamiętam, że wtedy też było dość ciepło i wietrznie, że suche liście latały nam koło nóg, gdy szliśmy ulicą. Pamiętam, jak byłam wtedy ubrana, miałam na sobie dzinsy z dziurą na kolanie, traperskie buty i najstarszą z moich skórzanych kurtek. Nie sądziłam, że będzie to dla mnie jakiś specjalny wieczór. Pamiętam również, jak był ubrany Charlie. Z tamtego dnia Meg i Luke dawno zatarli się w moich wspomnieniach. Pozostał w nich tylko Charlie, każdy jego gest, każde słowo, nawet najkrótsze spojrzenie skierowane w moją stronę. Już wtedy z dziwnie cudownym, niezapomnianym przerażeniem zdawałam sobie sprawę, że on tak samo zwraca uwagę na mnie. Kiedy w barze nasze dłonie przypadkiem się zetknęły, odniosłam wrażenie, jakby poraził mnie prąd elektryczny. W kinie byliśmy rozdzieleni, bo siedziałam przy Meg, która miała wtedy paskudny katar. Od czasu do czasu wyciągała wielką chusteczkę i głośno czyściła nią zaczerwieniony nos. I lzy napływały jej do oczu. To zrozumiałe, że zadawałam sobie w duchu pytanie, czyjej Charlie tak samo się podoba. I odpowiadałam sobie: Tak. Ale jednocześnie myślałam, że on przecież przygląda się mnie, czułam na sobie jego spojrzenie, jakby to był wazący setki kilogramów ciężar. I konkludowałam w duchu: Coś więcej musi się zdarzyć.

Po filmie Luke i Charlie zaprosili nas na kolację do knajpki naprzeciwko kina, ale Meg musiała wracać do łóżka, toteż postanowiłam jej

towarzyszyć. Pojechałyśmy taksówką, najpierw w grobowym milczeniu, nawet nie patrząc na siebie. Ale później, już pod jej domem, położyła mi rękę na kolanie i powiedziała: „Nie musisz się niczym przejmować, Holly. Po prostu bardziej mu się spodobałaś niż ja”. Burknęłam wtedy coś idiotycznego, a ona - co jest dla niej bardzo charakterystyczne - dodała wielkodusznie: „Przecież nawet gdybyś mu się nie spodobała, nie oznacza to jeszcze, że wybrałby mnie, zatem nikomu go nie odbijasz ani nic w tym rodzaju”. Potwierdziła to solidnym dmuchnięciem w chusteczkę, cmoknęła mnie w policzek i wysiadła z taksówki.

Jak bym postąpiła, gdyby ona się wtedy nie odezwała? Łudzę się nadzieją, że nie zrobiłabym nic, lecz wcale nie jestem tego pewna. Zaczekałam, aż otworzy kluczem drzwi i wejdzie do środka, po czym kazałam taksówkarzowi zawrócić i jechać z powrotem pod kino. Luke i Charlie siedzieli jeszcze w knajpce, więc się do nich przysiadłam, upiłam nieco czerwonego wina z ich kieliszków i podkrađłam im po parę frytek, usiłując nie myśleć o zażawionej Meg, zmagającej się w łóżku z katarem. Zjadłam parę łyżek sorbetu cytrynowego, położyłam dłoń na udzie Charliego, a on przywarł kolaniem do mojego. Potem przysunęliśmy się bliżej siebie, udając, że słuchamy Luke'a. Następnie Charlie zabrał mnie do siebie.

Meg trafnie odgadła, że mi się spodobał. Uprzedziła, że na początku jest wstydlivy, ale jak się go lepiej pozna, okazuje się zabawny. I rzeczywiście był zabawny. Pobudzał mnie do śmiechu już od pierwszej chwili, jak tylko się poznaliśmy. Powiedziała, że jest bardzo zdolnym artystą pracującym różnymi technikami, malujący olejem, akwarelą, rysujący węglem. Jeszcze na studiach stworzył komiks o niezdatnym superbohaterze, który stał się idolem lokalnej społeczności. Jego praca dyplomowa miała postać instalacji wykonanej z zawartości jednego kontenera na śmieci. Widziałam zdjęcia. Robiła piorunujące wrażenie. Jak tylko się poznaliśmy, wmówiłam sobie, że to właśnie on jest tym jednym jedynym. Byłam gotowa wyjść za niego już nazajutrz, gdyby tylko prawo na to zezwalało. Niestety, musiałam poczekać ze ślubem miesiąc.

Od tamtej wspólnej jazdy taksówką Meg słowem nie odzywała się na temat Charliego, pomijając komplementy pod jego adresem, i zapewne nigdy nie wróciłybyśmy do tego tematu, nawet w ciepłych bamboszach w domu starców, wspominając dawne porywy miłosne. Nie było jednak co udawać, od początku wiedziałam, co ona czuje do mojego męża. W końcu nie przestała go pragnąć tylko dlatego, że wybrał mnie. To nie w jej stylu. Meg ma w sercu specjalny włącznik, który bardzo powoli i mozolnie je rozpala, ale nawet po jego wyłączeniu żar nie gaśnie od razu. Z Charliem także nie rozmawiałam na ten temat, ale on traktował Meg szczególnie, z wielkim oddaniem, może nawet uwielbieniem, co zawsze wprawiało ją w zakłopotanie. Mówiąc jej teraz o swojej zdradzie, poczułam nagle dławiący wstyd z tego powodu, że za jednym zamachem zniszczyłam tyle cennych rzeczy w swoim życiu.

- Problem polega na tym, Meg - wycodziłam w zamyśleniu - że sama nie potrafię wyjaśnić, dlaczego to zrobiłam. Nie próbuję lekceważyć tego, co się stało. Nie chcę mówić o tym Charliemu, bo cała sprawa nabierze zaraz szczególnego znaczenia, gdy tymczasem była jedynie nic nieznaczącym epizodem. - Dość, nakazałam sobie w myślach. Jesteś dla siebie zdecydowanie zbyt pobłażliwa. - Koszmarnym, idiotycznym epizodem bez znaczenia.

Na dłużej zapadło milczenie. Wpatrywałam się w Meg, ale nie byłam w stanie odgadnąć jej myśli. Kilka razy przeciągnęła palcem po krawędzi swojej filiżanki, po czym zmarszczyła brwi i zapytała:

- Między tobą i Charliem zaczyna się psuć?

Pokręciłam głową.

- Cóż, nasze małżeństwo nie przypomina... chciałam powiedzieć: małżeństwa moich rodziców, ale oni nie są przecież żadnym modelem socjologicznym, prawda? Więc nie przypomina małżeństwa twoich rodziców. Zazwyczaj każde z nas żyje własnym życiem. Ja mam głowę zaprzątniętą sprawami biura, on za wszelką cenę stara się nie wypaść z obiegu. Potrafi się zamknąć w swojej pracowni na wiele godzin, a kiedy tam wchodzę, spogląda na mnie jak na

kogoś całkiem obcego. Wiem, że wszystko odbyło się bardzo szybko. Mówię o naszym ślubie. I jeśli nawet nie jestem typową kurą domową, to wciąż uważam, że postąpiliśmy słusznie. W każdym razie nie mam wątpliwości co do swojej decyzji. Może Charlie nie jest zadowolony, może pluje sobie w brodę. Ale i tak uważam, że nie ma co się zastanawiać w kwestii małżeństwa, tylko śmiało iść do ślubu. Trzeba chwytać się tego, na czym w danej chwili nam zależy. Trzeba ufać miłości.

Odchyliłam się na oparcie krzesła, niemalże wycieńczona. Nie umiałam ocenić, do jakiego stopnia sama wierzę w to, co mówię, w każdym razie gdzieś w głębi duszy tkwiła wiara w to, choć może nie do końca potrafiła się przełożyć na słowa, odzwierciedlić moje uczucia i pozwolić, by świadczyły same za siebie. Ale tak to już jest, człowiek stara się być sobą w nadziei, iż rzeczywiście tak się stanie.

- Nie czujesz się przez to okropnie?

- Nie mam wyrzutów sumienia co do większej części wczorajszego wieczoru, więc jakoś sobie poradzę. Ale tobie chyba nie o to chodziło, prawda?

Obrzuciła mnie zaciekawionym wzrokiem, przykładając palec wskazujący do kącika ust, co oznacza u niej głęboką refleksję.

- Powinnaś być znacznie bardziej ostrożna, koleżanko - powiedziała w końcu.

Zadzwoiłam do Charliego.

- Wszystko w porządku?

- Tak, oczywiście.

- Zacząłeś już pracę nad tą ilustracją?

- Jeszcze nie. Potrzebuję więcej czasu.

- Rozumiem, ale byłoby wstyd przed komisją, a chyba nie muszę ci tłumaczyć, jak bardzo potrzebujemy...

- Przecież obiecałem, że ją zrobię. Nie mogę załatwiać dziesięciu rzeczy naraz, do tego jeszcze przed śniadaniem.

Przez chwilę czułam zbierającą złość, którą natychmiast stłumiły wyrzuty sumienia. Jakie miałam prawo, żeby się złościć na kogokolwiek, a zwłaszcza na Charliego?

- Masz rację - odparłam. Powiedziałam, że będę w domu około szóstej i zapytałam, czy mam coś kupić na obiad, czy może gdzieś wyjdziemy.

- Niezła myśl - rzekł.

- Kocham cię - rzuciłam, ale zdążył już odłożyć słuchawkę.

Wyszłam z pracy o właściwej porze. Miałam zamiar wpaść do supermarketu i udawać gospodynię domową, to znaczy wyładować koszyk produktami na cały przyszły tydzień, jakbym działała według starannie przemyślanego planu, a nie tylko żyła bieżącą chwilą. Myślałam o tym, żeby zrobić porządny obiad, na przykład upiec kurczaka, bo w końcu nawet ja potrafiłam go upiec. Ale już sama myśl o tłustej pieczeni przyprawiła mnie o mdłości, choć przecież odczuwałam jednocześnie głód.

W drodze do stacji metra przechodziłam obok pawilonu handlowego, gdzie był też sklep spożywczy. Ktoś stłukł witrynę, przyklejony w miejscu szyby arkusz grubej folii łopotał na wietrze. Jakaś Azjatka w szarym nylonowym fartuchu klęczała na chodniku i mocowała go dodatkowo. Z mej pamięci wypłynęły niewyraźne wspomnienia. Właśnie tu byliśmy wczorajszego wieczoru. I to ja ponosiłam odpowiedzialność za wybitą szybę. Kobieta podniosła na mnie wzrok, kiedy przystanąłam obok niej.

- Strasznie mi pani szkoda - odezwałam się.

Tylko wzruszyła ramionami. Wyglądała na zrezygnowaną, wręcz pogodzoną ze wszystkim, co ją w życiu spotyka, tak samo jak z silnym wiatrem czy deszczem.

- To nie pierwszy raz.

Wzięłam koszyk ze stojaka przed wejściem.

- Potrzebuję paru rzeczy - powiedziałam. - Sama nie wiem, czemu dotąd nie robiłam u was zakupów. W końcu przechodzę tędy każdego dnia.

W tej sytuacji nie mogłam się ograniczyć do kurczaka. Wzięłam dużą

paczkę mielonej kawy, herbatę w torebkach i parę kartoników mleka, które - jak się okazało po przyjeździe do domu - było specjalnie preparowane, żeby nie kwaśniało, ale przez to nie nadawało się do picia. Kupiłam też dwa pomarszczone żółte jabłka na obciążonej folią tacce, opakowanie ośmiu ekstramiękkich rolek różowego papieru toaletowego, płyn do mycia naczyń, cztery kartoniki papierosów, małą butelkę strasznie drogiego dżinu, sok cytrynowy i koncentrat soku pomarańczowego, którego nie znoszę, a Charlie chyba jeszcze bardziej. W końcu musiałam wziąć drugi koszyk, żeby zmieścić muesli, chleb z ziarnem sezamowym, słoik marmolady, tubkę masła do smarowania pieczywa, kilka paczek gumy do żucia, dietetyczne herbatniki i piwo. Kiedy zapłaciłam, ledwie zdołałam spakować wszystko w dwie duże foliowe torby. Ich uchwyty wrzynały mi się w palce, gdy wyszłam na ulicę.

Kilkadziesiąt metrów dalej znajdował się oddział mojego banku, stanęłam więc przy bankomacie, żeby sprawdzić stan konta. Zostało na nim sto czterdzieści dwa funty i czterdzieści trzy pensy. Wyjęłam więc sto czterdzieści funtów w nowiutkich szeleszczących banknotach. W swojej torebce znalazłam starą wymiętą kopertę, upchnęłam w środku banknoty i naskrobałam na niej, usiłując naśladować niedbały charakter pisma ulicznego chuligana: TO ZA SZYBĘ. Wzięłam kilka głębszych oddechów i zawróciłam do sklepu. Za ladą stał już jakiś mężczyzna, zapewne mąż Azjatki, którą widziałam wcześniej na chodniku. Położyłam przed nim kopertę i powiedziałam:

- Znalazłam to przed sklepem. Pewnie do was.

Odprowadził mnie do drzwi zdumionym spojrzeniem. Ledwie wyszłam na ulicę, zaczął padać deszcz, do tego bardzo gruby, zdolny w parę chwil przemoczyć człowieka do suchej nitki. Miałam nadzieję, że facet przyjmie zapłatę bez pytania i nie zawiadomi policji. Co by Bóg powiedział na moje postępowanie, gdyby naprawdę istniał? Pewnie kazałby mi się wypowiadać. Ale na to nie było mnie stać. Poszłam więc tylko przez deszcz, pozwalając, żeby solidnie mnie zmoczył.



\*

Zawołałam od drzwi frontowych, ale nie było żadnej odpowiedzi. Rozpakowałam zakupy w kuchni i zajrzałam do pracowni Charliego, lecz tam go nie było, tylko radio grało, a w pokoju panował straszliwy bałagan. Na całej podłodze wałały się jakieś papiery, sterta książek pod ścianą była rozrzucona, przy krześle i sztalugach stały przepełnione popielniczki, wyjęte z pudełek płyty kompaktowe zdawały się zajmować każdy skrawek wolnej przestrzeni. Na leżącym na biurku arkuszu ze szkicownika widniała tylko jedna linia zrobiona ołówkiem, od góry cieniutka i zanikająca, u dołu zakończona wymyślnym zygzakiem. Naliczyłam ponadto pięć kubków po kawie, dwa zbrązowiałe ogryzki po jabłkach i skórkę mandarynki. Na parapecie stał kubek, który stłukłam rano. Przyjrzałam mu się uważnie. Rzeczywiście, zgodnie z zapewnieniami Charliego, z daleka trudno było dostrzec miejsca klejenia. Wycofałam się i zamknęłam drzwi.

Gdybym od razu położyła się do łóżka, pewnie natychmiast bym zasnęła. Dlatego przebrałam się w stare dżinsy oraz zachłapaną farbą koszulkę Charliego i zmusiłam się do działania. Pozapalałam na dole wszystkie światła, żeby mieć namiastkę dziennego oświetlenia, ustawiłam drabinę na środku holu i przystąpiłam do zrywania tapety. Zaczęliśmy tę robotę kilka miesięcy temu, gdy tylko zamieszkaliśmy razem, ale jakoś nie mogliśmy jej skończyć. Wciąż wprawiało mnie w zdumienie, jak łatwo człowiek przyzwyczaja się do otoczenia o nagich betonowych ścianach, z pozdzieranymi tapetami.

Trzy kwadransy później Charlie zastał mnie przy tej robocie, zaskoczony stanął w drzwiach, ubrany w tę cudownie miękką sztrukturalną marynarkę, którą mu kupiłam. Zeszłam z drabiny i czule ucałowałam jego obie zamknięte powieki, a on uściiskał mnie mocno, choć byłam zakurzona, zmęczona i obolała.

- Ciekawe, skąd ty bierzesz tyle energii? Nie odstąpiłabyś mi choć trochę?

W takiej chwili byłam gotowa odsunąć się na krok, spojrzeć mu

prosto w oczy i powiedzieć: „Charlie, wczoraj wieczorem, z niezrozumiałych i dla mnie samej powodów, zdradziłam cię z nieznanym”. Aż przeszył mnie dreszcz, jakbym nagle znalazła się na trzaskającym mrozie.

Odpowiedziałam mu jednak promiennym i niewinnym uśmiechem.

- Wspaniała decyzja. Więc dokąd idziemy? Do restauracji chińskiej, hinduskiej czy tajskiej?

Później uprawialiśmy seks, czyli kochaliśmy się albo inaczej pieprzyliśmy. Sama nie wiem, które określenie jest właściwsze, bo miałam jedynie ochotę zamknąć oczy i zapaść w bardzo, ale to bardzo głęboki sen, czego, rzecz jasna, też nie mogłam mu powiedzieć. Nie po tym, co się stało. Więc kiedy uśmiechał się do mnie w ten swój szczególnie sposób, odpowiadałam uśmiechem, chociaż musiałam walczyć ze ściągniętymi ustami i łzami cisnącymi się do oczu. Gdy mnie obejmował, ja też zarzucałam mu ręce na szyję, przyciągałam go do siebie i czule szeptałam do ucha. Nawet się nie zorientował, pewnie wcale nie podejrzewał, że duchem byłam bardzo daleko od niego.

## 5

Kiedy stałam na peronie metra między dwoma zwałistymi spocnymi facetami, ogarnęło mnie poczucie egzystencjalnej wolności. Żadne prawo naturalne w rodzaju siły grawitacji nie zmuszało mnie, abym jechała do pracy, trzymała się dotychczasowego trybu życia. Mogłam sobie pojechać dalej, przesiać się przy Leicester Square, wysiąść na Heathrow, złapać pierwszy lepszy samolot i już nigdy więcej nie wracać do Anglii. Tyle że musiałabym wrócić do domu po paszport. A co z pieniędzmi? Wszystko wiązało się z domem. Była to inwestycja, zapewne niezła, ale stwarzająca podstawowy problem z płynnością. Zresztą za granicą też nie byłoby mi

łatwo. Pojęcie egzystencjalnej wolności powstało prawdopodobnie w czasach, kiedy nie istniały jeszcze kłopoty z wizami i w hali przylotów nikt nikogo nie maglował, jak długo pozostanie w odwiedzanym kraju i czy zamierza podjąć tu pracę. Nawet ta wolność miała swoje ograniczenia, istniały granice swobody w zmianach osobowości.

Tak więc wysiadłam z pociągu i wyjechałam ruchomymi schodami na ulicę w porannej dżdżystej szarówce. Pomyślałam, że Charlie pewnie wyleguje się jeszcze w łóżku, i zaczęłam się zastanawiać, czy on w ogóle ma coś do roboty. Zdecydowałam, że powinnam do niego zadzwonić. Sięgnęłam do torebki, ale nie było w niej mojego telefonu komórkowego. Po przyjsciu do biura także go nie znalazłam. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio z niego korzystałam, ale było to ponad moje siły. Poprzedniego dnia dzwoniłam tylko z aparatu stacjonarnego w biurze. Musiałam go zatem zostawić w domu albo gdzieś zgubić, najpewniej tamtego szalonego wieczoru. Nie mogłam wykluczyć, że ktoś mi go ukradł, ale najbardziej prawdopodobne było to, że zgubiłam. Od wczesnego dzieciństwa ciągle coś psułam lub gubiłam. Nie sądzę, bym miała jakąś parasolkę dłużej niż przez tydzień. Absolutnie wszystko, co nie jest przypięte lub przyszyte do mojego ubrania, a więc torebki, ciemne okulary, klucze bądź kapelusze, ustawicznie zostawiam gdzieś na swojej drodze. Tyle że telefon komórkowy ma jedną wspaniałą zaletę. W końcu nie da się zawołać okularów przeciwsłonecznych i zapytać, gdzie są. Zadzwoniłam pod swój numer i po paru sygnałach usłyszałam na linii męski głos.

- Masz mój telefon - powiedziałam.
- Ale go nie ukradłem - odparł nieznajomy i głośno zarechotał, jakby udał mu się doskonały żart.
- Muszę ci wierzyć na słowo. Zdaje się, że zostawiłam go w pubie albo w klubie w Soho.
- Niby w jakim pubie albo klubie?
- Nie mam pamięci do nazw - rzuciłam ze złością. - To mógł być pub przy Wardour Street albo... Jest taki klub niedaleko za rogiem od niego, ma w nazwie coś z domem...

- Czerwony Dom?
- O, właśnie. Byłam tam. W każdym razie bardzo przepraszam, ale gdzie musiałam go zostawić. Ciekawa jestem, czy jest jakaś szansa na to, bym go odzyskała. Mogłabym wysłać po niego gońca.
- Gdzie pracujesz?
- W Soho.
- Jestem na Strandzie. Podrzucę ci go w porze lunchu.
- To byłoby cudowne.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Masz go przy sobie?... Przepraszam, to idiotyczne pytanie. Oczywiście, że masz.

- Próbowałem obmyślić jakiś sposób, żeby ci go zwrócić.
- Więc nie musisz sobie dłużej łamać głowy.

Wymieniłam nazwę kawiarni przy Dean Street, umówiłam się na pierwszą, odłożyłam słuchawkę i rzuciłam się w wir codziennych zajęć mniej więcej tak, jakbym zatkała palcami nos i skoczyła w spieniony nurt rwącego strumienia. Sporządziłam listę najpilniejszych zadań, która zajęła dwie kartki. Była to mieszanina koniecznych rozmów telefonicznych, wiadomości, które należało zostawić, niezbędnych spotkań i ustaleń oraz decyzji do podjęcia i pomysłów do zatwierdzenia. Razem przypominało to niezgrabnego stwora z obcej planety ze starego filmu fantastycznego. Im więcej odrywało mu się części ciała, tym bardziej się powiększał i stawał agresywny. Nie miałam nawet chwili do zastanowienia. Musiałam tylko właściwie reagować na bodźce, jakie wywoływały kolejne pozycje ze spisu, żeby je załatwić, wykreślać i wyrzucać z pamięci. Różne rzeczy pojawiały się w polu moich zainteresowań i zaraz znikały. Najbardziej zauważalną z nich była Meg, bo to z nią musiałam przedyskutować parę spraw, żeby wspólnie podjąć szybkie decyzje. Pojawiały się przede mną kubki gorącej kawy, a puste jakimś sposobem znikały. Wypychałam sobie usta jakimś żarciem, nie zwracając nawet uwagi, co to jest. A kiedy w końcu podniosłam głowę i spojrzałam na zegar, było dziesięć po pierwszej. Osłupiała rozejrzałam się dookoła. Nawet nie za bardzo docierało do mnie, gdzie jestem.

Leżącą przede mną listę zdobiły ciągi rozmaitych strzałek, zapiszków i skreśleń. Poza nią na biurku nie było prawie niczego, jeśli nie fizycznie, to w każdym razie duchowo. Wszystkie szpargały znalazły się albo w odpowiednich teczkach, albo w rękach innych pracowników. Zgarnęłam resztką papierów i schowałam do szuflady. Zawołałam do Meg, że wracam za chwilę. Coś mi odkrzyknęła, czego nie zrozumiałam, gdyż ze stukotem obcasów zbiegałam już po schodach.

Zauważyłam go już od wejścia. Był potężnie zbudowany i barczysty. Marynarkę powiesił na oparciu krzesła, a krótkie rękawki koszuli opinały się na mięśniach. Gęste czarne włosy zaczesywał gładko do tyłu. Mój telefon komórkowy leżał przed nim na stoliku.

- Zakładam, że to mój aparat - powiedziałam jednym tchem.

Wstał, uśmiechnął się i wyciągnął rękę na powitanie, a kiedy uściśnęłam mu dłoń, nie rozwarł od razu palców, tylko przytrzymał je dłużej, ściskając dość mocno.

- Witaj, Holly - rzekł. - Moja piękna Holly.

Podrażnienia wdarły się do mojego umysłu niczym rój drobnych insektów. Niemalże czułam fizycznie, jak wygryzają sobie drogę do mojej świadomości. Och, nie! - jęknęłam w myślach. Tylko nie to. Błagam. Przemknęło mi przez głowę, żeby złapać telefon i rzucić się do wyjścia, ale ciało odmówiło mi posłuszeństwa, ręce i nogi miałam jak z waty. Poza tym zdawałam sobie sprawę, że nawet gdybym zdołała uciec, nie zdołam się ukryć. Ojciec często mi to powtarzał, kiedy graliśmy w berka w parku niedaleko domu. Już wtedy to zdanie mnie przerażało. Wyszarpnęłam ręką z jego uścisku.

- A jeszcze piękniejsza w dziennym świetle - dodał.

- Przepraszam... - wymamrotałam. - Ja nie... nie mogę...

- Nie masz za co przepraszać.

- Chciałam powiedzieć, że popełniłam głupi błąd.

- Nie sądzę. - Uśmiechnął się szerzej. - Nawiasem mówiąc, mam na imię Rees. Mówię to na wszelki wypadek, gdybyś nie pamiętała.

- Wcale nie chcę pamiętać. Byłam pijana. To wszystko.
- Byłaś niesamowita.
- Muszę już iść.
- Wcale nie musisz.

Wyciągnęłam rękę po telefon, ale złapał mnie w przegubie i pociągnął do siebie.

- Puszczaj.
- Tylko mi nie mów, że nie masz ochoty na powtórkę. Zwłaszcza po tamtej szalonej nocy.
- Puszczaj! - powtórzyłam głośniej.
- Wtedy bardzo tego pragnęłaś, podobnie jak ja. Powiedziałaś...
- Nie bądź śmieszny.
- Jesteś mężatką, prawda? - Wykręcił mi rękę i popatrzył na obrączkę na palcu. - Za kogo wyszłaś? Kim jest ten żalorny palant? Niech zgadnę. Ma na imię David lub Connor, Fred albo Charlie czy Wesley. Już wiem. Charlie, prawda?
- Zabieraj ode mnie swoje łąpska, draniu.
- I tak zapisałem jego numer w swoim telefonie. Razem z kilkoma innymi.

Zmusiłam się, żeby spojrzeć mu w oczy, i na samą myśl, że zrobiłam to właśnie z nim, ogarnęły mi mdłości.

- Nie wyglupiaj się - mruknęłam. - Nie możesz sobie odpuścić?
- Zostawiłaś u mnie jeszcze swoje majteczki. Pamiętasz? Czarne, koronkowe...

Wzrok przesłoniła mi czerwona mgła. Po raz drugi chciałam wyszarpnąć rękę, ale trzymał mocno, aż do bólu zaciskając palce na nadgarstku.

- Czego? - syknęłam. - Jeśli myślisz, że pozwolę się szantażować, to jesteś o wiele głupszy, niż na to wyglądasz.
- Naprawdę? A jeśli ty myślisz, że pozwolę ci stąd wyjść i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, to...

Nie dokończył, bo zdołałam wyszarpnąć rękę i z całej siły trzasnęłam go w policzek, na którym zostały powoli blednące, czerwone ślady moich palców.

- Ty zdziro - syknął.

- Proszę wybaczyć, lecz jeśli macie zamiar dalej się kłócić, robcie to na ulicy - odezwał się stanowczo ktoś za moimi plecami.
- Ja już wychodzę - odparłam. - A ty lepiej nie wchodź mi więcej w drogę.
- Sama się prosisz o kłopoty - zawołał za mną, gdy zawróciłam do wyjścia. - Przysięgam, że dostaniesz to, na co zasługujesz. Jesteś skończona. Zobaczysz.

## 6

Przez godzinę kręciłam się po okolicy. Za lunch wystarczyła mi nektarynka, którą kupiłam na ulicznym straganie. Mimo to po powrocie do biura wciąż mnie roznosiło. Byłam wściekła nie tylko na tego dupka, z najwyższą pogardą i obrzydzeniem myślałam o sobie, bo czułam się tak upokorzona, że świat rozmazywał mi się przed oczami. Wpadłam jak burza do naszej tak zwanej sali konferencyjnej i zastałam Meg pogrążoną w poufnej rozmowie z Trish. Podniosła głowę i popatrzyła na mnie zmieszana, jak gdybym przyłapała ją na czymś niestosownym.

- Rozmawiałam z Deborą - zakomunikowała. - O różnych naszych sprawach.
- Z Deborą? Przecież podobno miała być na konferencji.
- Wróciła wcześniej - wtrąciła Trish. - Właśnie przyjechała.
- I co?
- Mówiliśmy o twoich wątpliwościach wobec niej. Przyznała, że ma trochę zaległości w pracy. Nie chciała nas o nich powiadać, bo wynikły głównie z powodu Loli.
- Co takiego?

Lola dołączyła do naszego zespołu zaledwie parę miesięcy wcześniej. Była młoda i bardzo gorliwa. Uczyła się szybko, lecz zakres jej obowiązków raczej nie wykraczał poza parzenie kawy i roznoszenie dokumentów po sali.

- Próbowała ją wciągnąć do pracy nad zleceniem Cooka.

Trish zaczęła relacjonować powikłaną historyjkę o tym, co podobno Lola zawiniła, ale przerwałam jej:

- Niemożliwe. To jakieś bzdury. Zostawcie tę sprawę mnie. Sama się rozmówię z Deborą. Trish, czy mogłabyś ją poprosić, żeby zajrzała do mnie za pięć minut? Najpierw muszę zadzwonić.

Debora ani trochę się nie zmieniła od chwili, kiedy razem z Meg przed miesiącami przeprowadzałyśmy z nią rozmowę kwalifikacyjną. Wysoka i szczupła, starannie umalowana i uczesana, roztaczała wokół siebie atmosferę całkowitego zaufania. Można było niemalże odnieść wrażenie, że to ona przyjmuje nas do pracy. Problem polegał chyba na tym, że nie powitałyśmy jej ze szczególnie otwartymi ramionami. Bo nie szukałyśmy nowej zaufanej przyjaciółki, ale dziewczyny do ciężkiej pracy, przede wszystkim budzącej respekt. Zdawało mi się, że wyczułam u niej odpowiednie cechy, jak tylko stanęła w drzwiach. Referencje, co prawda, miała trochę dziwne. Nie ulegało wątpliwości, że z poprzednim pracodawcą nie rozstała się w zgodzie, ale nie był to powód do zmartwienia. Zwłaszcza dla mnie. Nawet spodobał mi się pomysł zatrudnienia kogoś szorstkiego. Powiedziałam Meg, że potrzebujemy w biurze złego gliniarza, bo dobrych miałyśmy już pod dostatkiem. Problem polegał na tym, że Debora miała być złym gliniarzem wobec innych, a nie wobec nas.

Więc kiedy wkroczyła do sali konferencyjnej, wyglądała tak samo imponująco jak zawsze.

- Jak było w Roehampton? - zapytałam.

- W porządku.

- Nic specjalnego nie utkwilo ci w pamięci?

Wzruszyła ramionami.

- Niezupełnie. Wcześniej wyjechałam.

- Nie kręć - rzuciłam. - Właśnie rozmawiałam przez telefon z Jo Palmer, która prowadziła konferencję. Nawet się tam nie pojawiłaś.



Muszę przyznać, że zrobił na mnie wrażenie styl, z jakim przyjęła to, że została zdemaskowana. Zmieszała się nieco, zrobiła obrażoną minę i spytała zdziwiona:

- Szpiegowałeś mnie?

- To jeden z moich obowiązków - odparłam. - Kieruję tą firmą.

- Byłam na konferencji - powiedziała. - Zapomniałam tylko wpisać się na listę i odebrać swój identyfikator.

Miałam jednak przygotowaną teczkę z papierami. Otworzyłam ją, wyjęłam ze środka kserokopie dokumentów i rozłożyłam przed nią na stole, jakbym wykladała karty w partii pokera.

- Co to jest? - spytała zaskoczona.

- Doskonale wiesz, co to jest - odparłam. - Zastanawialiśmy się, co z tobą zrobić, i przyznam, że się zawahałam, kiedy pomyślałam, że trzeba cię będzie wylać bez ostrzeżenia. Ty jednak próbowałeś zwalić całą winę na Lolę. Jak mogłeś?

- Ona nie ma żadnego doświadczenia - odparła Debora. - Cały czas ją kryłam.

- Odbiło ci? - syknęłam. - Nigdy się nie poddajesz? Tylko spójrz na te papiery. Okłamywałaś nas. A tym samym okradałaś naszą firmę.

Popatrzyła na mnie ze stoickim spokojem.

- Jestem dobra w tym, co robię - odrzekła. - Doskonale o tym wiesz.

- Jesteś zwolniona. - Spojrzałam na zegarek. Nie mogłam sobie jednak przypomnieć, jaki mamy dzień. Miałam nawet kłopoty z ustaleniem pory roku. Zdaje się, że z drzew spadały uschnięte liście.

- Dostaniesz całą pensję, jakbyś przepracowała do końca miesiąca, ale nie chcę cię więcej widzieć w biurze.

Na dłużej zapadła cisza. Wszystkie wpatrywały się we mnie z uwagą.

- Nie możesz tego zrobić - odezwała się w końcu Debora. - Rzuciłam dobrą pracę, żeby móc się tu przenieść. Mam do spłacenia mieszkanie, wzięłam kredyt hipoteczny.

- Pod jednym względem masz rację - dodałam. - Jesteś dobra w tym, co robisz. Nie wiem tylko, co ci się pomieszało, bo tutaj po

prostu nie dajesz sobie rady. Ciekawa jestem, czy nie trzeba ci będzie pomóc...

Skrzywiła się, jakby pokój wypełnił nagle odrażający fetor.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie, ty nadęta... – zawiesiła głos, jakby nie mogła znaleźć wystarczająco ohydnych słów na określenie mojej postawy. - Naprawdę nie widzisz, że nikt cię tu nie lubi? Myślisz, że jesteś taka genialna, pełna wspaniałych pomysłów, zabawna i beztroska, że wszyscy za tobą szaleją. Ale nas nie oszukasz. Bo w rzeczywistości jesteś żaloszna. Tylko udajesz...

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i z trudem nad sobą panując, wycedziłam:

- Będzie lepiej, jeśli natychmiast stąd wyjdiesz.

Zaśmiała mi się w nos.

- Uważasz się za taką cholerną spryciarę. Ale któregoś dnia ktoś ci przefasonuje tę twoją fałszywą ściągniętą buźkę.

Uśmiechnęłam się mimo woli.

- Grozisz mi, Deboro?

Wstała gwałtownie i popatrzyła na mnie z dzikimi błyskami w oczach.

- Sądzisz, że wszyscy będą na twoje polecenie kłamali, tego oczekujesz od ludzi. Ale pewnego dnia ktoś ci odplaci pięknym za nadobne i wtedy zobaczysz. Wystarczy jeden jedyny raz.

Wypadła z sali jak huragan i w paru susach przemknęła przez całe biuro. Kiedy zniknęła mi z oczu, wyszłam na Old Compton Street. W tutejszej cukierni robią niezwykle kremówki, z bardzo delikatnym ciastem na wierzchu, którego twórcę należałoby uhonorować Nagrodą Nobla. Kupiłam ich dziesięć, po jednej dla każdego, i wzięłam też dziesięć kubeczków cappuccino. Ledwie wróciłam z tym wszystkim do biura. Trish i Meg popatrzyły na mnie jak rażone piorunem. Podeszłam do nich.

- Myślicie, że postąpiłam źle?

Wymieniły zdumione spojrzenia.

- Sama nie wiem - odparła Meg. - To nie taka prosta sprawa.
- Rzeczywiście, nie taka prosta - przyznałam.

Zwołałam wszystkie dziewczyny. Powiadomiłam je krótko o kłopotach, jakie się spiętrzyły, i wyjaśniłam, jak ważne jest, abyśmy wszystkie ze sobą rozmawiały szczerze o wszelkich problemach. Niemniej ten inspirujący wykład był jedynie wstępem do kremówkowej uczyty i już po paru minutach wszystkie z ochotą wetknęłyśmy nosy w posypane cukrem pudrem ciastka, przez co zebranie upodobniło się do hucznego przyjęcia urodzinowego paroletniego brzdąca.

Trzy kwadranse później wyjeżdżałyśmy z Meg z Londynu. Ona z uwagą wpatrywała się w szczegółową mapę samochodową, a ja prowadziłam zdecydowanie za szybko. Zamierzałyśmy skontrolować lokalizację szykowanego na weekend spotkania. Określenie „lokalizacja” nadawało temu zadaniu sztywny i formalny charakter, jakbyśmy chciały wynająć modernistyczny hotel o identycznych pokojach, z dobrze zaopatrzonym i droгим barem, salą konferencyjną i nowoczesną siłownią, gdzie biznesmeni siadają w maszynach wioślarskich na piętnaście minut przed swoim ważnym spotkaniem o dziewiątej. Było całkiem inaczej. Wynajęłyśmy częściowo odrestaurowany, porośnięty dzikim winem młyn wodny w Oxfordshire. Nie dość, że przez budynek płynął strumień, a tuż obok znajdował się porośnięty rzęsą staw, to bezładnie rozmieszczone pokoje wyglądały tak, jakby spod przesiąkniętych wilgocią tapet lada moment miała wyleźć pleśń. Miejsce wydało nam się idealne, wśród drzew nadających się do wspinaczki dla dorosłych, mogących bezpiecznie spadać z nich do stawu, z obszerną salą jadalną mającą tylko jeden wielki okrągły stół, przy którym wszyscy pracownicy musieli się zebrać wieczorami, do tego położone na pustkowi, z dala od ludzkich siedzib. Niedawno młyn stał się własnością jakichś znajomych Meg, którzy zapragnęli porzucić gorączkowe i stresujące życie w Londynie, ale już początki restauracji młyna dały im odczuć, jak wygląda gorączkowe i stresujące życie wśród łąk upstrzonych

krowimi plackami i ociekających deszczem drzew.

- Wreszcie mi ulżyło - powiedziałam. - Przypomniał mi się okres, kiedy pracowałyśmy tylko we dwie.

- Owszem - odparła Meg i zaśmiała się głucho. - To były czasy. - Urwała, więc pomyślałam, że znów skupiła się na mapie, ale zaraz dodała: - Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku. Chodzi mi o Deborę. Pozostaje tylko wierzyć, że nie poda nas do sądu.

- A niech sobie podaje - rzuciłam. - Dopiero się przekona.

Meg tylko głośno westchnęła.

Londyn sprawia całkiem odmienne wrażenie w zależności od tego, w którym kierunku się z niego wyjeżdża. Na przykład w stronę Oxfordu zdaje się zanikać niczym krople słabnącego deszczu i ani się człowiek obejrzy, że wszystkich stron otacza go żywa zieleń. Przednia szyba auta poszarzała od kropelek wyrzucanych spod kół innych pojazdów, bo choć od samego rana zbierały się ciemne chmury, dopiero teraz rozpadało się na dobre. Włączyłam wycieraczki i przez łukowate smugi chwilowo przejrzystej szyby popatrzyłam na otaczające nas poszarzałe, przemoczone pustkowie. Włączyłam więc radio i zaczęłam na oślep wciskać klawisze, przeskakując po różnych pasmach i stacjach, ale szybko się poddałam i wyłączyłam je.

Corinne i Richard czekali na nas. Rozpalili w kominku w obszernym salonie i zaparzyli dzbanek kawy. Kiedy Corinne puściła obiegami talerzyk z maleńkimi biszkoptowymi ciasteczkami z malinami na wierzchu, łapczywie złapałam aż dwa, wypchnęły mi policzki jak u chomika. Wyciągnęłam nogi w stronę trzaskających płomieni i westchnęłam. Strumyk szemrał i bulgotał tuż za ścianą, a gdy przez szparę między chmurami na krótko wyjrzało słońce, jego ukośne smugi rozświetliły podłogę z surowych desek.

- Może i ja powinnam się na to zdecydować - mruknęłam.

- Na co?
- Na ucieczkę z Londynu.
- Szczerze mówiąc, nie nazwałbym tego ucieczką.
- No to wyjazdem - odparłam rozmarzona. - Szukaniem nowego porządku.
- Czego? Nowego porządku?
- Początku - poprawiłam się. Powieki zaczynały mi się kleić, więc rozwarłam je na siłę i wyprostowałam się w fotelu, pociągnęłam tęgi łyk mocnej czarnej kawy i zaśлуchałam się w bębnie deszczu o parapet. Ogród za oknem wyglądał jak gąszcz mokrej zieleni. Już w sobotę miało tu przyjechać siedmiu mężczyzn i pięć kobiet.
- No, dość tego - mruknęłam, sięgając po ostatnie ciasteczko. - Bierzmy się do roboty.

Zaczęliśmy od przeglądu sypialni. Wszystko było w porządku, tylko na podeście ostatniego piętra brakowało skrzynki z kocem żaroodpornym i gaśnicy. Potem zajrzeliśmy do kuchni, gdzie znajdowały się urocze maleńkie drzwi, za którymi szmerłał strumień.

- Czy to bezpieczne? - zapytała Meg wyczulona na aspekty praktyczne.
- Woląbyśmy nie stawiać tu ochroniarza - dodałam.
- Drzwi są cały czas zamknięte - wyjaśnił Richard. - Taka już jest specyfika architektury młyna wodnego.

Nie bez trudu odsunęłam ciężkie rygle, uniosłam niewielką klapę w podłodze i wetknęłam głowę w otwór. Bryzgi wody natychmiast zmoczyły mi policzek, a wiatr przykleił mi do niego kosmyk włosów. Westchnęłam z rozrzewnieniem i zamknęłam oczy.

- Holly?
  - Tak. Już idę.
- Wyprostowałam się, opuściłam klapę i zasunęłam rygle.
- Chcesz omówić jadłospis na sobotni wieczór?
  - Jestem pewna, że nie zostawia nic do życzenia.
  - Przygotowałam jadłospisy na lunch i niedzielne śniadanie, mam też spis produktów i przypraw, które będą mogli wykorzystać

do gotowania curry będącego jednym z głównych punktów spotkania, więc gdybyś chciała rzucić okiem...

- Nie trzeba, na pewno niczego nie brakuje - powiedziałam.
- Skoro tak... - Corinne sprawiała wrażenie zawiedzionej, ale szybko się ożywiła. - To może lista trunków...
- W pełni zdaję się na ciebie.
- Ale...
- Upewnij się tylko, żeby wszystko dokładnie policzyć, a na zamówieniu jeszcze podwoić ilość. Lepiej wyjrzyjmy teraz na dwór.
- Nie chcecie włożyć kaloszy? Trawa jest bardzo mokra.
- To bez znaczenia.

Ruszyliśmy razem z Meg wzdłuż strumienia, przez dawny ogród warzywny, i dalej przez podmokłą łąkę nad stawem. Była niewiarygodnie sprężysta i zielona. Podniosłam kamyczek i rzuciłam go po wodzie, lecz tylko chlupnął pod powierzchnię, a drobne zmarszczki na niej błyskawicznie zniknęły bez śladu. Popatrzyliśmy na siebie i aż zachichotałyśmy z rozkoszy.

- Chciałabym zobaczyć, jak będą spadali z tej swojej tratwy do wody - powiedziałam.
- Mam nadzieję, że przez to zarekomendują nas swoim przyjaciołom i znajomym - odparła Meg.
- Jak rozdamy im wełniane koce, będziemy do nich szczeniocić i trzepotać rzęsami, na pewno nas zarekomendują.

Meg skrzywiła się z niesmakiem.

- Jak się ciebie słucha, można by pomyśleć, że jesteśmy pannenkami do towarzystwa.
- A nie jesteśmy? - zapytałam.
- Daj spokój, Holly - syknęła. - Nie wolno ci nawet tak myśleć. Przypomnij sobie listy dziękczynne, jakie później dostajemy. Zwiększona wydajność, podbudowane morale załogi...

Objęłam ją za ramiona, a ona mnie w pasie.

- Zgadza się, moja droga. Sama umieszczałam takie cytaty w naszej broszurce reklamowej. Nic nie przykuło twojej uwagi?

- Nie. O co chodzi?
- Poza wrzaskami ptaków, czyniących nieprzyjemny hałas, i szelestem wiatru w koronach drzew, panuje tu niemal idealna cisza. Aż trudno uwierzyć, że jesteśmy nadal w tym samym świecie, w którym znajduje się Londyn.
- I będziemy musiały do niego wrócić.
- Marzy mi się dokładniejsza kontrola. Wybrałabym sobie któryś z pokoi, położyła się spać, a ty byś mnie zbudziła po przyjeździe tu z całą grupą.
- Niestety, w mieście masz całkiem inne życie, z którym musisz się zmierzyć. Masz także męża.

W drodze powrotnej prowadziła Meg, a ja próbowałam jednocześnie śledzić mapę i rozmawiać.

- Skoro już nie mogłam wynająć sobie pokoju we młynie, wolałabym się przesiąść do tyłu, zwinąć w kłębek i trochę zdrzemnąć.
- Nie krępuj się - odparła.

Pomyślałam, że ludzie używają tego określenia tylko wtedy, kiedy czują się całkiem bezpieczni, gdy w młodości rodzice przywożą ich do domu późno w nocy, żeby mogli się wyspać we własnym łóżku. Oczywiście natychmiast skojarzyło mi się to z rodzinnym wyjazdem na piknik, kiedy to ojciec nie zdołał znaleźć wybranego miejsca, więc matka wszczęła dziką awanturę, a on tak się rozczłóścił, że stracił panowanie nad kierownicą i wylądowaliśmy w przydrożnym rowie. Trzeba było iść do najbliższego gospodarstwa, żeby farmer wyciągnął samochód traktorem. Prawdę mówiąc, dla mnie było to nawet zabawne.

Nie przesiadłam się do tyłu, ale i tak zmorzył mnie sen. Ocknęłam się dopiero wtedy, gdy zatrzymała wóz przed moim domem i oznajmiła radośnie, że jesteśmy na miejscu.

- Jesteś najlepszym kierowcą na świecie - powiedziałam. - Nie zbudziło mnie ani jedno szarpnięcie.

Nie wiadomo kiedy zrobił się niedzielny wieczór i było już po wszystkim. Gdy wróciłam do środka, zastałam Meg z Corinne i Richardem w kuchni, obejmowali dłońmi kubeczki z parującą kawą.

- Możecie już wyjść - powiedziałam. - Odjechali. Meg uśmiechnęła się krzywo.

- Jesteś pewna, że nikt nie schował się w którymś kącie?

Pokręciłam głową.

- Przeliczyłam całą grupę. Nie zostało wam trochę tego towaru? - Meg ruchem głowy wskazała mi dzbanek z kawą, więc nalałam sobie do kubka z jakimś modnym hasłem wypisanym na boku. - Nie wiem, czemu zawsze spodziewam się czegoś więcej - mruknęłam. - Okrzyków „bis”, bukietów kwiatów.

- Mnie wystarczy, jeśli ich czek da się zrealizować - skwitowała Meg. - Ile przespałaś tej nocy?

- Nie jestem pewna. A w ogóle kładłam się spać?

- Ja tak.

- Ty zawsze sypiasz jak suseł.

- To w końcu nie zbrodnia, prawda? Senność nie jest przejawem lenistwa czy braku wychowania. Nie musisz być na nogach aż do świtu, żeby się wykazać.

- Masz rację. Wiesz co, Meg?

- Co?

- Czulaś się kiedykolwiek wyciśnięta do cna?

- Wyciśnięta?

- Jak stara szmata do podłogi, którą się wykręca, żeby wycisnąć z niej brudną wodę.

- Chyba się domyślam, o co ci chodzi. Jeśli przyrównujesz się do starej szmaty do podłogi, to brudną wodą po myciu mogą być tylko pracownicy Macadam Associates, z którymi spędziłyśmy cały weekend.



- Kiedy taką ścierkę chowa się do komórki, to przed następnym myciem podłogi wyciąga się ją zeszywniałą, łamliwą i szorstką.

- Jest niedzielny wieczór - oznajmiła poważnym tonem. - I znów pada. Nieźle się napracowałaś się przez te ostatnie dni...

- Nie wiem, czy „nieźle” to odpowiednie słowo. Ja bym powiedziała, że raczej nadaremnie.

- Jesteś zmęczona - ciągnęła. - Powinnaś wracać do domu, do Charliego, wziąć gorącą kąpiel i wyspać się porządnie, bez budzika.

- To prawda.

- Jutro możemy zacząć pracę później. W końcu należy nam się trochę odpoczynku.

- Skoro już nie możemy wypłacić sobie pensji.

- Może już niedługo stanie się to realne. Przecież spisałyśmy się świetnie.

- Czasem mam wrażenie, że jedyną rzeczą świadczącą o dorosłości w naszym prywatnym życiu jest to, że po ślubie zaczynamy się martwić o hipotekę.

- Nie martw się, damy sobie radę - powiedziała Meg.

- Przez cały wieczór byłaś bardzo pewna siebie.

Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

- Przecież to moja rola, prawda? - odparła oschle.

- A co z tobą? - zapytałam.

- Nie rozumiem.

- Widujesz się jeszcze z tym facetem? Z Toddem? Czy też moje zachowanie przeraziło go do tego stopnia, że stracił ochotę, żeby spotykać się nawet z tobą?

- Trudno powiedzieć - odparła, zapatrzona przed siebie.

- Nie widziałaś się...

- Daj spokój. Nie chcę o tym rozmawiać.

- Gdybyś kiedyś zechciała... - Ugryzłam się w język, mając przeczucie, że nie znajdę właściwych słów, żeby wyrazić to, co chciałam powiedzieć.

Każdy ma jakąś swoją historię, tylko nie każdy zdaje sobie sprawę z jej znaczenia i nie każdy potrafi się w nią wpasować.

Powiedzmy, że twoi rodzice uważają cię za osobę kapryśną i nieodpowiedzialną; założmy, że wśród przyjaciół uchodzisz za beztrockiego ekstrawertyka; dajmy na to, w pracy jesteś uznawany za duszę towarzystwa. Tymczasem ty wszędzie czujesz się schwyty w pułapkę jednej z tych wersji samego siebie, a więc ściśle ograniczony, a co gorsza, najczęściej nawet sam nie zdajesz sobie z tego sprawy. Bo wszyscy nawet dla siebie stanowimy zagadki i potrzebujemy innych do wyjaśnienia naszych postaw, do ich urzeczywistnienia, przez co stopniowo upodabniamy się do konkretnej wizji. Zaczynamy grać rolę, którą nam się przypisuje. W komedii. W farsie. I całkowicie zapominamy o pozostałych wcieleniach. Tylko od czasu do czasu zyskujemy okazję, żeby spojrzeć na siebie innym wzrokiem, a więc i ocenić się w innych kategoriach. A wtedy stajemy się częścią całkiem innej historii, bogatszej, bardziej niezwykłej i ciekawszej, pełnej zupełnie nowych znaczeń.

Zarabialiśmy z Meg na życie właśnie w ten sposób, że mocno potrzęsaliśmy ludźmi, by mogli choć na chwilę porzucić odgrywaną rolę i spojrzeć na siebie w odmienny sposób. Ale po spotkaniu oni wracali do swoich domów, a my do swoich, więc co się naprawdę zmieniło? Każdy zamykał się z powrotem w swoim starym, dobrze znanym światku, wcielając się w dawną postać. Niektórzy naprawdę sądzą, że mogą odmienić swoje życie, a zatem i siebie. Zbudować tratwę, żeby przepłynąć na drugi brzeg stawu, przystąpić do gry, w której wymagane jest całkowite rozluźnienie i pojednanie z kolegami, czy też usiąść w kole i mówić szczerze o wszystkim, co się w życiu zrobiło źle, o wszelkich decyzjach, których się żałuje. Po czymś takim będzie można rzeczywiście zacząć od początku.

Oczywiście to samo dotyczy także mnie, tej Holly Krauss, od której nie zdołam uciec, choćbym się nie wiem jak starała. Próbowalam również w ten weekend, może nawet bardziej, niż kiedykolwiek dotąd, starałam się być najbardziej energiczną wśród energicznych, żeby zarażać innych swoim entuzjazmem, więc teraz byłam jak samochód z pustym bakiem albo kredens z pustymi szufladami.

Wracałam myślami do Stuarta, jednego z uczestników spotkania. Miał koło czterdziestki, może trochę więcej, był chudy, tykowany, z długimi, nieco przetłuszczonymi blond włosami i rozciącał wokół siebie aurę dekadencji. Palił cuchnące skręty, które trzymał w kąciku ust, i ani na chwilę nie rozstawał się ze znoszoną skórzaną kurtką. O wszystkim wypowiadał się z nutką cynizmu i obserwował wszelkie poczynania grupy z lekką ironią. Uznałam więc, że jest moim wyzwaniem i muszę go rozbroić. Uczepiłam się go po obiedzie i nie odstępowałam na krok do późnej nocy, kiedy cała reszta poszła już spać i wokół zapadła cisza przerywana jedynie szumem wiatru i szmerem strumienia za ścianą. Dobraliśmy się do butelki szkockiej whisky, którą Richard zostawił nam na stoliku, i po paru kolejkach Stuart powiedział mi o swoich synach.

- Są już prawie dorośli. Odszedłem od ich matki, kiedy mieli dwa i trzy lata. Byłem wtedy beznadziejnie zakochany w innej kobiecie, ale nasz związek nie trwał długo. W każdym razie obaj są już nastolatkami. Aż nie chce mi się wierzyć, że Fergal ma prawie dziewiętnaście lat. Mają dziewczyny, biorą narkotyki, a mnie traktują jak powietrze, jakbym w ogóle nie istniał. Kiedy coś do nich mówię, reagują tak, jakby mnie nie słyszeli.

- Za parę lat to się zmieni - wtrąciłam.

- Możliwe. Niewykluczone. Ale to bardzo dziwne uczucie, gdy nie zwracają na mnie najmniejszej uwagi. Jakbym jeszcze za życia stał się duchem.

Skręcił kolejnego papierosa i wetknął w kącik ust.

- Mogę się założyć, że w ogóle nie znasz tego uczucia - rzekł, po czym przypalił skręta i głęboko zaciągnął się dymem. - Na pewno nikt cię nigdy nie traktował jak powietrze. Zastanawiam się, co ich do tego skłania. Zresztą, ty na moim miejscu nie pozwoliłabyś im na takie traktowanie, prawda? - Zaśmiał się krótko.

- Nie wiem - odparłam. - Na pewno bym próbowała. Podejrzewam, że nawet spodobałoby mi się takie wyzwanie.

Poprosiłam, żeby i dla mnie skręcił papierosa. Zanim uczynił to kilkoma wprawnymi ruchami, nalałam do szklaneczek po małej porcji whisky.

- A co tobie doskwiera?
- Mnie?
- Jak wygląda twoje życie?

Moje życie. Przyszło mi do głowy, żeby przedstawić je w kilku anegdotkach, już wielokrotnie powtarzanych, a tym samym bezpiecznych, na przykład o rozlicznych przedsięwzięciach mojego ojca, z których wiele wydawało mi się kiedyś co najmniej dziwacznym, choć po latach spoglądałam na nie w zupełnie innym świetle. Czyżby więc działała zasada odwrotna i fakty z naszego życia stawały się zabawne dopiero wtedy, gdy opowiadało się je w formie anegdoty? Na przykład to, jak dwa razy wyrzucano mnie ze szkoły, pierwszy raz za niewłaściwe zachowanie, a później za prochy. Albo to, jak próbowałam uciec z domu, mając jedenaście lat, i zabrałam swojego ukochanego psa, który pozwolił mi dojść tylko do pierwszego zakrętu szosy. To było naprawdę zabawne, śmiało mogłam o tym opowiedzieć. Mruknęłam jednak:

- Innym razem. Teraz bardzo chce mi się spać.
- Nie cierpię świadomości, że się starzeję - powiedział.

W głębi duszy jęknęłam z rozpacz. Był już środek nocy, a może raczej wczesne godziny przed świtem, tradycyjna pora na intymne wyznania po kilku głębszych.

- Więc po co o tym myślisz?
- Bo nie sposób od tego uciec, od podręcznikowego syndromu zamykanych drzwi czy blaknących marzeń. Do tego dzieci traktują mnie jak starego piernika. Kiedy byłem w twoim wieku, wszystko wydawało się proste. Wystarczyło dać sobie w gaz i rano człowiek się budził bez wyrzutów sumienia. Teraz każdego ranka czuję się coraz bardziej podle, mogę się jednak założyć, że ty nadal wstajesz świeża jak pierwiosnek.
- Skoro już mowa o rannym wstawaniu...
- Zaczynasz się wówczas zastanawiać, czy na pewno takiego życia pragnęłaś, czy osiągnęłaś wszystko, na czym ci zależało?

- Ile ty masz lat? Czterdzieści? Czterdzieści jeden? Nie za wcześnie na takie...

- Dochodzi jeszcze problem seksu.

- Stuart!

- Sam nie wiem, dlaczego ci o tym mówię. Chyba dlatego, że podświadomie czuję, iż ty mnie nie wyśmiejesz. Nie jesteś taka, jak inni. Bo musisz wiedzieć, że zawsze byłem dobry w łóżku.

Jakby chodziło o rezultaty skoku wzwyż czy umiejętność dodawania w pamięci, przemknęło mi przez myśl.

- Pod tym względem nigdy nie miałem żadnych kłopotów - ciągnął. Nalał sobie jeszcze trochę whisky, wychylił ją jednym haustem i dodał: - Pojawiły się dopiero w ostatnich latach.

- Aha - mruknęłam obojętnie.

- I teraz już nie mogę... no, wiesz... do końca na sobie polegać. Chyba rozumiesz, co mam na myśli.

- Chyba tak.

- To zaklęty krąg. Im bardziej tracę pewność siebie, tym większe mam kłopoty. Kobiety nie znają tego rodzaju uczuć. - Poczzerwiał nagle. - Kiedyś perfekcyjnie nad sobą panowałem. Ale ostatnio... no cóż, kończę bardzo szybko. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Wydalam z siebie nieartykułowany pomruk.

- Pewnie teraz myślisz, że jestem żaloszny.

- Ani trochę. Mam wrażenie, że wielu twoich znajomych przeżywa podobne kłopoty, tyle że nikomu o nich mówią.

- Tak sądzisz?

- Jestem tego pewna.

- Pocięszam się myślą, że w końcu trafię na jakąś kobietę, która pomoże mi przez to przebrnąć. Wydaje mi się, że powinna być szczególnie spokojna i opanowana...

Dobrze, że ja nie pasowałam do tych wyobrażeń.

- ...ale zarazem trochę szalona i bardzo namiętna.

- No cóż... - zaczęłam.

- Nie powinienem był nigdy zdradzać żony, wtedy wszystko byłoby w porządku. A tak zbieram tylko to, co sam zasiałem. To kara

boska, że wystawiam się na pośmiewisko. Czy ty kiedykolwiek zdradziłaś swojego męża?

- Nie. - Zdobrałam się nawet na ton oburzenia, że odważył się zadać takie pytanie, po czym dodałam szybko: - Ale jesteśmy małżeństwem niewiele ponad rok.

- Jak on ma na imię?

- Charlie.

- Więc mam nadzieję, że Charlie zdaje sobie sprawę, jakim jest szczęściarzem.

Meg wysadziła mnie pod domem parę minut po dziewiątej. Nie chciała wejść, bo jak powiedziała, dość się na mnie napatrzyła przez cały weekend, ale w końcu uległa. W tonącym w półmroku saloniku zastałyśmy Charliego ze starym kumplem Samem, oglądających film na DVD. Cmoknęłam go w czubek głowy i pociągnęłam drobny łyk wina z jego kieliszka.

- Cześć - rzucił, wyciągając rękę. - Witaj, Meg.

- Cześć - odparła.

Popatrzyłam z niepokojem na rumieniec rozlewający się po jej policzkach.

- Jak minął weekend?

- Strasznie męczący.

- Macie ochotę się czegoś napić? A może zjeść? Chyba został kawałek pizzy.

- Napijemy się herbaty. Zaraz zaparzę.

- Ja to zrobię. I tak nie mogę się zorientować, o co chodzi w tym filmie.

Zniknął w kuchni, a chwilę później Meg poszła za nim. Słyszałam, jak półgłosem wymieniają jakieś uwagi, potem rozległ się gromki śmiech. Usiadłam na sofie obok Sama i zapatrzyłam się na ekran telewizora.

- Co się dzieje? - zapytałam.

- Skomplikowana historia - odparł. - Ten to płatny zabójca, który zgodził się wykonać ostatnie zlecenie. Jego córka została porwana. Podejrzewamy, że obie sprawy mogą być ze sobą powiązane.

- Zrobiłeś swoje rozliczenia? - zawołałam przez ramię do Charliego.

- Zacząłem - odkrzyknął.

- Wydawało mi się, że termin minął.

Na to nie uzyskałam już odpowiedzi.

Wysłałam do ogrodu, który chwilowo przypominał zaniedbany ugór, lecz mieliśmy już co do niego skonkretyzowane plany. Zamierzaliśmy zrobić przez środek lekko się wijącą, wykładaną kamieniami ścieżkę, po obu jej stronach zasiać trawę, na końcu zasadzić jabłonkę oraz wisienkę - to ambitne zadanie brałam na siebie - natomiast przed kuchennymi drzwiami urządzić nieduże, wysypane żwirem patio, które chciałam zastawić dziesiątkami glinianych doniczek z ozdobnymi krzewami, pachnącymi kwiatami i karłowatymi drzewkami. Już nawet zamówiłam sadzonkę wawrzynu. Oparłam się plecami o ścianę w miejscu, gdzie miała powstać grządka z jaśminem oraz wiciokrzewem, i rozmarzyłam się, jak wspaniale będzie tu zasiać latem w wolnych chwilach, z lampką schłodzonego białego wina w dłoni, i obserwować Charliego krzątającego się przy grillu, który obiecał zbudować.

Teraz jednak na dworze było zimno i ciemno, toteż po paru minutach wróciłam do środka. Kiedy Meg oznajmiła, że musi już jechać, nawet nie próbowałam jej zatrzymać. Wzięłam prysznic. Byłam wykończona, lecz wciąż podekscytowana weekendem, miałam więc nadzieję, że gorąca kąpiel mnie rozluźni i zasnę, gdy tylko położę się do łóżka. Włożyłam piżamę, którą dostałam od Charliego, i jeszcze raz zeszłam do saloniku, ale film okazał się na tyle emocjonujący, wciągający i wymagający uwagi, że rozbudził mnie na nowo. Wróciłam więc na górę i położyłam się z książką, którą czytałam, lecz już po kilku stronach doszłam do wniosku, że nic nie pamiętam i powinnam zacząć lekturę od początku, na to zaś nie mam ochoty. Chciałam się zająć czymś niewymagającym skupienia. Zeszłam jeszcze raz na dół i zajrzałam do pracowni Charliego. Skrzywiłam się mimowolnie.

Jak tylko się dowiedziałam, że jest ilustratorem, miałam wrażenie, że wiem, co to oznacza. Wydawało mi się, że ilustrator jeszcze

nie jest artystą, co dla mnie było pojęciem mało konkretnym, wręcz obcym, ale bardzo kuszącym, pełnym ukrytych znaczeń i zagrożeń. Ilustrator kojarzył mi się z człowiekiem porządniejszym i bardziej określonym od artysty, z wyraźnie zarysowanym charakterem i dużą dozą zdrowego rozsądku, kimś, kto ma zlecenia i terminy, ulubioną tematykę i portfolio gotowych prac. Wyobrażałam sobie, że na okrągło wydzwanają do niego redaktorzy, zamawiając taki czy inny szkic do jutrzejszej gazety, rysunek do następnego numeru tygodnika albo kolorową grafikę na obwolutę książki mającej się ukazać za parę miesięcy. Mógł ponadto ilustrować książki dla dzieci. W każdym razie w wyobraźni widziałam go w słonecznym przewiewnym pokoju, pochylonego nad wielkim stołem, przed szeregiem kubków z mnóstwem starannie zatemperowanych ołówków i kredek. Ta wizja pasowała mi zresztą do Charliego, zamkniętego w sobie marzyciela, poważnego, a zarazem tryskającego humorem, chodzącego z głową w chmurach, ale nadzwyczaj uzdolnionego i potrafiącego się skupić na konkretnym zadaniu. Miał bardzo delikatne i wprawne palce. Potrafił zrobić mnóstwo rzeczy (figurki z drewna, półki na książki, szkatułki, jak też samochodzik dla autystycznego chłopca mieszkającego trzy domy dalej) oraz wiele z nich naprawić (okna, rowery, posklejać tłuczone przeze mnie talerze i kubki, a nawet zreperować automatyczną pralkę).

Nie zdawałam sobie tylko sprawy, że zlecenia dla ilustratora to brudna i nieprzyjemna robota, jak każda inna. Trzeba było łączyć od jednej redakcji do drugiej i pokazywać swoje prace redaktorom, wydawcom i agentom, a po nawiązaniu kontaktu jeszcze umieć go wykorzystać. Musiałam sobie dopiero uprzytomnić, że w głębi umysłu Charliego - nieważne, czy jesteśmy ze sobą w łóżku, czy dokądś razem wychodzimy - bez przerwy tkwi świadomość, że każdego roku następuje potop - ze szkół artystycznych na ulice wypływa istna Niagara młodych, spragnionych pracy, utalentowanych ilustratorów, z których każdy ma teczkę pełną pokazowych prac, niezaspokojone ambicje oraz mnóstwo nowych, świeżych pomysłów.



Byłam gotowa walczyć o niego jak tygrysyca, chciałam zostać jego agentką, jego mężką, strażą przyboczną, ale on był na to zbyt wyluzowany. Pewnie za dużo miał w sobie z artysty. Kochałam to w nim, a zarazem nienawidziłam, z frustracji miałam ochotę zdrapywać pazurami tynk ze ścian. Ale gryzłam się w język, bo był naprawdę fantastycznie uzdolniony, próbowałam to nawet wyjaśniać innym, ale rozumieli to tylko ci, którzy go dobrze znali, którzy podziwiali jego rysunki albo, co ważniejsze, widzieli Charliego przy pracy. Kiedy spoglądał na czysty arkusz papieru, w jego oczach pojawiały się niezwykle błyski, a każdą kreskę czy barwną plamę rysował z godną podziwu wprawą i cudowną prostotą, po czym we wspaniały zaiste sposób łączył je wszystkie w jedną całość i doskonale wiedział, kiedy przestać. Nie zamierzałam być sekutnicą, która stanie mu na drodze dalszej samorealizacji. Naoglądałam się wystarczająco dużo starych filmów. Dlatego nie chciałam być jędzą, która powie: „W porządku, Leonardo, idź malować swoją *Ostatnią wieczerzę*, tylko nie spodziewaj się, że mnie tu jeszcze zastaniesz po powrocie”.

Zawsze powtarzał, że umie pracować tylko po swojemu i tylko wtedy, kiedy jemu to odpowiada. To zaś oznaczało, że w pewne dni nie miał ochoty kiwnąć nawet palcem. Nic nie znaczyły mijające terminy. Byłam wściekła, kiedy to się zdarzało. I nie chodziło tylko o pieniądze, choć Bóg jeden wiedział, jak bardzo były nam potrzebne, szczególnie na spłatę kredytów zaciągniętych przeze mnie i Meg na rozkręcenie firmy. Bardziej dokuczało mi poczucie straty czasu, a tego nie znosiłam, nie cierpiałam do tego stopnia, że popadałam we wściekłość, ilekroć to się zdarzało. Tłumaczyłam sobie, żeby trzymać gębę na kłódkę i nie zrzędzić, bo to tylko pogorszy sytuację. Ale najczęściej nie byłam w stanie się opanować. Przeczytałam kiedyś wybór listów Van Gogha, była to ulubiona książka Charliego, niemalże jego Biblia. Doszłam do wniosku, że malarz potrzebował głównie wiernej kobiety i odrobiny fachowej pomocy lekarskiej. Ale on malował obrazy olejne. I do tego popełnił samobójstwo.

Cała podłoga była usłana papierami. Wśród rozdartych kopert

walały się też nieprzeczytane listy. Na nich leżały pootwierane książki z popękkanymi grzbietami, jedna o czarnych dziurach, druga na temat nowych teorii ewolucji, trzecia antologia słynnych partii szachowych. Wśród nich także listy Van Gogha. Łatwo mogłam sobie wyobrazić weekend Charliego: kubki gorącej herbaty i kawy, krótkie przebieżki po Highgate Woods, trochę telewizji, odrobina lektury książek i gazet, jakieś drobne prace domowe, parę drinków ze znajomymi, kilka godzin w sieci, przygrzana garmażerka na obiad. W którymś momencie zapewne zmusił się do tego, by zająć się rozliczeniami. Na biurku i przy krześle na podłodze walały się pliki dokumentów, częściowo posegregowanych na sterty i porozkładanych w całym pokoju. Jak gdyby stanął oko w oko z czymś przerażającym i błyskawicznie się wycofał. Pewnie wtedy od razu zadzwonił do Sama. W takich chwilach szczególnie potrzebuje przyjaciół, żeby odegnać od siebie wizję tego, co musi zostać zrobione.

Kuchnia wyglądała tak, jakby urzędowali w niej rabusie i wandalę, a skoro mężczyźni nadal byli pochłonięci oglądaniem filmu, zajęłam się porządkami: ścieraniem, zgarnianiem okruchów, odstawianiem naczyń do szafek, a potem ich wyjmowaniem, dokładnym oglądaniem i wkładaniem ponownie do zmywarki. Kiedy Charlie stanął w drzwiach, kończyłam już i czułam się tak, jakbym właśnie zdobyła górski szczyt, a teraz z satysfakcją spoglądała na leżącą u mych stóp, zatopioną w słońcu piękną dolinę.

- Sam bym to zrobił - powiedział.

- Nic się nie stało - odparłam. - Chciałam poustawić rzeczy po swojemu.

- Po swojemu?

- Pościarałam też półki w szafkach. Przy okazji wywaliłam sporo starych gratów. Na przykład maszynkę do lodów, od której zapodział się elektryczny mieszalnik.

- Planowałam zastąpić go czymś innym.

- Czym? Jak? Przecież nie żyjemy w dziewiętnastym wieku.

Już nie ma sklepów z częściami zamiennymi, w których można znaleźć dowolny potrzebny element. Znacznie taniej jest kupić nową

maszynkę do lodów. Oczywiście, gdybyśmy jej potrzebowali. Moim zdaniem to zbędne urządzenie, ani razu nie robiliśmy domowych lodów. Nie robiliśmy też makaronu, więc i tę maszynkę wywalilam. Zresztą była zardzewiała. Prawdę mówiąc, w ogóle nic sobie nie gotujemy, nie licząc tostów czy jajek na bekonie.

- Skąd ty czerpiesz tyle siły? - zapytał. - Po tak wyczerpującym weekendzie? Mogę się założyć, że prawie wcale nie zmrużyłaś oka. Naprawdę nie jesteś zmęczona?

- Wręcz przeciwnie - wyjaśniłam. - Ale prace domowe dobrze mi robią, pozwalają się rozluźnić.

- Wiesz co? Uwielbiam, kiedy kręcisz się po domu w samej piżamie. Czasem jednak żałuję, że ci ją kupilem.

Dobrze wiedziałam, do czego zmierza, udałam jednak naiwną. Bolało mnie całe ciało. Bolała nawet myśl o tym, że ktoś będzie go dotykał.

- Zajrzałam do twojej pracowni... - zaczęłam ostrożnie.

- Tak, wiem - uciął.

- Chodzi mi o twoje zeznanie podatkowe. Miałeś je złożyć w ubiegłym tygodniu, prawda? Czy może nawet jeszcze tydzień wcześniej?

- Uporam się z tym szybko.

- Pozwól, że ci pomogę.

- Nie bądź śmieszna. Już wpół do dwunastej. Jak cię znam, pewnie nie zmrużyłaś oka przez cały weekend. Poza tym masz na głowie sprawę własnej firmy.

- Wcale nie jestem zmęczona, zresztą chcę tylko rzucić okiem na papiery. Chodźmy.

Włożyłam kaptcie oraz szlafrok i zaciągnęłam Charliego do pracowni. Naprawdę wyglądała odstraszająco.

- To jak odbicie wnętrza mojego mózgu - powiedział, uśmiechając się wstydliwie.

- Nie gadaj głupot.

- Sam jutro wypełnię to zeznanie. Obiecuję. Otworzę nawet pozostałą korespondencję. Zwłaszcza te listy zaznaczone czerwonymi ptaszkami.

Westchnęłam głośno.

- Najważniejszą radą, jakiej nam udzielono, gdy otwierałyśmy firmę, było zalecenie utrzymywania kontaktu z ludźmi. Nawet urzędnicy zaczynają się martwić, gdy nie dostają od ciebie odpowiedzi. A to... - szerokim gestem wskazałam odrażającą scenerię - ...przypomina mi sytuację, w której dziecko zasłania rączką oczy i sądzi, że nikt go nie widzi.

Skrzywił się boleśnie.

- Przecież nie chcemy stracić domu, Charlie - dodałam.

- Nie jest jeszcze tak źle - odparł swobodnym tonem. - Zawsze możesz mnie zabić i wziąć pieniądze z ubezpieczenia.

Naszykowałam sobie duży worek na śmieci, już drugi tego wieczoru, otworzyłam notatnik i przystąpiłam do pracy. Po kolei otwierałam listy i segregowałam pisma na podstawie ich ważności. Charlie początkowo protestował, ale w końcu wyciągnął się na starej sofie i zapadł w lekką drzemkę, z której wyrывałam go od czasu do czasu, zadając głośno różne pytania. Koperty, reklamówki i inne śmieci wędrowały prosto do worka. Później uważnie przeczytałam wszystkie pisma i podzieliłam je tematycznie, biorąc również pod uwagę stopień zawartych w nich ostrzeżeń. Charlie chyba w ogóle nie potrafił prowadzić rozliczeń finansowych, sporządziłam więc prowizoryczne zestawienie księgowo, które można było przedstawić nawet kontrolerowi z urzędu skarbowego.

Obudziłam Charliego i pochwaliłam się swoim dziełem, a on zrobił kakao, do którego zjedliśmy moczone w nim herbatniki. Rozbolały mnie nogi, toteż postanowiłam zwolnić tempo. Pieczenie oczu świadczyło wyraźnie, że już niedługo tak pociągnę. Poodkladałam więc na podłogę te pisma, o których można było chwilowo zapomnieć. Wpisywałam kwoty do zestawienia, robiłam notatki, szturchałam w bok Charliego i systematycznie redukowałam zaległą korespondencję, aż zostało mi tylko sześć pism, z którymi koniecznie trzeba było się rozprawić jeszcze dzisiaj. Trzy z nich były zaległymi rachunkami do zapłacenia, trzy pozostałe fakturami za wykonane zlecenia, które Charlie zapomniał wysłać.

Kiedy po raz kolejny zapadł w drzemkę, natknęłam się w dolnej szufladzie biurka na jeszcze jeden list, mocno pomięty, jakby ze

złości zgniótł go w garści, a dopiero po namyśle schował do szuflady. Pismo było krótkie, tylko trzy linijki tekstu, nie licząc podpisu, i pochodziło z wydawnictwa, które odrzuciło propozycję wydania powieści z rysunkami Charliego. Nie miałam nawet pojęcia, że nad nimi pracował. Po cichu zasunęłam szufladę i popatrzyłam na niego. Leżał z głową przekreśloną na bok, miękkie loki opadły mu z czoła na oko, usta miał lekko rozwarte i z gardła dobywało się ciche pochrapywanie. Nawet mi o tym nie powiedział. Schował list, jak gdyby w ogóle nie było żadnej sprawy. Ogarnęła mnie tak silna fala czułości, że aż poczułam dreszcze na plecach.

- Niektóre są naprawdę bardzo dobre - oznajmiłam radośnie, kiedy się obudził, wskazując stosik rysunków, które ułożyłam na biurku, zostawiwszy na boku tylko te przedstawiające mnie w towarzystwie Meg. Wyglądałam na nich jak zasuszony truposz, do tego w sposób typowy dla filmów animowanych budzący skojarzenia z opóźnieniem w rozwoju umysłowym. Poskładałam je kolejno i popychałam w worku na śmieci.

- To nic nieznaczące wprawki - mruknął, przecierając oczy. - Głupie gryzmoły.

Obrzuciłam go podejrzliwym wzrokiem.

- Czyżby nagle przestało cię to bawić?

- Co?

- Rysowanie.

Wzruszył ramionami.

- Praca jak praca.

- To nie tylko praca. Jesteś w tym świetny, masz talent. Boże, gdybym ja była równie utalentowana, jak ty... Do tej pory uwielbiałam rysować.

- Bo nie musiałem się tym zajmować, nie musiałem traktować rysowania jak źródło dochodów. W końcu sama powtarzasz na okrągło, że musimy spłacić kredyt hipoteczny.

- Naprawdę uważasz, że rysowanie stało się dla ciebie zwykłą codzienną harówką?

- Nie czas, żeby o tym dyskutować, Holly. Jest druga w nocy.

- Więc przestań rysować - powiedziałam. - Wcale nie musisz tego robić.

- Do czego zmierzasz?

- Sam wiesz najlepiej, co naprawdę lubisz, co ci sprawia satysfakcję. Robienie i naprawianie różnych rzeczy. Nieraz widziałam ten błogi wyraz na twojej twarzy. Mógłbyś się tym zająć zarobkowo.

- Naprawą rzeczy?

- Owszem. Zapomnij, że jesteś artystą i ilustratorem. Przekwalifikuj się, chociażby na... hydraulika. Ciągłe pisać w gazetach, że hydraulicy mogą żądać dowolnie wysokich stawek, tak duży jest popyt na ich usługi. Moglibyśmy zmienić zapisy w umowie hipotecznej, żebyś rozpoczął własną działalność gospodarczą. Na pewno by ci się spodobало.

- Naprawdę widzisz mnie w tej roli? Miałbym przykręcać kołanka, wymieniać rury i przepychać syfony?

Dotarły do mnie ostrzegawcze tony w jego głosie, ale je zlekceważyłam.

- Na pewno byłoby to lepsze niż siedzenie po całych dniach w domu, gapienie się w sufit w oczekiwaniu natchnienia, użalanie się nad sobą i podświadome zrzucanie całej winy za ten stan na mnie. Zmieńmy to raz a dobrze.

- Więc ty nadal byłabyś w Soho konsultantką, aktywistką, czy jak tam, do cholery, nazywasz to, co robisz, a czym zajmowałby się twój mąż? Och, jest hydraulikiem. Jak się panu zapcha kibel, będzie pan wiedział, do kogo zadzwonić.

- Dlaczego nie, Charlie? Co jest złego w pracy hydraulika?

- Sądziłem, że masz trochę więcej wiary we mnie.

- Oczywiście, że mam.

- Jeśli dobrze pamiętam, uznałaś, że mam przed sobą wspinałą przyszłość.

- Chciałabym tylko, żebyś...

Zadzwonił telefon. Popatrzyliśmy na siebie zdziwieni.

- Kto, do cholery, może do nas dzwonić w środku nocy?

Ogarnęło mnie straszliwe przeczucie. Odwróciłam się, żeby złapać słuchawkę, lecz Charlie stał bliżej aparatu.

- Słucham... Co?... - Rozchmurzył się nagle i zniknęła agresja wyczuwalna w jego głosie. - Nie, może to zabrzmieć niewiarygodnie, ale nie spałem... Tak... Tak, w porządku. Zaraz przyjdę. - Odłożył słuchawkę.

- Co się stało?

- Naomi się przestraszyła. Potrzebuje mojej pomocy.

- O tej porze?

- Zobaczyła światło w naszych oknach.

- O jaką pomoc chodzi?

- Czuje w domu swąd spalenizny i nabrała obaw, że kopci się instalacja elektryczna.

- Nie może zadzwonić po fachowca?

- Przecież zadzwoniła. Do mnie.

- O drugiej w nocy.

- Tak, wiem - syknął ze złością. - W dodatku jestem hydraulikiem, a nie elektrykiem. Ale to nasza sąsiadka. Gdyby u niej wybuchł pożar, ogarnąłby także nasz dom.

- Tylko zaraz wracaj. Nie możemy przerwać w połowie naszej rozmowy.

- Wydawało mi się, że już postanowiłaś - burknął i ruszył do wyjścia. Usłyszałam trzask frontowych drzwi i w naglej ciszy jak gdyby echo jego szybkich kroków.

Siedziałam jeszcze przez jakiś czas, odtwarzając w myślach tę rozmowę i przywołując z pamięci widok jego zaciętej, rozzłoszczonej miny. Później pochowałam poszczególne pliki dokumentów do oddzielnych teczek. Pozbierałam kredki, ołówki, pióra i powkladałam je do szklanego słoja. Pozgarniałam śmieci do plastikowego worka. Powynosiłam wszystkie kubki i popielniczki do kuchni. Przetarłam meble wilgotną ściereczką. Wreszcie usiadłam znowu przy czystym biurku w sprzątniętej pracowni, ułożyłam głowę na rękach i zapadłam w krótki, urywany sen.

Obudziłam się gwałtownie, z uczuciem, że spadłam z krzesła. Byłam zeszywniała i obolała. Spojrzałam na zegarek, dochodziła piąta rano. Podreptałam na górę, ale Charliego nie było w sypialni. Zaparzyłam więc sobie podwójną porcję mocnej kawy, po czym zadzwoniłam do Naomi.

- Naomi? Tu Holly.  
- Och, Holly! Boże, przepraszam, że zepsułam wam całą noc. Charlie mnie uratował. Kopciła się instalacja, druty były już odsłonięte i straszliwie rozgrzane. Na razie zaizolował je tylko prowizorycznie, ale musiał odkręcić tę blaszaną skrzynkę na ścianie i podłączać...

- To mi wystarczy - pospiesznie wpadłam jej w słowo. - Zaparzyłam nam wszystkim kawy. Możecie tu przyjść, to się napijemy.

- Podziwiam twoją wytrzymałość. Ja muszę się położyć do łóżka, nie mogę pić kawy, bo wtedy już na pewno bym nie usnęła.

Dziesięć minut później wrócił Charlie. Wyglądał na zmieszanego i rozkojarzonego, ale zaciągnęłam go do pracowni. Aż zmarszczył brwi na widok panującego tam ładu i porządku. Pokój wydawał się wręcz pusty.

- Trzymaj - powiedziałam, wręczając mu przygotowaną listę. Popatrzył na nią ze zdziwieniem. - Zapisałam ci wszystko po kolei. Nic prostszego. Musisz przeprowadzić cztery rozmowy telefoniczne, jedną po drugiej, zaczynając punktualnie o dziesiątej. Potem musisz napisać trzy listy. Przygotowałam ci je w zarysie. Sytuacja wcale nie jest taka zła, jak można by sądzić. Na końcu wyślij te trzy zaległe faktury. Bez tego nigdy nie dostaniesz od zleceniodawców żadnych pieniędzy.

Spojrzał jeszcze raz na listę i podniósł wzrok na mnie.

- Jak tego wszystkiego dokonałaś? - zapytał.

- Gdy ja się do czegoś zabieram, nie popuszczę, dopóki nie skończę.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Przepraszam za tę wcześniejszą rozmowę - dodałam.

- Nie ma za co. To ja powinienem przepraszać.

Objęłam go w pole.

- Zatem między nami wszystko w porządku, prawda?

- Chciałbym wziąć prysznic - rzekł. - Potem moglibyśmy jeszcze spróbować się trochę przespać.



- Już za późno, żeby kłaść się do łóżka. - Udałam, że nie zwróciłam uwagi na brak odpowiedzi na moje pytanie. - Lepiej zrobmy sobie coś na śniadanie. Moglibyśmy też pójść na spacer, zanim wyruszę do pracy.

- Naprawdę nie jesteś skonana?

- Ludzie przywiązują zbyt dużą wagę do snu - odparłam. - Jest tak wiele interesujących... - Słowa uwięzły mi nagle w gardle, jakbym usiłowała przełknąć kłęb waty. - ...innych rzeczy. Wiesz, co mam na myśli?

- Nie zgadłbym nawet, gdybym wiedział - mruknął. - Jesteś niezwykle zagadkowa.

- To miał być komplement? - zapytałam, ale i na to nie uzyskałam odpowiedzi.

## 8

Podczas spaceru łatwiej się myśli, zresztą nie myśleć o niczym też jest łatwiej. Wystarczy przebierać nogami, stawiać kolejno stopy na chodniku i cieszyć się świeżym powietrzem. Widzi się wtedy różne rzeczy, wcale na nie nie patrząc, i słyszy się różne rzeczy, tyle że nie ma to żadnego znaczenia.

Tego ranka przeszłam całą drogę do pracy na piechotę, z Archway do Soho, około dziesięciu kilometrów po zatłoczonych ulicach, przez rozkołysany most, który pokonałam ze wzrokiem wbitym pod nogi, i dalej w dół, Kentish Town Road i Camden High Street. W małej kawiarence wypiłam filiżankę pysznej kawy, wypaliłam smrodliwego papierosa, którego wycygałam od jakiejś kobiety, i wysłuchałam poufnej rozmowy dwóch nastolatków o tym, jak trudno się prawidłowo całować, kiedy nosi się aparat ortodontyczny. Poszłam dalej Hampstead Road do Tottenham Court Road, aż znalazłam się zaledwie o rzut kamieniem od naszego biura. Spojrzałam na zegarek. Cała droga zajęła mi nieco ponad półtorej godziny, wliczając w to niezbyt długi pobyt w kawiarni. Doszłam do wniosku, że to nawet nie jest dziesięć kilometrów, a może szłam

bardzo szybko. Bo lekko piekły mnie rozgrzane policzki, a włosy lepiły się do spoconego czoła.

W cukierni Luigiego kupiłam drożdżówkę z makiem i zjadłam, oparta plecami o ścianę przed wejściem do biura, żeby trochę ochłonąć. Kończyłam już, gdy z ulicy skręciła w moim kierunku jakaś dziewczyna na łyżworolkach, która uśmiechnęła się szeroko na mój widok. Przyszło mi do głowy, że i ja powinnam sobie kupić łyżworolki. Mogłabym wtedy codziennie przyjeżdżać na nich do pracy. Na pewno szybko bym się nauczyła.

- Cześć!
- Meg? Nie poznałam cię. Błądziłam myślami w chmurach.
- Wypałaś się?
- Pewnie.
- Ja padłam do łóżka jeszcze przed dziesiątą, a wstałam dopiero o ósmej. Co za rozkosz.

- Zmieniłaś się. Coś ty ze sobą zrobiła?
- Nic.
- Musiałaś coś zrobić. Masz całkiem inne włosy.

Zaczerwieniła się i uniosła rękę do głowy.

- Kupiłam ostatnio reklamowany płyn do prostowania włosów i gdy wstałam dzisiaj rano, postanowiłam go wypróbować. Spojrzałam w lusterko i zobaczyłam tę samą twarz, co zawsze, z tą samą skołtunioną strzechą... - Zawiesiła na chwilę głos i zapytała z obawą: - Naprawdę wyglądają okropnie?

- Nic podobnego. Wcale nie masz na głowie skołtunionej szopy, tylko piękne loki. Urocze. Sama chciałabym takie mieć.

- Nie zalewaj, na pewno byś nie chciała. - Spoważniała nagle, zagryzła wargi i popatrzyła na mnie spod przymrużonych powiek, jakby spoglądała na kogoś innego. Podobnie patrzył na mnie w nocy Charlie, kiedy mu powiedziałam, że mógłby być hydraulikiem. Meg jednak uśmiechnęła się zaraz i dodała: - Ważne, że chwilowo coś się zmieniło. I tak poskręcają się, jak tylko złapią trochę wiatru. Ale zmieniając temat... - Znowu umilkła.

- O co chodzi?
  - Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić.
  - Śmiało. Teraz już nie masz wyjścia.
  - Ktoś do mnie dzwonił. Jakiś facet. Nie przedstawił się, tylko powiedział, że zna ciebie i że czekają cię poważne kłopoty. Oznajmił zagadkowo, że trzeba zebrać to, co się zasiało. Brzmiało to groźnie.
  - Przypadkiem nie trzymał w ręku kosy?
  - Holly! - syknęła z naganą w głosie.
- Nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

W naszym biurze są trzy ubikacje. Dziewięć po dwunastej weszłam do największej z nich, zwinęłam płaszcz w ciasny walek i ułożyłam go na opuszczonej desce toalety. Następnie zdjęłam buty, usiadłam na podłodze, opuściłam głowę, wtulając policzek w miłą i ciepłą podszewkę płaszcza, i zamknęłam oczy.

W sąsiedniej kabince ktoś spuścił wodę. Błyskawicznie otworzyłam oczy i spojrzałam na zegarek. Kwadrans po dwunastej. Denerwujący szum w mojej głowie całkiem ucichł, wstałam więc, włożyłam buty, podniosłam płaszcz i wyszłam z toalety. Umyłam ręce i twarz, uczesałam włosy, przeglądając się w niewielkim lustrze, po czym wmaszerowałam z powrotem do biura.

- Przyszedł list od adwokata Debory, w którym straszy zakazaniem naszej bezpodstawnej decyzji o zwolnieniu jej z pracy - powiedziała Meg, jak tylko usiadłam naprzeciwko niej.
- Szykują się kłopoty?
- Poprosiłam już Chrisa, żeby wpadł po południu. Omówimy z nim tę sprawę.
- Jeśli przyczyniłam się do zrujnowania naszej firmy, z góry przepraszam.
- Poza tym ktoś jedzie na górę, żeby się z tobą zobaczyć.
- Kto? - spytałam, gorączkowo przewracając kartki terminarza.
- Nie przedstawił się. Powiedział tylko, że chce się widzieć z Holly Krauss. Wyszłam z założenia...

- Mniejsza z tym.

Myliłam się jednak. Szeroki uśmiech ani na moment nie zniknął z twarzy Reesa przemierzającego całą długość sali. Po raz kolejny na jego widok poczułam zwykle obrzydzenie.

- Cześć, Holly.

Czułam na sobie świdrujące spojrzenia co najmniej kilku par oczu.

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia - odparłam lodowato.

- Bądź uprzejmy stąd wyjść.

- Prawdę mówiąc, nawet nie przyszedłem do ciebie. Miałem trochę wolnego czasu, więc postanowiłem zobaczyć, gdzie pracujesz. Chciałem lepiej poznać twój styl życia i w ogóle. A ty pewnie jesteś Meg?

- Zgadza się. Czym mogę służyć?

- Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem przez telefon. Nie pamiętasz?

- W takim razie uważam, że Holly ma całkowitą rację i powinien pan natychmiast stąd wyjść - odparła kurtuazyjnie. - Czy mam wezwać policję?

- Są tu same baby, co nie?

Meg podniosła słuchawkę telefonu.

- Nie rób sobie kłopotu - rzucił. - Już wychodzę. - Spojrzał na mnie, po czym błyskawicznym gestem ścisnął mnie dwoma palcami za policzek, aż zabolalo. - Będę czekał na telefon od ciebie, Holly. Tylko nie zwlekaj. Bo ja na pewno nie odpuszczę.

Liczby i daty w magiczny sposób wyświetliły się w odpowiednich rubrykach na ekranie komputera. Jak to zrobiłam? Wyczuwałam jednak, że nawet to nie odstraszy Meg.

- O co chodzi?

- Ten facet jest niebezpieczny.

- Nie sądzę. To tylko zwyczajny świrus.

- Bagatelizujesz sprawę.

- Nieprawda.

- Mówiłaś o nim Charliemu?

- Znasz to uczucie, że maszyna pracuje, jak należy, wszystkie ośki i trybiki kręcą się we właściwą stronę, gładko i po cichu, są dobrze naoliwione, jakby miały tak samo gładko pracować aż do końca świata? Aż tu nagle pojawia się Rees, który jest jak zapasowa śruba rzucona między trybiki tej idealnie pracującej maszyny, a ty świetnie zdajesz sobie sprawę, że jeśli nie pozbędziesz się go jak najszybciej, rozlegnie się przerażający zgrzyt, iskry posypią ci się prosto w twarz, po czym wszystko stanie z trzaskiem, hukiem i dudnieniem. Znasz to uczucie?

- A więc nie rozmawiałaś z Charliem.

- Nie. I nie zamierzam... No co? Chyba nie myślisz poważnie, że jednak powinnam to zrobić?

Meg wpatrywała się we mnie, ale tym razem nie mogłam niczego wyczytać z jej miny. Po chwili odwróciła głowę, zabębniła palcami po biurku i powiedziała bardzo cicho, ledwie słyszalnie:

- Czasami lepiej jest stawiać wszystkie sprawy otwarcie.

- Ale tylko czasami - odparłam. - Kiedy indziej jest zupełnie inaczej.

- Holly... - Zawiesiła głos.

- Tak?

- Nieważne. Przynajmniej powinnaś zawiadomić policję.

- Wykluczone.

- Więc zamierzasz go ignorować w nadziei, że wszystko rozejdzie się po kościach?

Zamyśliłam się na chwilę.

- Nie ma takiej sprawy, która nie rozeszłaby się po kościach, jeśli się ją wystarczająco długo będzie ignorować.

## 9

Niekiedy boję się położyć spać, bo za bardzo kojarzy mi się to ze śmiercią. I tego wieczoru zabrakło mi odwagi, choć świetnie wiedziałam, że będę oglupiona ze zmęczenia. Dłubałam widelcem w potrawach, które Charlie zamówił z baru na wynos, i gadałam jak

najęta, chcąc uniknąć z jego strony jakichkolwiek pytań. Ilekroć na sekundę zapadała przerażająca cisza, gorliwie zapelniałam ją słowotokiem. Potem obejrzeliśmy dziennik telewizyjny, a po nim teleturniej. Po każdym pytaniu wykrzykiwałam błędne odpowiedzi. W końcu Charlie zgasił telewizor, mówiąc, że jest zmęczony i ma ochotę iść do łóżka.

- Zaraz przyjdę - odparłam. - Potrzebuję jeszcze minutkę.

Zrobiłam sobie kubek herbaty z nadzieją, że dzięki niej się uspokoję, ale smakowała jakoś dziwnie, niczym zapleśniałe siano. Włączyłam jeszcze raz telewizor i zaczęłam przerzucać kanały w poszukiwaniu czegoś, co dałoby się oglądać. Nie byłam w stanie skupić się na niczym dłużej niż przez parę minut. Z ekranu spoglądały na mnie twarze ludzi, różne słowa wpadały do uszu, lecz to wszystko nie trzymało się kupy. O wpół do drugiej w końcu powlokłam się na górę, ale otwierając drzwi sypialni, uraziłam sobie palec u nogi i aż jęknęłam z bólu.

Charlie otworzył do połowy prawe oko.

- Holly? - wymamrotał.

Zaczekałam, aż znów zaśnie, i zapaliłam nocną lampkę. Lubię czytać wiersze, kiedy nie mogę spać. Wiersze i przepisy kulinarne. W ogóle nie umiem gotować, ale kiedyś będę musiała, więc chcę być przygotowana, mieć w głowie pełno smakowitych przepisów, jak choćby ten na wędzonego łupacza i placek z omułkami.

Uświadomiłam sobie, że jestem głodna, toteż zwlokłam się z łóżka, podreptałam na dół i zajrzałam do lodówki. Mamy olbrzymią lodówkę, o wiele za dużą dla dwóch osób, a na dodatek rzadko w niej coś jest, nie licząc kawy, piwa, masła i małych buteleczek pitnego jogurtu, który Charlie wciąż kupuje, a mnie przypomina on rzadki budyń doprawiony sztucznym słodzikiem. Dziś wyjątkowo znalazłam słoiczek marynowanych anchois, których nigdy wcześniej nie widziałam. Ostrożnie zjadłam pół filecika, ale jakoś mi nie pasował na nocną przekąskę. Był zdecydowanie za słony. Przywiódł mi na myśl morskie fale rozbijające się o porośnięte glonami skały i

mężczyzn z poobcieranymi knykciami, ciągnących sieci pełne ko-  
tujących się srebrzystych rybek.

Wróciłam do łóżka zmarznięta i zeszywniała i przytuliłam się  
do rozgrzanego Charliego, próbując obliczyć, ileż to w sumie godzin  
udało mi się przespać w ubiegłym tygodniu, ale nawet najprostsze  
rachunki sprawiały mi olbrzymie kłopoty. Ciągłe się myliłam. W  
końcu objęłam mojego ukochanego, ciepłego, solidnego, miłego i  
ufnego męża i wtuliłam wargi w jego kark.

- Od teraz będę już bardzo grzeczna - obiecałam jego miękkiej  
skórze. - Będę nadzwyczaj grzeczna. Zmienię się nie do poznania.  
Będę zupełnie inną kobietą.

Wstał szarawy świt. Gwałtownie otworzyłam oczy. Od razu  
przypomniałam sobie, że nie przygotowałam informacji o termina-  
rach szkoleń, o które prosiła Trish, a gdzieś w środku nocy oślśniło  
mnie także, że obiecałam przynieść stary koc bezdomnej kobiecie  
siadającej na chodniku u wyjścia ze stacji metra pod naszym biu-  
rem. Ubrałam się szybko, włożyłam skórzane spodnie, gdyż miałam  
wystąpić przed grupą poważnych mężczyzn w garniturach, i zbie-  
głam na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz. Nastawiłam wodę  
w czajniku i włączyłam komputer.

O siódmej obudziłam Charliego zapachem świeżo zaparzonej  
kawy i zaczęłam przetrząsać kuchenne szafki w poszukiwaniu płat-  
ków śniadaniowych. Nie cierpię ich, kojarzą mi się w smaku z  
omszałym, przesłodzonym kartonem. Toteż pogrzebałam w nich  
tylko trochę łyżką i prawie całą porcję z miseczki wysypałam do  
śmieci. Charlie utkwił nos w gazecie, już na pierwszej stronie. Nie  
ogolił się tego ranka.

- Dobrze spałeś? - zapytałam.

Mruknął coś nieartykułowanego.

- Ja nie. Znowu mnie dopadła bezsenność.

Ze zmarszczonymi brwiami pochyliłam się i zajrzałam na ostat-  
nią stronę gazety.

„Przypominają żmije na głowie”. Na pięć liter. Dredy! Oczywi-  
ście! Czyż nie jestem genialna? A następne hasło? „Sława, która

pojawia się nocą”. VIP. Nie. Gwiazda. Gwiazda! W porządku, następne aż na trzynaście liter. „Czujny gość, który nigdy nie wywiązuje się z dziennych obowiązków”.

Charlie złożył gazetę, zabierając mi krzyżówkę sprzed oczu.

Meg zadzwoniła, jak tylko weszłam do biura, i zapytała chrapliwym głosem:

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, Holly, że wezmę dzień wolny? Okropnie się czuję.

- Nie ma sprawy - odparłam. - Kładź się do łóżka i zabierz ze sobą termofor. Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

- To pewnie tylko zwykły katar, który złapałam z powodu przemęczenia. Nie potrafię się tak trzymać, jak ty. Będę jutro. Jedyny kłopot polega na tym, że miałam dziś po południu obejrzeć to miejsce w pobliżu Bedford. Sądzę jednak, że to może zaczekać. Chyba nic wielkiego się nie stanie.

Przystąpiłam do gorączkowych kalkulacji. Późnym przedpołudniem miałam spotkanie z grupą menedżerów i konsultantów, lecz nie powinno trwać za długo. A rozmowę ze specjalistami od sieci komputerowych można było przełożyć.

- Ja się tym zajmę - powiedziałam.

- Na pewno dasz radę? Nie chciałabym ci zwałać dodatkowych obowiązków na głowę. Ostatnio i tak masz za dużo pracy.

- Na pewno dam radę. Wszystko będzie w porządku. Nie ma sprawy. Zostaw to mnie.

Kilka lat temu, kiedy mieszkałam sama - chociaż nie byłam jeszcze starą panną, bo miałam dopiero dwadzieścia cztery lata - mnóstwo przyjaciół zapraszało mnie do siebie, bo akurat natknęli się na kogoś, kto ich zdaniem powinien mi się spodobać. Zazwyczaj niewiele z tych spotkań wynikało. Nie nadaję się do realizacji czyichś planów. I uważam, że nie ma co ciągle poszukiwać sensu życia. Sądzę, że najważniejsze rzeczy przytrafiają się nam na marginesie zwykłych wydarzeń, kiedy jesteśmy zajęci czymś innym. Toteż ilekroć słyszałam, że X jest dokładnie w moim typie, przede wszystkim



czułam się po prostu urażona, że ktoś rości sobie prawo decydowania o moim guście. Stąd też mogłam spędzić cały wieczór na ożywionej dyskusji z mężatką siedzącą przy stole naprzeciwko mnie, całkowicie ignorując prawdopodobnie bardzo sympatycznego chłopaka, którego gospodarze celowo posadzili u mojego boku. Co gorsza, przy wielu okazjach przyjaciele starali się załatwić to samo bardziej subtelnie, w czym orientowałam się dopiero po paru tygodniach. Byłam jak ryba, która nie chce połknąć przynęty, bo nawet nie zdaje sobie sprawy, że w pobliżu jest coś do połknięcia. Zdarzało się, że zamierałam z filiżanką kawy przy ustach, powtarzając sobie w myślach, że w końcu spotkaliśmy się tylko na kawie.

Ale bywało też odwrotnie. Kiedyś byłam na kolacji z kolegą, którego słabo znałam, oraz trójką albo czwórką ludzi, których widziałam po raz pierwszy. A był to jeden z moich dni, takich, kiedy wszystko człowiekowi pasuje, świat wydaje się radośniejszy niż zwykle, a myśli wędrują ze zdwojoną szybkością. Obok mnie siedział oszalamiający mężczyzna. Wydawał się tak doskonały pod każdym względem, jakby był gwiazdorem pornosów. Wysoki, wspaniale opalony, a do tego miał niesamowitą pracę, polegającą między innymi na organizowaniu jachtowych rejsów dookoła świata. Nic dziwnego, że zapamiętałam nawet jego imię: Glenn. Błyskawicznie postanowiłam rozkochać go w sobie, żeby wszystkie wieczory wyglądały jak ten, bez reszty pograżyłam się więc w marzeniach. Wydawało mi się, że myślę dwa razy szybciej niż pozostali, bo w dyskusjach zawsze byłam o krok do przodu. Czuję się jak aktor w czasie głośnej premiery, który po prostu wie, wyczuwa szóstym zmysłem choćby po niezwyklej ciszy, jaki zaraz wybuchnie śmiech czy rozlegną się gromkie brawa, toteż ma pełną świadomość swojej władzy nad widownią. Kiedy wyszłam na ulicę, byłam przeświadczona, że spędziłam najprzyjemniejszy wieczór w całym swoim dotychczasowym życiu. Byłam po prostu szczęśliwa i w dodatku świadoma tego, co jeszcze bardziej mnie uszczęśliwiała.

Dopiero w drodze powrotnej do domu uświadomiłam sobie, że nie mam numeru telefonu Glenna, ani on mojego, zlekceważyłam to jednak. W końcu nie musiał wędrować po całym Londynie z lupą, żeby mnie odnaleźć. Z łatwością mógł zdobyć mój numer od naszych wspólnych przyjaciół, więc za parę lat na pewno będziemy się śmiać, żartując, że na pierwszą randkę umówiliśmy się tak, jak bohaterowie filmowego romansu. Poza tym spędziliśmy tak wspaniały wieczór, że nie wątpiłam, iż wkrótce znowu zobaczymy się w tym samym gronie, choć tkwiło we mnie głębokie przekonanie, że nigdy nie należy powtarzać najlepszych życiowych doświadczeń. Wysłałam Annie kartkę pocztową z serdecznymi podziękowaniami za wspaniały wieczór, zawierającą niedwuznaczne odniesienia do Glenna, ale nie doczekałam się odpowiedzi. Nie dała nawet znaku życia. Podobnie jak on. Mniej więcej rok później natknęłam się na nią na jakimś przyjęciu. Wspomniałam tamtą kolację, lecz ona zbyła tę uwagę ogólnikami. A kiedy zapytałam o Glenna, błyskawicznie odwróciła głowę i bąknęła, że od dawna nie miała z nim kontaktu. Była niesympatyczna, bez przerwy zerkała ponad moim ramieniem i uwolniła się od mojego towarzystwa pod byle pretekstem.

Zaczęłam raz za razem odtwarzać w pamięci tamten wieczór, usiłując spojrzeć nań z innej perspektywy. Czyżbym sama się okłamywała? Może byłam zanadto hałaśliwa i natrętna, podczas gdy uważałam się za duszę towarzystwa? Ale mimo usilnych starań nie mogłam sobie przypomnieć żadnych szczególnych reakcji innych ludzi. Przyszło mi więc do głowy, że może w tym właśnie tkwił problem, może po prostu nie dopuszczałam nikogo innego do głosu.

Nie byłam jednak przekonana, że to wyłącznie moja wada i że tylko ja w podobnych chwilach dostrzegam wyraźną rozbieżność między własnymi odczuciami a nastrojem otaczających mnie ludzi. Wydawało mi się, że jestem na najlepszej drodze do tego, by rozkochać w sobie Glenna bez pamięci, tymczasem on jak gdyby rozplynął się w obłoku kurzu. A teraz pojawił się nachalny Rees. Wystarczyła jedna przypadkowa, całkowicie pozbawiona znaczenia i raczej odpychająca przygoda łóżkowa, a on już wbił sobie do głowy, że jest

coś, co nas łączy. Nie potrafiłam rozsądzić, czy tak bardzo mnie kocha, czy też nienawidzi, niemniej jedno zdawało mi się gorsze od drugiego. A wszystko przez te sprzeczności. Gdyby tylko świat umiał się dopasowywać do naszych wyobrażeń... I gdyby nasze wyobrażenia szły w parze z wyobrażeniami innych.

Ale nic do siebie nie pasowało. Kiedy człowiek ma na głowie słuchawki, wydaje mu się, że mówi normalnym tonem, i nie wie, czemu inni się krzywią. Nasza sytuacja była podobna. Dobrze wiedziałam, że sprawy wymknęły mi się spod kontroli, i to nie tylko w życiu, lecz także w moich wyobrażeniach. W mojej głowie trwała istna burza, najbardziej pragnęłam pozamykać wszystkie luki, postawić żagle i dać się ponieść wiatrowi, jak Glenn podczas rejsu dookoła świata. W czasie tamtej, niemal już legendarnej kolacji, zapytałam go, jaką siłę miał najpotężniejszy sztorm, który przeżył na morzu, ale jego odpowiedzi nie mogłam sobie teraz przypomnieć. Miałam uzasadnione podejrzenia, że nawet nie dałam mu szansy odpowiedzieć na to pytanie.

Tak to już bywa w życiu. Kiedy chcesz, żeby wszystko wypadło jak najlepiej, dochodzi do istnej katastrofy. A kiedy jest ci wszystko jedno, stajesz się obiektem powszechnego uwielbienia. Tak było wówczas, gdy wygłaszałam mowę do biznesmenów. Miałam wtedy za dużo spraw na głowie, toteż moje wystąpienie zostało odebrane bardzo dobrze. Ani razu nie zajrzałam do notatek. Po prostu stanęłam na mównicy i zrobiłam, co do mnie należało. Organizator spotkania aż nie chciał mnie wypuścić. Omawiał szczegółowo to, co powiedziałam, dopytywał się o strategię i poprosił, bym zechciała odwiedzić ich siedzibę i ocenić zespół przy pracy. Zapowiadało się kolejne zlecenie. Pędem wróciłam do biura, zorganizowałam krótką naradę z Trish, zanim Lola załatwiła mi samochód z wypożyczalni, wypiliśmy podwójne espresso, po czym wskoczyłam do auta pachnącego nową skórzaną tapicerką i sosnowym płynem do mycia. Jak zwykle bardzo długo trwało, zanim wydostałam się z Londynu. Pomyślałam, że przypominam osobę dojeżdżającą do pracy, choć

nie mam przecież domu poza miastem. Lawirowałam między pojazdami wlokącymi się po wszystkich pasach, z wyciem silnika startowałam na skrzyżowaniach, gdy zapalało się zielone światło, i z coraz większą nerwowością zerkałam na zegar w desce rozdzielczej. Bardzo mi zależało, aby dojechać na miejsce o czasie, chociaż w pełni zdawałam sobie sprawę, że nie ma to wielkiego znaczenia.

Spod kolejnych świateł ruszyłam z takim impetem, że zostawiłam za sobą chmurę dymu z palonych opon. Kierowca, który stał za mną, wściekle zatrąbił, po czym dogonił mnie i zatrzymał się na sąsiednim pasie przed następnym skrzyżowaniem. Zaczął coś wykrzykiwać, ale nie mogłam go usłyszeć przez zamknięte okna, więc dla podkreślenia swych słów pokazał mi pięść ze środkowym palcem wyprostowanym ku górze. Siedząca obok niego kobieta również coś wykrzykiwała. Popatrzyłam na jej twarz wykrzywioną z wściekłości, przypominającą bazyliuszka. Pokręciłam palcem wskazującym na wysokości skroni i wyraźnie samym ruchem warg odpowiedziałam im bezgłośnie: ŚWIRY. Jeszcze bardziej się skrzywili. Zapaliło się zielone światło, więc pojechałam dalej, wykorzystując to, że droga na wprost była pusta.

Po jakimś czasie czerwony ford escort wyprzedził mnie z rykiem silnika i gwałtownie zahamował, zmuszając mnie do zatrzymania. Mężczyzna wyskoczył zza kierownicy i ruszył truchtem w moją stronę niczym wielki spasiony kogut. Otworzyłam drzwi i wysiadłam mu naprzeciw.

- O co chodzi?

- Ty pizdo! - syknął. - Co ty wyprawiasz, do kurwy nędzy?!

Zbliżył się jeszcze o krok. Spojrzałam na swoją lewą rękę, która niemalże sama z siebie uniosła mi się do twarzy. Skonstatowałam, że mam już za długie paznokcie. Musiałam zapamiętać, by je obciąć dziś wieczorem. Palce także same zacisnęły mi się w pięść. Ujrzałam nieco pobielale knykie i błyszczącą ślubną obrączkę. A potem przeniosłam wzrok na jego wykrzywione z wściekłości usta. Trafiłam w nie bez pudła, prosto w grube mięsiste wargi, wkładając w

ten cios całą siłą czającą się w moim ramieniu, żeby z powrotem wpechnąć mu pogardliwe słowa do gardła.

Złożył się wpół i nogi się pod nim ugięły. Klęcząc na asfalcie, wyglądał, jakby się modlił albo zamierzał błagać o litość.

- Nocny stróż - syknęłam. - Takie hasło było w dzisiejszej porannej krzyżówce. Na pewno.

Odstąpiłam na krok, bo z przodu wszczął się jakiś ruch. Kobieta również wyskoczyła z samochodu i rozłożywszy szeroko ręce w histerycznym geście, podbiegła do mężczyzny. Ten uniósł głowę i popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem, z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, ustami rozdziawionymi ze zdumienia i strumieniem krwi ściekającym z rozciętej wargi. Cofnęłam się jeszcze trochę, a gdy oparłam się pośladkiem o górną część błotnika, a on zaczął z trudem wstawać z szosy, odwróciłam się, wskoczyłam do auta i pospiesznie odjechałam. Dotarłam na miejsce w umówionej porze.

Poszliśmy z Charliem do kina w towarzystwie Sama i Luke'a, kuzynów Meg. Ona także miała iść, mówiąc, że czuje się lepiej, ale w ostatniej chwili wymówiła się bez podania przyczyn. Po filmie poszliśmy we czwórkę na kolację do hinduskiej restauracji, ja jednak tylko udawałam zainteresowanie posiłkiem, przesuwając widelcem po talerzu czerwonawe, ociekające tłuszczem kawałki mięsa i formowałam w regularne piramidki przyrządzone z żółtego ryżu. Miałam wrażenie, że szybko chudnę. Rano stanęłam na wadze, ale ta była wyskalowana w kilogramach. Podjęłam desperacką próbę przeliczenia wyniku na coś bardziej zrozumiałego, pomnożyłam go przez dwa z kawałkiem, a później usiłowałam podzielić w myślach przez czternaście, lecz uzyskiwałam idiotyczne rezultaty w zakresie od trzech do dwudziestu siedmiu kamieni\* Kamień (stone) - dawna angielska jednostka wagi równa 6,35 kg (przyp. tłum.), za każdym razem

dochodząc do wniosku, że musiałam się pomylić w obliczeniach. Ale jednocześnie przyszło mi do głowy, że albo całkiem znikam, stając się w końcu niewidzialną, albo wypełniam sobą cały otaczający mnie świat, w którym w ogóle nie zostanie miejsca dla nikogo innego.

W pewnej chwili Charlie pochylił się nad stolikiem i wziął mnie za rękę. Zamrugalam szybko i dopiero wtedy zauważyłam z pewnym zaciekawieniem szeroką smugę siniaka obejmującego knykcie mojej dłoni. Zmieszałam się, nim zdążyłam sobie przypomnieć, że wcześniej dałam facetowi w zęby. I jakby na zawołanie w stłuczonej ręce odezwał się ból.

- Powinieneś zobaczyć minę tamtego faceta - powiedziałam i wszyscy zaczęliśmy się śmiać, ja zdecydowanie głośniejszym od nich.

Wróciliśmy koło wpół do jedenastej. Sam i Luke wstąpili jeszcze na kawę, a po paru minutach rozległ się dzwonek do drzwi. Naomi stała na progu, ściskając pod pachą jakiś pakunek.

- Parę godzin temu, jak was nie było, kurier dostarczył paczkę - powiedziała. - Musiałam pokwitować jej odbiór, bo nie mieściła się w waszej szczelinie na listy. Pomyślałam, że to może być coś ważnego...

- Dzięki - rzuciłam, biorąc od niej przesyłkę.

- Wszystko w porządku? Nie najlepiej wyglądasz, Holly.

- Jestem po prostu zmęczona. Prawdę mówiąc, do reszty wykończona. Może wejdiesz na chwilę?

- Nie chciałabym przeszkadzać...

- Im nas więcej, tym raźniej - bąknęłam, po czym wprowadziłam ją do salonu i usadowiłam między Samem i Charliem, tworząc na oko całkiem zgrabną gromadkę, niczym stadko puszystych kociąt.

- Nie otworzysz tej przesyłki? - zapytał Luke.

Koperta była grubo oklejona szeroką szarą taśmą samoprzylepną, która trzymała piekielnie mocno, toteż w trakcie walki z nią zakulałam się ostrymi nożyczkami w palec i syknęłam głośno.

- Nie cierpię tego dziadostwa - mruknęłam. - Powinno być całkiem wycofane z użycia, podobnie jak cienka folia spożywcza.

- Pozwól, ja się tym zajmę - rzekł Charlie. Wziął ode mnie kopertę, rozciął ją jednym pewnym ruchem, wetknął rękę do środka i zapytał: - Co ci się nie podoba w folii spożywczej?

- Jest... - zaczęłam, lecz urwałam w pół zdania.

- Jaka? - zaciekawiał się mój mąż.

Ale ja nie mogłam oderwać wzroku od zmiętego czarnego przedmiotu, który wyjął ze środka. Czułam, jak krople potu błyskawicznie występują mi na czoło.

- To pewnie jakiś żaloszny chwyt reklamowy – odparłam nieswoim, piskliwym głosem, wyrывая mu przesyłkę z ręki. - Ktoś uznał to za wspaniały pomysł. Już widzę gromadę spasionych obślinionych staruchów przy stole konferencyjnym, gdy jeden z nich mówi: „Możemy rozsyłać potencjalnym klientkom próbki seksownej koronkowej bielizny”.

Naomi przeniecowała kopertę na lewą stronę.

- Niby kto miałby stosować takie chwyt reklamowe, Holly?

- Właśnie te staruchy - wypaliłam bez zastanowienia. Przytknęłam trzymane w rękę, zmięte w kulkę czarne koronkowe majtki do policzka, uświadamiając sobie poniewczasie, że nie były prane. Pozostał w nich mój zapach. Poczułam, że się rumienię ze wstydu. - Dokładnie o to im chodziło, żebyśmy łamali sobie nad tym głowę.

- W takim razie osiągnęły swój cel - odparł Luke i zachichotał ironicznie.

- Za jakiś czas przysyłaj pewnie coś innego i dopiero wtedy stanie się jasne, co to za akcja - ciągnęłam jak nakręcona. - To normalne chwyt marketingowe. Najnowsze wynalazki. Ale mnie doprowadzają do szału. W każdym razie wołałabym, żeby nikt mi nie przysyłał do domu takich rzeczy. Spójrzcie sami, to nawet nie mój rozmiar. Nigdy bym się w coś takiego nie wcisnęła, no nie? Człowiekowi nie zostaje nic innego, jak wyrzucić taką przesyłkę do śmieci.

Charlie się nie odzywał. Patrzył na majtki, które kurczowo ścisnęłam w spoczonej dłoni, i dopiero po jakimś czasie powoli uniósł wzrok i spojrzął mi w oczy.

## 10

Przy barze poprosiłam o pikantny sok pomidorowy. Było dopiero dwadzieścia po piątej, a już robiło się ciemno. Wkrótce pogodna jesień miała się przekształcić w zimę, a to oznaczało krótkie ponure szare dni i bardzo długie mroczne noce. Niekiedy nawet lubiłam ten mrok, który przypominał otaczającą mnie czarną jedwabną zasłonę, wcale nie odstrasżającą, lecz zwiększającą poczucie bezpieczeństwa.

- Tak myślałam, że tu cię znajdę.

Odwrociłam się i ujrzałam twarz, niby znajomą, choć nie byłam w stanie od razu jej umiejscowić. Gładka cera, ciemne włosy zaczesane gładko do tyłu. Rysy dość atrakcyjne, gdyby nie były zniekształcone grymasem wrogości, a spomiędzy pełnych czerwonych warg nie padały przesycone jadem słowa:

- Holly Krauss... Raczy się drinkiem, jakby nie było dla niej nie ważniejszego na świecie...

- Debora - odparłam, zdumiona. - Co ty tutaj...

- Miałeś nadzieję, że już nigdy więcej mnie nie zobaczysz, prawda? A przecież ostrzegłam, że tak łatwo się ode mnie nie uwolniesz.

- Czego chcesz?

- Czego chcę? Niech no pomyślę! Przede wszystkim chyba pracy. No i perspektyw na zachowanie mieszkania. A poza tym, dawnej wiary w siebie. I kilku słów przeprosin. Chcę, żebyś się ukorzyła. Bo jeśli odmówisz, będę musiała zaciągnąć cię do publicznej łaźni. I nie omieszkam tego zrobić. Zobaczysz.

Zdobyłam się na wzruszenie ramionami, które moim zdaniem powinno świadczyć, że jest mi wszystko jedno.



- Jeśli naprawdę masz coś jeszcze do powiedzenia, będziesz musiała najpierw porozmawiać z naszym radcą prawnym.

- Ależ tak, oczywiście, nie obejdziemy się bez pana Grahama. Wcześniej jednak wolałam się rozmówić z tobą. Osobiście. Bo chyba nie sądzisz, że możesz doszczętnie zrujnować komuś życie, po czym formalności przekazać radcy prawnemu.

Przyjrzałam się uważniej jej gładkiej kremowej cerze, grubym brwiom i pełnym czerwonym wargom.

- Posłuchaj, Debora, nie mam zamiaru dyskutować w miejscu publicznym...

- Oczywiście, że nie masz zamiaru dyskutować - przerwała mi. - Bo i po co? Biedna Holly...

Zrobiła krok w moją stronę. Chciałam się cofnąć, ale za sobą miałam już tylko bar.

- Sądzę, że jest ci potrzebna pomoc - odparłam. - Fachowa pomoc lekarska.

Cała jej twarz zadygotała z wściekłości. Miałam wrażenie, że spoglądam na maskę, która pęka i za chwilę rozsypie się na kawałki. Aż nie mogłam oderwać od niej wzroku.

- Jak śmiesz insynuować, że ze mną jest coś nie w porządku? - syknęła. - Kto ci dał takie prawo? Najpierw wywalasz mnie z pracy, a teraz twierdzisz, że jestem chora psychicznie? Owszem, jestem chora, ale wyłącznie wtedy, gdy patrzę na ciebie.

Błyskawicznie uniosła rękę, zamachnęła się z impetem i wytrąciła mi szklaneczkę z dłoni. Sok pomidorowy trysnął na wszystkie strony, w tym także na nas obie. Popatrzyłam na krwistą plamę rozszerzającą się na białej bluzce Debory, a potem na jej twarz błyszczącą od kropelek soku.

- Wyglądasz jak postać z obrazu Jacksona Pollocka - powiedziałam z uśmiechem.

- Wszystko w porządku, Holly? Mogę ci w czymś pomóc?

Był wysoki i szczupły, z wydatnym haczykowatym nosem, nieco za wąsko rozstawionymi oczami i zmierzwioną czupryną siwiejących

szaroblond włosów, ubrany w białą koszulą, czarną skórzaną kurtkę, szare sztruksy z lamówkami i ciężkie skórzane buty z wysokimi cholewkami. Stuart z ostatniego weekendu. Ten od przedwczesnych wytrysków, którego synowie traktują jak powietrze. Uśmiechnęłam się do niego. Przynajmniej raz mogłam być wdzięczna losowi za to, że spotkałam kogoś z naszych klientów poza biurem.

- Chyba już wiem, skąd pochodzą wszystkie twoje meble - odparłam i zachichotałam, co w tej sytuacji nawet mnie wydało się niestosownym przejawem lekkomyślności.

- Meble? - zapytał zdumiony.

- To Gap. Przynajmniej koszula jest w tradycyjnym kroju marki Gap. A skoro już o to zapytałeś, to owszem, możesz mi pomóc. Poproś Deborę... bo, nawiasem mówiąc, to jest Debora... więc poproś ją, by zechciała mi odkupić porcję soku pomidorowego. Jeśli to zrobi, zapomnę o rachunku z pralni.

- To jeszcze jeden z twoich kochanków? - zapytała Debora. - Kolejny z tych, co ciągną za tobą sznurem. Lepiej uważaj - ostrzegła, zwracając się do Stuarta. - Dostaniesz od niej kopniaka, jak tylko się okaże, że nie jesteś już do niczego potrzebny.

- Spóźnimy się na wystawę - rzekł Stuart, oczywiście do mnie, chociaż gapił się na Deborę z nieskrywaną fascynacją. - Lepiej weź swój płaszcz i chodźmy.

- Jeszcze z tobą nie skończyłam - syknęła Debora, gdy wkładałam płaszcz. - Zaczekaj, to się przekonasz. Nie masz prawa niszczyć komuś życia pod wpływem chwilowego kaprysu, a potem odwracać się plecami, jakby nic się nie stało.

Wzięłam Stuarta pod rękę.

- Chodźmy.

- Do widzenia - rzucił przez ramię z teatralną kurtuazją w głosie. - Przykro mi, że poznaliśmy się w takich okolicznościach.

- Chodźmy wreszcie.

Zawahał się, zerkając na wykrzywioną wściekłością twarz pięknej Debory, nim w końcu ruszył do wyjścia.

- Zniszczę cię! - zawołała za nami. - Nie ludz się, że ci popuszczę, suko!
- Wielkie dzięki - mruknęłam, puszczając rękę Stuarta, jak tylko wyszliśmy na ulicę. - Wolę nie myśleć, co o mnie sądzisz po tej scenie...
- Była nawet dość zabawna. Czuję się jak twój wybawca, rycerz w srebrzystej zbroi. Coś ty jej zrobiła?
- Miałyśmy pewne problemy w biurze.
- Aha. I wygląda na to, że część tych problemów wymknęła się spod kontroli.
- Owszem - mruknęłam. Nogi mi się trzęsły. - Pewnie masz rację. Może nawet Debora miała pełne prawo nazwać mnie suką. Sama nie wiem...
- Więc co jej zrobiłaś?
- Wywaliłam ją z pracy. Musiałam. Jesteśmy małą firmą, niemal rodzinną. Musimy bezgranicznie ufać sobie nawzajem, bo inaczej grozi nam totalna klapa. Wiem, że często dążę do konfrontacji. Zdolność pójścia na kompromis nie jest moją mocną stroną. Charlie zawsze powtarza, że w każdej domowej sprzeczce całkowicie pomijam etap negocjacji i od razu sięgam po groźbę użycia broni atomowej. Niemniej uważam, że wszyscy powinniśmy dążyć do takiego czy innego porozumienia. Bo wszyscy przegramy, jeśli poświęcimy mnóstwo czasu, by napuścić na siebie wzajemnie adwokatów. W każdym razie Meg i Trish tak sądzą.
- Mogę coś dla ciebie zrobić? Jeśli chcesz, wezmę na siebie rolę pośrednika, oczywiście bez żadnej opłaty.
- Nie wygłupiaj się. Jesteś bardzo miły, ale to ja zawiniłam i teraz to mój problem, więc jeśli ktokolwiek ma robić z tym porządek, to tylko ja.
- Powiedziałbym jednak, że jesteś raczej jedyną osobą niezdolną do tego. W każdym razie, właśnie tym się zajmuję w swojej pracy. Jestem specjalistą od rozwiązywania problemów personalnych. Pozwól więc, że zrobię ci przysługę.
- Nic z tego nie będzie. Sam widziałeś, jaka ona jest.
- Bardzo porywczą - przyznał. - Ale przynajmniej pozwól mi spróbować. Znasz jej numer telefonu?

- Nie. Trish powinna mieć.
  - Trish?
  - W moim biurze. Trzeba ją o to zapytać. Albo zajrzeć do książki telefonicznej. Dziewczyna nazywa się Debora Trickett i mieszka w Kennington, przynajmniej tego jestem pewna. Chyba przy Willow Lane.
  - Debora Trickett, Willow Lane - powtórzył.
  - Nadal uważam, że to nie najlepszy pomysł.
  - Ale dla mnie to wyzwanie.
  - Posłuchaj, Stuart, powinnam już wracać do domu.
  - Przecież wybierasz się na jakąś wystawę. Wymyśliłaś ją na-  
prędce? Bo ja faktycznie idę na otwarcie pokazu przyjaciela, który  
odbędzie się niedaleko stąd. Chodź ze mną. Może być zabawnie.
  - To miło z twojej strony i innego dnia chętnie przyjąłabym  
zaproszenie, ale dziś mam mnóstwo spraw na głowie i trochę się  
zmęczyłam. Prawdę mówiąc, brakuje mi sił na cokolwiek.
  - To do ciebie niepodobne.
  - Jak mam to rozumieć?
  - Nie wierzę, że brakuje ci sił. W końcu to był jeden z po-  
wodów, dla których chciałem z tobą porozmawiać. W ten weekend  
wydarzyło się coś niezwykłego. I nie chodzi o to, czego dokonali-  
śmy. Pewnie wszyscy twoi klienci przechodzą chrzest w rodzaju  
przeprawy tratwą na drugi brzeg stawu. Zaskoczyło mnie jednak, że  
ludzie w moim biurze wspominają ten weekend z niezwykłym pod-  
nieceniem. To wyłącznie twoja zasługa.
  - Niech ci będzie - odparłam. - Wejdę z tobą na parę minut.
- Wyprostowałam się i poprawiłam torebkę na ramieniu. Nie tyl-  
ko wciąż piekły mnie knykie, ale w dodatku miałam otartą skórę  
na piętach. Poza tym odczuwałam drobne ukłucia na całej twarzy,  
jakby ktoś zrobił sobie z niej poduszczkę do igieł i szpilek, choć to  
głupie porównanie, bo przecież nikt nie wie, co się czuje podczas

wbijania setek igieł w twarz. W każdym razie uniosłam rękę, żeby potrzeć policzki, ale dziwnym sposobem nie trafiłam i tylko walnęłam się w nos.

- Co to za przyjaciel?
- Co za przyjaciel? To nie tak łatwo wytłumaczyć...
- Przepraszam, chciałam zapytać, co to za wystawa.
- Ach, rodzaj sztuki współczesnej. Prezentuje się obiekty stworzone z... no, wiesz, różnych rzeczy. Trudno to opisać. Niektóre są naprawdę urocze, przynajmniej na swój zwiariowany sposób.

- Wspaniale - uciełam. - W takim razie chodźmy.

Zrobiłam dwa kroki po chodniku i potknęłam się. Błyskawicznie złapał mnie pod rękę i z troską zajrzał mi w twarz.

- Chyba rzeczywiście jesteś przemęczona.
- Wszystko w porządku. Przecież już zdecydowałam. - Nawet dla mnie samej entuzjazm w moim głosie brzmiał sztucznie.
- Musimy iść tędy, w lewo. Do galerii Oryx.
- Znam ją. Przed paroma tygodniami była tam wystawa butów zrobionych z produktów spożywczych.
- Zawsze chodzisz tak szybko?
- A to jest szybko?
- Nikt nas nie goni, Holly.
- Owszem, goni nas czas. Możemy z nim wygrać. To już tutaj.

Nie potrzebujemy zaproszenia?

- Mam je. Na dwie osoby.
- Na dwie? Czy to znaczy, że ktoś puścił cię kantem?
- Ja puściłem kogoś.
- Aha.

Pchnął drzwi i w jednej chwili zniknęła smagana wiatrem i mokra od deszczu ulica, migoczące niewyraźnie gwiazdy i tłumy przechodniów, a my znaleźliśmy się w jasno oświetlonym kokonie zamkniętej przestrzeni o ścianach jaśniejących bielą, z błyszczącym lakierowanym parkietem i wielkimi panelami oświetleniowymi nad głowami, które rzucały nam jaskrawe plamy blasku pod nogi, wypełnionym cichym gwarem rozmów. Z podsuniętej mi tacy wzięłam

wysoki wąziutki kieliszek napelniony po brzegi schłodzonym białym winem i ostrożnie poszłam dalej.

- Na zdrowie - rzucił półgłosem Stuart charakterystycznym dla siebie ironicznym tonem.

- Na zdrowie - odparłam. Uniosłam kieliszek, aż zaiskrzyły w nim refleksy jarzeniówek, po czym upiłam spory łyk. - Lepiej przyjrzyjmy się pracom twojego przyjaciela. Jest tutaj? Który to? Jak się nazywa?

- Laurie. Prawdopodobnie zamknął się w którymś z bocznych pokoiów albo siedzi w najbliższym pubie, ukryty przed całym światem.

- To mi się podoba - powiedziałam. Zupełnie szczerze. - Chętnie postawiłabym to na gzymsie kominka w swoim saloniku. Musisz jednak wiedzieć, że nie pójdę z tobą do łóżka.

Stuart zachłysnął się chyba, by dziwnie prychnął i rozdziawił szeroko usta. Poklepałam go szybko po plecach.

- Jestem mężatką, wyszłam za niejakiego Charliego Cartera - ciągnęłam, kiedy wreszcie złapał oddech. - Mam wrażenie, że już ci to mówiłam. Mój mąż jest artystą, choć według mnie lepiej by się nadawał na hydraulika. Spójrz, noszę nawet obrączkę.

- Tak, widzę.

- Ale czasami ją zdejmuję. Chyba nie powinnam tego robić.

- W każdym razie nie zachowujesz się jak mężatka.

- A co to znaczy? Jak się zachowują mężatki? Są chyba setki wiktoriańskich książek o podobnych tytułach. Ale ja naprawdę nie wiem, co to znaczy. Mam rozumieć, że powinnam smażyć pączki nadziewane kremem albo domową marmoladą? I nosić fartuszek w kuchni? A sąsiadkom przedstawiać się jako Holly, żona Charliego? Dzwonić do niego do pracy i prosić o zgodę na różne rzeczy, jak choćby taką wizytę w galerii? - Wyciągnęłam z kieszeni telefon komórkowy i zaczęłam nim kołysać na boki, aż wychłapałam kilka kropli wina z kieliszka. - Więc jak? Mam do niego zadzwonić i spytać, czy pozwoli łaskawie swojej małżonce odwiedzić galerię w towarzystwie mężczyzny w średnim wieku o imieniu Stuart, noszącym

koszulce marki Gap? To mi się naprawdę podoba. Mówię o tym błyszczącym metalowym przedmiocie, który sprawia wrażenie miękkiego i ostrego jednocześnie. Aż mam ochotę go dotknąć.

Stuart jeszcze przez chwilę gapił się na mnie, wreszcie jednym haustem opróżnił kieliszek, z impetem odstawił go na tacę przechodzącego kelnera i zapytał:

- Zawsze jesteś taka nieprzyjemna?

- Jestem nieprzyjemna? - Schowałam telefon do kieszeni, gdzie natychmiast zaczął wibrować, lecz zignorowałam ten sygnał. - Przepraszam. Naprawdę nie zamierzałam być dla ciebie nieprzyjemna. Mówiłam ci, że jestem przemęczona. To wszystko. Zachowuję się jak idiotka, skończona idiotka. Lubię cię. Pewnie znasz to uczucie, gdy poznajesz nowych ludzi i wiesz od razu, czy możesz się z nimi zaprzyjaźnić. Jakby w człowieku zaskakiwał jakiś przełącznik. A może to coś w rodzaju zachłyśnięcia się, jeśli rozumiesz, co mam na myśli? Tak czy owak, słyszałam, że w każdym związku najważniejszych jest kilka pierwszych sekund. Nie jestem tylko pewna, czy nie dotyczy to wyłącznie kochanków. Zresztą trudno mi ocenić, czy to wspaniała sytuacja, czy raczej przerażająca. Bo nasuwa wniosek, że nie do końca nad sobą panujemy. Zresztą chyba tak jest. Czy to nie ten artysta do nas macha? Boże, jaki on wysoki. Istny gigant. Albo to on wygląda tak śmiesznie, albo tylko sprawia, że w jego obecności wszyscy inni stają się śmieszni?

- Tak, to Laurie.

Kiedy przeciskaliśmy się w jego stronę, minęliśmy jakąś kobietę o zdumiewająco puszystych rudych włosach, która krytycznym spojrzeniem obrzuciła jedną z rzeźb i zauważyła głośno do swego towarzysza:

- Straszna szmira, nie sądzisz?

Zwróciłam uwagę, jak uśmiech na wargach Lauriego nagle stał się sztuczny, jakby ktoś mokrą gąbką starł mu z twarzy wszelką ekspresję. Nawet oczy jak gdyby pociemniały, przekształcając się w bezdenne, pozbawione wyrazu czarne dziury. Stałam na wprost niego.

- Bardzo mi się podobają twoje dzieła - powiedziałam głośniejszym głosem od rudej. - Są naprawdę urocze. Pewnie część osób w ogóle ich nie rozumie, ale mnie się tak bardzo spodobały, że muszę od razu jedną kupić. Tamtą. - Na oślep machnęłam ręką za siebie.

- Bardzo się cieszę - odparł, a jego rysy na powrót przybrały ciepły i łagodny wyraz. - Powinna pani porozmawiać z moją agentką. Już tu idzie.

Stuart głośnym szeptem zaczął mi tłumaczyć nad uchem, jak drogie są dzieła jego przyjaciela, lecz zlekceważyłam te uwagi.

- Mogę od ręki wypisać czek - dodałam. Telefon komórkowy znów zaczął nerwowo wibrować w kieszeni i bzyczeć niczym wielka mucha plujka. - Albo dać zaliczkę. Obojętne. Jaką formę płatności preferuje pańska agentka?

- Holly? - zagadnął głośniejszym głosem Stuart. Zdobył skądś dwa następne kieliszki wina, jeden czerwonego, a drugi białego. Upił po solidnym łyku z każdego i zaczął: - Jesteś pewna...

- Oczywiście. Po co by było zarabiać pieniądze, gdyby nie dało się ich wydawać?

Pół godziny później weszłam do damskiej toalety. Czułam dziwną pustkę w głowie, a w moim lewym policzku z regularnością zegarka dawał o sobie znać nerwowy tik. Ktoś był w kabinie, na brzegu umywalki leżał naszywany brokatem jedwabny szal i drogie skórzane rękawiczki. Rozpoznałam, że to rzeczy należące do rudej o przenikliwym głosie, która obraziła Lauriego. Serce zaczęło mi walić jak młotem, a w gardle wyrósł suchy kłęb. Jak na zawołanie krople potu wystąpiły mi na czoło. Raz i drugi prychnęłam pogardliwie, złapałam szal i rękawiczki, wepchnęłam je do torebki i pędem zawróciłam do wyjścia, gdyż z kabiny doleciał szum spuszczonej wody.

- Muszę lecieć - rzuciłam w pośpiechu, mijając Stuarta.

- Ależ...

- Przykro mi, nagły wypadek. Zadzwoń do ciebie. Albo lepiej ty zadzwoń do mnie, do biura. Jutro albo pojutrze. Z przyjemnością spotkam się jeszcze z tobą. Na razie.



Wypadłam z galerii i pobiegłam ulicą, ściskając pod pachą wypchaną torebkę. Wstrząsał mną mimowolny chichot. Skrzyłam w najbliższą wąską uliczkę i pobiegłam dalej środkiem, uskakując przed taksówkami i rowerzystami. Któryś kierowca zatrąbił. Znów zadzwonił mój telefon. Wyszarpnęłam go z kieszeni i spojrzałam na wyświetlacz. Dzwonił Charlie. Był wściekły.

- Holly?! Wydzwaniam do ciebie i wydzwaniam! Gdzie się podziewasz, do jasnej cholery?!

- Jestem gdzieś w Soho. A o co chodzi?

- Byliśmy umówieni. Zapomniałaś?

- O Boże... - Poczucie winy złapało mnie za gardło i silnie potrząsnęło. Stałam w pół kroku i rozejrzałam się bezradnie po tonącej w półmroku brudnej uliczce, którą rozjaśniały mętne, rozrzucone z rzadka plamy żółtawego światła. Przy najbliższej z nich stała grupka podejrzanie wyglądających mężczyzn. - Och, nie...

- Więc jednak zapomniałaś?

- Nie! No, tak... Cholera, przepraszam. Już jadę. Która godzina?

- Dochodzi dziewiąta. Siedzę tu jak na szpilkach od czterdziestu pięciu minut.

Nawet w taksówce nie przerwałam połączenia, tylko przepraszałam go raz za razem.

## 11

- Przede wszystkim potrzebny nam dobry plan - powiedział Charlie.

- Jaki plan?

- To nie był specjalnie produktywny dzień.

Przemknęło mi przez myśl, że jeśli doszliśmy do etapu, na którym miałabym polegać na planach Charliego, to musi być ze mną naprawdę kiepsko. Dopiero w drugiej kolejności pomyślałam, że chyba ma rację. Była sobota, dzień po spotkaniu ze Stuartem, który

zaprosił mnie do galerii, przez co zapomniałam, że byłam umówiona z mężem. Zaliczyłam kolejny rozrywkowy wieczór. Teraz było dziesięć po czwartej po południu. Gdy miałam dziewięć lat, w mojej starej podstawówce zajęcia kończyły się kwadrans po czwartej, tak więc o tej porze miałabym za sobą już kilka religijnych pieśni, dwie długie przerwy na boisku, naukę rachunków, napisane opowiadanie, wypity kartonik mleka, zjedzony lunch, wykonany model z plasteliny. A czym teraz, mając dwadzieścia siedem lat, mogłam się pochwalić pod koniec dnia?

Niczym specjalnym. Śniło mi się, że wybierałam się w dłuższą podróż. Nie wiem, czy emigrowałam, czy tylko wyjeżdżałam na wakacje, ale nie miało to znaczenia. Nigdzie nie mogłam znaleźć ani biletu, ani paszportu, a na dodatek zapomniałam, dokąd jadę. Dopiero później uzmysłowiłam sobie, że nawet się nie spakowałam i tylko wydawało mi się, że jestem gotowa. Przystąpiłam do poszukiwań torby podróżnej, do której mogłabym poupychać swoje ciuchy, ale cała podłoga była pokryta gęstą owsianką, w której poruszałam się przeraźliwie powoli. Co rusz spoglądałam na zegarek, żeby sprawdzić, czy się nie spóźnię, ale nie mogłam z niego odczytać godziny. Wtedy się obudziłam i owo złudne pakowanie się ze snu uznałam za równie konstruktywne, jak cała moja krzątania, którą wypełniłam ten dzień.

Przy łóżku stał kubek z zimną herbatą. Przypomniałam sobie jak przez mgłę, że Charlie przyniósł mi go przed paroma godzinami. Miałam wstać i zabrać się do roboty, ale tego nie zrobiłam. Nawet nie czułam się tak źle, jak wcześniej się obawiałam. W gruncie rzeczy nie byłam chora. Miałam tylko niemiły posmak w ustach i rozpaloną skórę, co zazwyczaj sygnalizowało u mnie początek grypy. No i nie mogłam się podnieść. Wciąż potrzebowałam jeszcze trochę wypoczynku. Ale leżąc w pościeli, odkrywałam u siebie kolejne objawy. Na przykład drobne pieczenie w piersi utrudniające swobodne oddychanie, jakby brakowało mi tlenu w pokoju. W panice zaczerpnęłam głęboko powietrza i moje płuca wydały mi się za małe, żeby pomieścić go tyle, ile potrzebuję. Przyszło mi nagle do głowy,

że to samo się odczuwa, kiedy człowiek tonie - najpierw długo, bardzo długo powstrzymuje odruch, wstrząsany spazmami, aż wreszcie, niemal z ulgą, otwiera usta i wciąga wodę do płuc. Aż się zakrtusiłam i zakasłałam, zmuszając się do uspokojenia oddechu.

Upiłam łyk zimnej herbaty i naciągnęłam kołdrę na głowę. Czy nie o tym marzyłam od wielu dni? O tym, żeby zostać w łóżku stwarzającym poczucie bezpieczeństwa? Cała skóra lepila mi się od potu i wstrząsały mną dreszcze. Próbowałam się szczególnie opatulić kołdrą, lecz niewiele z tego wyszło. Zmagałam się z tym problemem od dawna. Od bardzo dawna. Od wielu miesięcy. Popełniliśmy duży błąd, nie sprawdzając rozmiarów tej kołdry przed zakupem, okazało się bowiem, że jest mniejsza od poszwy. Nie wiem, czy byłoby lepiej, gdyby było odwrotnie, w każdym razie za duża poszwa na kołdrę jest szalenie irytująca. Koniecznie trzeba było to zmienić. W tym stanie rzeczy za mała kołdra latała w poszwie niczym ziarnko groszku w nadmiernie rozrośniętym strąku, przez co w wielu miejscach istniało tylko złudzenie kołdry w poszwie, które ani trochę nie grzało. Co gorsza, prawdziwa kołdra tylko się gniotła. Teraz, po wielu godzinach używania, wydawała się szczególnie zgnieciona, a wszelkie moje wysiłki zmierzające do jej rozpostarcia tylko pogarszały sytuację. Z wściekłości aż nadprułam szew kołdry, szarpiąc ją bezskutecznie. Miałam ochotę porozrywać ją na kawałeczki i wyrzucić na podpałkę, żeby już nigdy więcej nie przyprawiała mnie o frustrację, lecz zagryzłam zęby i spróbowałam się nią zawinąć. Oczywiście i tym razem nic to nie dało, bo z jednej strony zakryłam się samą poszwą, za to z drugiej miałam pod sobą gruby, niewygodny walek.

Zwykle, kiedy leżę w łóżku i nie mogę spać, snuję plany, ale tego sobotniego ranka mój umysł nie pracował jak należy. Raz za razem przetrawiałam różne pomysły w sposób jak najbardziej bezproduktywny. Kiedy miałam około dwunastu lat, po raz pierwszy i jedyny w życiu spróbowałam karczocha. Tak się składa, że większość moich wspomnień z rodzinnych obiadów w czasach dzieciństwa ma

charakter burleskowy. Oj-ciec bardzo często zalegał w którymś mrocznym pokoiku i pachniał rozmaitymi tajemniczymi „lekarstwami”, cierpiąc na „swoją chorobę”. A w późniejszych wspomnieniach nie występował w ogóle. W tamtym konkretnym czasie już go nie było, gdy matka przyniosła z bazaru to dziwne warzywo. Byłam tak podekscytowana istnym rytuałem dobierania się do dna kielicha i moczenia mięszu w stopionym maśle, że zwyczajnie się przejadłam. Mętne wrażenia umazanego masłem nosa i brody całkiem przyćmiewają późniejsze wspomnienia, kiedy obudziłam się w środku nocy i wymiotowałam tak gwałtownie, jakbym chciała przecnicować się na lewą stronę. Matka leżała obok i przykładała chłodną dłoń do mego rozpalonego czoła, podczas gdy ja zasypywałam ją pytaniami, czy umrę. Zabawne jest to, że doskonale pamiętam, co mi wtedy odpowiedziała. Wcale nie zaprzeczyła, jak zrobiłaby to przeciętna matka. Odparła: „Oczywiście, Holly, wszyscy kiedyś umrzemy, ale sporo jeszcze czasu upłynie, zanim to się stanie”. Ilekroć to wspominam, ogarnia mnie pusty śmiech z powodu tego komicznego przykładu swoistych metod wychowawczych mojej matki.

Od czasu tamtego wiekopomnego obiadu, który był nawet smaczny, kiedy go jadłyśmy, na samo wspomnienie karczocha robi mi się niedobrze. Gdy widzę go w sklepie, ogarnia mnie przemożna fala nudności. A kiedy wracałam w myślach do wydarzeń poprzedniego tygodnia, miałam wrażenie, jakbym musiała wkładać ręce w coś obrzydliwego, gnijącego, rojącego się od robaków i straszliwie cuchnącego. Leżąc w łóżku i dygocząc z chłodu pod zrolowaną w poszwie kołdrą, czułam się jak wtedy, po zjedzeniu karczocha. Przy każdej sposobności szukałam rozrywek, jakbym nie mogła się niczym nasycić, i teraz po prostu miałam wszystkiego po dziurki w nosie. Wszystko wyglądało źle, niezależnie od kąta, pod jakim na to patrzyłam. Zwłaszcza moja obrzydliwa przyгода z... nim. Nie chciałam nawet wspominać jego imienia czy wyglądu, ale wreszcie zmusiłam się do tego w ramach swoistej pokuty. Nie mieściło mi się w głowie, jak mogłam dopuścić, by ktokolwiek tak mnie potraktował.

Skrajnym obrzydzeniem napawała mnie świadomość, że zetknęłam się z tym mężczyzną, który teraz mnie prześladował, miał czelność odesłać mi pocztą moje majtki. Podejrzywałam, że na tym się nie skończy.

Cała reszta mojej najnowszej historii była zdecydowanie bardziej strasząca, została jednak skazana tamtym zdarzeniem. Wydawało mi się, że ostatnie dni tylko bezmyślnie odfajkowywałam, jak ktoś biegnący po krawędzi urwiska, kto dopiero teraz zdobył się na odwagę, żeby spojrzeć w dół. Wszelkie wydarzenia zdawały się mieć odmienne znaczenie od tego, jakie pierwotnie im przypisywałam. Część bez wątpienia miała paskudny charakter, jak rzut cegłą w szybę wystawową czy uderzenie rozszlószonego kierowcy. Z perspektywy czasu oceniałam, że dobre pół życia spędziłam dotąd, pokrzykując na innych, wszczynając kłótnie czy po prostu gadając zdecydowanie za głośno. A jak miałam ocenić zwolnienie z pracy kłamliwej Debory? O co mi naprawdę chodziło? Przecież rzeczywiście nie zbadałam sprawy z należytą wnikliwością. Zależało mi głównie na tym, żeby zrobić przedstawienie adresowane do Meg, żeby jej pokazać, iż jestem zdolna do tego, na co ona nigdy by się nie zdobyła. Krótko mówiąc, zrobiłam pokazówkę, pozbywając się pracownicy, i teraz ponosiłam konsekwencje swojej decyzji.

Zrobiłam mały eksperyment. Spróbowałam znaleźć jakiś swój uczynek z ostatniego okresu, który nie wzbudzałby dreszczy. Na przykład mój stosunek do Charliego, który sam w sobie stanowił olbrzymi problem. Okłamałam go, zdradziłam i zawiodłam, nawet moja pomoc w porządkowaniu jego cholernych rachunków była także swoistą pokazówką, bo abstrahując od innych spraw, miała mu wykazać, że także w tym zakresie radzę sobie lepiej od niego.

A co się tyczy pracy zawodowej, na samo wspomnienie „KS” coś ścisnęło mnie w gardle tak mocno, że nachodziły mnie obawy, iż zaraz zwiymiotuję. Czulałam się jak specjalistka od tańca na rurze. Świetnie wiedziałam, jak zapewnić klientom dobrą zabawę i skłonić ich do tego, by zrobili coś w rodzaju wetknięcia dziesięciofuntowego banknotu za gumkę moich majtek. Nie był to żaden powód do

dumy. Wręcz przeciwnie. Wyobraziłam sobie przez chwilę, że spoczywam na łożu śmierci. Jak miałam oceniać swoją karierę zawodową z tej perspektywy, stojąc na progu wiecznej nicości? Zabawiałam zmęczonych biznesmenów, żeby mogli wrócić do swoich gównianych firm z nieco lepszym zdaniem o samych sobie. Pewnie byłoby dużo lepiej, gdybym zamiast tego rozmieszczała bomby zegarowe w ich gabinetach. Chyba każde zajęcie przynosiłoby więcej pożytku niż to, czym się zajmowałam. I ze mnie byłoby zapewne więcej pożytku, gdybym rozdała cały swój majątek, przekazała mieszkanie na rzecz spółdzielni mieszkaniowej, nauczyła się podstaw handlu i zajęła sprzedażą czegokolwiek.

Omam nie wybuchnęłam śmiechem, gdy doszłam do tego wniosku. Od razu skojarzył mi się tekst piosenki *Goodbye Yellow Brick Road*, mówiący o powrocie na swój zagon. Otóż to. Jeśli w ogóle mogło istnieć coś bardziej groteskowego niż moje życie, to chyba tylko mój pomysł na nie, zwłaszcza praca Charliego w zawodzie hydraulika i moja kariera stolarza.

W końcu wstałam z łóżka, znudzona tymi idiotycznymi rozważaniami. Wzięłam prysznic i umyłam włosy, rozdrapując skórę głowy niemal do krwi. Gdy się wytarłam, zaczęłam przetrząsać szarękę w łazience i szuflady komódki, szukając pośród setek tubek i słoiczków z kremami obcinacza do paznokci, lecz nigdzie nie znalazłam. Wysłałam nawet na schody i zawołałam Charliego, gdzie jest obcinacz, ale w odpowiedzi burknął tylko coś nieprzyjemnego. Mniej więcej na czternastym miejscu na liście dwudziestu najbardziej irytujących cech mojego męża jest zamiłowanie do używania obcinacza do paznokci w dowolnym miejscu, tylko nie w łazience. Jednym z efektów takiego stanu rzeczy są denerwująco ostre kawałki paznokci, które często znajduję w pościeli, natomiast innym właśnie to, że nigdy nie mogę znaleźć obcinacza, gdy go potrzebuję. Odkrzyknęłam więc, że kupię sobie inny obcinacz, który schowam wyłącznie do własnych celów, ale nic mi nie odpowiedział. Denerwował mnie zwłaszcza nadłamaną paznokciec serdecznego palca

prawej dłoni, który ustawicznie zaczepiał o części garderoby. Nie zostawało mi nic innego, jak odgryźć nierówny kawałek, lecz oczywiście źle wymierzyłam, ułamał się za głęboko, a gdy go oderwałam, zapiekło jak diabli, na dodatek jasnoróżowa tkanka zaczęła krwawić. Odłamał się idiotycznym klinem, toteż musiałam odgryźć pozostałe kawałki, żeby jako tako go wyrównać. Kiedy w końcu oceniłam swoje dzieło, doszłam do wniosku, że miną co najmniej dwa tygodnie, zanim będzie go można traktować tak samo, jak inne paznokcie.

Mniejsza z tym, czy to Charlie, czy sam diabeł ukrył gdzieś obcinacz, ale później sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. W ogóle nie chciałam się ubierać. Nie zamierzałam wychodzić z domu. Włożyłam więc stare spodnie dresowe, ściągane sznurkiem w pasie, ale za mocno pociągnęłam jeden koniec i drugi całkiem zniknął w otworze. Aż zawylałam z wściekłości. Usiłowałam sięgnąć go paznokciami, ale schował się za głęboko. Próbowałam ścisnąć spodnie w harmonijkę, żeby go przesunąć, lecz i to nic nie dało. Wyczuwałam jego koniec przez tkaninę, ale nie mogłam się do niego dostać. Ktoś mi kiedyś tłumaczył, jak sobie radzić w takiej sytuacji. Potrzebna do tego była gruba igła, pewna ręka i dużo cierpliwości, a ja nie miałam żadnej z tych rzeczy. Czułam, jak tętno w skroniach łomocze mi coraz mocniej. Gdybym w takiej chwili miała dostać wylewu, zapewne powitałabym go z radością. Rzeczy martwe sprzysięgły się przeciwko mnie. Najpierw kołdra, potem obcinacz do paznokci, a teraz sznurek w spodniach dresowych. Ściągnęłam je, omal nie rozrywając, z wściekłością kopnęłam w najdalszy kąt pokoju, po czym usiadłam po turecku na podłodze i ukryłam twarz w dłoniach.

Poczułam czyjąś rękę na ramieniu.

- Charlie? - zapytałam głupio.

- Co się dzieje? O co chodzi?

- Miałam kiepską noc.

- Wiem. Mówiłaś przez sen.

Wyprostowałam się jak rażona gromem.

- Co mówiłam?

- Mamrotałaś coś bez sensu. Nie chcesz nic zjeść?

- Nie jestem głodna.
- Co ci się stało w palec?

Spojrzałam na niego. Cała opuszka była pokryta zakrzepłą krwią.

- Za głęboko obciąłam sobie paznokcieć.
- Lepiej się ubierz. Moglibyśmy wyjść na spacer.
- Chciałabym się najpierw wykapać.
- Nie brałaś niedawno prysznic?
- Jestem zmarznięta. Muszę się rozgrzać.

Obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem, mniej więcej takim, jakim patrzy się na ludzi, kiedy nagle dociera do ciebie, że ich dziwne zachowanie to efekt upojenia alkoholowego.

- Może przynieść ci coś do kąpeli? - zapytał. - Kawy? Herbatników?

- Nie. Za minutę będę gotowa.

W wannie poobgryzałam resztę paznokci do sensownych rozmiarów. Szybko doszłam do wprawy i nie obłamywałam ich tak, żeby mi palce krwawiły. Nie wiem, jak długo siedziałam w kąpeli, ale parę razy dolewałam sobie gorącej wody. Ubierałam się już bez pośpiechu. Samo podjęcie decyzji, co wybrać, i jeszcze wciągnięcie na siebie ubrania, wymagało wręcz nieludzkiego wysiłku. Dreszcz przeszedł mi po plecach, gdy pomyślałam, że mam włożyć suche dzinsy na spocone ciało. Położyłam się więc z powrotem do łóżka i szybko usnęłam. Lecz za każdym razem, gdy się budziłam, czułam się coraz bardziej zmęczona. Wreszcie zasłoniłam ręką oczy przed światłem.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim doleciał mnie głos Meg.

- Dlaczego płaczesz? - zapytała.

Otworzyłam oczy. Oboje z Charliem siedzieli po przeciwnych stronach łóżka i spoglądali na mnie z troską w oczach.

- Co się ze mną dzieje? Jestem chora? Może umieram? A może już umarłam, a wy patrzycie tylko na moje zwłoki. Zaraz któreś z was ciężko westchnie i powie: „Cóż, tak chyba jest lepiej dla nas wszystkich”.

- O czym ty bredzisz? - zdziwiła się Meg.



- Oboje bardzo się o ciebie martwimy - wyjaśnił Charlie.
- Nie wiem, z jakiego powodu.
- Nie chcesz teraz wstać?
- Skoro oboje tak się na mnie gapicie, jakbym była nieuleczalnie chora i lada moment trzeba mnie było odtransportować do kostnicy, to chyba rzeczywiście lepiej wstanę.
- Nastawię wodę - rzucił szybko Charlie, uśmiechając się słodko.

Ledwie się powstrzymałam, żeby nie dać mu w gębę i nie zetrzeć tego przymilnego uśmiešku, bo równocześnie zdawałam sobie sprawę, choć odpychałam od siebie tę świadomość, że zachowuje się nadzwyczaj uprzejmie i cierpliwie toleruje moje humorki, a jestem przecież nieznośna. Jakiś piskliwy głosik w moim umyśle podpowiadał mi, że na pewnym etapie znów będę musiała zacząć się zachowywać jak normalna ludzka istota.

- Policzę do dziesięciu i wyskoczę spod kołdry - oznajmiłam. - Raz, dwa, trzy...

Meg wyszła z pokoju, gdy doliczyłam do dziewięciu i trzech czwartych. Oczekałam jeszcze chwilę, po czym zagryzłam zęby, zdobyłam się na nieludzki wysiłek, wstałam i ubrałam się. Rozsunęłam zasłonki w małym oknie wychodzącym na ulicę. Asfalt był mokry, niebo zaciągnięte chmurami. Rozsunęłam więc zasłony w dużym oknie i przytknęłam rozpalone czoło do zimnej szyby. Charlie był w ogrodzie. Meg wyszła z domu i stanęła obok niego. Położyła mu dłoń na ramieniu, toteż obrócił się do niej. Stali bardzo blisko siebie i rozmawiali półgłosem. W pewnej chwili on wziął ją za rękę, uniósł i przytknął jej dłoń do swego policzka, uśmiechając się czule. Zaraz potem oboje wrócili do środka.

Zwlokłam się po schodach, mając wrażenie, że ktoś poprzyczepiał mi ółwiane ciężary do stóp. W każdym razie tak dudniłam piętami, że musieli mnie słyszeć.

Charlie zaparzył kolejny dzbanek herbaty, postawił przede mną parujący kubek i kazał mi pić. Meg przygotowała tosty i posmarowała miodem. A potem zjawiała się Naomi z blachą do pieczenia.

- Charlie mówił, że nie czujesz się najlepiej, upiekłam więc imbirowe ciastka - powiedziała. - Podobno imbir jest bardzo dobry na przeziębienie. Cześć, Meg.

- Witaj, Naomi.

- Wcale nie jestem chora - bąknęłam z przekorą.

- I tak są niezłe. Proszę, poczęstuj się.

Uśmiechnęła się szeroko, demonstrując równe białe zęby ze szparą między górnymi siekaczami. Nie miała na sobie ani żakietu, ani nawet sweterka, tylko cienki żółty T-shirt. Wyglądała na rześką i rozradowaną, jakby to był początek wiosny.

- Holly za dużo pracuje - powiedziała Meg.

- I do tego źle sypia - dodał Charlie.

- Biedactwo - mruknęła Naomi. - Nic dziwnego, że kiepsko się czujesz. Moim pacjentom cierpiącym na bezsenność zalecam ziołową herbatkę. To specjalna mieszanka chińskich ziół. Jest szara i wygląda trochę jak popiół, ale działa bardzo uspokajająco i chyba rzeczywiście pomaga na bezsenność. Nie masz ochoty spróbować?

- Nie.

- Owszem. Ma - oznajmił Charlie.

- Nie cierpię ziołowych herbatek. - Powiodłam wzrokiem po całej trójce stojącej nade mną. - Podobnie jak nie cierpię współczucia.

Ponownie rozległ się dzwonek do drzwi i Charlie poszedł otworzyć. Usłyszałam stłumiony gwar głosów, po czym zawołał mnie. Stałam obok niego w otwartych drzwiach i wyjrzałam na dwór. Dwóch mężczyzn wyładowywało z furgonetki jakiś duży i nieporęczny przedmiot zapakowany w gruby, zielony brezent, trzeci spychał go ze skrzyni.

- Co to jest? - zdziwiłam się.

Zza rogu wyłonił się czwarty mężczyzna z formularzem przypiętym do blaszanej tabliczki.

- Holly Krauss?

- Zgadza się.

- Proszę tu podpisać.

Zerknęłam na nagłówek formularza, w którym widniała nazwa „Oryx Gallery”, a obok schematyczne logo z rogami, mające zapewne przedstawiać oryksa.

- Aha - mruknęłam, uświadomiwszy sobie okrutną prawdę. - Nie możecie zabrać tego z powrotem?

Facet pokręcił głową.

- Jedziemy stąd prosto do Leicester, złociutka. Poza tym chyba nie mamy prawa niczego odwozić. Sama pani za to zapłaciła, my tylko dostarczamy zakup. Gdzie mamy go postawić?

We trzech ledwie wtaszczyli mój zakup do saloniku. Nawet nie był specjalnie duży, ale za to nadzwyczaj ciężki. Charlie przyglądał się w milczeniu, jak posłańcy ściągają z przesyłki zielony brezent.

- Cudowne - mruknęła Naomi. - Tylko co to jest, do pioruna?!

Nawet nie pamiętałam, że kupiłam właśnie tę rzeźbę. Składała się z paru luźnych elementów jakiejś maszynierii, zestawionych ze sobą pod dziwnymi kątami i przymocowanych do postumentu. Wyglądała po prostu paskudnie i była zdecydowanie za duża do naszego pokoju. Charlie nie odzywał się aż do chwili, gdy drzwi zamknęły się za czterema posłańcami.

- Co to ma być? - zapytał.

Zwróciłam uwagę, że mimowolnie kurczowo zaciska pięści.

- Nie wiem, co mi strzeliło do głowy - odparłam swobodnie. - Rety!...

Wyjął mi z ręki kopię faktury, którą podpisałam, spojrzał na nią i jęknął:

- Matko Boska, Holly...

- Ile? - zapytałam wprost.

- Mam rozumieć, że nawet tego nie wiesz?

- I tak zamierzam to zwrócić.

- Oczywiście, że zwrócisz to pieprzone dzieło sztuki. A w każdym razie spróbujesz. Sama słyszałaś, że nie chcieli tego zabrać. Ja też bym nie chciał. Wyjaśnij mi, co cię podkusiło, żeby kupić coś takiego?! Co ci strzeliło do głowy?!

- Sądziłam, że będzie zabawnie... - Prychnęłam głośno na potwierdzenie tych słów. - Poza tym to chyba niezła inwestycja. Kto wie?

Charlie aż pobladł z wściekłości. Kopia faktury zatrzepotała w jego dłoni, jakby zerwał się porywisty wiatr. Ledwie zdołał z siebie wykrztusić:

- Mamy niespłacone dziewięćdziesiąt procent kredytu hipotecznego. Złożyliśmy fałszywe oświadczenia o dochodach, żeby go uzyskać. Naprawdę nie rozumiem...

Wszyscy utkwiliśmy wzrok w dziwacznej rzeźbie stojącej na środku saloniku.

- Chyba lepiej już pójdziemy - bąknęła Meg, ale razem z Naomi stała dalej jak wmurowana.

- Po co to kupiłaś, Holly? Co się z tobą dzieje, do jasnej cholery?! Możesz mi to wreszcie wyjaśnić?!

Jeszcze raz obrzuciłam rzeźbę uważnym spojrzeniem i po raz pierwszy tego dnia zachciało mi się śmiać. Ku memu przerażeniu i wstydowni nie zdołałam się powstrzymać i wybuchnęłam gromkim śmiechem. Co gorsza, za nic nie mogłam przestać.

## 12

Meg nie znosi listopada, nazywa go korytarzem roku, ciasnym i ponurym, który trzeba przemierzyć, chcąc przejść dalej. Tak samo nie znosi lutego. Ciągła szarówka, zimno, zmarznięta ziemia, bezlistne drzewa, do tego krótkie, ponure i przygnębiające dni. Dla mnie takie bzdurne porównania nie miały większego sensu. Uważam, że pory roku są dla rolników i ogrodników. Moim zdaniem liczy się tylko ta pogoda, którą człowiek ma w głowie, a w trzecim tygodniu listopada, niespodziewanie, kiedy ulice były mokre, a powietrze chropowate od deszczu, w mojej świadomości nastąpiła pogoda piękna, słoneczna, z czystym błękitnym niebem. Niekiedy tak się zdarza. Przez długie tygodnie człowiek wlecze się tunelami dni jak ślepy, niemrawy, uwalany ziemią kret, aż tu nagle, ni stąd,

ni zowąd, wylania się na powierzchnię, osłupiały, oślepiiony jaskrawym słońcem.

Rozsunęłam zasłonki, żeby wpuścić poranek do pokoju. Mgła spowijająca miasto rozmywała zarysy sąsiednich budynków i drzew oraz tłumiała odgłosy ruchu ulicznego. Znane otoczenie nagle stało się tajemnicze. Takiego dnia mogło się zdarzyć dosłownie wszystko.

- Obudź się, Charlie. Zrobiłam ci kawę. - Przysiadłam na brzegu łóżka i delikatnie położyłam dłoń na jego ciepłym ramieniu. Nawet się nie poruszył. Potrząsnęłam nim lekko. - Już wpół do ósmej. Mówiłeś, że o ósmej chcesz wyjść.

Wymamrotał coś nieartykułowanego, odsunął się ode mnie i opatulił szczelniej kołdrą, jakby uciekał przede mną w głąb ciepłej i mrocznej, przytulnej jaskini snu.

- Spotkamy się dzisiaj na lunchu? Obiecałam ci coś wyjątkowego.

- Jestem umówiony - bąknął spod kołdry. - Z księgową, a potem z naczelnym grafikiem „Correspondenta”.

Aha, z księgową. Tylko z pozoru brzmiało to niezłe, gdyż chodziło o Tinę, która pomagała Meg w prowadzeniu rachunków „KS”.

- Więc spotkajmy się jeszcze później - zaproponowałam.

Uniósł się na łokciach, wziął ode mnie kubek z gorącą kawą, otoczył go obiema dłońmi i uniósł do nosa, żeby para uderzyła go w twarz.

- Obiecałem już Samowi, że wieczorem pójde z jego paczką na drinka.

- Szkoda - mruknęłam. - Miałam nadzieję, że razem to uczciemy.

- Co? Przecież nie moje urodziny.

- Po prostu ten dzień. Na jaki kolor chciałbyś pomalować ten pokój?

- Słucham?

- Długo o tym myślałam w nocy. I chciałabym zrobić kuchnię na żółto, ale nie w tym obrzydliwym, urzędniczym odcieniu, ma się rozumieć, tylko w ciepłym, pogodnym i apetycznym, a sypialnię w kolorze terakoty, takim jak stare dachówki na domu we włoskim

stylu. Albo szarozieloną. Co o tym sądzisz? Byłby seksowny, a zarazem kojący. Mogę kupić farbę i w sobotę przystąpić do malowania. Albo nawet wcześniej. Mam co najmniej sto dni zaległego urlopu. Załatwiłabym to szybko, nie musiałbyś nawet kiwnąć palcem. Ostatnio parę spraw wymknęło mi się spod kontroli, postanowiłam więc, że muszę się bardziej o ciebie zatroszczyć. Nie cierpię tylko tych wszystkich przygotowań. No, wiesz, opróżniania regałów, rozkładania gazet, czyszczenia listew podłogowych. A później zmywanie plam z farby. Napełnia mnie to taką samą odrazą, jak czytanie instrukcji obsługi. Kiedyś poprzysięgłam sobie, że już nigdy, prze-nigdy nie zajrzę do żadnej instrukcji. Trish powiedziała mi wczoraj, że przed malowaniem powinno się obkleić wszelkie krawędzie taśmą maskującą, żeby uzyskać proste granice kolorów. Ale to chyba ponad moje siły. Czasami odnoszę wrażenie, że Trish powinna zostać zawodowym oficerem w wojsku. Ja zawsze miałam pewną rękę przy malowaniu. - Wyciągnęłam lewą rękę prosto przed siebie. - Sam popatrz. - Nie potrafiłam jednak ukryć wyraźnego drżenia palców. - Ale one nigdy tego nie robiły - dodałam szybko. - Ja przecież też nie zamierzam prowadzić operacji neurochirurgicznej. Jednym niepewnym ruchem mogłabym wykasować człowiekowi wszystkie umiejętności w jakiejś dziedzinie. Może faktycznie piję za dużo kawy. Albo za mało. Powinnam zrezygnować z kofeiny?

Charlie nie odzywał się przez dłuższy czas, wreszcie zapytał niepewnie:

- Na żółto?
- Co na żółto?
- Staralem się nadążyć za twoimi wyjaśnieniami, ale utknąłem już na samym początku. Ile ty możesz mówić bez przerwy, nie czekając na reakcję słuchającego?
- Co? Och, wybacz. Może lepiej przygotuję ci tosta. Z marmoladą? Mogłabym też wyprasować ci koszulę...
- Kłamczucha - syknął.

Zachichotałam. Ale niewinny chichot przerodził się nieoczekiwanie w dziwny pogardliwy rechot, od którego nie mogłam się powstrzymać.

Charlie spuścił nogi na podłogę, wstał, wyprostował się i stanął przede mną całkiem nagi. Podniosłam szybko rękę i przyłożyłam dłoń do ciepłego i miłego zagłębienia jego szyi.

- Jeśli zamierzasz jeszcze biegać, możesz się spóźnić...
- Dzisiaj zrezygnuję z joggingu.
- Tak, lepiej to odłożyć na kiedy indziej.

Wkładał już marynarkę, gdy rozległa się melodyjka wywoławcza jego aparatu komórkowego tkwiącego w kieszeni.

- Słucham - rzucił do mikrofonu, włączywszy telefon. - Tak? Nie, może być o ósmej. Oczywiście, że będę... - Na jego ustach rozlał się błogi uśmiech, będący jawnym dowodem, że rozmawia z kobietą. Przełożył aparat do drugiej ręki i odwrócił się do mnie bokiem. - Na pewno się nie spóźnię...

Odniosłam nagle wrażenie, że spoglądam na nieznanego mężczyznę, bardzo przystojnego, z drobnymi kurzymi łapkami zmarszczek w kącikach oczu.

- Kto aż tak się boi, że się spóźnisz? - zapytałam, gdy wsunął telefon do kieszeni i przystąpił do układania węzła krawata przed lustrem.

- Nikt. Sam i jego kumple...
- Możesz do woli flirtować, ale nie masz prawa w nikim się zakochiwać - wypaliłam bez zastanowienia, nie zdążywszy ugryźć się w język.

Poczułam się jak rażona gromem na brzmienie tych słów. Jak mogłam mówić mu coś takiego po tym, co sama zrobiłam? Jakie miałam prawo, żeby się interesować, czy nie pochyli się dziś nad stolikiem w restauracji, żeby zająrzeć jakiejś kobiecie w oczy, gdy sama wcześniej spędziłam noc z obcym, pozwalając mu się całować, obściskiwac, obmacywać, a w końcu zaciągnąć do łóżka?

- O nic się nie martw - odparł Charlie. - W końcu jestem żona ty. Zapomniałaś?

- Nie zapomniałam. - Lekko roztrzęsionymi palcami poprawiłam mu kołnierzyk koszuli. - Miłego dnia.

\*

Byłam zanadto podminowana, żeby wziąć się do pracy. W porze lunchu spędziłam parę godzin w gigantycznym supermarkecie budowlanym niedaleko mojego biura, usiłując dobrać farbę. Działały mi na nerwy wymyślne nazwy: „jaskółcza żółcień”, „srebrzysty len”, „osad Tamizy”, „lodowa szarość”, „lukrecja” czy „korzenie”. Ostatecznie kupiłam pięć litrów ciemnej, pomarańczowoczerwonej farby o nazwie „lisi brąz” i pięć litrów „żółci musztardowej” oraz trzy wąskie pędzle z czarnymi rączkami, gruby, średni i cienki, do tego plastikową tackę malarską, sześć arkuszy drobnego papieru ściernego i butelkę denaturatu. Przez całe popołudnie, zarówno w czasie zebrania, jak i cotygodniowej burzy mózgów nad nowymi pomysłami, w wyobraźni widziałam już siebie przed gładką, przygotowaną do malowania ścianą z pędzlem ociekającym żółtą farbą. Uwielbiałam te pierwsze pociągnięcia, po których smugi świeżego koloru rozlewały się w pustce.

Krótko po szóstej Stuart zadzwonił pod numer mojej komórki. W tle słychać było gwar męskich głosów. Czyżby całe życie spędzał w barach? Nie widziałam się z nim od tamtego wieczoru, który również zaliczyłam do tych wartych szybkiego zapomnienia. Galeria „Oryx” wykazywała się zadziwiającą odpornością na mój pomysł - a raczej błagalną prośbę - zwrotu kupionej rzeźby stojącej teraz w naszej sypialni, gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć, jakby była pomnikiem czegoś wstydliwego. Charlie już stłukł sobie palucha o jej postument, a ja zdążyłam rozerwać jedną z moich ulubionych sukienek, gdy zaczęłam o jakiś wystający ostry element.

Stuart zostawił dwie wiadomości - pierwszą jeszcze na trzeźwo, drugą już po pijanemu - i choć sama sobie obiecywałam, że do niego oddzwonię, za nic nie potrafiłam się do tego zmusić. Należał do tej specyficznej klasy mężczyzn, których się nawet dość lubi, którzy są dość interesujący i przystojni, a jednak na swój sposób odpychający. Strasznie dużo gadał, nawet nie potrafiłam sobie dokładnie przypomnieć o czym. No i bardzo dużo pił. A pod wpływem alkoholu jego słowa zmieniały się w rwący strumień, który groził zatopieniem.



- Holly! - wykrzyknął teraz radośnie. - Tu Stuart. Ten sam, od którego uciekłaś i któremu nie odpowiadasz na telefony. Nie mam ci tego za złe.

Znowu wstawiony, przemknęło mi przez myśl.

- Cześć, Stuart.

- Co porabiasz?

- Tak w ogóle?

- Przez parę najbliższych godzin.

Otworzyłam już usta, żeby powiedzieć, że jestem zajęta, bo choć naprawdę wcale nie byłam zajęta, to czułam się zmęczona. Charlie wychodził na cały wieczór. Jak mogłam się domyślać, z jakąś kobietą. A ja nie miałam żadnych planów. W gruncie rzeczy nawet nie byłam za bardzo zmęczona. Tylko podminowana, jak zwykle. Jak kobieta poszukująca przygody.

- Czemu pytasz?

- Wybieram się do przyjaciela na partyjkę pokera. Będzie nas chyba sześciu i pomyślałem, że byłoby świetnie, gdybyś zgodziła się pójść ze mną.

- Nie grałam w pokera od ukończenia college'u. Umieć grać tylko w tysiąca i kierki, poza tym znam parę pasjansów, nic więcej.

- Nie sądzę, byś znalazła chętnych do tysiąca. Ale przecież nie musisz wcale grać. Możesz się przyglądać rozgrywce, popijać whisky i puszczać kółka z dymu.

- To brzmi po prostu fantastycznie - odparłam. - Nie ma nic bardziej zabawnego, jak przyglądanie się sześciu facetom, którzy przez cały wieczór grają w pokera.

- Więc mogę na ciebie liczyć? - zapytał entuzjastycznie. - Wspaniale. Za godzinę przyjadę po ciebie pod twoje biuro.

I od razu się rozłączył.

- Czemu nie? - rzuciłam na głos.

Zauważyłam, że Meg przygląda mi się uważnie zza biurka, toteż szybko odwróciłam głowę. W końcu naprawdę nie była moją matką, a poza tym miałam tylko pokibicować facetom grającym w pokera. Czy to coś złego? Wstałam i poszłam do toalety, gdzie przed lustrem

umalowałam sobie wargi czerwoną szminką. Potem upięłam włosy w elegancki kok i aż uniosłam brwi, spoglądając na swoje odbicie w lustrze. Chciałam wyglądać jak *femme fatale* z filmu *noir* z lat czterdziestych, stojąca na szczycie tonących w półmroku schodów, z głębokimi cieniami na twarzy. Żałowałam, że nie mam wysokich szpilek i krótkiej obcisłej spódniczki, bo to ułatwiłoby mi nonszalanckie wzruszenie ramionami nawet w skrajnie groźnej sytuacji.

## 13

Wpakowałam puszki z farbą pod tylne siedzenie taksówki i wgramoliłam się do środka. Kiedy dzisiaj wspominam tamten wieczór, są to moje ostatnie logiczne i sekwencyjne wspomnienia. Pojechałam taksówką ze Stuartem i jego przyjacielem, Fergusiem. Stuart był bardzo uprzejmy, ale podejrzliwy. Chyba całkiem zaskoczyła go moja zgoda, choć powinien przecież pamiętać naszą wspólną wizytę w galerii, która zakończyła się całkiem niespodziewanym zwrotem. W półmroku wypełniającej taksówkę nawet nie mogłam się lepiej przyjrzeć Fergusowi, zwróciłam tylko uwagę, że jest szczupły, wręcz wychudzony, patykowaty i kościsty.

Kiedy wyciągnął w moją stronę paczkę papierosów, poczęstowałam się. Nagle w blasku płomyka zapalniczki dostrzegłam jego trupią twarz. Przez chwilę miałam ochotę poprosić kierowcę, żeby się zatrzymał i pozwolił mi wysiąść. Ale był to jedynie chwilowy impuls, który minął bezpowrotnie, a raczej zniknął pod powierzchnią mojej świadomości. Niemalże czułam, jak zanurza się coraz głębiej i głębiej.

- Dokąd jedziemy? - zapytałam.
- Do Wandsworth.
- Nigdy tam nie byłam.

Od tamtego momentu reszta wieczoru przypomina mi stary film odtwarzany ze zniszczonej, pociętej i byle jak posklejanej taśmy.

Dźwięk pojawia się i zanika, sekwencje obrazów są albo czarno-białe, albo odtwarzane z niewłaściwą prędkością, obraz się zamazuje, brak całych epizodów. Z domu pamiętam tylko oderwane szczegóły: olbrzymi plazmowy telewizor, skórzaną sofę, wiszący na ścianie tandetny plakat „o gustownie erotycznym wyrazie”, przedstawiający kobietę zsuwającą pończochę z długiej białej nogi i obserwującego ją z cienia mężczyznę. Wysoka lodówka w kuchni miała błyszczącą stalową obudowę.

Grupa mężczyzn już tam jest, pięciu, popijających szkocką. Wszyscy w garniturach, ale bez krawatów, z jednym wyjątkiem. Gruby facet o nalanej, błyszczącej od potu twarzy jest w krawacie. To jego dom i jego partia pokera. Dwóch młodszych rozmawia głośno. Jeden to Fergus. Drugi ma na imię Tony. Stuart opowiedział mi o nim jeszcze w taksówce. Kieruje firmą budowlaną, lecz mówiąc o tym, Stuart puścił do mnie oko i dodał, że Tony prowadzi także inne interesy.

- Mam rozumieć, że nielegalne? - zdziwiłam się.

Zaśmiał się krótko.

- Tony niezupełnie operuje normalnymi kanałami - odparł.

Nie mam wątpliwości, że zależy mu na tym, bym wiedziała, że zna ludzi w rodzaju Tony'ego. Przedstawia nas sobie nazbyt hałaśliwie, Tony ściska mi dłoń w milczeniu. Jest wysoki i barczysty, a dłoń ma wielką i szorstką. Przez dłuższą chwilę obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem. Jestem jedyną kobietą w tym towarzystwie. Ogarnia mnie podniecenie tą swoistą ucieczką do całkiem innego świata, w którym rozgrywają się różne rzeczy.

Mężczyźni grają w pokera. Na stole nie ma pieniędzy, tylko jaszkrawe wielobarwne żetony w stosikach. Stoję nad głową Tony'ego. W rękę trzymam szklaneczkę z drinkiem, w którym pobrzękuje kostki lodu. Obchodzę powoli stół, zaglądając wszystkim w karty. Podoba mi się to. Stłumiony pomruk licytacji, skupienie rysujące

się na pomarszczonych czołach, rozmowy techniczne. Wracają odległe wspomnienia. Znam tę grę. Kiedyś całkiem niezłe sobie w niej radziłam.

Stuart siedzi naprzeciwko. Mówi, żebym podeszła i przyniosła mu szczęście. Odpowiadam, że doskonale widzę sytuację ze swojego miejsca. Odzywa się do mnie wyjątkowo zaborczym tonem. Jeśli ktokolwiek przy stole sądzi, że jestem z nim związana, to on nie robi niczego, by zaprzeczyć. Mówi za to, że wyglądam jak dziewczyna gangstera. Mnie samą wcześniej opadły podobne myśli, co przyjął z lekkim rozbawieniem, lecz gdy teraz podobna uwaga pada na głos, wcale nie wydaje mi się zabawna.

Dzwoni telefon komórkowy. Tony odchodzi od stołu. Jakaś sprawa wymaga jego pełnego skupienia.

Wpatruję się w opustoszałe miejsce przy stole. Szybko przestaje być puste, bo ja je zajmuję. I wchodzę do gry. Stuart spogląda na mnie podejrzliwie. Mówi, że skoro podobno nie umiem grać w pokera, to czy nie byłoby lepiej, gdybym pozostała biernym obserwatorem rozgrywki? Coraz bardziej upodabnia się do pozostałych graczy, nie zostało w nim już nic z tego wrażliwego faceta, z którym przegadałam do późnej nocy w Oxfordshire. Początkowo biorę więc na wstrzymanie, wpatrując się z uwagą w dwie królowe, które trzymam w ręku. Zdobędę się na odwagę i przystąpię do licytacji? A jeśli tak, to ile powinnam postawić? Stuart mówi coś jeszcze, czego dobrze nie słyszę, a na co wszyscy mężczyźni wybuchają gromkim śmiechem. Zaczyna powoli relacjonować historię mojego zakupu niezwyklej rzeźby i tym samym pomaga mi podjąć decyzję, a nawet skłania do pośpiechu. Mężczyźni znów śmieją się w głos. Czuję, że policzki mi czerwienieją.

To i tak lepsze od przedwczesnego wytrysku, mówię, zerkając z ukosa na Stuarda. W końcu sam tak tłumaczyłeś. Pozostali uważają, że to szalenie zabawne. Ryczą na całe gardło, wskazując palcami Stuarda, który milczy jak zakłęty.

Coś mnie ściska w dołku. To fakt, że odplaciłam mu z nawiązką, ale chyba przesadziłam. Sięgam po stojącą najbliższą szklanekę i jednym haustem dopijam znajdujący się w niej trunek. Przeszywa mnie silny dreszcz, niczym wstrząs elektryczny. Ale czuję się już lepiej. Czuję się bardziej obojętna.

Wszystko jest takie proste. Dostaję własną stertę kolorowych żetonów, które starannie układam przed sobą. Idzie mi wyśmienicie. Odrzucam trzy karty i dostaję trzecią królową. Wygrywam rozdanie. Mój stosik żetonów robi się znacznie większy, ich kolumny zaczynają się chylić na wszystkie strony. Później, choć nie umiem powiedzieć, po jakim czasie, znów dostaję trójkę. Ale tym razem nie wygrywam. Ktoś ma lepsze karty. Wszystkie moje żetony znikają.

Gram i nagle przestaję. Stuarta już nie ma przy stole. Nie ma go nigdzie. Siedzę na skórzanej sofie. Ten wieczór wydaje mi się doskonałym dowcipem. Byłam dziewczyną gangstera, flirtowałam, paliłam i piłam, czepiając się ramion mężczyzn, którzy grali w karty. I oto nagle zmieniłam rolę. Stałam się niegrzeczną młodszą siostrzyczką, która dołączyła do niegrzecznych chłopców, żeby też się pobawić ich zabawkami. Żart staje się wyśmienity, coraz bardziej zabawny, jak w dzieciństwie, kiedy mnie i koleżankę coś rozbawiło i wspólny chichot przeradzał się w zaraźliwy, niepowstrzymany śmiech, aż nabrałam przeświadczenia, że będę się tak śmiać już do końca życia, dopóki nie umrę z tego śmiechu. I nawet gdy zaczęło mnie wszystko boleć, bałam się przestać śmiać. Teraz siedzę na obitej skórą sofie, która nieprzyjemnie lepi się do moich gołych nóg, i opróżniam kolejnego drinka, topiąc w nim przecucie, że nie wszystko w tej sytuacji jest tak zabawne, jak mi się zdaje. Przede wszystkim nie znam tych ludzi, nie wiem, jak wrócić do domu, bo chyba nie mam już przy sobie żadnych pieniędzy. O, właśnie. Pieniądze. Nie mogę zapomnieć sumy, którą ktoś wymienił po kilku nieudanych dla mnie rozdaniach. Dziewięć tysięcy funtów. Tyle jestem winna. To przecież nie w porządku. To tylko głupia gra w karty. Przyszłam tu jako osoba towarzysząca Stuartowi.

Piję zatem, żeby całkowicie się znieczulić. Ktoś częstuje mnie papierosem i podaje ogień. Głęboko zaciągam się dymem. Świat coraz bardziej zamazuje mi się przed oczami. Przypominam sobie o kupionych pojemnikach z farbą. Co ja z nimi zrobiłam?

Od dzieciństwa ściągam na siebie różne nieszczęścia. Tłukę szklanki, wpadam na meble. Jeśli obieram jarzyny, których sama prawie nie jadam, jest niemal pewne, że rozetnę sobie palec. Jestem więc oswojona ze środkami opatrunkowymi, gabinetami zabiegowymi i fotelami dentystycznymi. Najgorsze w pigułkach przeciwbólowych jest to, że wcale nie łagodzą bólu. Tylko go lekko tłumią i zsuwają na bok, żeby tak bardzo nie dawał o sobie znać. Odczuwa się nawet, jak ból powoli schodzi na plan drugi, lecz wcale nie znika. Na tej samej zasadzie zdawałam sobie sprawę, że istnieje jakaś cząstka mojej świadomości, która wcale się tak dobrze nie bawiła, toteż gdy wieczór dobiegnie końca, jej zdanie przeważa nad opinią reszty.

Tony pochyla się nade mną.

- Wszystko w porządku?

Tylko gapię się na niego.

- Musimy już iść - mówi. - Gra skończona. - Bierze mnie pod ramię, podnosi z sofy i wyprowadza z pokoju. - Odwiozę cię - dodaje.

- Moja farba - odpowiadam. - Muszę zabrać puszki z farbą.

- Daj sobie z nimi spokój.

## 14

- Dokąd?

Tępo gapię się na niego. Jak to dokąd? A dokąd miałabym teraz jechać? Spoglądam w bok. Jest jeszcze ciemno, chociaż nad wschodnim horyzontem niebo już lekko szarzeje. Ulica za oknem

jest pusta, wyludniona, tylko z szyby samochodu gapi się na mnie moje własne odbicie. Zgarniam włosy za uszy i obciążam spódnicę na kolana.

- Gdzie mieszkasz?

- Nie chcę wracać do domu - odpowiadam. - Wolę jechać do Meg. Tak, do Meg.

- Więc gdzie mieszka ta Meg? - pyta cierpliwie Tony.

- Och, przepraszam... Przy Ventura Street. To niedaleko Marylebone Road. Musisz...

- Znam tamtą okolicę. Kiedyś tam pracowałem.

- A teraz gdzie pracujesz?

- Na placu budowy przy Tate Modern. Nic ci to nie mówi, prawda?

- Nie bardzo.

- Na tylnym siedzeniu jest koc.

- Koc?

- Trzęsiesz się z zimna. Lepiej się nim okryj.

Dalej jechaliśmy w milczeniu i po kilku minutach przejechaliśmy przez rzekę. Mercedes Tony'ego zdaje się płynąć po ulicach jak łódź po gładkiej tafli wody, snopy światel wyławiają z mroku wystawione na chodnikach pękate czarne worki foliowe ze śmieciami, nad którymi bezlistne drzewa trzęsą się jak starcy, przycupniętego czarnego kota niknącego w zaułku, idącego powoli człowieka w grubym palcie. Stopniowo pojawia się ruch na ulicach, nawet bardziej wzmożony, niżbym przypuszczała. Od czasu do czasu zamykam oczy, ale gdy to robię, ogarnia mnie wrażenie, jakbym stała nad grobem, a całe życie przelatywało mi przez głowę, więc zaraz je otwieram i patrzę przed siebie, na to upiorne miasto pędzące na wprost i mijające mnie błyskawicznie, toteż przenoszę wzrok na Tony'ego prowadzącego auto, papieros zwisa mu z kącika ust.

- Dalej będziesz musiała mnie poprowadzić.

Kiedy zatrzymał się przed domem, miałam ochotę wyskoczyć z samochodu i oddalić się bez słowa, pomyślałam jednak, że muszę coś powiedzieć.

- Gdy wyszedłeś z pokoju... Nie powinnam była włączyć się do

gry zamiast ciebie. Nawet nie pamiętam, jak i za ile grałam. Ale trochę pieniędzy straciłam. Nawet sporo.

Przypała następnego papierosa.

- Owszem. Słyszałem.

- Popeliłam wielki błąd. - Zamilkłam, ale się nie odezwał. Zapytałam więc: - Co mam zrobić?

Zaciąga się dymem, wydmuchuje go delikatnie przed siebie i mówi:

- Zapłacić.

- Nie jestem pewna, czy dam radę zebrać tyle forsy.

- Zawsze jest jakiś sposób na zdobycie pieniędzy.

- I nie wiem, komu miałabym ją przekazać.

- Vic skontaktuje się z tobą. Jak nie on, to ktoś inny.

Myślałam, że jakimś cudem wybawi mnie z opresji. Wsiadłam z samochodu. Wydawało mi się, że wilgoć z mokrego chodnika natychmiast przemoczyła mi buty. Tony zaczekał, aż zadzwonię do drzwi. Po minucie powtórnie nacisnęłam dzwonek. Zza drzwi doleciało szuranie stóp i brzęk zakładanego łańcucha. Wreszcie w szparze pojawiła się zaspana twarz.

- Meg... - zaczęłam.

- Holly? Co się stało, do diabła?

- Mogę wejść?

- Tak, oczywiście.

Znów zadzwonił łańcuch, metalicznie stuknął bolec w gnieździe i po chwili drzwi otworzyły się szerzej. Meg ścisnęła pod szyją luźne poły grubego szarego szlafroka.

- Co się stało, do cholery? - syknęła, wbijając przenikliwe spojrzenie w moją twarz. - Na pewno nic ci nie jest? Co się dzieje?

Odwróciłam się i pomachałam ręką Tony'emu. Skinął głową i szybko odjechał z cichym mruzeniem silnika.

- Ach, rozumiem - mruknęła Meg, robiąc obrażoną minę.

- Wejdzmy do środka - powiedziałam. Kiedy ruszyła w stronę schodów, nienaturalnie wyprostowana, z dumnie uniesioną głową, odezwałam się do jej pleców: - Przepraszam, że cię obudziłam. Nie chciałam wracać bezpośrednio do domu.



- Rozumiem - syknęła lodowatym tonem, od którego naszła mnie myśl, żeby usiąść na schodach i ze wstydu ukryć twarz w dłoniach.

- Parę spraw mi się trochę skomplikowało - rzekłam, gdy weszliśmy do jej przytulnego, dobrze mi znanego mieszkania.

- Zaparzę kawę. Potem porozmawiamy.

- Nie mam siły o tym rozmawiać. Jestem zbyt zmęczona.

Meg potarła oczy i przeciągnęła dłonią po rozczochranych włosach.

- Weź kąpiel - zaproponowała.

- Wpakowałam się w niezłe kłopoty, Meg.

- Wiem.

Zdrętwiałam cała, aż po czubki palców u nóg. Co to znaczy, że ona wie? Niby skąd? Nie mogłam dłużej znieść jej przenikliwego spojrzenia. W ogóle nie chciałam, by ktokolwiek teraz na mnie patrzył. Ale nie mogłam uniknąć ludzkich spojrzeń, niezależnie od tego, gdzie bym poszła, a więc nie mogłam ukryć przed nimi ani siebie, ani swoich brudnych sekretów i wstydu.

- Dobrze, wezmę kąpiel - odparłam cicho i powlokłam się do łazienki, w której przyjemnie szumiał termowentylator.

Wymoczyłam się pod gorącym prysznicem, po czym włożyłam czarne sztruksy i miękką różową bluzkę, którą kupiłam Meg na ostatnie urodziny. Znalazła nawet nieużywaną zapasową szczoteczkę trzymaną na wypadek podróży, i dała mi ją, żebym mogła umyć zęby. Nie miałam odwagi spojrzeć na swoje odbicie w lustrze. Bałam się go, a konkretnie, świdrującego spojrzenia własnych oczu. Stałam więc usztywniona, jakby zbierało mi się na wymioty, czekając, aż przerażenie na dobre się zakorzeni, rozwinie i zakwitnie w głębi mojej prywatnej ciemności.

- Kawa dla ciebie - powiedziała Meg.

Próbowałam wziąć od niej kubek, ale ręce tak mi się trzęsły, że wychlapałam parę kropli, toteż szybko odstawiłam kubek, pochyliłam się nad nim i siorbnęłam kilka łyków jak spragniony pies z miski.

- Chcesz coś zjeść?

- Nie, dzięki. Niczego bym nie przełknęła.

W takiej chwili byłam przeświadczona, że już nigdy nie wezmę do ust żadnego pożywienia. Miałam ochotę się głodzić w ramach pokuty, dopóki nie stanę się czysta i niewinna niczym noworodek, jeszcze nieskażony, nieskalany przez życie.

- No więc? - zagadnęła Meg, opierając brodę na pięści i wpatrując się we mnie z uwagą.

- Zachowałam się jak idiotka.

- Mówisz o tym facecie?

- Nie, on tylko mnie podwiózł.

Meg uniosła wysoko brwi, ale nic nie powiedziała. Najwyraźniej dążyła do tego, żebym sama się przed nią wygadała, opowiedziała o wszystkim.

- Nie mogę - odparłam. - Przepraszam. Muszę najpierw porozmawiać z Charliem. On pierwszy powinien się o wszystkim dowiedzieć. Zadzwońię po taksówkę i zaaranżuję nasze spotkanie.

Skinęła głową.

- Tak będzie chyba najlepiej.

Miałam już na końcu języka dziecinną prośbę: „Bądź dalej moją przyjaciółką”. Ale gdy spojrzałam w jej zasępione, mroczne oblicze, uzmysłowiłam sobie, że Meg jest tak dorosła, poważna i poukładana życiowo, tak obce są jej moje idiotyczne, obrzydliwe kłopoty, że aż straciłam nagle wiarę, iż kiedykolwiek byliśmy serdecznymi przyjaciółkami i współpracownikami, nawzajem chwytającymi w lot swoje pomysły i rozumiejącymi się bez słów. To brzmiało jak bajka.

- Przepraszam - szepnęłam zawstydzona. - Wybacz mi, Meg.

Na dłużej zapadła cisza przerywana jedynie moim urywanym chrapliwym oddechem. Spojrzałam w dół, na swoje palce zaciśnięte kurczowo na brzegu różowej bluzki, i zobaczyłam ze zdumieniem, że przebiłam tkaninę paznokciami, nie mając bladego pojęcia, kiedy i jak to zrobiłam. Cierpliwie czekałam na jakąkolwiek reakcję, myśląc: „Nie ma nawet światełka w tym tunelu, jest tylko nieprzenikniony mrok, z którego wypadają prosto na mnie różne rzeczy”.

Wreszcie Meg podniosła głowę, spojrzała mi w oczy i powiedziała:

- Nie dam rady tak dłużej.

Jej głos zabrzmiał straszliwie twardo, jakby zawierał kły i pazury. Ale świetnie pasował do marsowej miny.

- Czego nie dasz rady dłużej? - zapytałam gardłowo, chrapliwie, jak wrona siedząca na czubku wysokiego drzewa.

- Znosić w milczeniu twojego postępowania. Myślisz, że nie mam w życiu nic lepszego do roboty niż tylko sprzątać bałagan po tobie?

- Nie rozumiem, o co ci...

- Czy kiedykolwiek choć przez chwilę pomyślałaś o mnie? Albo o Charliem? O kimkolwiek poza sobą? Nawet nie próbuj szukać odpowiedzi, bo jest jasne, że nie pomyślałaś. Wydaje ci się, że cały świat kręci się wokół ciebie i twoich kretyńskich zachcianek. Myślisz, że jesteś po prostu wspaniała, prawda?

- Prawdę mówiąc, w takiej chwili...

- Z tymi swoimi długimi włosami i wielkimi oczami, myślisz, że jak tylko zatrzepoczesz rzęsami, wszyscy natychmiast rzucą się, żeby ci pomagać, prawda? Żeby wybawiać cię z kłopotów i natychmiast wybaczać, kiedy ich zawiedziesz? Bo ty przecież nie chciałaś, prawda?! Po prostu cię poniosło, zadziałałaś impulsywnie, czy nie tak?! Spontanicznie i bezmyślnie, bo tak to zapewne sobie tłumaczysz?!

- Przepraszam.

- Jak sądzisz, co to oznacza dla mnie? Ty zawsze grasz główną rolę, zawsze jesteś w centrum uwagi, a dobra stara Meg wiecznie czuwa na zapleczu, przez nikogo niezauważona, i wiecznie zbiera śmieci, żeby wszystko dalej szło gładko i bez zgrzytów.

Nagle dała upust wszelkim żalom, jakie skrywała w sercu. Wiedziałem, że mogę i powinnam stanowczo zareagować. Prawie od roku pracowałam po dwadzieścia godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu. Staralam się, jak mogłam, ściągałam klientów i ugadywałam ich. Teraz jednak byłam zbyt zmęczona, żeby odpowiedzieć,

jakby przestało mieć to dla mnie znaczenie. Tymczasem Meg wypływała na coraz szersze wody.

- Powinnaś przyjrzeć się sobie uważnie, Holly. Szlajasz się przy każdej okazji, bo masz ku temu skłonności, a potem trzeba kombinować, jak sobie radzić z konsekwencjami. Chodzisz do łóżka z facetami, którzy później wydzwanają do biura i nie dają nam spokoju. Próbując oczarować potencjalnych klientów, często ich obrażasz. Zасыpiasz, czy to przy biurku, czy w toalecie, bo nie myślisz, że nikt tego nie zauważył, a potem znów hulasz przez całą noc. Jesteś jak małe dziecko. Robisz awantury o różne zabawki, które wpadną ci w oko, ale pozbywasz się ich natychmiast, gdy tylko ci się znudzą. Tak samo próbujesz oszukiwać Charliego.

- Z Charliem sama sobie poradzę - odparłam ociężale. - Nie myśl, że tylko dlatego... - Urwałam nagle i aż zasłoniłam sobie dłonią usta, żeby powstrzymać słowa cisnące się na język.

- No? Dlatego że co? Gadaj! Dobrze wiem, co chciałaś powiedzieć. Tylko dlatego, że kiedyś miałam na niego ochotę... Rzeczywiście miałam. To prawda i świetnie o tym wiesz. Ale on wybrał ciebie, bo faceci zawsze wolą takie jak ty, prawda?

- Wcale nie chciałam tego powiedzieć - zaproponowałam nieśmiało, bo nagle cała złość we mnie wygasła. Ze szczerą konsternacją obrzuciłam spojrzeniem pobladłą twarz Meg, jej rozczochrane włosy i pocięte zmarszczkami nachmurzone czoło.

- Czy kiedykolwiek pomyślałaś o mnie, Holly?

- O tobie?

- Tak, o mnie. Zauważyłaś, że chodzę ostatnio przygnębiona? Że moje życie wcale nie jest takie, jak zaplanowałam? Że jestem po prostu zazdrosna? Nie, oczywiście, że nie zauważyłaś, bo jesteś tak pochłonięta własnymi wyczynami, że nawet nie masz okazji zauważyć przy sobie innych, zwyczajnych ludzi, niebędących aktorami w twoim dramacie.

- Nieprawda.

Wstała i ciałniej zawiązując pasek szlafroka, oznajmiła:

- Teraz ja idę do kąpieli, o ile nie zużyłaś całej ciepłej wody. A potem zamierzam przystąpić do realizacji swoich planów na ten dzień. Więc bądź uprzejma zadzwonić po taksówkę i wynieść się stąd.

Zjawiłam się przed czasem, toteż miałam okazję przyglądać się, jak idzie w moim kierunku. Umówiliśmy się na spotkanie w parku niedaleko naszego domu. Nie od razu mnie spostrzegł, mogłam więc obserwować go przez jakiś czas. Ubrany w grube palto, które razem wybieraliśmy, szedł z nieco spuszczoną głową, choć i tak widać było jego minę, poważną, wręcz zasepioną. Kiedy indziej zapytałabym, nad czym się tak zamyślił. Dziś jednak wiedziałam, znałam przyczynę jego zacisniętych ust i zmarszczonych brwi. Byłam nią ja.

Kiedy mnie zauważył, rozpogodził się trochę i wepchnął ręce głębiej w kieszenie palta.

- Dzięki, że zgodziłeś się na to spotkanie - zaczęłam.
- Nie ma sprawy.

Poszliśmy dalej razem przez zaskakująco mały park. Odchrząknęłam raz i drugi, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

- Przyjemną miałaś noc? - zapytał w końcu cicho.
- Nie.
- Spędziłaś ją z kimś?

- Nie. - Westchnęłam głośno. Pierwsze krople deszczu spadły mi na twarz. - Ty wyszedłeś na cały wieczór, więc ja również wyszłam, zaprosił mnie facet o imieniu Stuart, mój klient. Nie była to randka ani nic w tym rodzaju. To z nim byłam jakiś czas temu w galerii sztuki, ale on dla mnie nic nie znaczy. Jest głupi. Czasami powinnam wybrać samotność zamiast takiego towarzystwa. Kiedy jestem w jakiejś grupie, często odnoszę wrażenie, że zaraz zwariuję, szlag mnie trafi na miejscu, jeśli nie uwolnię się od tych ludzi, ale gdy zostaję sama, czuję się jeszcze gorzej. Może nie umiem tego dobrze wytłumaczyć, bo nawet nie wiem, od czego zacząć...

- Może zacznij od znajomości z Reesem. Zdaje się, że tak miał na imię, prawda?

Zmroziło mnie aż do szpiku kości.

- Z Reesem? - zapytałam. - A co on ma do rzeczy?
- Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć.
- On też się nie liczy.
- Chcesz powiedzieć, że nie liczy się dla ciebie tak samo, jak i Stuart?

- Nie, chcę powiedzieć, że on nie ma nic wspólnego z tym, co się stało, chociaż, oczywiście, byłam z nim, ale równie dobrze na jego miejscu mógłby się znaleźć ktoś inny. Chcę powiedzieć... - Nerwowo przeciągnęłam ręką po twarzy. Nie potrafiłam się pozbyć. Bardzo mi zależało, żeby opowiedzieć o wszystkim jasno i szczerze, żeby wyznać wszelkie moje grzeszki i potknięcia, ale słowa płątały mi się w głowie, supłały jak pęk sprężystych linek i w ogóle nie chciały przejść przez gardło. Po chwili zapytałam głupio: - Skąd wiesz o Reesie?

- Zadzwoił do mnie - odparł Charlie i po raz pierwszy wyłowiłam dziwne załamanie jego głosu. Nie potrafiłam tylko ocenić, czy to efekt żalu, złości, czy może wręcz pogardy.

- Och, Boże, Charlie, tak mi przykro. Wybacz. Co ci powiedział?

- Pierwszy raz zadzwonił pod numer mojej komórki. Nie wiesz, skąd go miał? - Wymamrotałam coś niezrozumiałego, ale on ciągnął, nie zwróciwszy na to uwagi: - Zapytał, czy wiem, jak się zabawiasz. Pomyślałam, że to jakiś wariat, którego na przykład uraziłaś. Wydawało mi się, że w twoim otoczeniu jest co najmniej paru takich facetów. Ale przedwczoraj zadzwonił pod numer domowy. Chciał rozmawiać z tobą, lecz od słowa do słowa wyznał mi w końcu, kim jest.

- To znaczy kim?

- Po raz trzeci zadzwonił wczoraj wieczorem. Nazwał cię tygrysią w owczej skórze. I zapytał, czy na pewno wiem, co w tym momencie porabiasz.

- To musiało być okropne. Obrzydliwe. Powinieneś był mi powiedzieć o tych telefonach.

- Po co? Żebyś na mnie skupiła swoją złość?

Otworzyłam już usta, żeby zareagować, ale Charlie dodał szybko:

- Powiedz mi teraz szczerze. Byłaś w łóżku z innym mężczyzną?

- Tak - odparłam. - Jakiś miesiąc temu. Byłam wtedy bardzo pijana.

- To cię nie tłumaczy.

- Masz rację. Niemniej sprawy wymknęły mi się spod kontroli. Sama nie mogłam uwierzyć, że zrobiłam coś takiego. To było jak zły sen, jak koszmar, jak gdyby na pewien czas ktoś zupełnie inny znalazł się w moim ciele. Później nawet nie mogłam sobie przypomnieć, jak ten facet wyglądał. Jakbym zapadła na krótką gwałtowną chorobę. Miałam ochotę udawać, że nic się nie stało.

Po twarzy Charliego przemknął wyraźny grymas obrzydzenia. Uniosłam rękę, ale cofnął się przed nią, jak gdyby brzydził się nawet mego dotyku. Mogłam to zrozumieć. Sama nie miałam ochoty przebywać dłużej w swoim własnym towarzystwie.

- Tak, wiem - ciągnęłam. - Ale chcę powiedzieć, że był to jednorazowy, głupi, idiotyczny, bezsensowny wyskok. Utrzymałam go w tajemnicy przed tobą, gdyż... świetnie wiedziałam, jak bardzo poczujesz się urażony, a to przecież nie miało żadnego znaczenia. Absolutnie żadnego – powtórzyłam z naciskiem. - A w każdym razie nie oznaczało, że cię już nie Kocham i nie pragnę. Bo dla mnie liczysz się tylko ty. Słyszysz, Charlie?

Spojrzał na mnie ze skrajnym zdumieniem.

- Chyba sama nie wiesz, co gadasz - mruknął.

- Jak mam to rozumieć?

- A niby jak miałbym zareagować na ten stek bzdur, zwyczajne mydlenie oczu?

- Zmienię się - rzuciłam z desperacją w głosie. - Jeśli tylko dasz mi szansę, jeśli mi wybaczysz, poprawię się...

- Wiesz co, Holly? Chyba nie dam rady rozmawiać teraz na ten temat.

- Charlie...

- Byłem taki dumny z ciebie... Dumny z tego, że zgodziłaś się wyjść za mnie.

- Proszę, znów będziesz mógł o tym myśleć z dumą. Proszę...
- A teraz czuję się jak idiota. Nie wiem, co robić. Muszę to wszystko przemyśleć. Muszę przez jakiś czas być sam.
- Tak, oczywiście. To zrozumiałe. Ja tylko... No cóż, będę gotowa w każdej chwili wrócić do tej rozmowy. Dziś zostanę w domu, nie pójdę do pracy. Będę... Po prostu posiedzę w domu. I będę czekała na ciebie. Dobrze?
- Jak sobie chcesz.

Zawrócił do bramy. Spoglądałam za nim, patrzyłam na nisko spuszczoną głowę i poły palta fruujące na porywistym wietrze, dopóki nie zniknął mi z oczu. Dopiero wtedy ruszyłam się z miejsca i usiadłam na ławce.

Kiedy byłam mała, ojciec często zabierał mnie na długie spacer. Ilekroć napotykaliliśmy na swej drodze płot albo mur/ on przeska-kiwał pierwszy, a gdy ja wdrapałam się na szczyt, rozkładał szeroko ręce i kazał mi skakać w swoje objęcia. Ani razu się nie zawahałam. Nawet z bardzo wysokiego ogrodzenia śmiało rzucałam się do przodu, mając absolutną pewność, że mnie złapie. Nazywał mnie wtedy swoją dzikuską, swoją bohaterką. Szybowałam w powietrzu, pewna, że wyląduję bezpiecznie w jego ramionach. Odszedł jednak i gdy teraz podobnie szybowałam w powietrzu, w dole nie było już nikogo, kto by mnie uratował, złapał, nim upadnę.

Po jakimś czasie wstałam. Nie miałam pojęcia, jak długo siedzia-łam na ławce, ale palce zeszywniały mi z zimna.

Pod domem natknęłam się na Naomi, która zapytała, czy mogłaby się wprosić na kawę. W pierwszej chwili chciałam się wykre-ścić, lecz zaraz pomyślałam: czemu nie?

Sięgnęłam do torebki, okazało się jednak, że nie mam klucza od domu. Zaczęłam przetrząsać jej zawartość w nadziei, że się wypiął i leży gdzieś na dnie, ale nie znalazłam.

- Nie cierpię takich sytuacji - syknęłam ze łzami w oczach. - Ciągle gubię klucze. Zresztą nie tylko klucze, także portmonetki, ciemne okulary, telefony komórkowe, parasolki. Dosłownie wszyst-ko.



- Jak mogłaś zgubić ten klucz, skoro masz wszystkie pozostałe na kółku? - zapytała z anielską wyrozumiałością.

- To kółko jest do dupy - warknęłam. - Tylko się przyjrzyj. Nie mam serca, żeby się go pozbyć, tylko dlatego, że używał go mój cholerny ojciec.

- Nie przejmuj się. Zapomniałaś, że ja mam wasz zapasowy klucz? Daliście mi go parę miesięcy temu na wszelki wypadek. Zaraz przyniosę.

Usiadłam na progu. Naomi zjawiła się po paru minutach.

- Proszę. Zatrzymaj go, dopóki nie odnajdziesz swojego.

- Dzięki.

- Chyba że ktoś ci go ukradł.

- Ukradł? - powtórzyłam, starając się zachować obojętny ton. - Skąd ci to przyszło do głowy?

Wzruszyła ramionami, otworzyła drzwi, wpuściła mnie do środka i oddała klucz.

W końcu to ona zaparzyła kawę i jeszcze znalazła paczkę ciastek na dnie wiszącej szafki w kuchni. Oznajmiła, że kiepsko wyglądam, i zmusiła mnie do zjedzenia dwóch polanych czekoladą pełnoziarnistych herbatników, po czym zapytała, co się stało. Wbrew sobie bąknęłam, że nic, że wszystko w porządku, lecz nie zdołałam powstrzymać łez, które spłynęły mi po twarzy. Objęła mnie i przytuliła, otaczając intensywnym zapachem wanilii i jakichś korzeni, chyba gałki muszkatołowej. Na kilka sekund z błogą ulgą zatonąłam w jej bezpiecznych matczynych objęciach.

- Chyba coś piekłaś - powiedziałam przez łzy.

Otarła mi łzy z policzków, serdecznie ścisnęła za rękę i powiedziała, że wszystko na pewno się ułoży.

A potem wyszła. Ja zaś usiadłam znowu przy stole kuchennym. Czekałam na powrót Charliego, nie mając specjalnej nadziei, że wróci do domu. Po jakimś czasie, który wydał mi się wiecznością, spuściłam głowę, przytknęłam policzek do surowego drewna blatu i zamknęłam oczy. Tak bardzo chciałam zasnąć i już nigdy się nie obudzić.

Zawsze miałam wrażenie, że jestem osobą niezastąpioną, która bierze cały ciężar na swe barki, prowadzi firmę, pomaga Charliemu odnaleźć jego artystyczne przeznaczenie, która jest duszą i sercem każdej imprezy. Ale teraz to wrażenie prysło. Czulałam się jak ranny członek trudnej ekspedycji, który powstrzymuje resztę uczestników i naraża ich na zbędne ryzyko, jak ta dziewczyna ze starego czarno-białego filmu science-fiction, która złamała obcas, gdy grupa bohaterów rzuciła się do ucieczki przed groźnym potworem.

Zatrzymałam się przed Regent Street i zaczerpnęłam głęboko powietrza. Wszystko zależało od tego, co dzieje się w mojej głowie. Bo przecież muszę tylko zmienić swoje nastawienie, co pozwoli mi odmienić własne zachowanie, a wówczas wszystko wróci do normy.

Kręciłam się po sklepach. Najpierw weszłam do księgarni i znalazłam tomik wierszy, który miał uszczęśliwić czytelnika. Przy najmniej tak było napisane we wstępie, ale gdy przeczytałam wiersz wybrany na chybił trafił, uśmiechnęłam się mimo woli. Kupiłam więc trzydzieści egzemplarzy tej antologii. Na półce stały tylko cztery, ekspedient musiał iść do magazynu, żeby przynieść mi całe pudło.

Później, uginając się pod jego ciężarem, zajrzałam do sklepu papierniczego, gdzie moją uwagę przykuła pocztówka będąca reprodukcją martwej natury przedstawiającej szklankę z wodą i główkę czosnku. Także kupiłam trzydzieści sztuk. W drodze powrotnej do biura odwiedziłam jeszcze sklep gospodarstwa domowego. Szukałam czegoś niezbyt sprecyzowanego, czego nie potrafiłam nawet określić poza tym, że musi to być przedmiot z drewna. Wreszcie natrafiłam na coś idealnego, przyrząd składający się z drewnianego trzonka i dwóch pierścieni na końcu, jeden był nieco mniejszy. Wyglądało to trochę jak model zwariowanej wieży telewizyjnej, z obracającą się kopułą z salą restauracyjną. Zapytałam sprzedawczynię, do czego służy ten przyrząd, i dowiedziałam się, że to cedzak do

miodu. Nazwa też mi się szalenie spodobała. Kupiłam cały zapas tych cedzaków wraz z małym wiklinowym koszykiem, który zapełniły.

Kiedy wróciłam do biura, rozdałam dziewczętom prezenty. Sporo mi zostało, spakowałam je więc w kartonowe pudło i zrobiłam paczkę. Dołączyłam do niej liścik adresowany do prezesa „eYei”, firmy projektowej, dla której właśnie organizowałyśmy spotkanie pracowników: „Drogi Craigu. Nie chce mi się szykować dla was propozycji. Zamiast niej przyjmij ten podarunek. Całusy, Holly”. Kazałam Loli ją wysłać.

Przy okazji po raz kolejny zwróciłam uwagę, że sala ogólna naszego biura nikomu nie zapewnia prywatności. Bez namysłu zadzwoniłam do architekta, którego poleciła nam sąsiadka matki Loli. Odparł, że wpadnie i rozejrzy się w sytuacji, a potem przygotowuje jakies wstępne plany.

Wreszcie znów poczułam się zmęczona. Miałam ochotę wrócić do domu i położyć się do łóżka, tak nieodpartą, jak u tonącego pragnienie dotarcia do brzegu. Marzył mi się sen. Myślałam, że gdyby tylko udało mi się porządnie wyspać, gdybym wypełniła się błogim snem aż po dziurki w nosie, zaraz odzyskałabym dawny dobry humor i wszystko zaczęłoby się układać po staremu. Wyszłam z biura godzinę wcześniej. Pojechałam do domu i zagrzebałam się w pościeli. Ale było mi zimno. Przydałby się termofor napełniony wrzątkiem, ale go nie miałam, toteż wstałam, ubrałam się w bawełnianą koszulkę i spodnie od dresu, na kołdrze dodatkowo rozłożyłam koc i znów się położyłam. W którymś momencie wieczoru dotarło do mnie jak przez mgłę, że do sypialni wszedł Charlie i zaczął coś mówić, ale nie byłam nawet pewna, czy do mnie. Zresztą zaraz wyszedł.

Kiedy nazajutrz o ósmej rano zadzwonił budzik, od razu poczułam się lepiej. Przespałam czternaście godzin i gdy się ocknęłam, było to prawie jak powtórne narodziny, aż zamrugałam szybko i rozejrzałam się dokoła, zaskoczona. Wszystko znów wydawało mi się jasne, proste i klarowne. Panika zniknęła bez śladu. Wiedziałam, że w moim życiu nadal istnieją poważne problemy, lecz byłam

przeświadczona, że sobie z nimi poradzę. Wykąpałam się, umyłam włosy i włożyłam ciemną garsonkę. Charlie spał jak zabity. Kłůło mnie w piersi, ilekroć spoglądałam na jego zmierzwiłone włosy czy twarz wtuloną w poduszkę. Zostawiłam mu na stole wiadomość, że bardzo, ale to bardzo go kocham i koniecznie musimy porozmawiać.

W biurze zjawiłam się jako pierwsza. Wypiłam kubek mocnej kawy i zaczęłam systematycznie przekopywać się przez stertę zaległej papierkowej roboty oraz drugą, znacznie mniejszą, ale obejmującą to, co już zrobiłam, a co teraz należało odkręcić. Niemniej wciąż czułam się wyśmienicie, jak w trakcie wiosennych porządków, i stale powtarzałam w myślach, że ze wszystkim sobie poradzę. Obrałam sobie za cel oczyszczenie biurka z papierów jeszcze przed przerwą na lunch, którą także chciałam spędzić w biurze. Miałam nadzieję, że po przerwie będę mogła się zająć bieżącymi sprawami. Pracowałam solidnie, z nosem w dokumentach, ledwie świadoma tego, co się dookoła dzieje. Toteż gdy Meg postukała mnie w ramię, aż podskoczyłam na krześle. Nie miałam nawet pojęcia, która godzina. Spojrzałam na zegarek: dziesięć po dwunastej.

- Mogę ci przerwać na chwilę? - zapytała.
- Jasne.
- Porozmawiajmy w sali konferencyjnej.
- O czym?
- To naprawdę zajmie tylko chwilę.

Poszłam za nią, czując silne dreszcze. Trish siedziała już przy stole w towarzystwie jakiejś obcej kobiety. A między nimi siedział Charlie. Co zdumiewające, w pierwszej chwili na jego widok wcale nie zadałam sobie pytania, co on tu robi, tylko jak się dostał do budynku bez mojej wiedzy. Uświadomiłam sobie, że musiał wejść na górę schodami przeciwpożarowymi. Meg obesła stół i dołączyła do tamtej trójki. Gestem wskazała mi krzesło naprzeciwko nich, jakbym uczestniczyła we wstępnej rozmowie przed przyjęciem do pracy.

- O co chodzi? - zapytałam.
- Przedstawiam ci doktor Jean Difford - zaczęła Meg - która

zajmuje się poradnictwem dotyczącym stosunków w miejscu pracy.

- A konkretnie jakiego typu poradnictwem?
- Z zakresu medycyny.
- Wybaczcie, ale nie rozumiem.

Jean Difford wykrzywiła usta w irytującym uśmieszku świadczącym o wielkiej pewności siebie.

- Cieszę się z tego spotkania, Holly - powiedziała. - Dużo o tobie słyszałam.

- Co pani słyszała?
- Czy znasz miejsce o nazwie Glenstone Manor?
- Nie, nie znam.
- Zarezerwowałam tam dla ciebie pokój na dzisiaj.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Spojrzałam na Meg, potem przeniosłam wzrok na Trish i Charliego. Meg i Trish siedziały ze spuszczoneymi głowami, tylko Charlie z zatroskaną miną patrzył mi prosto w oczy. I po raz pierwszy od wielu dni dostrzegłam w jego spojrzeniu wyraz miłości. A może tylko żalu?

- To mi wygląda na jakąś konspirację - zaczęłam.

- Bo to jest swego rodzaju konspiracja - odparł. - Wszyscy się o ciebie martwimy. Dzieje się z tobą coś złego i uważamy, że potrzebujesz fachowej pomocy.

- Tak dłużej być nie może - dodała Meg.
- Ale to chyba ja powinnam o tym zdecydować, prawda?
- Nie - rzekł Charlie. - W tej konkretnej sytuacji ktoś musi interweniować.

- Wszyscy dyskutowaliście między sobą na mój temat, obgadawaliście mnie. - Zwróciłam się do Meg: - W ten sposób chcesz się zemścić, prawda?

- Nie.

- Wczoraj wcale nie byłaś u dentysty. Organizowałaś to... tę zasadzkę na mnie.

- To nie jest zasadzka, tylko plan działania - odezwała się Trish.

- Aha. Więc cóż to za plan działania?

- Pojedziesz do Glenstone Manor - odparła doktor Difford. -

Tam poddasz się badaniom i uzyskasz fachową pomoc. Zostaniesz tam parę dni, najwyżej dwa tygodnie.

- Czegóż tu nie rozumiem. Jest pani lekarką?

- Tak.

- I to jest właśnie zastanawiające. Twierdzi pani, że powinnam się leczyć w zakładzie zamkniętym, a przecież nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy.

- Rozmawiałam z twoimi koleżankami oraz mężem.

Obrzuciłam Charliego piorunującym spojrzeniem, a on miał na tyle przyzwoitości, żeby się trochę zawstydzić.

- Wszyscy chcą ci pomóc - dodała.

Wzięłam głębszy oddech i uśmiechnęłam się teatralnie.

- Ale jak widać, postanowiliście mi pomóc przez zaskoczenie - powiedziałam. - Czy mam prawo zadać kilka pytań, zanim wpadną sanitariusze, żeby mnie stąd wywlec siłą?

- Oczywiście. Możesz pytać o wszystko - zgodziła się doktor Difford doprowadzającym mnie do szalu tonem bezgranicznej cierpliwości i spokoju, jakby prosiła, bym zeszła z parapetu i nie skakała.

- Czy ktoś w tym gronie uważa, że jestem lekomanką? - zapytałam.

- Nie - odparła Meg.

- Albo mam problem alkoholowy?

- Nieszczęśliwie.

- Więc co nawygadywaliście na mój temat?

Zapadła cisza. Nikt nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy.

- Będzie lepiej, jeśli omówimy to w Glenstone Manor - wyjaśniła w końcu doktor Difford.

- Naprawdę wszyscy uważacie, że brak mi piątej klepki?

Nadal milczeli.

- W porządku, przyznaję, że miałam kilka zwariowanych tygodni. Z tym się zgadzam. Spędziłam parę wieczorów poza domem, kiedy to zdarzenia wymknęły mi się spod kontroli. Nie jestem dumna ze swojego zachowania, ale już zrobiłam rachunek sumienia. Ostatnie dni w biurze też nie mogą być dla mnie powodem do dumy, lecz i z tym już się uporałam. Przecież mogliście wziąć mnie na

bok i szczerze o wszystkim porozmawiać. Meg, Trish... - Przeszłam je ostrym spojrzeniem. - Zamiast tego za moimi plecami umówiłyście się z tą wygadaną panią doktor, która uważa, że potrafi zdiagnozować mój przypadek, nie widząc mnie nawet na oczy. Zwłaszcza do ciebie mam pretensje, Meg, ponieważ jesteś... a w każdym razie byłaś moją serdeczną przyjaciółką. A co się tyczy moich stosunków z Charliem, jestem w pełni świadoma popełnionych błędów. Wiem, że są jeszcze sprawy, które muszę załatwić, i inne, za które muszę przeprosić, ale to są wyłącznie nasze sprawy. Dlatego przykro mi, lecz niepotrzebnie marnujecie czas.

- Długo o tym rozmawialiśmy - odezwała się Trish. - I wspólnie doszliśmy do wniosku, że tak właśnie trzeba postąpić.

- Więc trzeba było najpierw porozmawiać jeszcze ze mną.

- Właśnie rozmawiamy z tobą.

- Nieprawda. Wy właśnie... - Odebrało mi nagle mowę. Miałam wrażenie, że z wściekłości krew zaczyna się we mnie gotować. - Słuchajcie. Chyba najwyższa pora wyłożyć wreszcie kawę na ławę, jeśli wam na tym zależy. Przyznałam się otwarcie. W tym tygodniu miałam kilka złych dni...

- Nie chodzi tylko o ten tydzień - przerwała Meg. - Doskonale to wiesz!

- Wspólnie z Meg stworzyłyśmy tę firmę i prawie od roku prowadzę ją niemal samodzielnie. Kto ściąga około dziewięćdziesięciu procent klientów? Kto ich zabawia wieczorami? Ja. Kto robi wykłady i prezentacje? Kto organizuje spotkania? Kto tryska nowymi pomysłami? Kto wprowadza je w życie?

- Niektórzy z nas też wkładają w to trochę pracy - zauważyła Meg. - Odwalają nudne obowiązki, jak na przykład prowadzenie księgowości. A także sprzątanie bałaganu po tobie.

- Ale kiedy wy wszystkie tylko kręciłyście nosami, nie mając odwagi stanąć oko w oko z tą bezczelną Deborahą Trickett, kto wziął na siebie cały ciężar i wywalił ją z pracy? A jeszcze od tamtej pory obgaduje mnie po całym Londynie. To było przecież wasze zadanie, Trish. Tak więc przez rok pracowałam po siedem dni w tygodniu, a

jeśli nie pracowałam, byłam zajęta tak zwanym zabawianiem klientów. Tylko parę spraw wymknęło mi się spod kontroli i właśnie próbuję zrobić z nimi porządek. Tak się przedstawia sytuacja. Jeśli nie wierzycie, idźcie i spójrzcie na moje biurko. Jeśli znajdziecie choć jeden dowód mojej kolejnej pomyłki, choć jedną zaległą sprawę, którą się jeszcze nie zajęłam, wtedy wsadźcie mnie do pokoju bez klamek i naszprycujecie dowolnymi środkami uspokajającymi.

Trish odchrząknęła w zakłopotaniu i podniosła jakieś wydruki leżące przed nią na stole.

- W ciągu ostatnich dni - zaczęła urzędowym tonem - popełniłaś kilka dziwnych błędów. Klienci się dopytują, o co chodzi.

- Pokaż mi to! - Sięgnęłam przez stół, wyrwałam jej papiery i popatrzyłam na nie. Czułam, jak się rumienię z upokorzenia.

Rozległo się pukanie. Meg i Trish wymieniły szybkie spojrzenia. Drzwi się otworzyły i do środka zajrzała Lola.

- Telefon do Holly - powiedziała.

- Powiedz, że mamy teraz zebranie - syknęła Trish. - Odzwoni po jego zakończeniu.

- To Craig z tej firmy, dla której szukujemy spotkanie, z „eYei” - powiedziała. - Zażądał natychmiastowej rozmowy z Holly.

Meg i Trish po raz drugi wymieniły szybkie spojrzenia. Meg wstała.

- Ja z nim porozmawiam w gabinecie - rzuciła.

- Holly - odezwał się Charlie głosem aż ociekającym litością. - Myślimy wyłącznie o tym, żeby ci pomóc.

- Więc zapytam wprost - wypaliłam. - Planujecie zaciągnąć mnie do tego zakładu siłą, wbrew mej woli? Nie wierzę, byście posunęli się aż tak daleko. Poza tym byłoby to chyba niezgodne z prawem. Trish nie pozwoli wam na nic, co jest wyszczególnione w kodeksach. Toteż nie wybieram się do tego Glenstone Manor. Zamierzam pozostać w mieście, dalej przychodzić do pracy codziennie o dziewiątej i wychodzić o osiemnastej, by wam udowodnić, że potrafię nad sobą panować, zachowywać się porządnie i racjonalnie. Jeśli



nadal będą robiła coś, co wam się nie spodoba, popełniała dalsze błędy w pracy, wtedy wezwiecie mnie na kolejną rozmowę.

Na dłużej zapadło kłopotliwe milczenie, które przerwał dopiero powrót Meg. Usiadła i popatrzyła na mnie ze złością.

- O co chodziło? - zapytała Trish.

Meg zlekceważyła ją, dalej wpatrując się we mnie.

- Jeśli dalej zamierzasz robić zwariowane rzeczy w rodzaju wysyłania ludziom paczek z przyborami kuchennymi i tomikami poezji, zwłaszcza bardzo ważnym klientom, z którymi nie mamy jeszcze podpisanej umowy, to może jednak nie byłoby najgorzej, gdybyśmy wcześniej omówili to wspólnie.

- Przepraszam - bąknęłam.

Przemknęło mi przez myśl, że powinnam wytatuować sobie to słowo na czole.

- Po co to zrobiłaś? - zdziwiła się Trish. - Przecież wiesz, jak bardzo potrzebujemy tego zlecenia.

- Chce się jutro z tobą widzieć - dodała Meg.

- A więc nie wycofał się od razu?

Zrobiła skonsternowaną minę.

- Chce o tym jutro porozmawiać.

- Z nami wszystkimi?

- Nie, poprosił tylko o wizytę Holly.

- I tak powinnaś przedyskutować z nami takie pomysły - wtrąciła Trish. - Zresztą nie podjęliśmy jeszcze żadnej decyzji.

Zauważyłam, że nie są już tak pewni, co dalej zrobić, toteż wstałam.

- Przepraszam, że sprawiłam wam wszystkim tyle kłopotów - powiedziałam nadzwyczaj uprzejmie. - Wybaczcie też, że niepotrzebnie się o mnie zamartwialiście. - Obróciłam się do Charliego i dodałam: - Musimy porozmawiać. Czy możemy dzisiaj wyjść gdzieś razem na kolację? Mam ci mnóstwo do powiedzenia. I za wiele rzeczy muszę cię przeprosić.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie.

- W porządku, Holly - odparł w końcu.

- To jedyna terapia, jakiej mi teraz potrzeba.

Czułam się jak odtwórczyni głównej roli w przedstawieniu, które trzeba było przerwać przed ostatnim aktem. Zauważyłam, że Meg i

doktor Difford wymieniają półgłosem jakieś uwagi w drodze do wyjścia. Ale mało mnie to obchodziło, miałam inne zmartwienia. Przede wszystkim musiałam uporządkować swoje życie oraz małżeństwo.

## 16

Znaleźliśmy w sąsiedztwie spokojną włoską knajpkę z wolnym stolikiem w samym kącie sali przy oknie. Charlie popijał piwo, ja sączyłam wodę mineralną i wspólnie patrzyliśmy, jak ludzie przebiegają chodnikiem, umykając przed deszczem. Przypomniałam Charliemu, że gdy tylko się poznaliśmy, lubiliśmy w restauracjach obserwować innych klientów i snuć wymyślone opowieści na ich temat. Uśmiechnął się skąpo. Widziałam, że bardzo się starał, bo w rzeczywistości nadal był wściekły i urażony. Pochylił się nisko nad stolikiem i bardzo cicho, żeby nikt postronny nie słyszał, szepnął:

- Rozmyślałem o tym, czy nie zniknąć na zawsze z twojego życia. Ale... - Urwał i popatrzył mi w oczy, jakby walczył z pragnieniem powiedzenia czegoś, co nie chciało mu przejść przez gardło.

- Tak?

- Sam nie wiem. Wszystko się pochrzańiło. W każdym razie nie jesteś sobą.

- Och, proszę, nie zaczynaj znowu. Chcę wiedzieć, co naprawdę myślałeś.

Lekko ścisnął moje roztrzęsione lodowate palce i obiecał, że wspólnie ze wszystkim sobie poradzimy, niezależnie od tego, ile to będzie nas kosztowało. Nazwał tę kolację rocznicową i ocenił, że skoro już nie możemy świętować rocznicy ślubu jak należy, to powinniśmy przynajmniej zrobić mocne postanowienia. W drugim roku nasze małżeństwo musi być o wiele lepsze, musi się przerodzić w prawdziwe małżeństwo, w którym wzajemnie będziemy się o siebie troszczyć, a on we wszystkim mi pomoże.

Bardzo chciałam porozmawiać szczerze. Próbowałam mu tłumaczyć, że nie potrzebuję żadnej pomocy, gdyż naprawdę zamierzam się zmienić, już zrobiłam w tym kierunku pierwsze kroki, których efekt sam zauważy, ale uciszył mnie i oznajmił, że przedyskutujemy te sprawy później. Teraz muszę odpocząć i dojść do siebie. Poczulałam się urażona i próbowałam oponować, że przecież nie jestem chora, lecz orzekł, że powinnam zostawić sprawy w jego rękach.

- Nie zawsze musisz wszystko mówić - uciął.

Otworzyłam już usta, by stanowczo się sprzeciwić, ale dziwnym sposobem straciłam wszelką chęć do dalszej rozmowy. Czułam się tak, jakbym miała umysł pocięty na drobne kawałki i porozdzielany w równych proporcjach między złość i przekorę, upokorzenie i wstyd, ponurą ironię, gwałtowną irytację oraz skrajną obojętność. Żaden z tych kawałków nie pasował do pozostałych, toteż nie miałam pojęcia, któremu przekazać inicjatywę w dalszej rozmowie. Zapytałam go desperacko, czy nadal mnie kocha, ale jakby tego nie słyszał. Toteż, ni z gruszki, ni z pietruszki, rzuciłam:

- Zgubiłam klucz.

- Słucham?

- Zgubiłam klucz od domu. Musiał mi się odpiąć z kółka.

- Ciągłe gubisz klucze - odparł, ale natychmiast się opanował i zapytał zdumiony: - A co to ma wspólnego z naszymi kłopotami?

- Nic. Po prostu ci mówię.

- W porządku. Dorobię ci następny i kupię porządne kółko, z którego klucze nie będą spadały.

Zamówiliśmy tani posiłek, risotto z sałatą. Charlie wziął do tego lampkę wina, ja zostałam przy wodzie mineralnej. Jedliśmy powoli, prawie w milczeniu, jakbyśmy słabo się znali i robili dopiero wstępne rozpoznanie.

Charlie sprawiał wrażenie odmienionego. W minionych dniach bywał rozżalony bądź zakłopotany, wybuchał złością albo mnie unikał. Część z tego była konsekwencją jego własnych błędów, które doprowadzały mnie do szału, co jedynie pogarszało jego nastrój, a

mnie rozwścieczało jeszcze bardziej. Ale Bóg mi świadkiem, że niektóre jego zachowania były niezrozumiałymi reakcjami na moje postępowanie. Niekiedy odnosiłam wrażenie, że to, co zaczęło się jak zwykle małżeństwo, przekształciło się w jakiś eksperyment psychologiczny, w którym dwoje ludzi jest zamkniętych w niewielkiej ograniczonej przestrzeni, żeby zadręczać się wzajemnie na śmierć.

Teraz jednak był wyjątkowo spokojny, wręcz zadowolony, jakby czuł, że to on panuje nad wydarzeniami i naprawdę zdoła mnie ochronić. Już podjął decyzję co do naszej przyszłości. Jeszcze nigdy nie widziałam u niego takiej miny, która sprawiała, że miałam ochotę rzucić mu się w ramiona. Ale z drugiej strony budziła we mnie pragnienie, by zaszyć się w jakiejś mrocznej głębokiej jamie, zapaść w głęboki sen i obudzić się dopiero na wiosnę. Niedługo szukałam najlepszego zamiennika. Spałaszo wałam porcję smacznego gorącego risotto, pociągnęłam łyżeczek wina z jego kieliszka i pozwoliłam mu się zawieźć taksówką do domu. Przygotował mi gorącą kąpiel, a gdy się wymoczyłam, wskoczyłam od razu do łóżka. Leżałam w pościeli i gapiłam się na tę cholerną odrażającą rzeźbę, a ona jak gdyby gapiła się na mnie, rzucając bezgłośnie oskarżenia o różne straszne rzeczy, dopóki nie zjawił się Charlie z kubkiem gorącej herbaty i pełnoziarnistymi herbatnikami. Poczulałam się jak w dzieciństwie. Kiedy zgasił światło i stanął w przejściu, patrząc na mnie, odczułam wyraźnie, że jestem pod jego ochroną. Objęłam ramionami poduszkę, wtuliłam w nią twarz i zaczęłam udawać, że zasypiam, ale niedługo musiałam udawać. Piekielnie długi dzień dobiegł wreszcie końca.

Następnego ranka zastałam w biurze wiadomość z „eYei”. W zasadzie była to tylko nazwa baru znajdującego się nieopodal, gdzie Craig chciał się ze mną spotkać po pracy. W bolesne zakłopotanie wprawiła mnie myśl o paczce, którą mu wysłałam. Co sobie o mnie pomyślał? Opadła mnie wizja życia poświęconego wyłącznie na naprawianie wyrządzonych przez siebie szkód. Zawsze mogłam tłumaczyć, że zrobiłam to w ramach dowcipu, w chwili ośpienia

umysłowego czy z powodu uroczego ekscentryzmu. Poprosiłam Lolę, żeby z kawiarni naprzeciwko przyniosła mi dwa kubeczki podwójnego espresso. Kiedy wróciła, wzięłam od niej kawę i podeszłam do zaspionej Meg.

- Może ty też powinnaś uczestniczyć w tej rozmowie? - zaproponowałam.

- Do niczego nie jestem ci potrzebna - wypaliła.

- Mylisz się, jesteś mi bardzo potrzebna.

- Przecież chciał rozmawiać właśnie z tobą.

Pociągnęłam łyk kawy, wyjątkowo wdzięczna za silne pieczenie sparzonego języka. Meg nawet nie tknęła swojego kubeczka.

- No, nie wiem - mruknęła po chwili.

- Czego nie wiesz?

- Czy na pewno musisz codziennie narażać na szwank całą firmę? My nie jesteśmy do ciebie podobne i nie potrzebujemy każdego dnia aż takiej podniety.

Zaledwie ujrzałam Craiga czekającego przy barze, wiedziałam już, że wszystko będzie w porządku. Zdążył wypić pół kieliszka wytrawnego martini i na mój widok uśmiechnął się szeroko. Zaczął już zamawiać dla mnie drinka, ale pokręciłam głową. Przez jakiś czas musiałam się zadowalać wodą mineralną. W końcu i tak byłam o kilka dobrych porcji martini przed całą resztą ludzkości.

- Jesteś stuknięta - oznajmił, po czym jednym haustem opróżnił kieliszek i ruchem ręki dał znać barmance, żeby nalała mu drugi.

- Wydaje mi się, że właśnie kogoś takiego potrzebujemy. Kogoś, kto myśli niesztampowo. Sama tego posłuchaj.

Tomik poezji leżał na barze obok kieliszka. Podniósł go, otworzył i zaczął na głos czytać wiersz. Ale nie potrafiłam się na nim skupić.

- Czy to nie wspaniale? Nie czytałem poezji od czasu ukończenia Oxfordu. A to... - wyciągnął z kieszeni przyrząd do cedzenia miodu - ...jest bardzo funkcjonalne, ale zarazem ma w sobie coś

komicznego. Pokazałem tę rzecz moim pracownikom, wszyscy przyjęli ją z uśmiechem.

- Uznałam, że to będzie zabawne - odparłam, bo niby co innego mogłam powiedzieć. W głowie czułam zbyt duży mętlik, żeby próbować jeszcze coś tłumaczyć. Craig opowiedział mi więc o prowadzonych w jego firmie pracach projektowych. We właściwych miejscach przytakiwałam ruchem głowy, w nadziei, że odczyta to jako przejaw głębokiej zadumy, kiedy indziej zaś uśmiechałam się lekko, by go przekonać o mojej sympatii.

Mniej więcej po godzinie wstał i wyciągnął rękę.

- To było bardzo miłe spotkanie - rzekł. - Wygląda na to, że już wiemy, czego po sobie wzajemnie oczekiwać.

Ucisnęłam jego dłoń.

- Mogę cię gdzieś podrzucić - zaproponował.

- Nie, dziękuję. Wracam do biura - skłamałam.

- Ech, wy... - mruknął z uśmiechem. - Zadzwoń jutro. Powinniśmy wspólnie zarobić trochę forsy.

Kiedy zostałam sama, zamówiłam drugą buteleczkę wody mineralnej. Najbardziej przydałaby mi się w takiej chwili kartka papieru i ołówek, ale zaczęłam układać spis w myślach. Musiałam zacząć prostować różne sprawy po kolei. Najpierw Charlie. Potem praca. Później cała reszta. Z nią także trzeba było się jakoś uporać. Choćby ten dług pokerowy. Musiałam dać ludziom do zrozumienia, że był to z mojej strony wielki błąd. Postanowiłam umieścić to zadanie na trzeciej pozycji listy. Koniecznie trzeba to jakoś załatwić. Zapłaciłam za wodę i spytałam o toaletę. Barmanka wskazała schody do piwnicy. Po umyciu rąk śmiało podniosłam głowę, spojrzałam na swoje odbicie w lustrze i przyglądałam włosy wilgotnymi palcami.

- Kroczek po kroczeniu... - mruknęłam pod nosem.

Wychodząc do korytarzyka o gołych betonowych ścianach, potraściłam przechodzącego mężczyznę i bąknęłam przeprosiny. Nagle poczułam jednak uścisk jego dłoni na swoim ramieniu. Silnie pchnął mnie plecami na ścianę, aż poczułam przez jedwab bluzki

lodowaty chłód betonu. Rees popatrzył na mnie z góry z dziwną miną, niemalże z jawnym zaskoczeniem.

- Dawno się nie widzieliśmy - rzekł.

Chciałam szarpnięciem uwolnić się z jego uścisku, gdy błyskawicznie uniósł rękę. Nawet nie poczułam uderzenia. Zobaczyłam tylko jak gdyby oślepiający rozbłysk białego światła przed oczami i do mych uszu doleciał głośny trzask jego palców o mój policzek. Aż mi zatkało dech w piersi.

- Próbujesz robić mnie w konia! - syknął. - A tego bardzo nie lubię.

Lewą łapą tak silnie złapał mnie za kark, że nie byłam w stanie nawet pisnąć. Prawą natomiast pogładził mój policzek, w który przed chwilą wymierzył cios, a następnie szybko przesunął nią w dół, do mojej piersi, potem brzucha, aż wreszcie wetknął mi ją przez spódnicę między nogi i pochylił się nade mną. Z sali na górze dolatywał brzęk szkła i gwar ludzkich głosów. On zaś szepnął mi na ucho:

- Droczyłaś się ze mną i zmusiałaś mnie do tego. Bo normalnie nie jestem brutalny. Jestem zwykłym facetem, który jeszcze niedawno miał dziewczynę...

To było czyste szaleństwo. Ze strachu wnętrzości mi się skręcały. Dobrze wiedziałam, że może ze mną zrobić wszystko, co mu się zamarzy, a ja nie zdołam go powstrzymać. Ale mimo to, mimo jego łapy zaciskającej się na moim gardle, kiedy zaczął się tłumaczyć i mówić, że jest zwykłym facetem, nie zdołałam się powstrzymać od śmiechu.

Poczerwieniał mocno z wściekłości.

- Ty pieprzona... pierdolona... - syknął. - I jak ci się to podoba?

Walnął mnie kolanem w podbrzusze, aż głośno jęknęłam z bólu, po czym rozerwał mi bluzkę. Pochylił się jeszcze niżej nade mną, tak blisko, że poczułam na twarzy jego oddech i kątem oka dostrzegłam obślinione wargi.

- Próbujesz robić mnie w konia - powtórzył szeptem. - Ale teraz mogę z tobą zrobić wszystko, co zechcę.

Zebrałam w sobie resztki sił i plunęłam na niego. Z satysfakcją spostrzegłam grudkę flegmy spływającą mu po karku.

Błyskawicznie podniósł rękę i uderzył mnie drugi raz. Szarpnęłam się do tyłu i usłyszałam huk, z jakim walnęłam głową w mur. Tylko go usłyszałam, bo nic nie poczułam. On tymczasem złapał za kołnierzyk mojej bluzki, rozerwał ją na ramieniu i przyssał się do moich ust. Wbiłam mu zęby w wargę, aż poczułam na języku krew. Tym razem to on jęknął z bólu, ale zaraz znów oślepiło mnie jaskrawe światło, gdy wymierzył mi kolejny cios.

Na schodach rozległy się czyjeś kroki. Rees błyskawicznie odskoczył ode mnie i pognął schodami na górę. Chwilę później dwie kobiety minęły mnie bez słowa. Można było odnieść wrażenie, że nawet nie zauważyły mojej obecności w ciasnym korytarzyku.

Nogi miałam niczym z waty, a serce tłukło się w piersi jak oszalałe, do tego stopnia, że przez kilka minut nie mogłam się ruszyć z miejsca. Stałam, oparta plecami o goły betonowy mur, zasłuchana w odgłos swojego chrapliwego oddechu. Dopiero gdy usłyszałam szum spuszczonej wody w toalecie, zmusiłam się do tego, żeby wejść po schodach do sali barowej; zanurzyć się w gwar rozmów oraz śmiechy, by czym prędzej dać nura w mrok spowijający ulicę.

## 17

Rozejrzałam się na wszystkie strony. Z ciemnej bramy wyłonił się jakiś barczysty mężczyzna i serce od razu podeszło mi do gardła, ale to nie był on, tylko ktoś inny o podobnej sylwetce, też w garniturze. Spojrzałam na zegarek, było dopiero parę minut po siódmej. W czerwcu jeszcze ze dwie godziny byłoby widno.

Dokąd miałam pójść? Powinnam wracać do domu, ale wszystkie taksówki przejeżdżające ulicą były zajęte, a w tym stanie nie mogłam iść do metra. Sięgnęłam po telefon komórkowy, ale nie miałam pojęcia, do kogo zadzwonić. Uniosłam rękę do twarzy, ostrożnie



dotknęłam palcami obrzmiałej skóry pod okiem i aż skrzywiłam się z bólu. Opatuliłam się szczelniej płaszczem, próbując odepchnąć od siebie wspomnienie jego ręki na swoim ciele. Znów poczułam się skalana, zrobiło mi się niedobrze.

Do biura miałam zaledwie parę minut drogi, ruszyłam więc w tamtą stronę, powoli, bo nogi wciąż się pode mną uginały, i rozglądając się bez przerwy na wypadek, gdyby gdzieś się zaczął. W biurze poszłam prosto do łazienki, zapaliłam światło, stanęłam przed lustrem i popatrzyłam na odbicie całkiem obcej mi kobiety o przekrwionych oczach, opuchniętych policzkach, w porozrywanej bluzce, z wyraźnie rysującym się już siniakiem pod okiem. Zdjęłam płaszcz, żeby móc się dokładniej obejrzeć, po czym przemyłam stłuczony policzek zimną wodą, delikatnie wklepując ją w skórę. Przeciągnęłam palcami po włosach z tyłu głowy, w miejscu, gdzie huknęłam nią o betonową ścianę, i ujrzałam na nich rozmazaną krew. Rozcięcie dopiero teraz zaczęło mnie boleć, a fizyczne cierpienie wzmocnione przez desperacką wściekłość przyprawiło mnie o takie mdłości, że kurczowo zacisnęłam palce na brzegu umywalki, żeby nie zgiąć się wpół.

Zamknęłam oczy. Zza drzwi doleciał jakiś stłumiony hałas, więc otworzyłam je gwałtownie. Ktoś szedł przez salę ogólną. Zapaliły się światła. Nie byłam w stanie się poruszyć, stałam jak wmurowana, spoglądając na bezradną załamaną kobietę odbitą w lustrze. Kroki skierowały się w tę stronę, ucichły na chwilę, zaczęły się znowu przybliżać. Wreszcie drzwi otworzyły się z cichym skrzypieniem.

Za mną pojawiła się Meg. Nie odwróciłam się do niej, ale nasze spojrzenia zetknęły się w lustrze i przez jakiś czas patrzyłyśmy tak na siebie w milczeniu. Miałam wrażenie, że jej wzrok przeszywa mnie na wylot, sięga do tych najpotworniejszych zakamarków, z których istnienia nawet ja nie zdawałam sobie sprawy, poczułam się więc tak przerażona i samotna, że ledwie zdołałam utrzymać się na nogach i wytrzymać to jej spojrzenie. W głowie zakołatało mi pytanie, czy rzeczywiście przyjaźń, obok uwielbienia i miłości,

uprawnia do dzielenia się najbardziej intymnymi sekretami? A może było między nami coś zupełnie innego?

- Meg... - odezwałam się w końcu. - Co się stało?
- To się musi wreszcie skończyć.

Zbliżyła się o krok i położyła mi dłoń na ramieniu. Przez cienką bluzkę poczułam ciepło jej palców. Ale ten dotyk wydał mi się nie do zniesienia. Zamierzała mnie pocieszać czy raczej wcielić się w strażnika mającego odprowadzić skazańca do celi? Odwróciłam się w końcu do niej. Objęła mnie i powoli wyprowadziła z łazienki.

- Musisz zawiadomić policję. Tłumaczyłam ci to już wcześniej, ale teraz nie masz innego wyjścia.

- Ale...
- Tylko bez ale. On jest niebezpieczny. Podejrzywałam to od chwili, gdy go zobaczyłam. Nie cofnie się przed niczym.

- Meg?

- Lepiej odwiozę cię na stację. Mój samochód stoi na tyłach budynku, przy rampie załadunkowej. Wróciłam jedynie po kilka teczek z dokumentami. Zaraz przyniosę ci płaszcz.

Wróciła po chwili, narzuciła mi płaszcz na ramiona, po czym zeszliśmy na dół do samochodu. Usadowiła mnie na prawym fotelu i zapięła pas bezpieczeństwa.

- Meg - zaczęłam znowu, kiedy usiadła za kierownicą i wsunęła kluczyk do stacyjki.

- Tak?
- Co się ze mną dzieje?
- Nie wiem.
- Wydaje mi się, że coś przede mną ukrywasz.
- Porozmawiamy o tym później.
- Nigdy nie miałyśmy przed sobą żadnych tajemnic. Mówiliśmy sobie nawzajem o wszystkim.

- Musisz teraz zgłosić na policji napaść tego Reesa. Wszystkie inne sprawy mogą poczekać.

- Nie znoszę odkładać niczego na później.
- Tak, wiem - odparła sucho.
- Czy Charlie ma romans?

- Później, Holly.
- Ma, prawda? Wcale by mnie to nie zdziwiło. Ciekawa tylko jestem, z kim? Nie wiesz, z kim ma romans, Meg?
- Jesteśmy już na miejscu.

Po czterdziestu minutach oczekiwania znalazłam się oko w oko z policjantką, niejaką Gill Corcoran, nie miałam jednak pojęcia, od czego zacząć. Sprawa wydawała mi się zagmatwana, niby klarowna, ale zarazem mętna niczym senny koszmar, który budzi człowieka nad ranem w pościeli wilgotnej od potu. Dopiero Meg, siedząca przy sąsiednim biurku, naprowadziła mnie tak, że byłam w stanie skleić jako tako sensowną relację.

Gill Corcoran miała przyjemne rysy, bystre spojrzenie i sympatyczny sposób przyjmowania zeznań. Wciąż mi dolewała wody do styropianowego kubeczka, a ja bez przerwy popijałam, jakbym miała nadzieję splukać tą wodą brud zalegający we mnie. Poprosiła, abym jeszcze raz opisała szczegółowo, jak Rees mnie pobił. Obejrzała siniaka pod okiem i wciąż krwawiące rozcięcie z tyłu głowy. Kazała mi pokazywać dokładnie, gdzie mnie dotykał i jak ścisnął.

Nie patrząc na Meg, lecz cały czas czując na sobie jej uważne spojrzenie, opisałam, gdzie i w jakich okolicznościach się poznaliśmy. Rzetelnie zrelacjonowałam wydarzenia tamtego wieczoru, który spędziliśmy razem. Powiedziałam o telefonach Reesa do Charliego i odesłanych mi pocztą majtkach. Zauważyłam, że Meg spuściła głowę i utkwiała wzrok w swoich dłoniach spoczywających na kolanach. W którymś momencie bardziej wyczułam niż dostrzegłam bolesny skurcz na jej twarzy, ale śmiało ciągnęłam dalej. Musiała wreszcie przekonać się w pełni, jaka jestem naprawdę. Gill Corcoran nie wyglądała na zdziwioną, jakby w ogóle nie próbowała mnie osądzać, za co byłam jej bardzo wdzięczna.

- Będę z panią całkiem szczerą, pani Krauss.
- Holly.
- Holly. Otóż możemy go przesłuchać pod kilkoma różnymi zarzutami, ale nie będzie łatwo go oskarżyć.

- Proszę tylko spojrzeć na jej rany - wtrąciła Meg.
- Dobrowolnie związała się pani z tym mężczyzną.
- Wcale się nie związałam. To był nic nieznaczący, obrzydliwy, jednorazowy...

- To już nie moja sprawa. Tłumaczę tylko, jak to będzie wyglądało z zewnątrz... a raczej jak mogłoby wyglądać, gdyby sprawa kiedykolwiek znalazła się przed sądem.

- Byłam pijana - odparłam. - Dokumentnie wstawiona, oglupiała, zwabiona podstępem. Chce pani powiedzieć, że przez to, iż raz jeden byłam z nim w łóżku, on ma teraz pełne prawo napadać na mnie i bezkarnie mi grozić?

- Nie, nic podobnego. Chcę tylko, aby zdała sobie pani sprawę, z czym się to wiąże. Musiałaby pani sędziom przysięgłym opisać wszystko ze szczegółami, tak samo jak mnie. Musiałaby pani wystawić swoje życie prywatne i swoje zachowanie pod publiczny osąd. Czy ma pani pojęcie, ile spraw o gwałt kończy się wyrokiem skazującym?

- Nie.

- W niektórych rejonach naszego kraju ten odsetek nie przekracza dwudziestu procent. Trzeba przy tym uwzględnić wszelkie przypadki gwałtu przez osobę nieznajomą, bo głównie takie sprawy mają swój epilog przed sądem, gdy policja i prokuratura uważają, że dowody są wystarczająco mocne, by doprowadzić do skazania oskarżonego. Co się tyczy gwałtów podczas dobrowolnych randek...

- Ale on mnie nie zgwałcił. I nigdy nie byliśmy na randce - przerwałam jej cicho.

- Mnie nie musi pani o tym przekonywać, Holly. Staram się tylko postawić sprawę jasno, nim podejmiemy jakieś dalsze kroki. Robię to wyłącznie dla pani dobra.

- Rozumiem.

- Jest pani mężatką.

- Tak.

Zapadła cisza. Po chwili Meg zapytała ze złością:

- A jeśli on jeszcze raz spróbuje?

Gill Corcoran nadal się nie odzywała, tylko patrzyła mi prosto w oczy. Wiedziałam już, że ma rację.

- Pozarliby mnie żywcem - zauważyłam, zwracając się do Meg.  
- Ostatnio dręczy mnie senny koszmar, w którym gromada ludzi wytyka mnie palcami i wrzeszczy. Ich twarze rozmywają się w mętne plamy, wiem jednak, że jest między nimi Rees. A także Debora. I ten facet, który organizował partię pokera, i ten, którego na szosie powaliłam ciosem w szczękę. - Meg zrobiła zdziwioną minę i zamrugała szybko, ale ciągnęłam dalej: - Jest wśród nich również Charlie, przynajmniej tak mi się zdaje. I ty też. Wszyscy mnie oskarżacie. Gdybym wniosła sprawę do sądu, ten koszmar by się ziścił. Musiałabym się publicznie spowiadać.

Wstałam, zaskoczona, że nogi przestały mi dygotać.

- Dziękuję - powiedziałam do Gill Corcoran. - Bardzo mi pani pomogła.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie. Przemknęło mi przez myśl, że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić, ja i ta wymęczona policjantka na nocnej służbie. W każdym razie uznałam ją za pierwsze słabe światełko w moim tunelu.

Meg odwiozła mnie do domu. Chciała ze mną wejść, uparłam się jednak, żeby wracała. Pragnęłam spotkać się z Charliem bez świadków.

## 18

Ale Charliego nie było. Pusty dom tonął w mroku i ciszy.

Poszłam na górę, zdjęłam porwaną bluzkę, cisnęłam ją w kąt i włożyłam szlafrok. Uczesalam się, nie patrząc na swoje odbicie w lustrze, zebrałam włosy w gruby koński ogon i wbiłam stopy w ciepłe kapcie. Później zeszałam do kuchni, wygarnęłam garść kostek lodu z zamrażalnika, zawinęłam w czystą ściereczkę i przyłożyłam kompres do piekącego policzka.

Zadzwoiłam pod numer telefonu komórkowego Charliego, lecz sygnał wywołania doleciał mnie z kryjówki za tosterem. Na swój sposób w głębi ducha nawet się cieszyłam, że nie muszę już teraz rozmawiać z mężem o tym, co się stało. Dobrze wiedziałam jednak,

że każdy przemilczany problem, każda zwłoka w spłacie długów, odsuwanie od siebie wyjaśnień i szczerych wyznań coraz bardziej luzuje łączące nas więzi, aż w końcu nie zostanie z nich nic poza pękiem wspomnień. No tak, rzeczywiście, kiedyś byliśmy w sobie zakochani, były takie czasy, że znaleźliśmy nawzajem wszelkie szczegóły naszego codziennego życia i wiedzieliśmy o wszystkich myślach, jakie przychodziły nam do głowy. Wzajemne dzielenie się drobiazgami - ot, choćby niewielkim bólem gardła, smakiem kanapki z przerwy na lunch, słowami, jakie zasłyszano się w autobusie, wrażeniami z zachodu słońca czy radością z zakupu nowych skarpetek - jest chyba nawet ważniejsze od wspólnych spraw wielkich i doniosłych.

Nie miałam pojęcia, dokąd Charlie wyszedł. Nie wiedziałam, z kim jest i co porabia. Nie umiałam przewidzieć, jak przyjmie moją relację. Zagadką było dla mnie także to, co mu powiem w pierwszej chwili, jak tylko wejdzie, i jak zareaguje. Będzie miły czy raczej urażony? A może poczuje od niego zapach innej kobiety? Tej, która w odróżnieniu ode mnie jest wyrozumiała i cierpliwa, tolerancyjna i opanowana.

Zrobiłam sobie tosta i jajecznicę, zmusiłam się, żeby ją zjeść, a potem wypiłam dwa kubki zielonej herbaty. Przytknęłam czoło do zimnej szyby w kuchennym oknie i wyjrzałam na tonący w mroku, zaniedbany ogród, w którym porywisty wiatr szarpał długie źdźbła trawy i kołysał gałęziami drzew. Aż wstrząsnął mną dreszcz.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Zrobiłam parę kroków, ale zatrzymałam się niepewnie na środku kuchni. To nie mógł być Charlie, a nie miałam ochoty widzieć nikogo poza nim. Nieznośna była sama myśl o tym, że będę musiała wygiąć usta w uprzejmym uśmiechu, a potem ułożyć je tak, by z gardła wydostały się odpowiednie słowa: „Tak, nie, wszystko w porządku, wejdz...”.

Dzwonek zaterkotał ponownie. Dwa razy krótko i raz dłużej. Może Charlie zapomniał kluczy. Zawiązałam ciasniej pasek szlafrocka, przeszłam przez hol, uchyliłam nieco drzwi i wyjrzałam przez szczelinę.

- Musiał pan pomylić...

Wetknął ciężki traperski but w szparę, nim zdążyłam zatrzaskać drzwi, i zachichotał piskliwie, jakbym powiedziała coś zabawnego.

- Uwaga - rzucił, po czym pchnął drzwi tak silnie, że poleciałam w głąb holu, ledwie łapiąc równowagę. - Ty jesteś Holly?

Był młody, pewnie nie miał jeszcze dwudziestki, sądząc po młodzieńczym trądziku na twarzy i masywnym karku. Włosy przystrzyżone na zapałkę, metalowe kółko w lewej brwi, kilka innych w lewym uchu, tylko w prawym nic, bo tam z małżowiny zostały mu jedynie marne resztki, jakby ktoś odgryzł większą część. Miał na sobie workowate polowe spodnie i tylko wymięty szary podkoszulek, chociaż było zimno. Oba muskularne ramiona pokrywały mu jakieś zygzakowate tatuaże, widoczne także na piersi w wycięciu podkoszulka.

- Nie znam pana - powiedziałam. - Proszę stąd natychmiast wyjść.

- Ładny domek - mruknął i znów złośliwie zachichotał, a następnie pociągnął nosem i wytarł go ręką.

- Zadzwoń na policję.

Wyjął coś z kieszeni, czego nie rozpoznałam w półmroku, i zaczął nerwowo przerzucać ten przedmiot z ręki do ręki. Nagle rozległ się metaliczny szczęk i dostrzegłam błysk ostrza. Oboje zapatrzylismy się na niego. Mężczyzna uśmiechnął się powoli, jakby zadowolony, że udało mu się sztuczka.

- Nie radzę - rzekł, po czym złożył nóż i schował do kieszeni. Znów pociągnął nosem i podrapał się po owłosionym przedramieniu. Poczułam od niego odór mokrej psiej sierści, kwaśnego potu i jakichś rozpuszczalników. To dzikus, przemknęło mi przez myśl. Może ze mną zrobić wszystko, co zechce. Zaciśnęłam pięści.

- Czego pan chce?

- Na początek piwa.

Złapał mnie za rękę, bez ceregieli wciągnął do kuchni, otworzył lodówkę i zajrzał do środka.

- Całkiem niezłe. - Szybkim ruchem otworzył puszkę, pociągnął

wielki łyk piwa i głośno beknął. - Gra maszyna. No to do rzeczy. - Po raz kolejny zachichotał. - Znasz Vica Norrisa?

- Nie, nie znam.

- Jesteś mu winna jedenaście tysięcy funtów. A ściślej biorąc... - wycedził, jakby był dumny, że zna takie określenie - ...jesteś winna te pieniądze firmie o nazwie „Cowden Brothers”.

- Zaszła pomyłka - odparłam. - Nie czułam się najlepiej. Nawet nie umiem grać w pokera. Nie wiedziałam do końca, co robię.

Spojrzał na mnie, uśmiechając się szeroko.

- Masz brzydkie limo pod okiem.

- Poza tym przegrałam dziewięć tysięcy, a nie jedenaście - dodałam. - Ale nie mam pieniędzy. Nie mam ich jak zwrócić.

Pociągnął jeszcze łyk piwa i głośno westchnął.

- Nic mnie to nie obchodzi - oznajmił. - Powtarzam tylko to, co mi kazano powiedzieć. Masz zapłacić. Jasne?

- Tak - odrzekłam, marząc tylko o tym, żeby już sobie poszedł.

Ale on usiadł przy stole, szeroko rozstawiając nogi, jakby donikąd mu się nie spieszyło. Na głowie i ramionach miał liczne strupy, które ciągle drapał obgryzionymi na krótko paznokciami.

- No to sprawdźmy, co tutaj mamy. - Przyniósł sobie moją torebkę, otworzył ją i zaczął przetrząsać zawartość. W portmonetce znalazł dwadzieścia pięć funtów, nie licząc bilonu. Zmiał banknoty i wsunął sobie do kieszeni spodni. - Co twój stary powiedział na to wszystko?

Zbyłam to pytanie milczeniem.

- Mogę się założyć, że nic mu nie powiedziałaś. - Wstał, podszedł do mnie i zionął mi wonią piwa prosto w twarz. - Wszystko ci już przekazałem? Ach, tak. Vic mówi, że na razie to jest jedenaście kawałków. Za tydzień będzie dwanaście. A za następny tydzień trzynaście. I tak dalej. Jasne? Przyjdę tu jeszcze. I forsa ma być.



Skinęłam głowę.

- Mam na imię Dean. W takim razie do zobaczenia, Holly.

Wytoczył się z kuchni, przemaszerował przez hol i wyszedł. Sta-  
nęłam w drzwiach i spoglądałam, jak rozkołysanym marynarskim  
krokiem skręca na chodnik i rusza ulicą. Po kilkunastu metrach  
minął Charliego zdążającego w przeciwnym kierunku. Zamknęłam  
szybko drzwi i pochlipując, oparłam się o nie plecami. Chwilę póź-  
niej zazgrzytał klucz w zamku.

Wyprostowałam się, uniosłam brodę i przywołałam na usta miły  
uśmiech.

- Witaj, Charlie - odezwałam się, kiedy stanął na progu z za-  
czerwionymi policzkami i błyszczącymi oczami. – Też niedawno  
wróciłam. Przewróciłam się i stłukłam sobie policzek, ale się tym  
nie przejmuję, wygląda to o wiele gorzej, niż naprawdę jest. Jak ci  
minął dzień?

Och, pomóż mi, błagam, pomóż, drogi Charlie. Niechże ktoś mi  
pomocze. Ktokolwiek. Pomóżcie mi, zanim runę w otchłań!

Ale ten okrzyk rozbrzmiał tylko w mojej głowie.

## 19

Obudził mnie nazajutrz. Pomógł mi usiąść w łóżku, podał zimny  
kompres z kostek lodu zawiniętych w kawałek flaneli oraz kubek z  
kawą, bardzo gorącą i bardzo mocną. Usiadł obok i przyglądał się,  
jak piję. Kawa rozbudziła mnie trochę. Miałam wrażenie, że tafla  
szkła oddzielająca mnie od wszystkiego, co nie jest mną, stała się  
nieco cieńsza.

- Przepraszam - powiedziałam. - Za... No cóż, w zasadzie za  
wszystko.

- Nie ma sprawy - odparł i potargał mi włosy.

- Nie czuję się najlepiej.

- Szybko postawimy cię na nogi.

- Och, Charlie... Wiem, że umiesz wspaniale naprawiać różne  
rzeczy, ale ja...

- Przecież to moje hobby. - Oczy mu błyszczały.

Chciałam zapytać: „Z kim teraz sypiasz?”, bo byłam przekonana, że kogoś ma. Za bardzo się mną przejmował, a jednocześnie cały czas chodził z głową w chmurach. Sprawiał takie wrażenie, jakby odmłodził, stał się bardziej rzutkim i energicznym mężczyzną niż ten, którego poznałam i za którego wyszłam przed rokiem. Chciałam zaproponować: „Może byśmy w końcu przestali okłamywać się nawzajem? Otworzyli oczy na brutalną gorzką prawdę i zaczęli nazywać rzeczy po imieniu?”. Ale tylko musnęłam palcami jego policzek i zaraz przekręciłam się na drugi bok, żeby nie musiał patrzeć na moje podbite oko.

Była już prawie ósma. Z pracy miałam wyjść dopiero o osiemnaściej. Przez te dziesięć godzin muszę odgrywać rolę Holly Krauss, zanim będę mogła znowu zejść ze sceny, zniknąć za zamkniętymi drzwiami i położyć się do łóżka. Gdyby udało mi się przetrwać ten dzień, niczego nie pogarszając, jutro na pewno byłoby lepiej, a tym bardziej pojutrze.

Na początku wszystko szło gładko. Przeszłam jakoś przez zwykłe poranne rytuały, zdobyłam się nawet na przełknięcie śniadania, które przygotował Charlie, tłumacząc mi, całkiem przekonująco, jak ważne jest racjonalne odżywianie. Skóra mnie piekła tak, jakbym podłapała jakąś zarazę albo lada dzień miała się rozchorować. W moich oczach wszystko nurzało się w delikatnej mgłę, i to nie tylko na dworze, ale także w domu. Wyjątkowo starannie wybrałam ubranie i umalowałam się - ukryłam się przed całym światem jak za kamuflażem albo raczej solidną zbroją - chociaż nic nie było w stanie zamaskować rozległego siniaka na moim policzku. Wreszcie pod czujnym okiem Charliego włożyłam płaszcz.

Zanim wyruszyłam do pracy, wyszłam z telefonem komórkowym do ogrodu, gdzie Charlie w żaden sposób nie mógł mnie podsłuchać, i wybrałam numer Stuarta.

- Holly? No proszę! Coś takiego! Nie sądziłem, że tak szybko usłyszysz twój głos.

- Naprawdę? - syknęłam cicho.

- Spędziliśmy wspaniały wieczór, co nie? - rzucił zdecydowanie za głośno.

- Który?

- Ach, tak, pewnie ci się już mylą. Miałem na myśli twoje pierwsze doświadczenia z pokerem i wszystko, co się z tym wiąże.

- Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

- To gdzie się spotkamy? - zapytał zdumiewająco ochoczo.

Westchnęłam głośno. Nie chciałam się z nim spotykać, ale nie wyobrażałam sobie też, że powiem przez telefon coś w rodzaju: „Bardzo potrzebuję twojej pomocy, ale chciałabym ją uzyskać jak najszybciej”. Umówiliśmy się więc na późne przedpołudnie.

Czekał na mnie w kawiarni. Usiłowałam stłumić poczucie winy za to, że wymknęłam się cichcem z biura, tłumacząc sobie, że wszyscy pewnie odetchnęli z ulgą, gdy na jakiś czas zniknęłam im z oczu. Stuart sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie, był w garniturze i białej koszuli bez krawata. Zamówił dla nas dwie kawy, które dostaliśmy w ogromnych filiżankach w krzykliwe wzory, bardziej wyglądających na kolorowe zabawki jakiegoś gigantycznego brzdąca.

Obrzucił mnie taksującym spojrzeniem.

- Czyżby ktoś wreszcie dał ci odczuć, co naprawdę o tobie myśli?

Mimowolnie przytknęłam dłoń do policzka.

- Upadłam i się potłukłam.

- Czyżby? - Uśmiechnął się ironicznie. - W dodatku wyglądasz na zmordowaną.

- Wyśpię się po śmierci, jak mówi stare porzekadło - odparłam. - A w każdym razie dopiero wtedy, gdy uporządkuję wszystkie sprawy. Widziałeś, jak się skończyła ta partia pokera?

Jego uśmiech śmiało można było nazwać szczwanym.

- Owszem, widziałem.

- Bardzo mi przykro. Ja z tamtego wieczoru zachowałam tylko wyrywkowe wspomnienia. Pamiętam jednak, że nie byłam nazbyt

przyjemna. Jeśli to ty stałaś się moją ofiarą, bardzo przepraszam.

- Rzeczywiście byłaś nieprzyjemna w stosunku do mnie.
- Przepraszam.
- Zastanawiałem się później, co złego ci zrobiłem, że postanowiłaś mnie w ten sposób upokorzyć.

- Wybacz, Stuart. Wydawało mi się chyba, że wzięłaś mnie na celownik, toteż odpłaciłam ci tym samym. Zachowałam się jednak w sposób niewybaczalny.

- Po co chciałaś się ze mną zobaczyć?
- Przegrałam kupę forsy.
- Wiem. Byłem przy tym.
- Tamci musieli zauważyć, że nie umiem grać. Aż nie chce mi się wierzyć, że teraz naprawdę żądają ode mnie pieniędzy. Co gorsza, ten osiłek wtargnął do mojego domu i zasypał mnie pogrożkami. Nie wiem nawet, skąd wziął adres.

Stuart przyglądał mi się uważnie, ale milczał.

- Nie sądzisz, że powinnam kogoś o tym zawiadomić?

Zrobił taką minę, jakby nic go to nie obchodziło.

- Możesz pogadać z Tonym, jeśli ci na tym zależy. Albo z Vi-kiem. Nie wiem jednak, czego mogłabyś się po nich spodziewać. To była zupełnie poważna partia pokera. Widziałaś sama, że grają na pieniądze. Zachowujesz się teraz tak, jakbyś w supermarkecie nabrała cały koszyk zakupów, po czym zapytała w kasie, czy możesz to wszystko zabrać do domu, nie płacąc ani pensa.

- Ale tu chodzi o jedenaście tysięcy funtów.
- Jak już mówiłem, spróbuj pogadać z Tonym.

Sytuacja wyglądała naprawdę paskudnie. Z trudem przełknęłam ślinę.

- Prawdę mówiąc, Stuart, miałam nadzieję, że może ze chciałabyś... no, wiesz, szepnąć tym ludziom słówko w moim imieniu.

Na dłużej zapadło milczenie. Coś mi podpowiadało, że on napawa się tą chwilą swojego triumfu.

- Chcesz, żebym się z nimi dogadywał? - zapytał w końcu. - Z nimi też?

- Dlaczego też?
- Bo wcześniej poprosiłaś mnie, bym się rozmówił z Debbie Trickett. Nie pamiętasz?
- Wcale cię o to nie prosiłam. Sam zaoferowałeś pomoc. W każdym razie od pewnego czasu nie widziałam jej na oczy.
- Jak ci się zdaje, dlaczego?
- Pewnie sobie uzmysłowiła, że nic nie wskóra przed sądem.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz - rzekł.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Widziałem się z nią. I rozmawiałem. Musiała wystawić mieszkanie na sprzedaż. Zostanie bez dachu nad głową. No i musi szukać nowej pracy, nie mając żadnych referencji. Rzuciła niezłą posadę, żeby się zatrudnić w „KS i spółce”, i teraz została z niczym. Dlatego dobrze byłoby wiedzieć, że na pewno potraktowałaś ją sprawiedliwie.
- Po czyjej właściwie jesteś stronie?
- Po niczyjej. Próbuję pełnić rolę mediatora. Chciałbym znaleźć wspólny dla was grunt. Pomyślałem, że byłoby bardzo cenne, gdybyś zrozumiała, jak ją skrzywdziłaś. Debora jest bardzo wrażliwa. Chyba nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.
- Ależ świetnie to rozumiem... - Urwałam nagle i obrzuciłam go uważnym wzrokiem, aż lekko się zaczerwienił. - Nie do wiary. Zaciągnąłeś ją do łóżka.

Stuart zrobił się nagle czerwony jak burak i szybko odwrócił głowę.

- Bądź uprzejma mówić ciszej - syknął. - Co cię ugryzło?
  - Więc jak? Mam rację?
- Wymierzył we mnie wyraźnie roztrzęsiony palec wskazujący, jakby chciał mi go wetknąć w oko.
- Tak się składa, że nie masz - odparł. Zwróciłam uwagę, że słowa z trudem przechodzą mu przez gardło, jakby nie mógł złapać tchu. - Co się z tobą dzieje? Czemu wszystkich tak traktujesz? Cemu u każdego szukasz słabych punktów? W końcu każdy je ma. Ale ty je wykorzystujesz, żeby niszczyć ludzi. Dokładnie tak postąpiłaś z

Debbie. Przyłapałaś ją na głupim błędzie. Sprytnie. I wykorzystałaś, żeby ją zniszczyć. To samo zrobiłaś mnie. W dodatku sądzisz, że ujdzie ci to bezkarnie. Napawasz się posiadaną władzą czy robisz to dla czystej przyjemności, choćby po to, żeby sprawdzić, jak daleko będziesz mogła się posunąć? Więc na początek powinnaś wiedzieć, że żadną słodką gadką nie wymigasz się przed spłatą należności wobec Vica Norrisa. Możesz zatrzepotać przed nim rzesami, żeby zobaczyć, jak daleko sięga twoja moc. On jednak nikomu nie daruje i nie zapomina. Jeśli będziesz zwlekać w nadziei na jego łaskę, sama się przekonasz, co to oznacza.

Urwał, jakby zabrakło mu tchu.

- Skończyłeś? - zapytałam.

- Nie - rzucił pospiesznie. - Przyszedłem tu, żeby porozmawiać z tobą o Debbie.

- A konkretnie?

- Pokazać ci, co możesz uczynić, by uchronić się przynajmniej przed jedną katastrofą. Daj jej drugą szansę. Debbie obiecuje, że teraz będzie inaczej. Mówi też, że puści wszystko w niepamięć.

- Puści wszystko w niepamięć?

- Zgadza się. Więc co ty na to?

Musiałam zrobić krótką przerwę. Serce łomotało mi tak głośno, że ledwie docierały do mnie słowa Stuarta. Z tego samego powodu nie mogłam klarownie myśleć.

- W porządku, przekażesz jej wiadomość – odezwałam się w końcu. - Powiedz jej, żeby się odpierdoliła. Miałyśmy wiele szczęścia, że w samą porę przyłapałyśmy ją na oszustwie. Nie zaufała-bym jej, gdyby nawet chodziło tylko o wynoszenie śmieci.

Wstałam i wyszłam.

Wróciłam do biura, zataczając się na schodach jak pijana, i ciężko klapnęłam na krzesło. Nogi ugiwały się pode mną, a gdy próbowałam otworzyć swoje pliki w komputerze, szybko się przekonałam, że ręce tak mi się trzęsą, że nie mogę trafić we właściwe klawisze i

wpisuję jakieś idiotyczne zbitki liter zamiast słów. Nie wiem, ile czasu przesiedziałam w otępieniu, bo wydarzenia w mej świadomości zlewały się w jeden ciąg. Pamiętam filiżankę kawy, którą Lola postawiła przede mną na biurku, a ja ją przewróciłam, zalewając papiery, po czym nastąpiło zamieszanie obejmujące pospieszne zabieranie wszystkiego, wycieranie kawy z teczek i zgarnianie jej chusteczkami higienicznymi, czemu towarzyszyło ciągle powtarzanie, że nic się nie stało. Pamiętam też kanapkę, z której ochoczo ugryzłam wielki kęs, ale zrobiło mi się niedobrze, więc wyrzuciłam ją do kosza.

Pamiętam również moją rozmowę z Meg i Trish, a dotyczącą Debory. Jak przez mgłę przypominam sobie swój głos, brzmiący zupełnie obco, który tłumaczy, że chyba podjęłam decyzję nazbyt pochopnie i dochodzę do wniosku, że warto dać Deborze drugą szansę, na co Trish odpowiada rzeczowo, iż nasz radca prawny zapoznał się ze sprawą, dokładnie przejrzał dokumenty i wyraził satysfakcję, że w tych okolicznościach postąpiliśmy zgodnie z prawem. Sprawa była więc zamknięta i nie musiałam się zastanawiać nad drugą szansą dla Debory.

- To definitywny koniec - wtrąciła Meg. - Możesz już przestać zawracać sobie głowę Deborą.

- Mam przestać sobie zawracać głowę - powtórzyłam w otępieniu.

Pamiętam też, że później Meg stanęła nade mną, położyła mi rękę na ramieniu i wywołując moje imię, pytała raz za razem, czy na pewno dobrze się czuję. Odparłam, że nic mi nie jest, choć nadal nie mogłam się na niczym skupić. Przed oczyma wciąż miałam Deana, tego osiłka śmierzącego klejem i potem, który odwiedził mnie poprzedniego wieczoru, chichotał głupio i powtarzał, że muszę zapłacić, po czym wyszedł z domu tuż przed powrotem Charliego. Z pamięci wypływała także twarz Stuarta, którą dotąd uważałam za przyjemną i sympatyczną, a dziś zobaczyłam wykrzywioną grymasem obrzydzenia i wrogości. No i pozostawał jeszcze Rees, który zaledwie wczoraj podarł na mnie bluzkę i podbił mi oko. Wydawało mi się, że wciąż słyszę huk, z jakim uderzyłam głową w betonowy mur.

To wszystko było jak sen, przerażający koszmar, w którym zwała się na człowieka wszystko, co najgorsze, a na dodatek zaczynają go dręczyć wyrzuty sumienia z powodu własnych złych uczynków i żadnym sposobem nie można się od nich uwolnić. Dokucza świadomość, że daremne są zarówno próby oderwania się czy ucieczki, jak też szukania pomocy. Absurd.

- Ty płaczesz? - odezwał się ktoś tuż nad moim ramieniem. Podniosłam wzrok na Meg, która jakby wyrosła spod ziemi. - Dlaczego płaczesz?

- Po prostu nie mogę się powstrzymać.

Utkwiłam nieruchome spojrzenie w ciemnym ekranie monitora i zaszuchałam się w dzwonki telefonów, dopóki się nie oddaliła, żeby porozmawiać z Lolą. Chwilę później oznajmiła, że taksówka już czeka przed budynkiem, a Lola mnie odwiezie, zaprowadzi do domu i zaopiekuje się mną. Pomysł wydał mi się dziwny, ale sensowny. W końcu nie miałam nawet pewności, czy będę umiała wskazać drogę, jeśli kierowca taksówki nie trafi na właściwą ulicę. Powiedziałam Meg, że koniecznie muszę uszczelnić wszelkie luki, żeby przetrwać sztorm, ale potem wszystko wróci do normy. Odparła, że bym wypoczywała tak długo, jak to będzie konieczne. Skwitowałam, że niczego więcej mi nie trzeba. Usłyszałam na to, że jutro będziemy musiały przedyskutować niezbędne środki ostrożności przed Reesem. Chciałam dodać, że także przed Deborą, ale ugryzłam się w język. Jak również, rzecz jasna, przed tym przeklętym posłańcem ściągającym długi. A może też przede mną samą? Jak mogłabym się zabezpieczyć sama przed sobą?

Droga do domu trwała tylko parę minut. Lola otworzyła drzwi moim kluczem. Kiedy pomagała mi się rozebrać, uświadomiłam sobie, że pierwszy raz od czasu, gdy uwolniłam się spod matczynej opieki, rozbierała mnie jakaś kobieta. Pozwoliłam na to paru mężczyznom, ale żadnej kobiecie. A potem ją przeprosiłam. Bo to ja powinnam jej pomagać. Między innymi na tym polegała moja praca. Tymczasem ona położyła mnie do łóżka i naciągnęła mi kołdrę



aż pod brodę. Zwinęłam się w kłębek, żeby się rozgrzać. Usłyszałam stuk zamykanych drzwi na dole i w domu zapadła niemal całkowita cisza, przerywana tylko jakimiś szmerami i stukami oraz mocno stłumionymi odgłosami ruchu ulicznego. Zostałam sama. Na zewnątrz byli ludzie, którzy pałali nienawiścią do mnie, zarówno uzasadnioną, jak i pozbawioną jakichkolwiek podstaw. Czaili się dosłownie wszędzie. Nasunęłam kołdrę na głowę i mocniej przyciągnęłam kolana do piersi. Żałowałam, że nie mogę ich tak samo przycisnąć do moich piekących, zachodzących łzami oczu.

## 20

Minęło popołudnie, potem wieczór, i nastąpiła wczesna zimowa noc. Niebo szybko ciemniało za oknem, zapadał chłód. Zielone cyfry na wyświetlaczu budzika elektronicznego wskazywały piątą, później szóstą, szóstą trzydzieści... a Charlie wciąż nie wracał. Gdzie się podziewał? Wcześniej zawsze był w domu i czekał na mój powrót z pracy.

W końcu zmusiłam się do tego, żeby wstać z łóżka, włożyć szlafrok, zejść na dół i zadzwonić pod numer komórki Charliego.

- Tak?
- Charlie? Kiedy wracasz? Czuję się trochę dziwnie.
- Czyżby? Naprawdę chcesz, żebym wrócił?
- Gdzie jesteś?
- Z przyjaciółmi.

Wyteżyłam słuch, żeby wyłowić jakieś odgłosy w tle.

- Nie martw się - odparłam po chwili. - Po prostu zżera mnie ciekawość. I nie musisz się spieszyć. Nic mi nie będzie.

- Niedługo wrócę - obiecał. - Będę koło ósmej. W porządku?
- Tak - odezwałam się po dłuższej chwili. - W porządku.

\*

Zadzwoiłam do Meg.

- To ja - rzuciłam, jak tylko odebrała.
- Holly? - zapytała wyraźnie zdumiona. - Już ci lepiej?
- Przepraszam za swoje dzisiejsze zachowanie.
- Nie ma za co. Posłuchaj, mogę oddzwonić za jakiś czas? To

nie najlepsza pora...

Usłyszałam męski głos wołający ją po imieniu.

- Z kim jesteś? - zaciekauiłam się. - Kto cię przed chwilą wołał, Meg?

- Porozmawiamy jutro, jeśli tylko przyjdiesz do biura. Nie teraz. I nie przez telefon. Odpocznij, zajmij się sobą, wydobrzej...

- Meg... - zaczęłam, ale się rozłączyła. Po drugiej stronie linii nie było już nikogo. Z całej siły przyciskałam słuchawkę do ucha, lecz słyszałam w niej jedynie odgłos mojego urywanego oddechu.

Podreptałam z powrotem na górę i położyłam się do łóżka. Patrzyłam jak urzeczona na zmieniające się cyfry na wyświetlaczu budzika.

Kiedy doleciał mnie odgłos dzwonka, a później kołatanie w drzwi, bardzo głośne i natarczywe, jakby ktoś siłą próbował się dostać do środka, pomyślałam, że to tylko zły sen, w którym przyszli po mnie oprawcy. Obudziłam się jednak i usiadłam. Kołatanie nie umilkło, a wkrótce rozległ się także brzęk tłuczonego szkła. Mimo to nie zareagowałam. Położyłam się, czując tak przemożne wycieńczenie, jak gdybym była owinięta azbestowym kocem przeciwpożarowym, od którego nie sposób się uwolnić. Zdawałam sobie sprawę, że dzieje się coś złego, tyle że nie miałam nawet siły, aby się bać. Nogi miałam niczym kłody drewna, na piersi spoczywał mi jakby ciężki głaz. Leżałam więc dalej na wznak, przyciskając poduszkę do piersi. Wreszcie trzasnęły otwierane drzwi, donośnie zgrzytnęło przesuwane w kuchni krzesło.

Dopiero gdy usłyszałam odgłos kroków, z przerażenia oblałam się zimnym potem, aż zatkało mi dech w piersi, a w gardle wyrósł dławiący kłęb.

Kroki umilkły na krótko u podnóża schodów i po chwili zaczęły się przybliżać.

Wstawaj, Holly, nakazałam sobie w duchu. Wyskakuj z wyra, do jasnej cholery!

Wyśliznęłam się spod kołdry i omal nie zwałam się jak długa na podłogę, ledwie dotknąwszy jej bosymi stopami. Jakaś część mojej jaźni w pełni świadomie odbierała szczypanie stłuczonego policzka, pieczenie rozciętej skóry na głowie, lekko chropowatej powierzchni desek pod stopami, rozgwieżdżonej czerni bezchmurnego nieba za oknem i docierających stamtąd stłumionych odgłosów tętniącego życiem świata.

Telefon, przemknęło mi przez myśl. Otóż to, powinnam zadzwonić na policję. Przysiadłam w kącie na podłodze, ściągnęłam telefon z nocnego stolika i próbowałam spokojnie i rytmicznie trzy razy wcisnąć klawisz dziewiątki, ale w całkowitych ciemnościach, z palcami dziwnie miękkimi niczym rozgotowane parówki, oczywiście się pomyliłam. Usłyszałam sygnał niewłaściwego numeru, a zaraz potem kroki tuż pod drzwiami sypialni. Otworzyły się gwałtownie, chyba kopnięte, i z hukiem odbiły od ściany. Z mej kryjówki na podłodze za łóżkiem dostrzegłam tylko czarne męskie buty i końce nogawek szarych spodni.

Za to z korytarza wpadł do środka słaby blask, w którym ujrzałam wreszcie cyfry na klawiszach aparatu. Ponownie zaczęłam wybierać numer, tłumiąc rodzący się w gardle szloch.

- Ach, tu jesteś. Ukrywasz się przede mną?

Brzmienie tego głosu sprawiło, że strach w jednej chwili uleciał, a mnie jakimś cudownym sposobem ogarnął bezgraniczny spokój i opanowanie, jakby nagle ucichł mroźny porywisty wiatr, pozwalając mi dostrzec szczegóły otoczenia. Wstałam, przyciskając do siebie aparat telefoniczny.

- Stuart? Co ty tu robisz?

- A jak ci się zdaje? Przyszedłem, żeby pogadać, to wszystko.

Język wyraźnie mu się plątał. I lekko chwiał się na nogach.

- Jesteś pijany. Halo? Halo? Tak? Centrala ratownictwa? Nazywam się Holly Krauss. W moim domu jest intruz...

Stuart rzucił się przez łóżko i wytrącił mi z ręki słuchawkę, która z trzaskiem wyłądownała na podłodze. Kopniakiem posłał ją pod ścianę i szarpnięciem wyrwał kabel telefoniczny ze ściany.

- Sama tego chciałaś - wydyszał mi prosto w twarz, poczerwieniały jak burak.

- Wynoś się stąd natychmiast.

- Najpierw pogadamy.

- Nie mamy o czym.

- Holly Krauss. Uważasz się za taką spryciarę, prawda? Myślisz, że każdego potrafisz sobie owinąć wokół palca.

- Idę na dół. Z drogi.

- Dziś po południu spotkaliśmy z twoim pieprzonym radcą prawnym, już po naszej rannej rozmowie. Najwyraźniej nie słuchałaś tego, co do ciebie mówię, prawda? Ty nigdy nikogo nie słuchasz.

- Właśnie nasz radca prawny zalecił...

- Stul pysk i przynajmniej raz mnie wysłuchaj. Debora nie do stanie od ciebie nawet referencji, prawda? - zapytał bardzo głośno, poczerwieniawszy jeszcze mocniej. - Po prostu wywalasz ją na bruk w chwili jej słabości. I jeszcze cieszysz się z tego, tak czy nie? Bo możesz użyć swojej władzy. Tak samo jak wtedy, gdy mnie upokorzyłaś w obecności wszystkich. Jak ci się zdaje, jak się wtedy czułem? Podniecało cię to, prawda?

- To, że nawiązałaś romans z Deborą, nie oznacza jeszcze...

- Odbiło ci, do cholery? - warknął. - Nie możesz sobie wbić do tej pieprzonej główki, że nic mnie nie łączy z Deborą? Ja tylko... po prostu się staram... a ty jak zwykle drwisz ze mnie!

- Lepiej zaparzę kawy - powiedziałam. - Nigdy i z nikogo świadomie nie drwiłam.

Ruszyłam do drzwi, ale złapał mnie za ramię i szarpnięciem odwrócił do siebie. W kącikach ust zebrała mu się spieniona ślina. Gdy pochylił się niżej nade mną, poczułam w jego oddechu wyraźną, słodkawo-kwaśną woń alkoholu.

- Nigdzie nie pójdziesz.
- Zabieraj ode mnie swoje łapy.
- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki ci na to nie pozwolę.

Pchnął mnie do tyłu, plecami na ścianę. Odepchnęłam go z całej siły i odskoczyłam. Chwyciłam stojące na komódce lustro, które dostałam od babci, i trzymając je za rączkę niczym raketę tenisową, wymierzyłam mu cios kantem w twarz. Głośno zawył z bólu i wściekłości. Byłam już w drzwiach, pchana nadzieją, że zdołałam się od niego uwolnić, gdy złapał luźną połą szlafroka i pociągnął mnie z powrotem, po czym szerokim sierpem uderzył mnie w twarz, aż głowa odskoczyła mi do tyłu, a ból przeszył całe ciało niczym wstrząs elektryczny.

Po raz kolejny złapał mnie za ramię, ale na jego twarzy odmalowało się przerażenie połączone ze zmieszaniem.

- Holly, ja nie chciałem... - wybąkał. - Ale to przez ciebie. Musiałem cię jakoś powstrzymać.

- Nie - odparłam. - Nieprawda.

Kiedy zacisnął mocniej palce na moim ramieniu, na oślep zamachnęłam się pięścią w jego twarz, a gdy odskoczył do tyłu, wypadłam z sypialni na korytarz i skręciłam w stronę schodów. Wydawało mi się, że słyszę go tuż za sobą. Nagle straciłam grunt pod nogami i poleciałam w dół na łeb, na szyję, panicznie szukając jakiegoś oparcia szeroko rozłożonymi rękoma. Skrobnęłam paznokciami po ścianie, uderzyłam głową o tralki poręczy i podłoga na parterze zaczęła się do mnie przybliżać w dziwnie zwolnionym tempie, toteż oderwane obrazy przemknęły mi przed oczami z zadziwiającą wyrazistością: fragment gołego tynku, który od dawna już miałam pomalować, brzeg wytartego chodnika na schodach pod moimi łydkami, ciężki oddech Stuarta tuż za mną, buty stojące w holu pod ścianą z wijącymi się po podłodze sznurówkami.

Z hukiem grzmotnęłam głową o deski obok nich, aż gdzieś gębokoko pod czaszką pokazały mi się wszystkie gwiazdy. Gwałtowny spazm bólu przeszył całe moje ciało. Do uszu doleciały żalodne pojękiwania, lecz minęło trochę czasu, nim uzmysłowiłam sobie, że

wydobywają się z mojego gardła. Otworzyłam oczy. Obie ręce miałam wyciągnięte przed siebie, niczym pływak na słupku szykujący się do skoku do wody. Jedna noga pozostała na schodach. Za to drugiej w ogóle nie czułam. Dopiero gdy spróbowałam nią poruszyć, zrozumiałam, że mam ją pod sobą, a dotkliwy ból promieniuje właśnie z kostki wykręconej pod dziwnym kątem.

- Holly - odezwał się jakiś głos. - Na Boga, Holly!

Zaraz jednak zagłuszył go jakiś jazgot wypełniający mi uszy. Nie rozlegał się jednak w mojej głowie, dochodził z zewnątrz. Ktoś gwałtownie dobijał się do drzwi, te po chwili otworzyły się z trzaskiem i po raz kolejny zauważyłam tuż przed sobą męskie buty, ciężkie, czarne. Podniosłam głowę i popatrzyłam na dwóch mężczyzn, umundurowanych. Gdzieś za moimi plecami Stuart zaczął w kółko powtarzać:

- To był wypadek, wcale jej nie zepchnąłem, to był wypadek, nie chciałem, nie miałem zamiaru robić jej krzywdy.

- Cześć - wycedziłam, przytknęłam z powrotem policzek do zimnej zakurzonej podłogi i zamknęłam oczy. W jednej chwili opanował mnie błogi spokój, poczułam się wręcz uszczęśliwiona. - Bardzo się cieszę, że przyjechaliście.

Wyprowadzili Stuarda w kajdankach, chociaż i ja powtarzałam, że to nie jego wina. O nic go nie oskarżałam. Do nikogo nie miałam pretensji. W końcu poczułam się całkowicie oderwana od paskudnych, drażniących zdarzeń z ostatnich godzin. A sporo ich było. Miałam wrażenie, że cały dzień wypełniała nienawiść, wrogość i gwałtowne wybuchy przemocy, twarze wykrzywione pogardą, odrażające słowa i zaciśnięte pięści.

Teraz, wyciągnięta na wznak na noszach i przykryta ciepłym kocem, znalazłam się w karetce, gdzie sanitariuszka zaraz wzięła mnie za rękę. Wszyscy doskonale wiedzieli, co robią, toteż nie musiałam o niczym myśleć, niczego się nie bałam i niczym nie przejmowałam. Na ulicy gromadzili się gapie, którzy tręcali się łokciami, wskazywali mnie palcami i wymieniali półgłosem uwagi. Usłyszałam, jak ktoś wymienia moje imię i nazwisko, powtarza je raz za razem, co przypominało narastający szelest liści w podmuchach wiatru: Holly Krauss, Holly Krauss,

Holly Krauss... Ale i to nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

Nagle ktoś pojawił się przy mnie, wskoczył do środka przez szeroko otwarte tylne drzwi karetki i uklęknął przy noszach.

- Holly?
- Cześć, Charlie. A więc jednak wróciłeś...
- Coś ty narobiła?
- Powinien pan raczej spytać, kto jej to zrobił - odezwała się sanitariuszka, która trzymała mnie za rękę. - Miała dużo szczęścia.
- Ładnie pachniesz - wycodziłam zaspanym głosem. - Wanilią.
- Kto ci to zrobił?
- Stuart. Ale nie chciał mnie skrzywdzić. Po prostu był pijany,

to wszystko.

- Twoja twarz...
- Naprawdę nic mi nie jest.
- Ale...
- Wyglądam okropnie? Nie przejmuj się.

Przyszło mi do głowy, że przeszedł groźny huragan, lecz mieliśmy szczęście, że o nas tylko lekko zahaczył.

- To zmiany pogody we mnie - mruknęłam.
- Co mówisz?
- Nieważne. Potrzywasz mnie za rękę?

Zacisnął palce na mojej dłoni, ale raczej niechętnie, i poklepał mnie lekko, najwyraźniej błędząc myślami gdzieś daleko.

- Musimy porozmawiać - dodałam.

Miałam wrażenie, że powtarzam tę zbitkę siedmiu sylab od wielu dni. Ale i tym razem Charlie nie odpowiedział. Drzwi zamknięto i karetka powiozła mnie w mrok nocy.

Nie ucierpiałam specjalnie, zatrzymali mnie jednak w szpitalu na całą noc na obserwację. Oko już wcześniej miałam podbite, ale z tyłu głowy doszło drugie rozcięcie, które trzeba było zebrać kilkoma

szwami; skręcona kostka spuchła jak balon; odczuwałam silne bóle karku; łydki były poobcierane od zsuwania się po szorstkim chodniku zakrywającym schody. Policjantka, która zjawiła się z samego rana, żeby spisać moje zeznania, zdradziła, że twarz Stuarta wygląda znacznie gorzej niż moja. Biedak. Opowiedziałam jej dokładnie, co się stało, a ona wszystko spisała, potem jeszcze odczytała na głos, zanim poprosiła o podpis na dole arkusza. Kiedy zapytałam, co się z nim stanie, tylko wzruszyła ramionami. Nie czekając, aż wyjdzie, odwróciłam się twarzą do ściany.

Po burzliwych przeżyciach z poprzedniego wieczoru został we mnie tylko smutek. Rozmyślałam o swoim związku z Charliem. Zastanawiałam się też na swoim związku z Meg. I mimo woli w moich myślach pojawił się Charlie z Meg. Ich oboje kochałam jak nikogo na świecie. Chyba tylko ich kochałam tak naprawdę, oczywiście, nie licząc mojej matki, ale ją kochałam głównie dlatego, że była moją matką. Gdyby zabrano mi Meg i Charliego, kto by mi pozostał? Gromada różnych znajomych, którzy nie wiedzieli o mnie nic poza tym, że jestem zwierzęciem towarzyskim: lubię się bawić i organizować rozrywki, ale mogę też ugryźć wyciągniętą rękę. Poczłapałam do łazienki i stanęłam przed lustrem. Miałam tłuste włosy, pół twarzy w odcieniu brudnożółtym, popękane wargi i głębokie cienie pod oczami. Gdyby wszyscy ci znajomi zobaczyli mnie teraz, pewnie diametralnie zmieniliby zdanie.

## 21

W drodze powrotnej do domu czułam się jak odrażająca, a zarazem śmieszna karykatura młodej matki zabieranej ze szpitala przez kochającego męża. Tyle że nie wydałam na świat dziecka. I nie byłam szczęśliwa. Na kolanach trzymałam plastikową torbę z moimi porwanymi i zaplamionymi ubraniami. Prawie całą drogę pokonaliśmy w milczeniu. Dopiero gdy Charlie zatrzymał wóz przed domem, powiedział:



- Przepraszam. Powinienem być przy tobie wczoraj wieczorem. Mógłbym cię wtedy ochronić.

- Na szczęście stróże prawa i porządku przybyli w samą porę - odparłam. - Kto ich powiadomił?

- Najwyraźniej ty sama.

- Nie zdążyłam podać adresu przez telefon.

- To nie było konieczne.

- Sprytnie - bąknęłam.

- Sądziłem, że to twój przyjaciel - ciągnął.

- Był nim. Teraz moi przyjaciele nienawidzą mnie o wiele bardziej niż moi wrogowie.

Wysiedliśmy z samochodu i podeszliśmy do drzwi frontowych.

- Nie mów tak - zaoponował.

Weszliśmy do środka. Zaczęłam mówić, że jest mi przykro, ale jednocześnie i on przystąpił do jakichś wyjaśnień, zaczęliśmy więc przeproszać się nawzajem i prosić, by mówiła druga strona. W końcu stanęło na moim, bo się uparłam, żeby to on zaczął.

- Na pewno dobrze się czujesz? - zapytał.

- Na pewno o tym chciałeś rozmawiać?

- Nie. Chciałem cię serdecznie przeprosić. Wiem, że w takiej chwili powinienem zostać w domu i zaopiekować się tobą, ale mam spotkanie. Dotyczące pracy.

- Wspaniale. Z kim będziesz rozmawiał?

- Z redaktorami pisma poświęconego modzie. Na pewno go nie znasz.

- Bardzo się cieszę. Kiedy jest to spotkanie?

- Zaraz. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że wyjdę? Położyłam dłoń na jego ramieniu.

- Zjeżdżaj. Ja muszę tylko wypocząć.

- Mam wyrzuty sumienia, że zostawiam cię samą.

- Niepotrzebnie. Dla mnie to nie jest żaden problem. Po prostu nastąpił kryzys, do którego przyczyniło się wiele rzeczy. Teraz, gdy doszło wreszcie do przesilenia i wzięłam byka za rogi, pewnie z wycieńczenia zwalę się z nóg jak kłoda.

Uśmiechnął się, ale zaraz popatrzył na mnie pytająco.

- Przerwałem ci - rzekł. - Co chciałaś powiedzieć?
- Chciałam cię jeszcze raz serdecznie przeprosić.
- Za co? - zdziwił się. - Przecież to ty zostałam napadnięta.
- Za powtórkę.
- Słucham?
- Chodzi mi o rzeczy, które się powtarzają na okrągło, ale za każdym razem są coraz gorsze. Jak zapadka. Dobrze powiedziałam? Co to jest zapadka?

- Mówisz poważnie? - bąknął osłupiały. - Zapadka to taka blaszka, która prześlizguje się po zębach koła zębatego, przez co pozwala mu się obracać tylko w jedną stronę, bo w drugą je blokuje. Zapadki stosuje się na przykład w trybikach zegarków.

- Sam widzisz. Świetnie znasz się na takich rzeczach. Właśnie o to mi chodziło. Jak cały ten cyrk dobiegnie końca i jakoś z tego wyjdziemy, porozmawiamy szczerze.

- Dobrze - rzucił w pośpiechu. - A tymczasem... - Pobiegł na górę i po chwili wrócił w innej marynarce.

- Świetnie wyglądasz - pochwaliłam. - Ja bym cię zaangażowała.

Zachmurzył się.

- Dobrze wiesz, że nigdy bym cię nie poprosił o żadne zlecenie.

- Źle się wyraziłam - przyznałam skruszona.

- Lepiej już pójdę.

- Zapomniałeś o teczce z rysunkami.

Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, a jego milczenie trwało o ułamek sekundy za długo.

- Oni doskonale znają moje prace - odparł w końcu. - Nie potrzebuję ich.

- W takim razie powodzenia.

Skinął głową.

- Nawiasem mówiąc, dorobiłem ci klucz. - Położył go na stole.

- Dziękci. Martwię się jednak, że tamten mógł mi ktoś zabrać.

- Kto?
- Nieważne.

Wyszedł. Jeszcze przez chwilę stałam pośrodku holu, a z mej pamięci wypłynął wiersz, który czytałam w szkole średniej: „Ja kłamałam jej, tak jak ona mnie, aż kłamstw naszych bezmiar...” coś tam, coś tam, coś tam. Właśnie usiłowałam sobie przypomnieć owo „coś tam”, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Uśmiechnęłam się szeroko. Charlie wrócił. Może jednak zmienił zdanie? Wyobrażałam sobie już, jak przytulę się do niego, a potem odbędziemy długą i szczerą, tak długo odkładaną rozmowę.

- Szybko... - zaczęłam, otwierając drzwi, ale natychmiast urwałam, gdyż to nie Charlie stał przed nimi, ale Dean, ściskający w garści puszkę z piwem.

- Czekałam, aż twój staruszek wyjdzie - oznajmił, bez pytania wchodząc do środka, aż musiałam mu się odsunąć z drogi. - Jak widzisz, liczę się z tobą. - Pociągnął łyk piwa. - Tym razem przyniosłem swoje - wyjaśnił, po czym obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem. - Znowu wdałaś się w jakąś rozróbę?

- Mniej więcej - bąknęłam.

Potaął palcami nos, jakby go swędziało, i mruknął coś niezrozumiałego.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Jak to?

- Po co tu przyszedłeś?

- Dobrze wiesz po co.

- Właśnie wróciłam ze szpitala. Zaledwie parę minut temu weszłam do domu. Poza tym mówiłam ci już, że nie mam pieniędzy i nie mogę zapłacić Norrisowi.

- Jak to nie możesz? - odparł zaczepnie. - Przecież ten cholerny dom należy do ciebie, co nie?

- Ale jest zadłużony hipotecznie. Powtarzam, że nie mam pieniędzy.

Pociągnął następny łyk piwa.

- Nic mnie to nie obchodzi - rzekł. - Moim zadaniem jest ściąganie długów. Znalazłbym się po uszy w gównie, gdybym wrócił i powiedział, że nie kiwnęłaś nawet palcem. Ale ty byłabyś w znacznie gorszym gównie.

- Nie rozumiesz, że...

Podszedł do kominka i zdjął stojącą na gzymsie pięknie rżniętą zieloną kryształową karafkę, którą dostaliśmy w prezencie ślubnym.

- To jest warte najwyżej sto funtów - powiedziałam. - Możesz sobie zabrać.

On jednak spuścił karafkę na podłogę, gdzie roztrzaskała się na setki błyszczących zielonych odłamków.

- To za mało - powiedział. Dopił resztkę piwa z puszki i dodał: - Wiem, że możesz łatwo zdobyć pieniądze. Każdy może, jeśli tylko naprawdę mu zależy. A tobie powinno zależeć, do cholery.

- Jeśli zamierzasz mi znowu grozić, zawiadomię policję.

Odstawił pustą puszkę na stolik do kawy, po czym jak gdyby w zamyśleniu rozpiął rozporek, wyjął swojego małego różowego fiutka i obfitym strumieniem zaczął oddawać mocz, który zbierał się w wielkiej kałuży na podłodze. Gwałtownym ruchem bioder schował penisa i zapiął spodnie.

- Masz zdobyć te pieniądze - rzekł z naciskiem. - Jeśli nie będziesz ich miała przy następnym naszym spotkaniu, nie zobaczymy się już więcej. W końcu jestem tylko uprzejmym posłańcem. - Ruszył do wyjścia. - I przedyskutujemy również sprawę długu z twoim starym. - Uśmiechnął się szeroko. - Dzięki za możliwość skorzystania z toalety.

W miarę spokojnie poszłam do łazienki, ale gdy tylko stanęłam nad toaletą, wymiotowałam i wymiotowałam, dopóki całkiem nie opróżniłam żołądka. Potem wzięłam wiadro, ścierkę oraz rolkę papieru toaletowego i zaczęłam sprzątać w saloniku, zbierałam okruchy szkła i ścierałam siki. Następnie wyszorowałam podłogę żrącym płynem do czyszczenia toalet. A później wyszorowałam po raz drugi. Kiedy skończyłam, popatrzyłam na swoje dłonie. Skórę miałam zbielełą i mocno pomarszczoną, jak u topielca wyłowionego po tygodniu przebywania w wodzie.

Noc miałam poszarpaną, dręczyły mnie koszmarne sny, a wybudzały z nich myśli chyba jeszcze bardziej koszarne.

- Jesteś chora - rzekł Charlie, stając nade mną, gdy rano nieporadnie próbowałam się ubrać. Wziął mnie pod rękę i usiłował położyć z powrotem do łóżka, ale okazałam się silniejsza.

Wyszarpnęłam się i zerwałam z wieszaka pierwszą lepszą garsonkę. Miała obszerną kremową krezę i podobnie wykończone mankiety. Poczułam się niczym rodem z epoki elżbietańskiej, jakbym była szlachcicem za panowania Tudorów. Potrzebowałam jeszcze tylko szarpi do opatrzenia zranionej głowy.

- Będę jak wieśniaczka - mruknęłam. - Najmowana do zbierania kartofli. Północna Hiszpania, osły i mężczyźni siedzący w cieniu, popijający wino ze szklanic.

- Posłuchaj, Holly... - zaczął niepewnie Charlie. Przybliżył do mnie twarz i przez chwilę bezgłośnie otwierał i zamykał usta, jak ryba w wodzie. Popatrzyłam na sine żyłki pod skórą na jego skroniach i pojedyncze czarne włoski zarostu na brodzie. Szarpnęłam się do tyłu, gdy owionął mnie jego oddech. - Musisz natychmiast wracać do łóżka. Pozwól, że ja się wszystkim zajmę.

- Nie krzycz na mnie - odparłam. - Pod czaszką lata mi gumowa piłka, która boleśnie się objija. Mogłabym zrobić wykres, gdybym znała kąty jej padania i odbicia. Strzałki i kropkowane linie. Stąd dotąd...

- Holly, kochanie... Jeszcze nawet nie ma siódmej.

- Mam mnóstwo pracy. Muszę spłacić kredyt hipoteczny. Jeśli przestanę zarabiać, mój pociąg się po prostu wykolei. Trzask. Zgrzyt giętych blach. Nikt nie jest w stanie rozemnać się w tych szczątkach, tylko ja.

Wyciągnęłam buty, ale były nierówne, jeden sprawiał wrażenie wyższego. Mniejsza z tym. Wetknęłam w niego grubo zabandażowaną stopę.

- Muszę iść do pracy - ciągnęłam. - I ty też musisz się dalej starać, Charlie. Życie przecieka ci przez palce, zostajesz w tyle.

- Zaczekaj chwilę, pojedę z tobą. Dobrze? Nie puszcze cię samej. Tylko się ubiorę i przygotuję coś na śniadanie, później razem pójdziemy do metra.

- Nigdy więcej.

- O czym mówisz?

- Nigdy więcej nie będę jeździła metrem. Wszyscy stłoczeni jak mrówki w mrowisku, jak glisty pod wielkim omszałym głazem. Jest tylko ten głaz i ziemia, pod nami i nad nami, z lewej i z prawej. Jesteśmy pogrzebani żywcem, Charlie. Nie rozumiesz? Zamknijci w tej cholernej kapsule tlenowej, w której każdy oddycha tym samym, cuchnącym, brudnym, zużyтым już przez kogoś innego powietrzem.

- To pojedziemy autobusem.

- Możemy pójść pieszo przez ten stary, chwiejący się most. Będziesz musiał mocno mnie trzymać, bo nigdy nie wiadomo, co tam człowieka może spotkać...

- Holly, usiądź na łóżku i zaczekaj. Wezmę tylko prysznic. Powinnaś się ubrać trochę bardziej stosownie.

- Kogo to obchodzi? - mruknęłam. - Bo mnie wcale.

- Obiecujesz, że zaczekasz?

- Obiecuję. Słowo harcerza i niech mnie kule biją.

Okazał się jednak idiotą, skoro mi uwierzył. Gdy tylko zamknął się w łazience i usłyszałam szum wody, przekradłam się na palcach do drzwi i wybiegłam z domu.

Niby spokojnie szłam po chodniku, ale czułam się tak, jakbym siedziała w przyspieszającym sportowym aucie. Wszystko dokoła przybliżało się w szalonym tempie, drzewa, ludzie, mury. Noga spadła mi z krawężnika i poleciałam przez jezdnię. Zawył klakson, zapiszczały hamulce. Ujrzałam tuż obok za szybą najbliższego samochodu wykrzywioną z wściekłości twarz kierowcy. A więc on także mnie nienawidził, łatwo to było rozpoznać po błyszczących, miotających błyskawice oczach. Jakoś dotarłam na drugą stronę i kuśtykając, przekrzywiona na bok, weszłam na chodnik.

- Uważaj jak leziesz!

Kobieta z wózkiem. W blond włosach doskonale widoczne ciemne odrosty. Miałam ochotę jej powiedzieć, że wszystko wcześniej czy później musi wyjść na wierzch. Niczego nie da się zamaskować tanimi sztuczkami. I nikogo nie da się oszukiwać przez dłuższy czas. Jesteśmy śmieszni, ponieważ uważamy, że można wszystkim mydlić oczy, nawet tym, którzy znają prawdę. W końcu wszyscy próbujemy rozwiązać tę samą idiotyczną szaradę. Dobrze pamiętam z dzieciństwa różne łamigłówki. A więc film (jedna ręka przystawiona do oka, druga pięść obraca się wokół niej, symbolizując taśmę nawijającą się na szpulkę). Cztery słowa (cztery palce wyprostowane ku górze). Pierwsze słowo, trzy sylaby... To „gwiazdkowy” - Boże, naprawdę zbliża się Gwiazdka... Na czym skończyliśmy? Ach, tak, „gwiazdkowy”. Jest do tego kolęda zawierająca słowo „bluszc”. Zgadza się, Holly. Teraz drugi wyraz, jednosylabowy. Pewnie już wiesz, co nie? Krauss. Holly Krauss. Holly Krauss to chała. Tak, tak, tak.

Przeszłam przez most. Nad rzeką snuły się pasma mgły. Musiało się ochłodzić, ponieważ przy każdym oddechu z moich ust wydobywały się obłoczki pary. Wyraźnie czułam, jak most pod moimi stopami kołysze się i dygocze. Czułam się jak na starym mostku linowym zawieszonym nad przepaścią, w którym brakuje co drugiej deski. Omal nie poplątały mi się nogi od tego. A w dodatku most wydawał mi się strasznie długi, wznoszący się bardzo wysoko nad nurtem. Nie chciało mi się wierzyć, że naprawdę można się po nim przedostać na drugi brzeg. Ale przecież robiłam to już nieraz. Tylko czy to, że udawało mi się wcześniej, oznaczało automatycznie, że uda się i teraz? Wiele rzeczy miałam za sobą. Bezczelne kłamstwa, drwiny czy też całe paskudne, cholernie parszywe dni. Czy powinienam więc zakładać, że wszystko to przetrzymam po raz kolejny? Właśnie na tym miało polegać życie? Nic więcej się w nim nie liczyło?

Koniec mostu przybliżał się szybko. Obejrzałam się i chyba dostrzegłam znajomą sylwetkę, ale od silnego wiatru oczy zachodziły mi łzami do tego stopnia, że nawet bliskie elementy się przed nimi

rozmażywały. Samochody przemykały obok mnie. Ludzie omijali mnie szerokim łukiem, jakbym była nosicielką jakiejś strasznej zarazy. Bardzo mądrze. Buty ślizgały się po wilgotnej, chyba nawet oblodzonej nawierzchni. Musnęłam palcami żelazną poręcz i poczułam na opuszkach mroźne ukłucia. Gdybym złapała się jej na dłużej, pewnie przymarzłyby mi dłonie, a gdybym zechciała je uwolnić, oderwałabym je siłą razem ze skórą, przez co zyskałabym na palcach nową, delikatną i różową. Lewa, prawa, lewa, prawa... Zaraz, czy to nie był rytm z jakiejś starej piosenki, którą czasem w marszu śpiewał mój ojciec? „Lewa, lewa, domowe zacisze zostawiłeś z lewa. Prawa, prawa, bo w drogę pchnęła cię ważna sprawa”.

- Tak, to rzeczywiście ważna sprawa - podsumowałam na głos.

Dotarłam do końca mostu i skręciłam w prawo, w dół zbocza, pod wiatr, ledwie trzymając się na nogach. Z mojego gardła raz i drugi mimowolnie wydobył się jakiś dziwny dźwięk.

- Wszystko w porządku, złociutka?

Ujrzałam przed sobą zatroskaną twarz kobiety o krótko ostrzyżonych ciemnoblonde włosach i spiczastej brodzie. Zwróciłam uwagę na drobne kropelki potu na jej górnej wardze i wyszczerbiony ząb. Ale rysy miała przyjemne. Ciepłe piwne oczy i lekko uniesione brwi.

- Wszystko w porządku? - zapytała po raz drugi.

- A czemu to panią interesuje?

- Bo widać po tobie, że masz kłopoty. Dlatego przyszło mi do głowy, że trzeba ci pomóc.

- Tak, jasne. - Zaśmiałam się w głos.

- Kogo mam zawiadomić? - spytała z naciskiem.

- Co pani może wiedzieć...

Dłonią w grubej skórzanej rękawiczce złapała mnie pod rękę. Gdzieś z bliska dolatywały dziwne odgłosy, jakby ktoś gardłowo pojękiwał z wściekłości. Wokół nas zebrała się spora gromadka gapiów, a wszyscy spoglądali na mnie jakoś z góry. Uprzytomniłam



sobie, że siedzę na krawężniku. Obym tylko nie przymarzła, prze-  
mknęło mi przez głowę. Nie miałam na sobie rajstop, a stłuczone  
kolano było pokryte rozmazaną krwią. Rzeczywiście musiało to  
wyglądać podejrzanie. Ale przecież mogłam się potknąć i upaść.

- Potknęłam się i upadłam - powiedziałam. - Tylko się potknę-  
łam i upadłam. Muszę wstać.

- Spójrzcie, jak jest ubrana - zauważył ktoś głośno. - To na  
pewno pijaczka.

- Nie pijaczka, tylko bałaganiara - wyjaśniłam.

- Co ona mówi?

- Bałaganiara! - powtórzyłam głośniejsz.

- Patrzcie, jeszcze krzyczy na nas. Zdrowo naćpana. Trzeba  
wezwać pomoc.

Prawdą było tylko to, że ktoś krzyczał. Sprawy szybko wymykały  
mi się spod kontroli. Czułam się jak na przyjęciu, podczas którego  
w sąsiednim pokoju dochodzi do bójki, słychać brzęk tłuczonego  
szkła, lecz zanim się podejdzie, żeby popatrzeć, jest już po wszyst-  
kim. Zostaje tylko pobojojwisko: poprzewracane krzesła, ludzie  
wstający z podłogi, przecinające się w powietrzu okrzyki. I teraz  
czułam się jak na pobojojwisku. Kątem oka złowiłam jakąś szamo-  
taninę. Kilka osób leżało na ziemi i wydawało z siebie dziwne od-  
głosy. Mnie zaś piekły kolana i knykie. Popatrzyłam na swoje dło-  
nie pokryte zaczerwienionymi smugami i czarnymi grudkami ziemi.  
Tłum gapiów gęstniał, jakby doszło do wypadku samochodowego.  
Ale część osób oddalała się w pośpiechu. Wyglądało na to, że zjawi-  
ła się już karetka, ale nigdzie jej nie widziałam. Ostatnio mnóstwo  
ciekawych rzeczy działo się tuż poza zasięgiem mojego wzroku.

- Za tobą - podszepnął ktoś bardzo cicho, żeby nikt inny  
nie usłyszał.

Obejrzałam się gwałtownie, chcąc pochwycić widok, ale był  
szybszy i zmienił się błyskawicznie. Zaczęłam więc rozpytywać lu-  
dzi, co się dzieje, ale nikt nie potrafił mi tego wyjaśnić rzeczowo i  
logicznie. Trzy nastolatki wybuchnęły gromkim śmiechem, gdy im  
zadałam pytanie, postanowiłam więc nauczyć je kultury i skoczyłam

w ich stronę, ale były sprytniejsze, jak trzech młodych gorliwych matadorów drażniących się z rozwścieczonym bykiem.

Na wprost mnie zatrzymał się samochód, wysiadła para policjantów. Zapytałam, czy to nie oni byli w moim domu poprzedniego wieczoru, bo wszystko mi się już plątało. Podejrzewałam, że zatrzymają sprawców zamieszania i zaczną spisywać zeznania świadków, ale policjantka stanęła przede mną i zajrzała mi głęboko w oczy. Poczulałam się tak, jakby moja twarz była otwartym na oścież oknem, za którym rozciągał się widok na rozległe przestrzenie po drugiej stronie. Po chwili gliniarze wzięli mnie pod ręce. Usiłowałam się wyrwać, ale tylko złapali mnie mocniej i wepchnęli na tylne siedzenie radiowozu. Próbowałam wyjaśniać, że zaszła pomyłka i wzięli mnie za kogoś innego. Jednakże zachowywali się tak, jakby w ogóle mnie nie słyszeli. Zaczęłam więc krzyczeć, lecz to również nic nie dało. Po chwili policjantka zajęła miejsce obok mnie, jej partner usiadł za kierownicą i wóz ruszył.

- Spóźnię się do pracy - powiedziałam. - Wytłumaczę wam, jak tam dojechać. Chyba że chcecie mnie zawieźć do domu. To niedaleko stąd. Trzeba tylko zawrócić. - Ale nie zawrócili. - Wieziecie mnie na posterunek? Przykro mi, lecz nie mam nic do dodania do swoich wcześniejszych zeznań.

Nie zawieźli mnie ani na posterunek, ani do biura, ani też do domu.

## 23

- Czy wie pani, gdzie się znajduje?

- Tak.

Na krótko zapadła cisza.

- No więc?

- Co więc?

- Gdzie pani jest?

- O to pani nie pytała - odparłam. - Tylko o to, czy wiem, gdzie jestem. Na co odpowiedziałam: tak. Bo wiem.

Głośnie westchnienie.

- W porządku. Może mi pani zatem powiedzieć, gdzie się pani znajduje?

- Tak, mogę. Czy mam rozumieć, że chce pani, abym powiedziała, gdzie jestem?

- Tak, proszę.

- To pani tego nie wie? A powinna. Przecież pani tu pracuje.

- Ale chciałabym usłyszeć, czy pani też to wie.

- Ja tu nie pracuję.

Nie zdołałam się powstrzymać od śmiechu. Ten dzień zaczął się fatalnie, ale stopniowo przerodził się w farsę. Czułam się tak, jakbym nagle została uwolniona od dokuczliwej migreny, przez co jeszcze kręci mi się trochę w głowie, ale zarazem mogę myśleć jaśniej i szybciej. Popatrzyłam na młodą lekarkę, którą plakietka przedstawiała wielkimi drukowanymi literami jako Dr Cleevely. Była w nieskazitelnie białym fartuchu i miała nieskazitelnie biały uśmiech.

- Kiepsko pani to wychodzi - dodałam. - Próbuje pani sformułować pytanie, które skłoniłoby mnie do powiedzenia, że znajduję się w szpitalnej izbie przyjęć. No więc proszę, właśnie to powiedziałam. I to z własnej woli.

- I wie pani, dlaczego się tu pani znalazła?

- Och, nie, tylko nie zaczynajmy wszystkiego od początku, dobrze? Od czasu, gdy przyprowadziła mnie tutaj ta para w granatowych mundurach... Nie sądzi pani, że ludzie w mundurach to specyficzna kasta? Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam tę parę, pomyślałam, że to przebierańcy. Nawet się zdziwiłam, bo co tacy przebierańcy mieliby robić na Moście Samobójców. Oczywiście ten most w rzeczywistości nazywa się inaczej. Kto by się ośmielił nazwać go oficjalnie Mostem Samobójców? Przecież nikt nie odważyłby się postawić na nim nogi, a tym bardziej przejść po nim. Tak więc naprawdę ten most nazywa się zupełnie inaczej, tylko nie pamiętam jak. Ale w okolicy jest powszechnie znany pod szumną nazwą Mostu Samobójców. Co łatwo przewidzieć, nazywa się tak dlatego, że, po pierwsze, ludzie popełniają na nim samobójstwa... Nawet nie na

nim, tylko z niego. A robią to dlatego, że, po pierwsze, jest bardzo wysoko nad powierzchnią. To znaczy nad ziemią pod spodem. I po drugie, prawdopodobnie, jeszcze tego nie sprawdzałam, ale prawdopodobnie to jedyne miejsce w Londynie, gdzie można się zabić w jednym okręgu pocztowym, dajmy na to N19, a wylądować w zupełnie innym, N jakimś tam... O co pani pytała?

- Holly...
- Raczej panno Holly.
- Zamierzam sprowadzić tu specjalistę, który panią zbada.
- A to, co pani robiła, to nie było badanie?
- Jestem tylko lekarzem dyżurnym izby przyjęć.
- Nie ma za co przepraszać.
- Wrócę za chwilę.
- To bez znaczenia, bo i tak muszę iść do pracy.

Doktor Cleevly pospiesznie zniknęła za parawanem oddzielającym leżankę od reszty sali, lecz jak na złość zostawiła mnie pod opieką olbrzymiej pielęgniarki, która oznajmiła groźnie, że jak tylko spróbuję się podnieść, natychmiast się ze mną rozprawi. Wciągnęłam ją więc w rozmowę, żeby rozluźnić atmosferę. Ledwie zaczęłyśmy rozmawiać o Zimbabwie, skąd pochodziła, gdy doktor Cleevly wróciła w towarzystwie innej lekarki, Azjatki, niejakiej doktor Mehty, która przywitała się ze mną i przedstawiła jako dyżurny psychiatra.

- Chyba powinnam się w tym miejscu zdziwić: „Psychiatra? Nie potrzebuję psychiatry. Jestem całkiem zdrowa na umyśle”.

Mehta przyjęła to ze śmiertelną powagą. W ogóle wyglądała śmiertelnie poważnie. Uniosła do twarzy blaszaną tabliczkę z przypiętym kwestionariuszem i zaczęła mnie wypytywać o nazwisko, datę urodzenia i adres zamieszkania.

- Wie pani, z jakiego powodu pani się tu znalazła?
- Nie mam siły przechodzić przez to po raz kolejny - burknęłam. - Naprawdę nie mam na to czasu. Jeśli chce pani wiedzieć, przywiozła mnie tu policja.
- Dlaczego?

- Pewnie dlatego, że miała mnie dość. Ostatnio łączyły mnie z policją pewne sprawy. To długa historia.

- Tak? - zacięła się doktor Mehta.

- Dobra, sama pani tego chciała. No więc ktoś mi groził i... Prawdę mówiąc, ostatnio groziło mi mnóstwo ludzi, ale ten mężczyzna, o którym teraz rozmawiamy, zapewne jest obecnie w szpitalu, gdyż rozcięłam mu twarz lusterkiem należącym niegdyś do mojej babci. W każdym razie jestem pewna, że chodzi właśnie o ten szpital i że byłam tu niedawno, choć nie pamiętam dokładnie kiedy... Czasami zapomina się na śmierć, jaki mamy dzień, prawda? No więc ten mężczyzna próbował mnie skrzywdzić z powodu innej kobiety, którą wylałam z pracy. Poza tym jest jeszcze jeden gość, który dostał fiola na moim punkcie. Przyszłam, że poszłam z nim do łóżka, ale to się wcale nie liczyło. Tak, wiem, jestem mężatką. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale rozmawiałam o tym z Charliem, rozmowa była paskudna, niemniej sami sobie poradzimy z tym kryzysem. No i jest jeszcze ten młody osiłek, który wtargnął do naszego domu i nasikał na podłogę w saloniku, lecz nie wolno mi o tym mówić. Nikt nie powinien o tym wiedzieć. - Urwałam na chwilę. - Jak słucham tego wszystkiego, to coś mi się zdaje, że z pani punktu widzenia to musi brzmieć jak stek bzdur. Niemniej to absolutna prawda. Proszę spytać policjantów o tego człowieka, który mnie napadł. Ale nie tych policjantów, co mnie tu przywieźli. Oni pewnie o niczym nie wiedzą. Albo lepiej proszę zapytać Charliego, mojego męża. Wiem, że mówię jak paranoiczka, ale to czysta prawda. Wszystko można sprawdzić. - Znowu urwałam. - Nie, proszę lepiej nie sprawdzać, bo to wszystko nie ma już najmniejszego znaczenia. To są rzeczy nieistotne, prawda?

Próbowałam zajrzeć jej w oczy, lecz z zapalem zapisywała coś w kwestionariuszu. Wreszcie podniosła głowę.

- Proszę mi powiedzieć, co się tam stało, skąd zabrała panią policja.

- Niewiele widziałam - odparłam. - Byłam w drodze do pracy. Doszło do jakiejś ulicznej awantury i policjanci okazali się nazbyt

gorliwi. Powinni byli zostawić sprawę swojemu biegowi.

- Pani zachowywała się normalnie?
- Jak mam rozumieć to pytanie? Co pani zapisuje na tym formularzu?
- Robię notatki.
- I jak? Przeszłam test?
- To nie jest żaden test.
- Próbuje mnie pani na siłę wcisnąć do którejś ze swoich szufladek. Usiłuje pani oszacować mój stan psychiczny, prawda?
- Owszem. Przynajmniej orientacyjnie.
- Nic z tego nie będzie, skoro już wiem, do czego pani zmierza. Nie zdoła pani osądzić, czy mówię prawdę, czy może to, co moim zdaniem chciałaby pani usłyszeć, a może powtarzam coś, co według mnie powiedziałaby na moim miejscu osoba zdrowa na umyśle, bądź też faktycznie jestem zdrowa na umyśle, czy wręcz przeciwnie, i próbuję tylko z mizernym skutkiem udawać osobę zdrową umysłowo albo wygaduję głupoty, bo po prostu jestem zdenerwowana.
- Ma pani na sobie nocną koszulę - zauważyła doktor Mehta.
- Wspaniale - syknęłam. - A więc zostałam zdemaskowana.

Gratulacje. Czy to element jakiejś gry?

- Nie, tylko zwykła obserwacja.

Parawan zaczął się nagle wybrzuszać w różnych miejscach, jakby ktoś usiłował się do mnie dostać, tylko nie wiedział, gdzie jest przejście. Przyszła mi na myśl kurtyna w teatrze. Nagle w szparze pojawiła znajoma twarz. To był Charlie.

- Holly - powiedział. - Co tu się dzieje? Gdzieś ty się podziewała? Tak długo cię szukałem. Kilka razy okrążyłem cały kwartał, próbując cię odnaleźć. Kiedy wychodziłem z pokoju, siedziałaś w nocnej koszuli na brzegu łóżka, a gdy wróciłem... O, widzę, że wciąż jesteś w tej samej koszuli? Co tu się dzieje? Coś ty narobiła? Zawiadomili mnie z komendy policji. Podobno zaatakowałaś jakąś młodą...

- Nic się nie stało - przerwałam mu. - Zdarzył się głupi wypadek. - Uniosłam w górę obie dłonie, które na samym początku pielęgniarzka mi zabandażowała. - Upadłam i poobcierałam sobie ręce i kolana. Policjanci przywieźli mnie tutaj i teraz muszę odpowiadać na całą masę pytań, które nie mają żadnego sensu.

- To pani mąż? - zainteresowała się doktor Mehta.

- Przystojny, prawda? Wszyscy uwielbiają Charliego.

Odwróciła się do niego.

- Czy możemy zamienić parę słów na osobności?

Oboje zniknęły za parawanem i zostałam na scenie sama, pozbawiona słuchaczy, nie licząc Boga. Po kilku minutach doktor Mehta wróciła sama.

- Charlie musiał na krótko wyjść ze szpitala - powiedziała. - Ale niebawem wróci.

- I zabierze mnie do domu?

- Muszę zadać pani jeszcze kilka pytań. Proszę mi opowiedzieć coś o sobie. Jak pani sypia?

- Spóźniła się pani - odparłam. - Jeszcze parę tygodni temu miałam za dużo roboty, żeby marnować czas na spanie. Całymi dniami obchodziłam się bez snu. Na pewno zna pani te badania, według których osoba pozbawiona snu stopniowo popada w obłąd? To prawda, ale ja już mam to za sobą. Ostatnio sypiałam jak... wieloryb? Czy wieloryby w ogóle sypiają? No to jak wieloryb plażowy. - Zaśmiałam się głośno. - Jak wieloryb, który wybrał się na wakacje i wyleguje się na plaży. Albo jak niedźwiedź. Przecież niedźwiedzie przesypiają całą zimę. Szczęściarze.

- A co pani powie o swoim stanie zdrowia? Ogólnie nic pani nie dolega?

- Wyglądam na schorowaną? Jestem okazem zdrowia. Nie wiem, czy nie najzdrowszym człowiekiem w całym tym budynku.

- A jak wygląda... no, na przykład, pani życie seksualne?

- Co to znaczy: „no, na przykład”? Jest pani zakłopotana, pytając o to? Śmiało, przede mną może się pani przyznać. To dla pani coś nowego? Więc może nie jest pani kompetentna, żeby oceniać moje życie seksualne.

- Ciekawi mnie, jak pani je ocenia.
- Nie wszystko jest tak oczywiste i klarowne, jak mogłoby się zdawać. Chcąc udowodnić pani, że ja nie jestem w najmniejszym stopniu skrępowana i nie oblewam się rumieńcem przy każdym intymnym szczególe, powiem, że kilka tygodni temu uprawiałam seks z mężczyzną, którego nigdy wcześniej nie widziałam na oczy, bo byłam pod wpływem takich czy innych środków, a ponieważ, rzecz jasna, jestem mężatką, i do tego, rzecz jasna, szczęśliwą w małżeństwie, więc czy tego żałuję? Och, mój Boże, jeszcze jak... Co według mnie jasno dowodzi, że jestem całkiem zdrowa na umyśle. - Urwałam, próbując się skoncentrować. - Ale o tym już chyba pani mówiłam, prawda? Czy może mówiłam to tamtej drugiej lekarce? Tej z izby przyjęć? Czy tu pracują same kobiety? W ogóle nie dopuszczacie mężczyzn do tej profesji? Mnie to specjalnie nie przeszkadza. Zresztą chyba nie umiałabym tak otwarcie rozmawiać o sprawach intymnych z mężczyzną. Z panią też nie idzie mi łatwo. Sądziłam, że jest pani psychiatrą. I nie ma pani dla mnie nawet paru słów pociechy? Bo właśnie tego mi potrzeba. Wiem, że gadam jak nakręcona, ale bez tego pograżałabym się w smutku. - Spojrzałam na nią. Nic, tylko pisała i pisała. - Nawet jednego słowa? Tylko jakiś tam znaczek przy nazwisku? Zwyczajny ptaszek? Coś mi się zdaje, pani doktor, że włożyłam wystarczająco dużo wysiłku w próbę nawiązania z panią rozmowy. Zaczyna mnie to trochę męczyć. Boli mnie głowa, skręcona kostka oraz poobcierane dłonie i kolana, dlatego chciałabym wreszcie pójść gdzieś, gdzie będę mogła się położyć. Jeśli zamierza mi pani zapisać jakieś tabletki, to proszę wypisać receptę, będę wdzięczna. Bo chciałabym już wracać do domu.

Ale ona dalej pisała. Dopiero po chwili podniosła głowę.

- A co z jedzeniem? - zapytała.
  - Nie, dziękuję, nie jestem głodna.
- Przyjęła to bez uśmiechu.
- Pytałam o apetyt, ogólnie.
  - Sama nie wiem.
  - Lubi się pani najeść do syta?



- Zamierzam odpowiedzieć szacownym „bez komentarza”. Nikt nie powinien być zmuszony do świadczenia przeciwko sobie.

- Ma pani jakieś kłopoty w pracy?

Skrzywiłam się. To nie był dobry temat do rozmowy. Musiałam poruszać się bardzo ostrożnie po śliskim gruncie.

- Nie wiem, ile ma pani dla mnie czasu. Bo koleżanki z pracy zachowały się całkowicie... co zresztą same musiałyby przyznać, gdyby tylko... cóż, z pewnością przyznają mi rację któregoś dnia... otóż zachowały się całkowicie nierozsądnie. Szczerze mówiąc, cała ta rozmowa jest bezcelowa. Bo co może pani wiedzieć o moim życiu? Zostałam tu przywleczona jak zdychający ptak upolowany przez kota i rzucona pani pod stopy. Ja sama nie do końca rozumiem swoje życie, a przecież jestem na nie skazana od dwudziestu siedmiu lat.

Spojrzałam na doktor Mehtę.

Tym razem niczego nie zapisywała, tylko wpatrywała się gdzieś w dal.

- Pozwoli pani, że porozmawiam jeszcze z pani mężem - powiedziała.

- Czyżbyśmy już tego nie przerabiali? - zdziwiłam się. - Utknęliśmy w pętli czasowej?

Kiedy znów zostałam sama, zaczęłam układać w myślach listę rzeczy, o których powinnam jej powiedzieć. Próbowałam je uszeregować pod względem ważności, lecz ciągle coś mi umykało i musiałam zaczynać od początku. W końcu oboje wrócili.

- Gdzie się tak długo podziewaliście - burknęłam.

- Pani Krauss - odezwała się doktor Mehta. - Muszę się jeszcze naradzić z moim konsultantem. Nie wątpię, że będzie chciał tu przyjść i z panią porozmawiać.

- A więc jednak są tu jacyś mężczyźni - zauważyłam. - Trzymacie ich w ukryciu i wyciągacie tylko na specjalne okazje?

- Niemniej i bez narady z nim chcę panią uprzedzić, że bardzo bym chciała, aby dobrowolnie zgodziła się pani zostać pacjentką oddziału psychiatrycznego.

- Chodzi o tego zdychającego ptaka? I kota? Przecież to było tylko zwykłe porównanie.

Doktor Mehta ciągnęła dalej, jakby wcale mnie nie słyszała, więcej, jakby w ogóle nie było mnie w tym pokoju.

- Jak powiedziałam, chętnie przyjąłabym panią jako pacjentkę dobrowolną. Jeśli nie wyrazi pani na to zgody, będziemy musieli wziąć pod uwagę ewentualność przymusowego umieszczenia na oddziale na podstawie przepisów ustawy o zdrowiu psychicznym.

- To znaczy, zapuszkować mnie? Mówi pani poważnie? Przecież leczenie przymusowe stosuje się wobec wariatów, którzy ganiają po ulicach z nożami, a więc stanowią zagrożenie dla innych. Niech pani na mnie spojrzy. Siedzę sobie przy pani, spokojna, całkiem opanowana, zmuszona do prowadzenia tej pieprzonej rozmowy.

- Przymusowe zamknięcie na oddziale to sprawa delikatna i kłopotliwa. Potrzeba do tego opinii dwóch niezależnych specjalistów oraz pracownika opieki społecznej, a wszyscy muszą wypełnić masę formularzy. Ale rozpoczniemy tę procedurę, jeśli okaże się konieczna. Teraz chciałaby pani zapewne zostać sam na sam z mężem.

- Żeby się pożegnać? Ależ ja nie chcę się z nim żegnać, chcę wracać do domu. Niczego więcej nie potrzebuję. Wszystko będzie w porządku, jeśli tylko pozwolicie mi wrócić do domu.

Ona jednak zdawała się nie zwracać na mnie uwagi, traktowała mnie jak włączone radio, które nawet za bardzo nie przeszkadza w pracy. Znowu odeszła, a przy mnie zjawił się Charlie. To on wyglądał na człowieka potrzebującego natychmiastowej pomocy.

- Holly - zaczął grobowym głosem. - Tak mi przykro.

- Rozmawiała już z tobą? Chce mnie zatrzymać w szpitalu. Chętnie bym się stąd urwała, gdybyś tylko znalazł moje ubrania. Przecież nie mogę wyjść na ulicę w nocnej koszuli.

Uniosłam głowę. Patrzył na mnie spod ściągniętych brwi, zatroskany i nachmurzony w jaskrawym blasku szpitalnych jarzeniówek.

W jednej chwili odeszła mnie ochota na cokolwiek. Czułam się wykończona, upokorzona i bezgranicznie zawstydzona swoim postępowaniem. Z trudem podniosłam rękę i lekko zacisnęłam palce na jego przegubie. Skrzywił się mimowolnie.

- Jeśli uważasz, że tak powinnam... Zrobię wszystko, czego zechcesz. Tylko to powiedz.

- Sam nie wiem - odparł. - Zagubiłem się.

- Nie ma sprawy - podjęłam. - Podpiszę wszystkie stosowne papiery, Charlie. Nie masz się czym przejmować.

Miałam nadzieję, że zaprotestuje, ale tylko z wolna pokiwał głową.

- Pomogą ci tutaj - rzekł.

## 24

Wcale mi nie pomogli. Tylko pogorszyli sytuację.

Byłam jak samochód wymagający poważnej naprawy, lecz zamiast do warsztatu trafiłam na składowisko, gdzie umieszczono mnie na szczycie sterty innych złomowanych aut, pozbawiono drzwi, radia i reszty elementów przedstawiających jeszcze jakąś wartość, i pozostawiono, żeby do reszty zardzewiała.

Pielęgniarka z Zimbabwe dała mi tabletki, które, jak wyjaśniła, pozwolą mi się uspokoić, lecz uznałam, że ich nie potrzebuję. Przypominam sobie, że trzymali mnie pod ręce, a w dodatku coś się stłukło, bo na podłodze były okruchy szkła.

Zachowywałam się jak przerażony dzieciak wymachujący na oślep rękami. Z całej siły wypluwałam wszystkie pigułki, jakie mi wpychali do ust. W końcu doktor Mehta uniosła w górę strzykawkę, na końcu igły połyskiwała kropla jakiegoś płynu. Wbiła mi ją bezceremonialnie w ramię i choć próbowałam się wyszarpnąć, błyskawiczne wrażenie ciepła rozpląnęło się z miejsca ukłucia po całym ciele. Nie musiałam już dłużej stawiać oporu. Mogłam spokojnie

zasnąć, bo wszystko nagle przestało się liczyć. Gdzieś w głębi mego ducha zatliła się iskierka nadziei, że już nigdy się nie obudzę i nie będę musiała się bronić ani w ogóle zmagać z życiem.

Kolejne dni były jak nerwowy sen, po którym w pamięci pozostają jedynie wyrwykowe fragmenty. Kiedy je teraz przywołuję, widzę w nich kobietę, która musiała być mną. Przynajmniej tak mi się wydaje, że niezależnie od wszystkiego to jedyne logiczne wyjaśnienie. Czułam się tak, jakby mój świat wewnętrzny idealnie dopasował się do zewnętrznego. Obserwowałam więc siebie jak gdyby z boku i zarazem traciłam kontakt sama ze sobą, gwałtownie odzyskiwałam przytomność, to znów bezsilnie popadałam w nieświadomość.

Sądziłam, że zabiorą mnie w jakieś ciche bezpieczne miejsce, gdzie łatwej by mi było dojść do siebie. Nic podobnego. Dowiedziałam się dopiero po pewnym czasie, że podawano mi środki uspokajające i umieszczono mnie na oddziale psychiatrycznym szpitala, gdzie przeprowadzono szczegółowe badania. A po paru dniach zostałam zwolniona do domu i oddana pod opiekę męża, gdyż główny konsultant uznał, że nie stanowią bezpośredniego zagrożenia ani dla innych, ani dla siebie. Jak miałabym być groźna, skoro do tego stopnia zamienili mnie w warzywo, że nawet sama nie mogłam jeść? Poza tym nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń w szamotaninie na moście. Nikt nie wniósł przeciwko mnie żadnych oskarżeń.

W każdym razie tak mi powiedziano, bo sama tego wszystkiego nie doświadczyłam. Pamiętam tylko urywane obrazy: jaskrawe kręgi światła odbitego od linoleum, grubo zabandażowane nadgarstki jakiejś młodej dziewczyny, twarz staruszki nerwowo zagryzającej dolną wargę, porcje jedzenia serwowane z żelaznego wózka, plastikowe tace, pigułki. I pamiętam jeszcze odgłosy: dzikie wrzaski w środku nocy, kobietę bez przerwy szepczącą coś do siebie, beztrocki szczebiot pielęgniarek schodzących z dyżuru, gwar głosów z telewizora. No i zapachy: smród środków odkażających, woń jedzenia i kwaśny odór moczu. Pamiętam przeredzone siwe włosy konsultanta, jego porozciągany sweter i ciepłe spojrzenie. Zdaje się, że

nazywałam go „dziadkiem”. I chyba długo trzymał mnie za rękę. A może to był Charlie? Albo wyśniłam to sobie?

Pamiętam, że któregoś dnia Charlie powiedział mi, że krótko ostrzyżony młody osilek wybił cegłą szybę we frontowym oknie naszego saloniku, zachichotał złośliwie i uciekł. Wystękałam wówczas coś, co miało być początkiem szczerego przyznania się do winy, lecz on tylko poklepał mnie po ręce i powiedział, żebym się niczym nie przejmowała.

Pamiętam kwiaty w wazonie, olbrzymie i jaskrawe cieplarniane okazy, których intensywny zapach prześladował mnie nawet we śnie. Charlie nie wiedział, kto je przysłał, a ja nawet nie chciałam się tego domyślać, dlatego próbowałam się ich pozbyć. Zwalilałam wazon na podłogę, ale był z plastiku i tylko się potoczył w kąt pokoju. Salowa zacmokała z dezaprobatą, zebrała ścierką wodę, a kwiaty wstawiła do innego plastikowego wazonu, który umieściła na stoliku przy drzwiach, poza moim zasięgiem. Ilekroć na nie spoglądałam, widziałam wśród nich jego twarz.

Pamiętam też spotkanie z niezależnym konsultantem psychiatrii, doktorem Thorne'em, choć przywoływanie tych wspomnień przypomina oglądanie filmu z dialogami w obcym języku, z którego nie rozumie się ani słowa, i akcją osadzoną głęboko w obcej kulturze, z nieczytelnymi dla odbiorcy minami i gestami bohaterów. Kiedy sadzano mnie w łóżku, czułam się strasznie ociężała, niemal całkiem bezwładna. Ze zdziwieniem spoglądałam na swoje ręce ułożone równo na okrywającym mnie kocu. Charlie siedział po jednej stronie łóżka, doktor Thorne po drugiej. Poza tym w pokoju była jeszcze gromada studentów - znacznie młodszych ode mnie i przyglądających mi się gorliwie dzieciaków.

- I jaka jest pańska decyzja? - zapytałam, po czym dokumentnie zaskoczyłam doktora, jak też i samą siebie, gdy położyłam

dłoń na jego ręce i dodałam z naciskiem: - Co ze mną będzie?

- Cierpi pani na silne zaburzenie o podłożu afektywnym - odparł.

- Czy to mania prześladowcza? - wtrącił Charlie. - Tak mi się właśnie zdawało.

- Nieprawda - zaprotestowałam, choć nie mogę wykluczyć, że powiedziałam to nie na głos, tylko w myślach.

Docierały do mnie pojedyncze określenia: „zaburzenie cyklofreniczne”, „lekarstwa”, „przeżycia”, „niezrównoważony bilans chemiczny”, „niezdrowy”, „ścisły rygor”. Powtarzało się między nimi moje imię, lecz odbierałam je tak, jakby mówili o kimś innym. Z uporem wpatrywałam się w swoje dłonie, połamane paznokcie i złotą obrączkę na palcu. Pojedyncza łza skapnęła z mej brody na pościel i błyskawicznie wsiąkła w tkaninę.

- Cierpię na manię prześladowczą? - zapytałam cicho, przerywając potok złych, twardych i odpychających słów.

- Tak, Holly - odparł doktor Thorne. - Jesteś chora.

- Nieprawda. Cierpię na samą siebie - chciałam zaoponować. Może nawet faktycznie wypowiedziałam to na głos.

- Pomożemy ci - oznajmił. - Dawki litu uwolnią cię od tego cierpienia.

Skądś znałam te słowa, lecz dotąd były zawsze kierowane do innych.

- ...efekty uboczne - ciągnął doktor. - Nudności, biegunka, szybkie przybieranie na wadze, ciągłe pragnienie, problemy dermatologiczne.

- Klozapina - orzekł później. - Chyba że sam lit okaże się wystarczający...

Tętent, pomyślałam. Odgłos podkutych końskich kopyt w mojej głowie.

- Już z tego nie wyjdę - powiedziałam.

- Ależ nic podobnego - zaprotestował.

Pamiętam powrót do domu. Po wielu dniach od chwili, gdy policja przywiozła mnie do szpitala Saint Jude, Charlie wyprowadził mnie

stamtąd, niosąc papierową torbę z moją nocną koszulą i przepisany mi lekami. Poczulałam na twarzy krople zimnego deszczu, a pod stopami twarde płyty chodnikowe.

- Tylko powoli, bez pośpiechu - rzekł Charlie.

I tak zaczęła się moja podróż.

W ustach miałam przykry posmak, którego nie mogłam się pozbyć. Bóle głowy powracały falami. Ciągłe świerzbiała mnie skóra. Ale nad tym wszystkim przeważało straszliwe przemęczenie. Leżałam w łóżku. Charlie przynosił mi herbatę i posiłki, pilnował godzin przyjmowania tabletek. Przyglądał się uważnie, jak połykałam. Czasami sam wkładał mi je na język i od razu podtykał do warg szklankę z wodą, bym popiła. Raz dziennie napełniał wannę ciepłą wodą, prowadził mnie do łazienki i mył, delikatnie przeciągając gąbką pod moimi pachami, między piersiami i w kroku. Równie dobrze mógłby tak szorować gąbką wielki kawał obciągniętego skóra mięsa. Prawdę mówiąc, gdy raz zaświtała mi w głowie ta myśl, nie mogłam się już od niej uwolnić. Bo świetnie wyjaśniała to wszystko, co mnie spotkało w ostatnich miesiącach. Myślałam o sobie jak o wielkim kawale dziczyzny zawieszonym w lesie pod drzewem. Powinnam wabić muchy i roić się od robactwa. Powinnam też przyciągać padlinożerców, którzy walczyliby, skakali sobie wzajemnie do oczu, byle tylko dorwać jakiś ochłap.

Próbowałam czytać książkę, lecz umykał mi sens poszczególnych słów. Nie mogłam sobie przypomnieć, kim byli jej bohaterowie. No i bez przerwy czułam ten przekłety posmak w ustach, który dominował nad wszystkim, nawet nad tym, co widziałam czy słyszałam, więc każdy rodzaj muzyki również kojarzył mi się z tym nieprzyjemnym posmakiem. Dlatego wolałam leżeć w ciszy, przy szczelnie zaciągniętych zasłonkach. Kiedy zasypiałam, w moich snach pojawiali się Rees, Stuart i Debora, jak również ten skinhead, który zasikał podłogę w saloniku; czułam chwytające mnie ludzkie dłonie

i pochylające się nade mną twarze. Poza tym sny zlewały się z doznaniem z okresów przytomności. Nie mogłam się powstrzymać od myśli o tych, którzy mnie nienawidzili. W końcu to ja sama wzbudziłam w nich tę nienawiść, wręcz dopraszałam się o nią. Wspomnienia z przeszłości zbierały się wokół mego łóżka niczym nachalni goście. W wyobraźni widywałam ich miny wykrzywione pogardą lub wrogością, chwytalam przenikliwe spojrzenia. Domyślałam się, że tylko czyhają, aż wychylę nosa z kryjówki. I w takich chwilach naciągałam kołdrę na głowę. Sen był znacznie lepszy od chwil trzeźwości, a ciemność lepsza od światła.

Codziennie przychodziła Naomi. Jak tylko z kuchni dolatywał jej głęboki, dźwięczny głos, ogarniał mnie niezrozumiały spokój. Zostawiała ciasteczka i bułki własnego wypieku, zupy i zapiekanki, których nawet nie mogłam spróbować z powodu nieustannych mdłości. Czasami wchodziła na górę, przytykała mi dłoń do czoła albo mierzyła tętno. Powtarzała, że wszystko będzie w porządku, żebym się o nic nie martwiła. A ja zamykałam oczy i wsłuchiwałam się w jej ciężkie kroki na schodach, cichnące w kuchni, gdzie Charlie przesiadywał teraz po całych dniach, nie próbując nawet udawać, że ma jakąś pracę, i marnując czas w oczekiwaniu, aż wyzdrowieję. Słyszałam, jak rozmawiają, chociaż nie mogłam wyłowić słów. Moje życie upływało więc jak gdyby pod moją nieobecność.

Przyjechała też Meg. Usiadła przy moim łóżku na krześle i mówiła o różnych rzeczach, nie oczekując żadnej reakcji z mojej strony. Jeśli się nie mylę, nawet czytała mi radosne wiersze z tego tomiku, który dostała ode mnie przed wiekami, chociaż nie jestem pewna, czy nie był to tylko sen. Jeszcze jeden.

Próbowałam tłumaczyć, że wiem o wszystkim, ale słowa mi się pętały, umykał ich sens. Kiedy pochyliła się nade mną i otarła mi policzki papierową chusteczką, domyśliłam się, że musiałam płakać, ale byłam tak pochłonięta czym innym, że nie czułam nawet



smutku. Rozmyślałam o swoim tajemnym życiu.

Ni stąd, ni zowąd odżyło w mej głowie wspomnienie z dzieciństwa: widok ojca siedzącego przy kuchennym stole z twarzą ukrytą w dłoniach i łzy przeciekające mu przez palce. Zawsze uważałam go za pogodnego optymistę, skąd więc wziął się ten przykład skrajnego załamania?

- Mój ojciec - odezwałam się do Charliego, kiedy wkładał mi pigułki do ust.

- Tak?

- Był taki jak ja.

- Chcesz powiedzieć...

- Cierpiał na manię prześladowczą. To przecież oczywiste. Dlaczego, do pioruna, nie skojarzyłam tego wcześniej? To przecież wszystko wyjaśnia i... - zakryłam sobie dłonią usta.

- Co się stało?

- On się zabił, prawda? To jasne. Był taki jak ja, dlatego popełnił samobójstwo. Mam to we krwi, nie uwolnię się od tego.

- Przestań.

Obrzydły mi tabletki, które musiałam połykać kilka razy dziennie. Wyglądały nazbyt nowocześnie. Były małe i połyskliwe, a sprzedawano je w plastikowych fiolkach z dużym nadrukiem. Tyle że lit nie mógł być przykładem wspaniałego osiągnięcia farmaceutycznego, takim jak aspiryna czy penicylina. Pamiętałam ze szkolnych lekcji chemii, że pod tą nazwą kryje się lekki i miękki jak glina metal. Kojarzył mi się tylko z geologią, a skoro łądowałam go w siebie, musiał być jak żyłki czystego metalu w litej skale. To pewnie stąd brał się dziwny posmak w ustach, zresztą byłam pewna, że dostrzegam również inne przemiany w swoim ciele, o którym coraz częściej myślałam tak, jakby nie było już moim ciałem.

- Mam manię prześladowczą. Te moje fragmenty, które są niepowtarzalne, które świadczą o mojej odrębności, zagarnęła choroba. Więc kim teraz jestem? Zawsze sądziłam, że świadczy o

mnie to, co robię i wszystkie moje wspomnienia o sobie. Tyle że teraz zostały mi zabrane, zarówno te miłe, jak i nieprzyjemne. Zatraciłam wspomnienia, zarówno z tego czasu, kiedy czułam się tak podle, że miałam ochotę ze sobą skończyć, jak też z tego, kiedy sądziłam, że wszystko musi mi się udać, z najcudowniejszych chwil mego życia. Teraz wydaje mi się, że dotąd nie byłam w pełni sobą, że to były tylko symptomy choroby. Kiedy postępowałam źle i kiedy postępowałam dobrze, jedyną tego przyczyną był brak równowagi chemicznej w moim organizmie. To wspaniała wymówka, tylko że jej nie chcę. Pragnę być sobą. Zarówno tą złą, jak i tą dobrą, ale sobą.

Komu to tłumaczyłam? Na kogo krzyczałam? Oczywiście na siebie, tę drugą mnie, dawną Holly Krauss, rysującą mi się coraz mniej wyraźnie na tle utraconego świata, którego barwy czy żywe doznania ledwie mogłam już sobie przypomnieć. Ale jednak na siebie.

Zależało mi, żeby ktoś utulił mnie serdecznie, ukołysał w ramionach, bym już nigdy nie przeżywała takiego załamania. Leżałam w łóżku, które było dla mnie jak krucha łódeczka rzucona między wzburzone fale. Zamknęłam oczy i miałam wrażenie, że pogrążam się w tej otchłani.

Wstałam z łóżka i ubrałam się odpowiednio, potem umyłam zęby i uczesałam włosy. Kiedy spojrzałam na odbicie w lustrze, sama siebie nie poznałam. Zeszłam powoli na dół, zatrzymując się na każdym stopniu i wymacując czubkiem stopy następny, niczym ślepiec. Chodziłam z pokoju do pokoju, lecz wszystkie sprzęty wyglądały całkiem obco. Cały dom wydawał się odmieniony, niczego nie było na dawnym miejscu, drzwi znajdowały się gdzie indziej, a zlew kuchenny o wiele niżej niż w moich wspomnieniach.

Wyszłam do ogrodu i popatrzyłam ze zdziwieniem na ślady, jakie zostawiam na mokrej od rosy trawie. Wytłumaczyłam sobie, że przecież nic nie trwa wiecznie. W końcu musiała nadejść wiosna. Musiała przyjść po raz kolejny.

- Inni ludzie jakoś przyzwyczajają się do leków, więc dlaczego ja nie mogę? Po prostu wciąż nie jestem sobą, czuję się... jak nędzna namiastka, tandetna podróbka.

Naomi wpatrywała się we mnie przez chwilę, po czym wstała i rzuciła:

- Zaczekaj.

Wróciła mniej więcej po dwudziestu minutach z dużą plastikową torbą, z której zaczęła wyciągać różne paczki i pudełka. Herbata rumiankowa. Dziurawiec. Pastyłki multiwitaminowe. Tran. Kapsułki z olejem z wiesiołka. Sól lawendowej soli kąpielowej z promocyjną świeczką o zapachu lawendowym. Kadzidełka. Był tam nawet kompakt z nastrojową muzyką graną na fletni Pana.

- Wywal wszystkie swoje piguły - powiedziała.

Zapatrzyłam się na nią.

- Przynajmniej spróbuj.

- Tylko nie mów o tym Charliemu - poprosiłam.

Zaczekałam, aż wyjdzie na swój codzienny jogging, po czym zgarnęłam wszystkie fiołki z lekarstwami i zważyłam je w dłoni. Przemknęło mi przez myśl, żeby wytrząsnąć na dłoń, ile tylko się da, i połknąć, ale na samą myśl o tym coś ścisnęło mnie za gardło. Zresztą i tak niewiele ich już zostało. Nie sprzedawano ich w większych porcjach. Na wszelki wypadek.

Zeszłam z nimi do łazienki na parterze, kciukiem pootwieralam fiołki, przechyliłam wszystkie nad sedesem, po czym spuściłam wodę i spoglądałam z radością, jak kolorowe tabletki wirują w silnym strumieniu i znikają mi z oczu.

Przynajmniej w końcu byłam znów zależna tylko od siebie.

Wróciłam do kuchni, dopiłam ciepłą herbatę, umyłam kubek i bojąc się, że mogę zmienić zdanie, szybko wyszłam na mroźne powietrze. Ruszyłam na tyle szybkim krokiem, na jaki było mnie stać, do parku, w którym spotkałam się z Charliem tamtego przekłętą dnia. Trzy razy obeszłam go dookoła i wróciłam do domu.

Nawet przebiegłam truchtem ostatni kawałek, choć miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję, bo zamazany świat kołysał mi się przed oczami. Potem wzięłam długą gorącą kąpiel z dodatkiem soli lawendowych. Wypiłam trzy szklanki wody. Włożyłam do odtwarzacza kompakt i zasłuchałam się w te pieprzone fujarki. Próbowałam się skupić na sile mego ducha. I czekałam z niecierpliwością, co teraz będzie. Bo przecież wydałam wojnę samej sobie.

Koszmary strach przybierał na sile powoli, wsączał się z każdą minutą upływającego dnia. Niemalże odczuwałam fizycznie, jak zaczyna krążyć w żyłach i napętniać całe ciało.

W środku nocy usłyszałam za oknem jakieś hałasy, szelest liści pod czyimiś stopami, toteż wstałam i przytknęłam nos do szyby. Czyżby naprawdę ktoś tam był, czał się w nocnym mroku? Pospiesznie zaciągnęłam zasłonki i roztrzęsiona przywarłam plecami do ściany. Po chwili włożyłam szlafrok i przysiadłam na brzegu łóżka, próbując zebrać myśli. Przyszło mi do głowy, że powinnam zawołać Charliego, żeby wyjaśnił przyczynę hałasów. Otworzyłam usta, ale z mego gardła wydobył się tylko skrzekliwy cienki pisk:

- Charlie! - Odchrząknęłam i mimo bólu gardła zawołałam głośniej: - Charlie, gdzie jesteś?

Nie odpowiedział. Chyba nie było go w domu. Łzy napłynęły mi do oczu. Otarłam je rękawem szlafroka.

Nagle uwolniłam się od strachu. Przecież nic na zewnątrz nie mogło być gorsze od tego, co działo się w mojej głowie. Zeszłam na dół, otworzyłam kuchenne drzwi od ogrodu, wyszłam na dwór, minęłam teren wysypany grubym żwirem i stanęłam na świeżo obsianym trawniku. Zimna, wilgotna trawa kleiła się do bosych stóp niczym błoto. Porywisty wiatr chłostał mnie po twarzy.

- No więc chodźcie i załatwcie mnie! - wykrzyknęłam na cały głos. - Chodźcie śmiało, Rees, Dean, Stuart, Debora czy komu tam jeszcze na tym zależy, do diabła! Nic mnie to obchodzi! Zróbcie mi tylko przysługę!

Zamknęłam oczy i czekałam. Przynajmniej miałam się wkrótce uwolnić od całej tej parszywej imprezy zwanej życiem.

- No, chodźcie wreszcie, do jasnej cholery! - ryknęłam, ale nadal nikt się nie zjawiał.

Doleciał mnie stuk otwieranego okna.

- Większość z nas właśnie próbuje zasnąć – odpowiedział mi czyjś głos.

Odkrzyknęłam, a raczej tylko otworzyłam szeroko usta, bo wysoki doniosły dźwięk sam wydobył mi się z gardła.

- Wsadź sobie ten łeb do piecyka! - rzucił ze złością sąsiad.

Idź się pochlastać albo powiesić, tylko idź stąd. Naprawdę ktoś to powiedział, czy te słowa rozbrzmiały wyłącznie w mojej głowie? Zatkaną sobie uszy palcami, lecz padały nadal, kołatały się pod czaszką. Powlokłam się z powrotem. Dolny brzeg szlafroka miałam całkiem mokry od rosy, a stopy pokłute przez ostry gruby żwir.

Popatrzyłam ze smutkiem na schody, które wydały mi się za strome, bym mogła po nich wejść na górę. Zerknęłam na telefon w holu, lecz ten znajdował się zbyt daleko, poza tym pamiętałam, że i w nim kryje się dziwny głos, który powtarza nieprzyjemne słowa, ilekroć przytknę słuchawkę do ucha. Uniosłam dłonie do twarzy, lecz okazały się przezroczyste, doskonale widziałam niebieskawe żyłki i kości niczym szpony. Wyciągnęłam szufladę i popatrzyłam na kuchenne noże, ostre i połyskujące, zwłaszcza te z ząbkowanymi krawędziami, które zdawały się do mnie mrugać. Zsunęłam nocną koszulę i popatrzyłam z obrzydzeniem na swoje białe, zużyte ciało. Przeciągnęłam palcami po obolałych żebrach i rozpalonych piersiach w kierunku gardła. Uklęknęłam na podłodze i przytknęłam czoło do zimnych płytek terakoty.

- Nie mogę - powiedziałam. - Nie mogę. Nie mogę. Nie mogę. Nie mogłam już tak dłużej.

I znów odpowiedział mi głos, łagodny, dochodzący znikąd, a raczej zewsząd:

- Wcale nie musisz, moja droga.

- Wcale nie muszę - powtórzyłam, tym razem głośno, czując tak przemożną ulgę jak potężna fala czystej wody. - Wcale nie muszę się już męczyć. Mogę przestać.

## 26

Odczułam to jak dotyk chłodnej dłoni na moim rozpalonym spoconym czole. Wreszcie przyznałam to otwarcie. Chciałam umrzeć.

Co więcej, potrafiłam to ocenić bez najmniejszych wątpliwości, z taką klarownością, jakiej nie doświadczałam od wielu tygodni. Musiałam tylko uniknąć bólu i niepotrzebnego komplikowania sprawy. Nie chciałam skrzywdzić nikogo poza tymi, którzy i tak mieli ucierpieć. Na krótko zatroskałam się nad przyszłością Charliego, ale zaraz doszłam do wniosku, że beze mnie będzie mu po prostu lepiej. Wszyscy powinni odetchnąć z ulgą, kiedy zniknę z tego świata.

Gdyby gdzieś w pobliżu znajdował się pistolet, bez zastanowienia wetknęłabym lufę do gardła i pociągnęła za spust. Niestety, żaden inny przedmiot znajdujący się w domu nie mógł zastąpić broni palnej. Nie chciałam podcinać sobie żył. Wołałam przyjąć śmierć w spokoju, jak oczekiwanego gościa, a nie podczas szarpania tępym zakrwawionym nożem skóry na rękach. Jak na ironię poważne załamanie nerwowe dopadło mnie w ulubionym miejscu londyńskich samobójców. Nie miałam wątpliwości, że to desperacja i tchnienie śmierci skierowały moje kroki na most Archway Road. Ludzie przyjeżdżali z całego kraju, żeby tam właśnie skoczyć do rzeki, a mnie od tego mostu dzieliło zaledwie parę minut drogi na piechotę. Nie musiałam nawet wkładać płaszcza, choć powinnam go jednak zabrać. Kierujące mną pobudki wydawały się absurdalne, zachowywałam się jak krnąbrne dziecko, które odmawia zjedzenia nałożonej porcji. Ale cóż, teraz barierki mostu były dodatkowo zabezpieczone żelaznymi prętami i drucianymi siatkami, ja zaś nie

czułam się na siłach, by z nimi walczyć. Ujrzałam w wyobraźni, jak rozcinam sobie o nie rękę i rozdieram ubrania, nic więcej. Co gorsza - chociaż ten powód nawet mnie wydawał się idiotyczny - cierpiałam na lęk wysokości. Tymczasem bardzo mi zależało, żeby w błogim spokoju paść w objęcia śmierci, a nie robić niczego w popłochu i panice.

Byłam umówiona na spotkanie z doktorem Thorne'em. Charlie chciał mi towarzyszyć, ale powiedziałam, że wolę iść sama.

- W końcu to jedna z tych rzeczy, do których będę musiała przywyknąć, prawda?

Doktor Thorne miał już najnowsze wyniki analiz mojej krwi. Poziom litu był dość niski, powiedział więc, że będzie musiał zwiększyć dawkę. Był w doskonałym nastroju. Nastął pogodny, słoneczny poranek, a ja byłam tego dnia jego pierwszą pacjentką.

- Wyglądasz trochę lepiej - przyznał.

- I czuję się lepiej - skłamałam bez mrugnięcia okiem. Przed wyjściem dobrałam garderobę ze szczególną starannością i długo przeglądałam się w lustrze, sprawdzając pieczołowicie, jak leży na mnie ubranie, czy włosy mam uczesane, a miły uśmiech przyklejony do warg.

- Nie czujesz żadnych ubocznych skutków działania lekarstw?

- Nie - odparłam. Zaraz jednak, żeby nie sprawiać wrażenia zanadto radosnej, dodałam: - Tylko ciągle zasycha mi w gardle i jestem trochę zaspana. Ale nie jest aż tak źle, jak się obawiałam.

- Doskonale. Po prostu musisz pić trochę więcej niż zazwyczaj, wtedy suche gardło nie będzie ci przeszkadzało.

- Sama na to wpadłam.

- Świetnie. A jak twój nastrój?

- Jestem znacznie spokojniejsza.

- Lit trzeba zażywać dosyć długo, żeby w pełni poczuć efekty jego działania.

- Wiem.

- I ściśle trzymasz się dawek i pór brania leków?
- Tak - skłamałam po raz kolejny. Nie brałam pigułek już czwarty dzień. Nie mogłam zrozumieć, jak Charlie dotąd tego nie zauważył.
- Świetnie - powtórzył doktor.
- Ale mam pewien problem - zaczęłam ostrożnie.
- Jaki?
- Doszliśmy z mężem do wniosku, że powinniśmy przez kilka dni odpocząć od siebie. Każde z nas potrzebuje nieco samotności. Jeszcze nie zdecydowałam, gdzie mogłabym spędzić ten czas. Wolałabym wyjechać poza miasto. Martwię się więc, by przez ten czas nie zabrakło mi leków.
- Nie ma się czym martwić. Zaraz wypiszę dodatkową receptę, żebyś miała pewien zapas. Kiedy chcesz wyjechać?
- Poszło jak po maśle.
- Charlie właśnie wszystko załatwia. Powiedział, że wybierze którąś z ofert „last-minute”. Mam nadzieję, że znajdzie coś już na jutro, ale może się okazać, że wyjedziemy dopiero za tydzień albo dwa. No i nie wiem na pewno, jak długo to potrwa.
- Szcześciara - mruknął doktor Thorne, wypisując receptę. - Nie znoszę tych jesiennych szarug. Też chętnie bym wyjechał na urlop.

Wiele czytałam o ludziach popełniających samobójstwo pod wpływem nagłego impulsu, który kazał im skoczyć przez okno bądź rzucić się pod nadjeżdżający pociąg. Dla mnie to rzeczywiście było jak przygotowania do potajemnych wakacji. Wszystko musiało być gotowe na jutro, to znaczy na wtorek, bo Charlie zawczasu uprzedził, że wyjeżdża na cały dzień, podobno na jakieś szkolenie, chociaż świetnie wiedziałam, że mnie okłamuje. W każdym razie miał wyjść zaraz po śniadaniu i wrócić dopiero wieczorem. Dopytywałam się kilkakrotnie, kiedy dokładnie przyjedzie, aż zapytał lekko zawstydzony, czy nie mam nic przeciwko temu wyjazdowi. Uśmiechnęłam się do niego i odparłam, że naprawdę czuję się lepiej.



Po wizycie u doktora Thorne'a poszłam na zakupy. Kupiłam wędzonę łososia i razowy chleb na kolację, choć zdawałam sobie sprawę, że nie zdołam wziąć niczego do ust. Kupiłam też kilka par skarpet i bokserki dla Charliego, które po powrocie do domu starannie poskładałam i włożyłam do jego szuflady w bielizniarce. Stwarzało mi to poczucie, że nadal się o niego troszczę, chociaż zamierzam odejść. W końcu do tej pory niewiele dla niego zrobiłam jako troskliwa żona. Ta myśl skłoniła mnie do wniosku, że w innych okolicznościach nasze życie małżeńskie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Teraz jednak było za późno na cokolwiek. Doskonale wiedziałam, że znajduję się na śliskiej równi pochyłej wiodącej mnie ku nieuchronnemu przeznaczeniu i nie znajduję w sobie woli, by odmienić ten stan rzeczy.

Wieczór spędziłam niemal w całkowitym milczeniu. Położyłam się wcześniej, bo chciałam, żeby jak najprędzej nastął poranek. Zamierzałam wyruszyć w daleką podróż, nic więc dziwnego, że byłam podniecona i oczekiwanie mi się dłużyło. Spałam długo, kamiennym snem, a kiedy się obudziłam, Charliego już nie było. Nie zdążyliśmy się nawet pożegnać, ale nie miało to żadnego znaczenia. Zresztą jak miałyby wyglądać takie pożegnanie? Najlepiej byłoby tylko pozdrowić go uniesieniem ręki, po czym odwrócić się na pięcie i odejść jak najszybciej.

Wstałam, wzięłam prysznic i umyłam włosy. Włożyłam luźne, wygodne ubranie, które czekało naszykowane w szufladzie. Zdawałam sobie sprawę, że muszę odpędzać od siebie wszelkie myśli o sprawach, które w takiej chwili są nieistotne. Znajdowałam się na wąskiej kładce nad otchłanią. Miałam szansę przedostania się na drugą stronę tylko wtedy, gdy nie będę myślała o głębi pode mną i wążutkim oparciu pod stopami. Gdybym dopuściła takie myśli do świadomości, na pewno runęłabym w przepaść.

Mimowolnie zaczęłam ślać łóżko, ale się powstrzymałam, rozumiejąc bezsensowność takich poczynań, jednak później dokończyłam i nawet starannie ułożyłam kołdrę w poszwie. Wszelkie pozostałe zajęcia domowe postanowiłam pozostawić innym.

Musiałam jednak coś zrobić, gdyż bezczynność prowokowała do zastanowienia. Wyjęłam z lodówki kartonik soku pomarańczowego i do połowy opróżniony kartonik soku jabłkowego. Postawiłam je na stole kuchennym obok wysokiej szklanki. Następnie poszłam do łazienki. Miałam trzytygodniowy zapas leków. Powinien wystarczyć. Byłam coraz bardziej zdenerwowana, aż nogi dygotały pod mną. Znowu powróciły wspomnienia z dzieciństwa, gdy stawałam na szczycie muru czy parkanu i spoglądałam na ojca w dole, a on rozkładał szeroko ręce i mówił: „Skacz! Śmiało! Złapię cię”. Czasami dla żartu szybko cofał ręce, jakby chciał pozwolić, bym spadła na ziemię, ale i tak zawsze chwycił mnie w ostatniej chwili. Skupiłam się na tych wspomnieniach. Zabawne było to, że mimo usilnych starań nie mogłam przywołać z pamięci jego twarzy. Ani przypomnieć sobie rysów Charliego. Ani Meg.

Wydało mi się nagle, że to właśnie Meg najbardziej ucierpi z powodu mojego czynu, bo obarczy się winą za wszystko. Wcześniej postanowiłam, że nie napiszę żadnego listu, ale teraz, pod wpływem tych rozważań, zmieniłam zdanie. Przyniosłam z saloniku kartkę papieru oraz długopis i zamyśliłam się na parę sekund. Jak można przeproszać, skoro ma się niezbitą pewność, że i tak się to uczyni? Jak się pożegnać? Nie chciałam się rozpisywać ani o Meg, ani o Charlie, toteż w końcu napisałam krótko: „Moja droga i wierna Meg. Przepraszam. Jest mi strasznie, ale to strasznie przykro. Muszę jednak skończyć z tym wszystkim. Wybacz mi, najlepsza, najbardziej zaufana przyjaciółko. Zawsze będę Cię kochać. Holly”.

Zakryłam długopis skuwką, położyłam list na stole kuchennym i zaczęłam łykać tabletki, po dwie naraz, popijając je najpierw sokiem jabłkowym, a gdy ten się skończył, pomarańczowym. Uporałam się z nimi szybko i gładko. Kiedy wyszłam do holu, zauważyłam, że Charlie zostawił swoje klucze na wieszaku. Zmartwiłam się na chwilę, że wieczorem nie będzie mógł się dostać do domu. Mimo to poszłam wolno na górę i położyłam się na zasłanym łóżku. Przypomniałam sobie, jak niedawno starannie układałam kołdrę w poszwie, niepotrzebnie marnując tylko cenny czas. Przyszło mi także

do głowy, że ostatniej nocy wyspałam się jak nigdy, teraz mogłam więc tylko żałować, że na pewno nie uda mi się szybko i łatwo zasnąć.

*Próbuję się przekręcić na bok, lecz moje ruchy są powolne i ociężałe. Próbuję pomyśleć o czymś znajdującym się poza domem, o czymś z przeszłości, najlepiej o czymś pięknym. Przychodzi mi na myśl górski szczyt w promieniach słońca, zaraz jednak skala zaczyna pękać i kruszyć się, głązy coraz szerszym strumieniem spadają w dół, gdzie szybko miękną i ciemnieją, aż w końcu rozpływają się w czarną lepłą maź. I one spadają coraz wolniej, a słońce przygasa, świat pogrąża się w tej lodowato zimnej szarej mazi, stopniowo czernieje, a słońce... słońce...*

*Jestem bardzo głęboko, na samym dnie bardzo głębokiej jamy. Przesuwają się tu rozmazane cienie. Zbliżają do mnie. Czuję tuż przy sobie ruch. Jest mi niedobrze. Zbiera mi się na straszliwe torsje. Ale i one muszą wkrótce przejść, wtedy będzie po wszystkim. Lecz nagle coś się dzieje. Widzę twarz mojego ojca, który wpatruje się we mnie uważnie. Nie uśmiecha się tak, jak pamiętam z dzieciństwa, spontanicznie, szeroko, radośnie. Ale też nie płacze, nie wylewa strumieni łez, które byłyby zdolne zatopić cały świat. Nic z tych rzeczy. Po prostu czule i troskliwie zagląda mi w oczy. Wiem, że umie przejrzeć mnie na wylot, ale już się tym nie przejmuję. Wreszcie mogę mu się ukazać całkiem naga.*

- *Och, tato - mówię, a raczej tylko staram się powiedzieć, bo nie potrafię wydobyć z siebie głosu. Nie znajduję też słów, co zapewne oznacza, że pogrążam się w wieczną ciszę. Czuję, jak odrażające, chociaż wspaniałe życie powoli wycieka ze mnie. Zanikają słowa, widoki, dźwięki, wspomnienia. Pozwalam im wszystkim odpłynąć niczym wodzie przeciekającej mi przez palce.*

- *Holly - mówię do siebie. - Zapadasz się, lecisza w otchłań.*

*Wkrótce będzie po wszystkim. Uwolnisz się od tego piekła, jakim stało się twoje życie.*

*W tej samej chwili z głębi otaczających mnie ciemności nadciąga fala niespodziewanego, nieznośnego żalu, a w mej głowie pojawia się wspomnienie, tak żywe i realistyczne, jakbym naprawdę się tam znalazła.*

*Jesteśmy za granicą, siedzimy z Meg w ogródku restauracji na nabrzeżu. Tyle czasu poświęciliśmy na lunch, że słońce chyli się ku zachodowi. Na naszym stoliku stoją talerze i szklaneczki, puste butelki, miseczki i popielniczki. Wtedy jeszcze obie dużo paliłyśmy. Słońce świeci pod tak ostrym kątem, że prześwietla wodę aż do dna, powstaje wrażenie, jakby patrzyło się na nie przez niebieskie przejrzyste szkło. Wokół linek kotwicznych przy stłoczonych łodziach rybackich kręci się ławica drobnych rybek. Obie z Meg jesteśmy w sportowych dresach. Swojego nie pamiętam, ale jej jest błękitny i elastyczny, opina się na biuście. Meg pochyla się nad stolikiem i chichocze, ale ja nagle poważnieję i mówię: „Zamierzam to schować, na przykład w butelce. Zostawię sobie na zawsze. Będzie przy mnie w najczarniejszych chwilach mego życia i pomoże mi je przetrwać”. Ona kładzie mi dłoń na rękę. Nie słyszę, co mówi, ale dobrze widzę jej zatroskaną twarz.*

*Z głębin mej świadomości wypływa myśl: powinnam zadzwonić do Meg. Przekręcę się jeszcze raz i walę jak kłoda z łóżka na podłogę. Ale ściągę za sobą telefon z nocnego stolika. Policzki mam wilgotne i lepkie. Przysuwam sobie telefon i patrzę na klawisze. Widniejące na nich cyfry to wyostrzają się, to znów rozmazują przed moimi oczami. Powoli, wkładając w to ogromny wysiłek, wybieram numer i przyciskam słuchawkę do ucha. Cisza. Linia jest zerwana. W głowie mam pustkę. Nie wiem, co robić. Wszystko jest dla mnie za' ciężkie, zbyt oddalone, niedosiężne. Myśli wędrują coraz wolniej, jakby i im brakowało siły do przodzierania się przez błoto i szlam. Pełnę po podłodze, centymetr po*

centymetrze, podciągam się samymi palcami. Tylko dokąd? Co jeszcze mogę zrobić? Próbuję wstać, ale bez skutku. Mam coraz mniej siły. Powieki same mi opadają. Już nie jestem w stanie otworzyć oczu.

Czynię ostatni wysiłek i dostrzegam coś, jakąś postać za oknem, znajomą sylwetkę. Trójkąt, kłęb drutu. To rzeźba. Ta koszmarna rzeźba. Odbieram niewyraźny ostatni impuls, dopada mnie ledwie rozpoznawalna myśl. Resztką sił napieram ciałem na stół, charcząc przy tym jak żarłoczna świnia przy korycie. Moją twarz przeszywa nieznośny ból, lecz napieram dalej, aż w końcu stół się przewraca. Rozlega się ogluszający huk, po nim brzęk tłuczonego szkła, wreszcie inny odgłos, dobiegający zza okna, ani trochę niepodobny do brzęku tłuczonego szkła, toteż zwijam się w kłębek i zapadam w siebie, jak kotwica opadająca w bezkresną atramentową toń. Coraz niżej i niżej...

Ale ktoś tam jest. Ktoś uważnie mi się przygląda. Czuję na sobie badawcze spojrzenia, choć za nic w świecie nie mogę już rozewrzeć powiek. I wyczuwam czyjąś obecność tuż przy sobie. Ktoś tu jest.

Podjęmuję jeszcze jedną próbę otwarcia oczu. Dostrzegam wąską smugę rozedrganego światła. A w tej szczelinie widzę wyraźnie czyjeś buty tuż przy swojej twarzy, tak blisko, że aż rozmywają mi się przed oczyma. Nie mogę zobaczyć żadnych szczegółów, mimo to całym moim ciałem wstrząsa dreszcz obrzydzenia.

Bez wątpienia ktoś tu jest. Wiem to. Słyszę nawet szmer oddechu gdzieś wysoko nade mną. W tamtym świecie, z którego odchodzę.

Wyciągam rękę, żeby dotknąć tych butów, lecz odsuwają się. Najpierw jeden, potem drugi. Po chwili rozmywają się w oddali. Moja dłoń próbuje za nimi nadążyć, lecz to niewykonalne.

Usiłuję wykręcić szyję, by zobaczyć całego właściciela tych butów, ale brak mi sił. Głowa cięży mi nieznośnie, jest jak konająca

*planeta. A przed nią podrygują prastare, przegniłe światła, rozmazane, jakby lada chwila miały zgasnąć na zawsze.*

*Próbuję zawołać pomocy, ale wargi też nie chcą mi się poruszać, nawet oddech grzęźnie w gardle. Nadchodzi odpływ. Fale się cofają, wyrzucają mnie na bezludny brzeg, a ja czuję, jak wraz z nimi odpływa ze mnie życie.*

*Ktoś jednak obserwuje moją śmierć.*

*Słyszę, jak buty oddalają się z cichym poskrzypywaniem, które milknie stopniowo, powoli, przed nastaniem absolutnej ciszy.*

*I wreszcie cały świat pogrąża się w ciemności, chłódzie i pustce, w której gasną ostatnie skry światła.*

## UMIERANIE DRUGIE

27

Oczy miała zamknięte, a skórę w odcieniu szarawym, niebieskawosinym wokół obrzmiałych warg. Była szczuplejsza, niż ją pamiętałam, zakrywające ją białe prześcieradło ledwie się uwypuklało. Wpatrywałam się w nią aż do bólu oczu, odkrywając szczegóły, na które dotąd nie zwracałam uwagi - rozdwojone końcówki długich bujnych włosów, delikatny meszek na górnej wardze, ledwie widoczny pieprzyk tuż pod lewym uchem, otarcia skóry po wewnętrznej stronie przedramion układające się w długie równoległe linie. Przypominała woskowy model, w którym wszystko wydaje się doskonałe, brak tylko siły sprawczej, która tchnęłaby w nią życie. Nigdy przedtem nie widziałam Holly leżącej bez ruchu. Przez te wszystkie lata, od kiedy się poznałyśmy, ani razu nie miałam okazji widzieć jej pogrążonej we śnie czy choćby wypoczywającej. Jej rysy wciąż się zmieniały jak płomień roztańczony na wietrze, a ręce szeroko gestykulowały podczas rozmowy; gwałtownymi ruchami głowy z niecierpliwością odrzucała włosy do tyłu, to pochylała się na krzesło, to znów odchylała na oparcie, nerwowo postukiwała długopisem w stół czy też przygryzała czubek kciuka. Była wiecznie podminowana, krążyła z kąta w kąt albo ciągle zmieniała pozycję, jakby cały czas nie mogła znaleźć sobie miejsca, w którym poczuje się swobodna i rozluźniona jak w domu.

Teraz przynajmniej była spokojna. Leżała nieruchomo i nikomu nie sprawiała kłopotów, ani Charliemu, ani mnie, ani dyżurnym

217

pielęgniarkom, które doprowadziły mnie do jej łóżka i rozstawiły parawan, by zapewnić nam odrobinę prywatności. Ów parawan odciął nas od szpitalnych zapachów i zgiełku, wokół jej łóżka panował niezmacony spokój. Przyszłam prosto z biura, jak tylko odebrałam wiadomość telefoniczną, porzucając niezmierny chaos, jaki Holly zostawiła po sobie przez ostatnie tygodnie pracy. Wszystkie miałyśmy mnóstwo roboty z odkręcaniem jej niektórych działań. Czasami nawet trudno było ustalić, co zrobiła, nie mówiąc już o przyczynach jej decyzji. Odnosiłyśmy wrażenie, że ilekroć uda nam się udobruchać rozzłoszczonego klienta, dostajemy jeszcze tego samego dnia paczkę koszmarnie drogich włoskich jedwabnych skarpet - najwyraźniej po jednej parze dla każdej z nas - czy też przesyłkę dziesięciu „specjalnie profilowanych” krzesel, mających zapobiegać skrzywieniom kręgosłupa. Sama dokładnie sprawdziłam ostatnie faktury i wyodrębniłam te najbardziej zdumiewające zamówienia. Później odbyłam długą i niezbyt przyjemną rozmowę z kierownikiem sekcji w banku, a na dodatek musiałam się wyklócać z architektem, który zjawił się niespodziewanie któregoś dnia z gotowymi planami „gruntownego przekształcenia naszej przestrzeni roboczej”, obejmującego instalację szklanych przepierzeń i przebicie szybu do pomieszczeń piętro wyżej. Najwyraźniej Holly doszła do wniosku, że pracujący tam zespół posępnych adwokatów, paradujących w szarych garniturach, z wiecznie zamglonymi oczami, nie będzie miał nic przeciwko takiemu rozwiązaniu.

Nie mogłam pojąć, skąd ona miała czas, żeby narobić aż takiego bałaganu. A teraz leżała przede mną, nieruchoma i cicha. Pochyliłam się i delikatnie ujęłam jej dłoń leżącą bezwładnie na pościeli, naznaczoną błękitnymi żyłkami i bardzo zimną. Gdyby teraz umarła, niezauważenie przeniosła się ze snu na tamten świat, cały nasz biurowy harmider umarłby razem z nią. Przepadłby cały zapał oraz zwyczajna złość, wszelkie męki, jak i zwyczajne wyczerpanie, nieodłącznie związane ze wspólną pracą i przebywaniem obok niej. Na granicy mej świadomości kołatała się jakaś niespokojna myśl,



musiałam zdobyć się na wysiłek, żeby wyciągnąć ją na światło dzienne i dokładnie przeanalizować. Gdzieś w głębi duszy mimowolnie życzyłam Holly śmierci, bo gdyby odeszła, zostawiłaby nas wreszcie w spokoju. Ona sama pewnie borykała się z podobnymi myślami, skoro całymi garściami wpychała sobie tabletki do ust. Chciała umrzeć, żeby uwolnić nas w końcu od siebie.

Delikatnie przeciągnęłam kciukiem po nabrzmiałej niebieskiej żyłce tuż pod skórą na wierzchu dłoni. Śmierdziała środkami odkażającymi i wymiocinami. Wargi miała lekko rozchylone, można było dostrzec koniec całkiem pobielalego języka. Nagle otworzyła oczy, ale tylko na chwilę. Obrzuciła mnie niewidzącym spojrzeniem i zaraz znów zacisnęła powieki. Kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy, gdy weszła do biura, łomocząc o podłogę obcasami swoich niesamowitych butów, od razu pomyślałam, że chcę się z nią zaprzyjaźnić. Była nie tylko czarująca, ale jeszcze z uwagą słuchała wszystkiego, co się do niej mówi, patrząc człowiekowi prosto w oczy, jakby chciała wejrzeć w głąb jego duszy. Przez to wiele razy czułam się przy niej nieswojo. Prawdę mówiąc, serdeczna przyjaźń z nią trochę przypominała ryzykowny romans. Holly bez żadnego powodu kupowała mi różne prezenty, potrafiła dzwonić w środku nocy, kiedy przyszedł jej do głowy jakiś pomysł, czy też nagle popadała we wściekłość przez to, co powiedziałam albo czego nie powiedziałam. Pewnego razu byliśmy w południowej Francji, siedziałyśmy w restauracji na nabrzeżu, zjadaliśmy się owocami morza i popijałyśmy wino, spoglądając na morze cudownie roziskrzone promieniami zachodzącego słońca, nieoczekiwanie oznajmiła, że mnie kocha. Pamiętam, że oblałam się wtedy rumieńcem i wymamrotałam coś absurdalnego, jakbym była wstawiona, lecz chyba nawet nie zwróciła na to uwagi. Zachichotała tylko, położyła mi rękę na dłoni i dodała, iż świetnie wie, że ja ją też kocham. Zostawiłam to bez komentarza, bo przecież byliśmy dobrymi przyjaciółkami. W każdym razie nigdy nie było wiadomo, czego się po niej spodziewać.

- Meg?

- Holly? Jestem przy tobie.
- Niedobrze mi.

Rozsunęłam parawan i zawołałam pielęgniarkę, patrząc bezradnie, jak Holly pochyła głowę nad plastikową miską i zaczyna odkasływać bezbarwną flegmę z kropelkami krwi, krztusząc się przy tym i charcząc. Pielęgniarka ledwie spojrzała w naszą stronę. Holly złapała wreszcie oddech, ułożyła się znów na poduszce, wcisnęła guzik chowający plastikową miskę na wysięgniku pod łóżkiem i otarła sobie spocone czoło papierową chusteczką.

- Czuję się jak w więzieniu - mruknęła.
- Nie żartuj. To już od lat nie jest uważane za przestępstwo.
- Co?
- No, wiesz, próba... - te słowa ledwie przechodziły mi przez gardło - ...samobójcza.

Holly ospale pokręciła głową.

- Nie. - Zabrzmiało to niemal jak stłumiony jęk. Pochyliłam się w jej stronę, żeby lepiej słyszeć, co mówi, gdyż co parę słów szmatycznie łąpała powietrze. - Słyszałaś już? Zrobiłam kolejną głupotę. Wypchnęłam tę ohydną rzeźbę za okno. Spadła tuż obok przechodzącego faceta. Zadzwoił na policję. - Miałam wrażenie, że dostrzegam w jej smutnych oczach błyski rozbawienia. - Omal go nie zabiłam, a on uratował mi życie.

Osunęła się niżej w pościeli i zamknęła oczy. Przez jakiś czas siedziałam w milczeniu, trzymając ją za rękę.

- A potem zjawił się również Charlie. Biedak. Pewnie myśli, że pobyt w szpitalu dobrze mi zrobi - ciągnęła głośnym szeptem.

Postanowiłam obrócić to w żart.

- To prawda. Ostatnio zachowywałaś się jak skończona idiotka.

Nawet nie otworzyła oczu.

- Tak mi przykro, Meg. Przepraszam za wszystko.
- Wcale nie musisz...
- Owszem, muszę. I przepraszam. Naprawdę jest mi przykro.

Wszystko zawałam. Absolutnie wszystko. Nie zasługuję na to, żeby dłużej żyć. Zresztą jest mi cholernie niedobrze.

- Chcesz, żebym jeszcze raz zawołała pielęgniarkę?

- Nawet nie mam już czym odpluwać, jakbym wcześniej wyrzygała całe wnętrzności. Koszmar.

- Charlie jest na dole. Wyszedł na krótko, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Chcesz, żebym go zawołała?

- Nie. Tylko nie odchodź. Nie zostawiaj mnie teraz samej. - Łzy popłynęły spod zamkniętych powiek.

Czekałam na ciąg dalszy, spoglądając na jej obrzmiałą twarz i ręce upstrzone niebieskawymi żyłkami spoczywające nieruchomo na pościeli. Z trudem przełknęłam ślinę, próbując opanować mdłości, o jakie przyprawiało kwaśne, zatęchłe powietrze. Nagle i ja zapragnęłam choć na krótko wyjść na dwór.

- Kocham cię - szepnęłam mimo woli.

- Próbowałam do ciebie zadzwonić.

- Słucham?

- Kiedy już umierałam. Próbowałam do ciebie zadzwonić.

Gwałtowny dreszcz przeszedł mi po plecach, jakby zmroziła mnie świadomość, że już nigdy nie zdołam się uwolnić od Holly.

- Próbowałaś do mnie zadzwonić?

Uśmiechnęła się niemal boleśnie i wyjaśniła, z trudem przeciskając przez gardło poszczególne słowa:

- Ale coś się stało z aparatem. Nie było sygnału. Wiesz, jaka jestem zdolna w sprawach technicznych. No i zostawiłam list na stole. Tylko nie mów o tym Charliemu. Ten list powinien być do niego. Nie chciałabym wywoływać zbędnych niesnasek. Zresztą niezbędnych też bym nie chciała.

- Co napisałaś?

- Tylko parę słów. Głównie przeproszałam. Policja go nie znalazła, a Charlie nie widział go na oczy. Może mi się tylko przyśniło, że go napisałam? Bo tuż przed śmiercią miałam taki dziwny sen, który mnie wybudził. Podejrzewałam, że będziesz czuła się winna, całkiem niepotrzebnie. Naprawdę rozumiem, co was połączyło z Charliem.

- Słucham? Myślisz, że coś nas łączy?

- Pewnie.

- Na Boga, Holly. Naprawdę sądziłaś, że my... że mogłabym... - Umilkłam nagle. Ponownie chwyciłam jej zimną dłoń i zaczęłam ją oburącz rozcierać, żeby choć trochę rozgrzać.

- To przeze mnie - dodała sennym głosem. - To ja wszystko zniszczyłam.

Uśmiechnęłam się szeroko, gdyż w idiotyczny sposób poczułam się z niej dumna.

- Wiesz co? Za chwilę będę musiała iść. Ktoś czeka na mnie przed szpitalem. Przywiózł mnie tu. Ma na imię Todd. Pamiętasz go? Nic ci nie mówiłam, bo spotykaliśmy się dotąd w sekrecie i woleliśmy nikogo nie wtajemniczać.

Holly otworzyła oczy i popatrzyła na mnie przez łzy.

- A więc naprawdę nie...? - Głos uwiązł jej w gardle.

- Naprawdę.

- I nigdy...?

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Po prostu nie mogłabym ci tego zrobić.

- A ja byłam pewna... - mruknęła. - Myślałam, że już straciłam was oboje z powodu mojego głupiego błędu.

- To fakt, że trudno było z tobą ostatnio wytrzymać, w taki czy inny sposób.

- A więc Todd?

- Zgadza się.

- Szczęściarz z niego.

Język jej się plątał. Pochyliłam się i delikatnie poklepałam jej dłoń.

- Prześpij się.

- Meg?

- Słucham.

- Wreszcie jestem szczęśliwa.

- To dobrze.

- Naprawdę bardzo szczęśliwa...

Błyskawicznie znieruchomiała z lekko rozchylonymi wargami, jej oddech stał się płytszy i wolniejszy, a gałki oczne zaczęły się poruszać pod powiekami. Zapadła w sen.

\*

Charliego ujrzałam z daleka na korytarzu, niósł bukiet drobnych żółtych goździków, który zapewne kupił w sklepiku na dole. Nie wątpiłam, że rano się ogolił i uczesał niesforne, zazwyczaj zmierzwione włosy, lecz mimo to wyglądał niechlujnie, jak pijaczyna. Szedł ze wzrokiem wbitym w podłogę i zmarszczonymi brwiami, jak zwykle błędząc myślami we własnym świecie.

- Charlie - zawołałam.

Zatrzymał się i popatrzył na mnie, odniosłam jednak wrażenie, że nadal mnie nie widzi, mając przed oczyma zupełnie inny obraz.

- Przed chwilą od niej wyszłam. Zasnęła.

Wymęczony, z poszarzałą cerą, na swój sposób wyglądał nie lepiej niż jego żona leżąca w szpitalnym łóżku.

- Cały czas jest tak samo - odparł. - Kiedy się budzi, sprawia wrażenie ledwie żywej, a potem mówi, dopóki się nie zmęczy i nie zapadnie znowu w głęboki sen.

- Czuje się winna.

- Nie tylko.

Zrobiło mi się głupio. Nie zamierzałam z nim konkurować w dziedzinie znajomości najskrytszych myśli i pragnień Holly.

- Na pewno z tego wyjdzie. Zobaczysz.

- Możliwe - odparł głucho. - Pewnie za jakiś czas...

- Nie mogłeś zrobić dla niej więcej, niż zrobiłeś.

- Och, Meg - mruknął, podnosząc wzrok i na krótko spoglądając mi prosto w twarz. - Oczywiście, że mogłem. Przede wszystkim zostawiłem ją samą. Powinienem był się domyślić, co planuje.

- Przecież nie jesteś w stanie czuć przy niej przez okrągłą dobę.

Nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami i ukrył twarz w goździkach.

- Będziemy w kontakcie - rzucił.

- Odwiedzę ją jeszcze raz wieczorem, po pracy.

- Dziękuję.

- Ty też powinienes trochę wypocząć, bo tylko patrzeć, jak sam

się rozchorujesz i nie będzie z ciebie żadnego pożytku.

- Masz rację - odparł, ale chyba bezwiednie.

Wróciłam do szpitala koło siódmej wieczorem, ale natknęłam się na parę osób, które chciały się z nią zobaczyć: Charlie w czystej flanelowej koszuli, mój kuzyn Luke, Naomi z powiekami grubo umalowanymi na niebiesko. Ku swemu przerażeniu rozpoznałam też matkę Holly. Siedziała przy łóżku, sztywna, jakby kij połknęła, z zebranymi w staranny kok popielatosiwymi włosami i ściągniętymi ustami purytanki, trzymająca dłoń córki tak, jakby to był jakiś nie-stosowny przedmiot, który ktoś oddał jej pod opiekę na kilka minut. Holly leżała wśród tej gromadki jak trup, z twarzą zwróconą w stronę stojącego w plastikowym wazonie wielkiego bukietu lili roztaczających dookoła intensywną woń. Zaciekawilo mnie, czy tylko ja zauważyłam, że jedynie udaje pogrążoną w głębokim śnie.

Następnego dnia siedziałam już przy niej, kiedy przyszedł doktor Thorne. Wysoki i żyłasty, z byczym karkiem i zamglonymi szarymi oczyma, skojarzył mi się z bocianem, pewnie dlatego od razu przypadł mi do serca. Wstałam, zamierzając wyjść.

- Zostań - odezwała się Holly.

- Ale...

- Proszę.

Usiadłam pod ścianą. Doktor uważnie przeczytał wpis w karcie chorobowej, po czym usiadł obok Holly i zaczął ją zasypywać pytaniami. Na większość z nich odpowiadała krótko i cicho, miękkim głosem. Dlaczego zarzuciła przyjmowanie leków? Od jak dawna planowała zamach na swoje życie? Co konkretnie przesądziło o tym, że uznała, iż nie da rady dłużej borykać się z życiem? Co ją skłoniło do takiego działania? Kiedy po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że wolałaby umrzeć? Skąd wzięły się otarcia na przedramionach? Jak mogłaby opisać stan swojego ducha w chwili odjęcia

decyzji o targnięciu się na swoje życie? W końcu poprosił, by przypisała swojemu obecnemu nastrojowi jakiś kolor, a ona po dłuższym namyśle odparła: „kasztanowy”. Ile w sumie połknęła tabletek? Czy w trakcie ich połykania nie naszła jej refleksja, że jednak lepiej byłoby pozostać przy życiu? Jak mogłaby opisać rządzące nią teraz odczucia? Poprosił, by oceniła je w skali od jednego do dziesięciu, w której zero oznacza czarną rozpacz, a dziesięć euforię. Holly obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem, z błyskiem w oczach, które na chwilę przywołało wspomnienia sprzed jej załamania nerwowego, po czym odparła, że trzy i dwie piąte. Doktor Thorne przyjął to z szerokim uśmiechem i skwitował, że naprawdę bardzo ją lubi. Zaraz jednak sypnął jak z rękawa następnymi pytaniami. W końcu obejrzał jej język i zmierzył tętno. Zapytał, czy może słyszy jakieś dziwne odgłosy i widzi dziwne rzeczy. Holly zerknęła na mnie nerwowo, jakby ogarnęło ją nagle przerażenie i szukała mojej pomocy, lecz natychmiast znowu przeniosła wzrok na psychiatrę.

- Może - mruknęła niepewnie. - Skąd miałabym wiedzieć, czy głosy ludzi i ich twarze są prawdziwe, czy też słyszę je i widzę wyłącznie w wyobraźni?

- Bałaś się?

- Tak - odparła cicho, niemal szeptem. - Nawet bardzo. Bałam się, że popadnę w obłąd. Ale kiedy umierałam, myślałam już spokojnie.

- O czym?

- O tym, że ktoś mnie obserwuje.

- To dość często spotykane złudzenie.

- Widziałam czyjeś buty...

I tak to się ciągnęło. Czulałam się niezręcznie w roli świadka tak intymnych pytań i wypowiedzianych półgłosem odpowiedzi, jakbym musiała patrzeć na zrywanie kolejnych warstw opatrunków, spod których wyłania się świeża rana. Słuchałam w milczeniu, starając się w ogóle nie ruszać, otoczona intensywnym zapachem lilii.

- Żałujesz, że twoja próba nie zakończyła się powodzeniem? - zapytał na koniec doktor.

Po raz kolejny zerknęła na mnie. W jej minie wyczytałam coś dziwnego, czego nie potrafiłam zidentyfikować. Ale w oczach zabrzmiały szelmowskie ogniki.

- Nie - odparła po chwili. - Wydaje mi się, że jednak wolę żyć.

## 28

Mimo wszystko byłam szczęśliwa, takiego szczęścia nie zaznałam od wielu lat. Czasami podświadomie dopadały mnie z tego powodu wyrzuty sumienia. Kiedy budziłam się każdego ranka i widziałam obok siebie Todda, serce zaczynało mi mocniej bić, a wstający dzień wydawał się czysty i klarowny jak rysunek na planszy reklamowej. Wszystkie rzeczy, które w pracy doprowadzały mnie do szału, teraz wydawały się banalnie proste. A to, co mnie nudziło, teraz przyjmowałam z zainteresowaniem. Czułam się pełna energii i zapału. Byłam zakochana.

Czasami ja zostawałam u niego na noc, kiedy indziej on nocował u mnie. Nasze mieszkania coraz bardziej przypominały miejsca zbrodni, w których stopniowo przybywa obciążających dowodów świadczących o naszej wzajemnej bytności: szczoteczki do zębów, bielizna, kosmetyki, męskie koszule i damskie bluzki, kieszonkowe wydania powieści. Wielokrotnie zaczynałam czegoś szukać i uświadamiałam sobie po chwili, że akurat to zostało w mieszkaniu Todda. To, że w ciągu dnia wcale nie było pewne, w którym łóżku będę dzisiaj spała, wydawało mi się nawet zabawne. Na szczęście była to bezpieczna przystopnia.

Świetnie wiedziałam, że już nigdy nie będzie tak dobrze, niezależnie od tego, co wyniknie z naszego związku. Gdyby miał się rozwinąć zgodnie z moimi oczekiwaniami, może udałoby nam się dojść do etapu, na którym - co obecnie wydawało się niewiarygodne - nie myślelibyśmy o sobie nawzajem bez przerwy, normą stałby się



dzień, dwa lub trzy bez seksu, zaczęlibyśmy się wzajemnie traktować jak dobrze znane meble. Na razie było to wykluczone. Jeszcze kierowała nami niezaspokojona ciekawość. Todd był dla mnie jak labirynt, który bardzo chciałam przejść, jak puzzle do ułożenia czy ekscytująca szalona wycieczka w nieznane. Rozmawialiśmy o tym, jak wygląda nasze życie i praca, wspominaliśmy wcześniejsze związki i to, co w nich było niedobre, a co dobre. Odślanialiśmy przed sobą nawzajem swoje sekrety.

Każdy dzień wydawał się o wiele za krótki, zwłaszcza że ta pasja i intensywność przeżyć miały wkrótce zblaknąć. Rzekłabym, że nawet musiały wygasnąć, byśmy oboje mogli stać się na powrót zwykłymi ludźmi, zwykłymi kochankami czy też partnerami, może tylko przyjaciółmi, a może nawet całkiem sobie obcymi.

W dodatku teraz musiałam się jeszcze zatroszczyć o Holly. Kiedy w mieszkaniu Todda usiedliśmy do śniadania, na które przygotował owoce, kawę i muesli własnego wyrobu, powiedziałam, że wieczorem spotkamy się później niż zwykle, bo muszę wpaść do szpitala. Przyjął to skinieniem głowy.

- Będę musiała jej teraz poświęcić dość dużo czasu - ostrzegłam.

- To oczywiste.

- Powiedziałeś to z żalem w głosie.

- Niczego nie żałuję.

- Wiem, że twoja znajomość z Holly nie ułożyła się nazbyt ciekawie.

- Chcesz powiedzieć, że byłem dla niej mało ciekawy?

- To nie twoja wina, jeśli mam być szczerą.

- Nie sądzisz, że trochę za bardzo się jej boisz jak na kogoś, kto się mieni jej najlepszą przyjaciółką?

Potrzebowałam paru sekund, żeby się nad tym zastanowić.

- Holly zawsze wymagała zwiększonej uwagi - odparłam. - Oczywiście pod względem emocjonalnym. Niemniej na pewno była tego warta. To fakt, doprowadzała mnie do szaleństwa, wprawiała w takie zakłopotanie, jakiego nawet nie umiałbyś sobie wyobrazić...

- Z pewnością bym umiał - przerwał mi.

- Ale i tak sama nie zrobiłabym nawet połowy tego, co zrobiłyśmy razem. I to jest jej największa zaleta. Popycha człowieka do rzeczy, których w innej sytuacji nigdy by nie zrobił, a tu nagle zaczyna się zastanawiać: „Cholera! A czemu nie?”. Dopiero w ostatnim okresie wszystko zaczęło się psuć, jej pomysły przybrały ewidentny odcień szaleństwa. Kiedy ją poznałeś, nie była już sobą.

- Nie musisz mnie o tym przekonywać.

Wyciągnęłam rękę nad stołem i potargałam jego puszyste ciemnoblonde włosy.

- Chyba jednak muszę - odparłam. - Ciebie bardziej niż kogośkolwiek innego. Na drodze do samozniszczenia Holly włożyła sporo wysiłku, żeby mnie do siebie zniechęcić. Najwyraźniej odpychając tych, którzy ją kochają, chciała zadać sobie dodatkowy ból.

Wstałam, pociągnęłam Todda na nogi i objęłam go w pasie, splatając palce na jego miękkiej wełnianej marynarce.

- Chciałam cię prosić o przysługę - powiedziałam.

- Jasne.

- Większość ludzi najpierw zapytałaby jaką.

- Więc nie jestem większością, w każdym razie wobec ciebie.

- Aha. - Zamrugałam szybko, speszona, omal nie zapomniawszy w jednej chwili, o co zamierzałam poprosić. - Chciałabym, żebyś przynajmniej na razie polubił Holly, choćby ze względu na mnie. Później zadecydujesz sam, czy da się ją polubić, czy nie.

- Postaram się.

- Przyjdę tu późnym wieczorem.

- To przecież warunek naszej umowy.

Prawie przez godzinę siedziałam w milczeniu przy łóżku Holly. Co jakiś czas na kilka sekund otwierała oczy, lecz zaraz znów zapadała w sen. Sama omal nie przysnęłam, toteż gdy się odezwała, aż podskoczyłam na krześle. W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o co jej chodzi, jakby tylko niewyraźnie mamrotała.

- Słucham?
- Boję się.
- Czego? A może to bezpodstawny lęk?
- Boję się powrotu.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Boję się wyjścia ze szpitala i powrotu do normalnego życia.

Tu czuję się bezpieczna.

- Charlie mówił, że Stuarta wypuścili za kaucją. Nie sądzę jednak, by cokolwiek groziło ci z jego strony.

- Nim się nie martwię. Zastanawiam się nawet, czy nie wycofać zarzutów przeciwko niemu...

- Nie powinnaś tego robić. Przecież niewiele brakowało, żeby cię zabił.

- Ale on tylko dopadł mnie jako pierwszy, prawda?

- Nie rozumiem.

- Gdyby nie on i gdybym później sama nie targnęła się na swoje życie, dopadłby mnie na przykład Rees. Kiedy umierałam, wydawało mi się, że ktoś tam jest.

- Tam? To znaczy gdzie?

- Tyle osób pragnęło mojej śmierci. Podejrzewam, że tylko sobie wyobraziłam jakiegoś pałającego żądzą odwetu świadka. No, wiesz...

- I to Reesa najbardziej się boisz?

- Tak. Jego i jeszcze...

- Słucham.

- Tylko obiecaj, że nie powiesz o tym Charliemu.

- Znów te sekrety.

- Daj mi najpierw wody.

Podalam jej plastikowy kubeczek z wodą, którą wypila, krzywiąc się boleśnie przy każdym łyku.

- Wpakowałam się w partię pokera - powiedziała w końcu. - Tego wieczoru, kiedy przyjechałam do ciebie, a potem się pokłóciliśmy.

- Pamiętam.

- W każdym razie chodzi o to, że przegrałam trochę forsy na rzecz niejakiego Vica Norrisa. - Popatrzyła na mnie spod zmarszczonych brwi. - Prawdę mówiąc, nawet dość dużo forsy.

- Ile? - Spodziewałam się, że wymieni kilkaset funtów, bo dla mnie to już byłoby dużo. Ja maksymalnie pozwoliłam sobie prze-tracić piątkę w Wielkiej Loterii Krajowej, i to tylko raz.

- Z dnia na dzień dług rośnie - wyznała szeptem. - Ilekroć nie oddam pieniędzy w wyznaczonym terminie, suma się zwiększa.

- Więc zapłać.

- Nachodzi mnie ten skinhead.

- Wyduś wreszcie, ile przegrałaś.

- Meg - doleciał od drzwi czyjś głos. - Jak się miewasz?

- Jedenaście tysięcy - wyszeptała pospiesznie z przerażoną mi-ną i odwróciła głowę.

Oslupiałam. Lecz niemal w tej samej chwili ujrzałam Charliego, który szedł przez salę w naszą stronę, obładowany książkami, cza-sopismami i owocami. Mocno ścisnął mi dłoń na powitanie. Wzię-łam od niego plik czasopism, które lada chwila mogły spaść na pod-łogę. Uwolniony od nich, cmoknął mnie w oba policzki.

- Cudownie, że przyjechałaś. Jesteś bardzo miła. Jak ona się czuje?

- Lepiej, jak sądzę. Tyle że...

Przerwało mi pojawienie się całej gromadki ludzi, doktora Tho-rne'a w towarzystwie pielęgniarki oraz młodzieńca w białym fartu-chu, z krótko ostrzyżonymi włosami. Pielęgniarka zaczęła spraw-dzać kroplówki, jakby miała do czynienia z przeciekającym bojle-rem, toteż pospiesznie złapałam za łokieć doktora Thorne'a.

- Chciałabym z panem porozmawiać - rzekłam cicho, żeby Holly nie słyszała.

- O czym?

- Czy możemy się troszkę oddalić? Teraz już lepiej. Poznaliśmy się wczoraj, nazywam się Meg Summers i jestem najbliższą przyja-ciółką Holly, jak również jej współniczką w interesach.

- Ach, tak, wspomniała o pani.

- Bardzo się o nią martwię.

- Tak samo, jak my wszyscy.

- Tyle że ja jestem w rozterce. Nie chcę wnikać w szczegóły jej przypadku, ale jest coś, co według mnie nie trzyma się kupy.
- To znaczy? - zaciekawił się doktor Thorne.
- Holly próbowała się zabić, tymczasem pan usiłuje ją wyciągnąć z poważnej depresji psychicznej.
- Konkretnie z dwubiegunowego zaburzenia cyklofrenicznego.
- Co oznacza chorobę umysłową.
- Zgadza się.
- Chodzi o to, że właśnie przeprowadziłam długą i szczerą rozmowę z Holly. Czy jest możliwe, żeby coś, co wygląda na poważną depresję, było tylko całkowicie racjonalną reakcją na olbrzymi stres?

- Do czego pani zmierza?

Wzięłam głębszy oddech i zrelacjonowałam mu pokrótce to, czego się dowiedziałam od Holly.

- Rozumie pan teraz? W tak skrajnie kłopotliwej sytuacji wiele osób by się załamało, ja pewnie też.

Doktor zamyślił się głęboko.

- Chodźmy na kawę - zaproponował po chwili.

Sądziłam, że zaprowadzi mnie do swego gabinetu i poczęstuje prawdziwą kawą, lecz on zatrzymał się przy automacie stojącym w korytarzu przy dyżurce. Kawa w nim była bardzo podła.

- Gdy rozpocząłem studia biologiczne - zaczął – dość szybko natknąłem się na znany w genetyce problem ptasich gniazd. Otóż ptasie gniazda są wytworem bardzo osobliwym, a jednocześnie bardzo podobnym u różnych gatunków. Jak ptasie geny mogą być odpowiedzialne za procesy szukania mchu, źdźbeł trawy i patyków oraz sklejania ich błotem albo śliną? Trzeba sobie uświadomić, że rozwój mózgu w znacznej mierze zależy od bodźców zewnętrznych. Ludzki mózg jest zaprogramowany na używanie artykułowanej mowy, jednakże rozwijające się dziecko musi mieć kontakt z taką właśnie mową pochodzącą z zewnątrz, która będzie stymulować rozwój odpowiedzialnych za mowę obszarów jego mózgu. Zatem

rozwój zdolności mowy w jego umyśle jest możliwy dzięki elementom mowy docierającym z zewnątrz. Jednym ze sposobów zrozumienia mechanizmu powstawania ptasich gniazd jest uznanie ich za przedłużenie ptasiego mózgu, które wykorzystuje rozmaite elementy świata zewnętrznego zamiast impulsów elektrycznych.

- Nie bardzo rozumiem.

- Mnie Holly również mówiła o przyczynach rządzącego nią lęku - odparł Thorne.

- Ale ja pytałam, czy nieszczęścia w jej życiu zdarzyły się naprawdę, czy są tylko efektem choroby.

Uśmiechnął się, jakby moje pytanie było szczególnie podchwytliwe.

- Śmiało można powiedzieć, że są realne, ponieważ są efektem jej choroby. Właśnie dlatego nawiązałem do ptasich gniazd. W umyśle Holly zapanował chaos, który przejawiał się między innymi w próbie samobójczej. Wiele jej poczynań z ostatnich miesięcy należy uznać za próbę przekształcenia swojego otoczenia w coś, co można by potraktować jak przedłużenie jej umysłu. Innymi słowy, uzewnętrznianie pogardy do samej siebie doprowadziło do sytuacji, zgodnej z jej zamiarem, że inni ludzie będą myśleli o niej dokładnie to samo, co ona myśli o sobie. Tak więc mamy do czynienia z przypadkiem paranoi, w której chora tak manipuluje swoim otoczeniem, by zyskać potwierdzenie tejże paranoi.

- Chce pan przez to powiedzieć, że obawy Holly są w pełni uzasadnione?

- Jestem lekarzem, a nie policjantem. Dla mnie pewne jest tylko to, że nie możemy skończyć na regulowaniu pracy mózgu Holly farmaceutykami i stosowaniu psychoterapii, choć oba te procesy są nadzwyczaj istotne. Bo przecież nie mamy do czynienia z mózgiem w probówce. Ona żyje w realnej rzeczywistości i któregoś dnia, jak mam nadzieję, będzie musiała opuścić zakład zamknięty i powrócić do swojej rzeczywistości.

- Rozumiem, tyle że... w tej rzeczywistości są ludzie, którzy chcieliby jej wyrządzić krzywdę.

Thorne spoważniał nagle.

- Nigdy nie twierdziłem, że będzie to łatwe. Mam innych pacjentów, którzy dopuścili się strasznych czynów. Dla nich to powtórne zmierzenie się z rzeczywistością jest najtrudniejszym etapem kuracji, bo dopiero wtedy uświadamiają sobie w pełni, jakie krzywdy wyrządzili w trakcie swej choroby. Proszę sobie wyobrazić ludzi wychodzących z choroby, którzy się dowiadują, że w jej trakcie poważnie zranili czy nawet zabili własne dzieci. Dla nich powrót do rzeczywistości może się wiązać z bardzo skrajnymi uczuciami. Oto w końcu muszą stawić czoło rzeczom, przed którymi chore umysły skutecznie ich chroniły przez jakiś czas.

- Proszę wybaczyć, lecz niewiele mi to wyjaśniło.

Doktor Thorne pozwolił sobie na delikatny uśmiech.

- W każdym razie jest pani teraz trochę lepiej poinformowana  
- rzekł.

## 29

Miałam wrażenie, że pod nieobecność Holly zamieniam się w nią, próbuję wypełnić lukę, jaka po niej została. Pracowałam po dziesięć godzin dziennie, na lunch przynosząc sobie kanapki, które zjadałam przy biurku, a potem biegłam do szpitala, żeby być przy niej, wreszcie przesiadywałam do późna z Toddem. Do tej pory potrzebowałam co najmniej dziewięciu godzin snu, teraz musiałam się zadowolić najwyżej sześcioma, lecz dziwnym sposobem wcale nie odczuwałam zmęczenia. Kiedy powiedziałam o tym Trish, zaśmiała się w głos.

- O co chodzi?

- Mylisz się, Meg - wycedziła tym swoim mentorskim tonem, który zawsze działał mi lekko na nerwy. - Uwierz mi, w najmniejszym stopniu nie jesteś podobna do Holly.

- Wiem, że nie jestem, chodzi mi tylko o to, że ni stąd, ni zowąd poczułam niezwykły przypływ energii.

- Kiedy ona czuła przypływ energii, była jak kometa - wyjaśniła Trish. - Albo samolot rozpędzający się przed startem. Nie można było tego nie zauważyć. Nawet gdy tylko siedziała przy biurku i się nie ruszała, sprawiała wrażenie pulsującej energią i powietrze wokół niej było jakby rozedrgane. Wyczuwałam to z daleka, przekraczając próg biura. Wystarczyło mi pół sekundy, by się przekonać, czy to będzie koszmarny dzień, czy wspaniały. Nigdy tego nie lubiłam, bo nie miałam nad tym żadnej kontroli. Wszystko zależało wyłącznie od niej, choć i ona nie zawsze nad sobą panowała. Na pewno rozumiesz, co mam na myśli.

- Chyba tak.

- Ty jesteś jej przeciwieństwem i to prawdopodobnie cementuje waszą przyjaźń. Jesteście jak ogień i woda. Ty zawsze jesteś opanowana.

- Czyli po prostu nudna.

- Nieprawda, wszystkie to bardzo cenimy - odparła Trish. - Dzięki tobie zyskujemy poczucie bezpieczeństwa.

- Poważnie?

- Oczywiście. Holly jest jak nowoczesne wesołe miasteczko. A ty jak... jak... - szukała odpowiedniego porównania - ...jak solidny gmach - wycedziła w końcu.

- To dobrze?

- Pewnie - odparła z naciskiem.

Niespodziewanie położyła mi obie dłonie na ramionach i serdecznie ucałowała w oba policzki. Wydawało mi się, że ją samą zaskoczyło to nie mniej niż mnie.

Przez cały dzień, mimo bieganiny i natłoku pilnych spraw, rozmyślałam o tym, co powiedziała Trish, jak również o Holly, a konkretnie o jej wrogach. Przypominałam sobie, co mi wyznała zalekzionym głosem, i jak jej lęki ocenił doktor Thorne. Niedługo mieli ją wypisać ze szpitala. Tymczasem ja pragnęłam ją uchronić przed wrogiem jej światem. Nie byłam pewna, jak traktować diagnozę doktora Thorne'a i analogię do ptasich gniazd, choć wiedziałam wystarczająco dużo, by ją rozumieć, gdyż Holly rzeczywiście czasami



sobą gardziła i faktycznie doprowadziła do sytuacji, w której wiele osób życzyło jej jak najgorzej. Zbyt często byłam świadkiem takich jej zachowań. Wkładała wiele wysiłku w to, by inni postawili na niej krzyżyk. Nawet ja o mało tego nie zrobiłam, a przecież byłam jej najlepszą przyjaciółką. Wiedziałam, że nigdy nie pojmę w pełni tego, przez co przechodziła, łatwo jednak mogłam sobie wyobrazić to piekło, które sama sobie stworzyła.

Trish powiedziała, że dzięki mnie ludzie czują się bezpieczni. Nie było to nic wielkiego. Chyba wolałabym zostać porównana do nowoczesnego wesołego miasteczka niż do solidnego gmachu, wolałabym być ekscytująca, seksowna, olśniewająca, niebezpieczna, uparta, wrażliwa, urocza, irytująca i zuchwała jak Holly. Ale było jak było. A Holly mi ufała. W końcu to do mnie napisała swój pożegnalny list, to do mnie próbowała się dodzwonić, kiedy umierała. Chciałam... nie, musiałam podjąć próbę uczynienia jej świata choć trochę bardziej bezpiecznym, zanim do niego wróci. Ilekroć przypominałam sobie jej wychudzoną postać na szpitalnym łóżku i to, jak pierwszego dnia kurczowo trzymała mnie za rękę i obrzucała błagalnym spojrzeniem, uznawałam to za swój obowiązek. Rzecz uciążliwą, lecz nieuniknioną.

Todd wysadził mnie pod szpitalem i powiedział, że przyjedzie za pół godziny. Charlie już sobie poszedł, lecz w sali była Marcia Krauss, która właśnie ustawiała w wazonie wielki bukiet kwiatów. Nie była jeszcze stara, na oko miała około pięćdziesiątki, i pewnie wśród mężczyzn uchodziła za dość atrakcyjną, lecz bardzo odstraszająco działała aura sztywnej poprawności, jaką wokół siebie roztaczała. Kiedy poznałyśmy się przed kilkoma laty, ledwie mogłam uwierzyć, że naprawdę jest matką Holly. Dopiero później zrozumiałam, że jest jak gdyby jej negatywem, kobietą zadbaną, uważną, porządną, niedocenianą, zapobiegliwą, cnotliwą, zawsze opanowaną i głęboko zatroskaną. Córnka o charakterze Holly musiała budzić w niej przerażenie.

Cmoknęłam ją w policzek, a Holly w czoło.

- Wyglądasz lepiej.
- Kłamczucha.

Mówiłam jednak prawdę. Była wymizerowana, a zanikający siniak na policzku czynił jej twarz niesymetryczną, ale oczy nie były już tak pozbawione wyrazu, nie sprawiała też wrażenia wycieńczonej i skonanej.

- Z kim się dzisiaj widziałaś?

Ale ona zignorowała to pytanie.

- Właśnie rozmawialiśmy o tacie - powiedziała.
- To ty o nim mówiłaś. Ja nie - wtrąciła jej matka.
- Pytałam, jak umarł.

Ewidentnie czuje się lepiej, przemknęło mi przez głowę. W każdym razie znów robi się niesforna. Aż miałam ochotę zaśmiać się w głos.

- Zawsze prowadził bardzo stresujące życie - powiedziała Marcia.

- Mamo - jęknęła Holly - zostaw wreszcie te kwiaty i spójrz na mnie. Przecież próbowałam się zabić.

- Wiem - mruknęła, nie odwracając głowy od róż i lilii. - Dlatego tu jestem.

- Ale zachowujesz się, jakby w ogóle cię to nie obeszło.

- Bo jestem tu, żeby ci pomóc z tego wyjść. A poza tym teraz Meg przyszła z wizytą.

- Ona nie ma nic przeciwko naszej rozmowie, prawda, Meg? Tata był taki jak ja, zawsze mi to powtarzałaś. Dlatego chcę zobaczyć, czy popełnił samobójstwo.

- Holly, to naprawdę nieodpowiednia pora.
- A kiedy będzie odpowiednia?
- Na pewno nie teraz.
- On to zrobił, prawda? Też cierpiał na depresję maniacką, która doprowadziła go do samobójstwa.
- Nie masz prawa mówić w ten sposób.
- Przecież mam to we krwi. Po nim.
- Dosyć!
- Ach, mniejsza z tym - zrezygnowała Holly. - Ostatecznie i tak nie jesteś w stanie nic na to poradzić.

Ułożyła się wygodniej. Marcia podniosła torebkę, po raz ostatni

niepotrzebnie poprawiła kwiaty w wazonie, po czym cmoknęła córkę w policzek.

- Nie przemęczaj się.
- Dobrze. Nie będę - burknęła Holly.

Gdy matka wyszła, odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Mogę się założyć, że Charlie już z nią nie wytrzyma. I ona odwiedza mnie niechętnie, i ja z niechęcią przyjmuję jej wizyty. To dla niej coś, do czego każda matka jest zobowiązana, dlatego przychodzi do szpitala.

Przysiadłam na brzegu łóżka, skubnęłam winogrono i włożyłam je do ust.

- Kiedy wracasz do domu?  
- Doktor Thorne nie chce tego powiedzieć. Wciąż zasypuje mnie pytaniami i twierdzi, że jest jeszcze jedna uliczka, w którą chciałby się zapuścić.

- A jak się miewa Charlie?
- Chyba w porządku.
- Możesz mi powiedzieć, jak odszukać tego faceta od pokera?

Jak on się nazywa? Vic Norris?

- Jakim cudem od pytania o Charliego przeskoczyłaś do tego tematu?

- Nie odpowiesz?  
- Dlaczego miałabym odpowiadać? Poza tym sama nie wiem, gdzie go szukać.

- A ten drugi, Tony? Zdaje się, że tak ma na imię, prawda?

Czułam się jak strażniczka prywatnego życia Holly, wiedząc o nim więcej szczegółów od niej samej.

- Tony Manning. Czemu pytasz?  
- Gdzie można go znaleźć?  
- Nie wiem. Nie, zaraz. Mówił, że pracuje na budowie bloku mieszkalnego przy Tate Modern. W każdym razie ma coś wspólnego z tą budową. Czemu się nim interesujesz? Nie zdołasz w niczym mi pomóc. A już na pewno nie przekonasz tych ludzi, żeby byli wyrozumiali.

Nie zdążyłam odpowiedzieć. Naomi wetknęła głowę przez szczelinę parawanu i jak zwykle zaszczębiotała radośnie:

- Cześć!

Holly wymamrotała coś pod nosem i zamknęła oczy.

- Jest chyba trochę zmęczona - powiedziałam.
- Chciałam jej tylko to dać. - Naomi postawiła brązową papierową torbę na piersiach Holly. Dokoła rozszedł się smakowity zapach ciasta. - Rogaliki szafranowe - dodała. - Prosto z pieca. Jeszcze ciepłe. Śmiało, spróbujcie.

Holly pokręciła głową.

Nie lubię szafranu, ale Naomi spoglądała na mnie z taką nadzieją w oczach, że nie chcąc zrobić jej przykrości, wyjęłam z torby rogalika i odgryzłam małeńki kawałek.

- Pycha.
- Cieszę się. Doszłam do wniosku, że ma dość kwiatów i owoców.
- Widzę, że bardzo starasz się pomóc Charliemu i Holly - odparłam.
- Głównie Charliemu - bąknęła ledwie słyszalnie Holly.
- Robię to z przyjemnością - powiedziała Naomi. - To moi przyjaciele. A poza tym jestem pielęgniarzką. Dobrze wiem, co Holly musiała przejść. I przez co nadal przechodzi - dodała. - Ludzie myślą, że jej stan się poprawia, ale zdają się zapominać, że to nie żadna infekcja wirusowa, że ona wciąż w tym tkwi po same uszy. Mam rację, Holly?

- Pewnie tak.
- Jeszcze bardzo długo będzie potrzebowała naszych odwiedzin. Zgadza się?

Holly odwróciła się do nas tyłem i wtuliła twarz w poduszkę. Pochyliłam się i cmoknęłam ją w zapadnięty policzek.

- Niczym się nie przejmuj - powiedziałam cicho. - Absolutnie niczym. Zobaczysz, wszystko będzie w porządku.

## 30

Nim znalazłam czas, żeby wytropić Vica Norrisa, odnalazł mnie Rees. Już następnego dnia, kiedy pisałam przeznaczony dla wszystkich maila o konieczności przedstawiania solidnych dowodów

poniesionych wydatków, pojawił się w drzwiach, energicznym krokiem przeszedł przez całą salę do mojego stanowiska i rzucił mi na biurko wypchaną brązową kopertę.

- Pomyślałem, że z chęcią obejrzysz trochę fotek swojej przyjaciółeczki, zanim po raz kolejny odstawisz ją na komendę policji - rzekł.

- Skąd wiesz o jej pobycie na policji?

Uśmiechnął się.

- Obserwowałem was - odparł. - Także później, jak stamtąd wyszłyście. Tyle że nawet nie wezwali mnie na przesłuchanie. To znaczy, że policja nie zainteresowała się tą sprawą, zgadza się? Bo kto by uwierzył choć w jedno jej słowo, gdybyśmy stanęli przed sądem? Nasza Holly ma przecież bujną wyobraźnię. W każdym razie obejrzyj sobie te fotki. Nawiasem mówiąc, to tylko odbitki.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Siedziałam jak wmurowana i wpatrywałam się w jego plecy. Upłynęło kilka sekund, zanim krew przestała mi się burzyć w żyłach z wściekłości.

- To był ten facet, prawda? - zapytała nad moim ramieniem Lola. - Ten świr, który prześladowa Holly?

- Tak. Zostań na posterunku, dobrze? Wrócę za minutę.

Omam nie wybuchnęłam śmiechem na widok jej osłupiałej miny, ust rozdziawionych jak na disnejowskiej kreskówce. Minęłam ją i pobiegłam truchtem do schodów. Właśnie wyszedł z budynku na ulicę, kiedy go dogoniłam i złapałam za rękaw.

- Posłuchaj - syknęłam.

- Czego?

- Dobrze wiem, co zrobiłaś.

- Wiesz tylko tyle, ile powiedziała ci Holly.

- Wiem, co zrobiłaś - powtórzyłam z naciskiem. - I ostrzegam cię. Jeśli jeszcze raz spróbujesz się do niej zbliżyć, nie będziesz miał już okazji na kolejną próbę.

- Niby czemu miałbym się do niej zbliżać? Przecież to... - urwał, jakby szukał w myślach właściwego określenia - zwykła zdzira - rzucił w końcu.

Poczułam od niego piwo.

- W każdym razie trzymaj się od niej z daleka. Nie masz nawet pojęcia, w jakim jest teraz stanie... - Poniewczasie ugryzłam się w język.

- Chyba jednak wiem. Próbowala się przekręcić, prawda? Szkoda.

- Szkoda?

- Że jej się nie udało.

Gdybym trzymała w ręku nóż, bez namysłu wbiłabym go w serce Reesa, choćby tylko po to, żeby zmazać ten zuchwały, obrzydliwy uśmiezek z jego ust.

- I przestań nachodzić jej przyjaciół.

- Ona jest chora, prawda? Ma coś z głową? Biedny Charlie. W każdym razie może ją zachować tylko dla siebie. Nie poszedłbym do łóżka z wariatką.

Wzięłam kilka głębszych oddechów i zacisnęłam pięści, by nie wrzasnąć i nie skoczyć mu do oczu.

- Trzymaj się z daleka - powtórzyłam i zawróciłam pospiesznie, zostawiając go na środku chodnika. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że dla postronnych przechodniów musieliśmy wyglądać jak para skłóconych kochanków. Ta myśl przeszła mnie dreszczem.

Po powrocie do biura delikatnie wsunęłam dwa palce pod niezaklejony brzeg brązowej koperty na biurku i ostrożnie wysunęłam pierwsze zdjęcie. Przedstawiało Holly śpiącą przy stoliku w barze Luigiego. Zostało zrobione z bliska, może przez teleobiektyw. Głowa oparta na zgięciu ręki, oczy zamknięte, na powiekach rozmazany tusz. Szminka na wargach rozmazana, skóra błyszcząca, jakby Holly była woskową kukłą. Można było nawet dostrzec kropelkę śliny ściekającą z kącika rozchylonych ust. Nie mogłam dopuścić, żeby Holly zobaczyła te zdjęcia, żeby się nawet dowiedziała o ich istnieniu. Krzywiąc się z obrzydzenia, wepchnęłam fotografię z powrotem do koperty i schowałam na samym dnie dolnej szuflady biurka.

\*

O wpół do dwunastej zajęłam przed plac budowy na południowym brzegu rzeki. Mimo obaw Holly odnalazłam go bez trudu. Zapytałam przechodzącego robotnika o upstrzonym żyłkami nosie, w pomarańczowym kasku na głowie, czy mógłby mi wskazać Anthony'ego Manninga.

- Tony'ego?
- Tak, Tony'ego - powtórzyłam stanowczo, chcąc dać do zrozumienia, że jestem umówiona.
- Nie ma go. Nigdy się nie pojawia w czwartki. Ten dzień spędza w klubie.
- W jakim klubie?
- Golfowym. Przecież musi się troszczyć o klientów.
- Co to za klub?
- W Kingston.
- Aha. Dzięki.

Przemknęło mi przez myśl, że powinnam zrezygnować i wrócić do biura, tłumacząc sobie, iż zrobiłam wszystko, czego należało się po mnie spodziewać. Lecz nieomal wbrew sobie pojechałam do Kingston, gdzie zapytałam o klub golfowy, a wysiadłszy z samochodu, przybrałam taką minę, jakbym należała do stałych bywalców tego typu przybytków. Przy barze, gdzie mężczyźni raczyli się dziennem z tonikiem, zapytałam o Anthony'ego Manninga, a facet w obrzydliwej brązowej marynarce sztruksowej wskazał mi tylne drzwi i powiedział, że znajdzie go na polu.

Poprosiłam o sok pomidorowy, lecz dowiedziałam się, że tylko członkowie klubu mają prawo cokolwiek zamawiać w barze. Powiedziałam więc, że zaczekam przy stoliku w rogu, na co usłyszałam, że w sali mogą przebywać również tylko członkowie klubu. Wyszłam na korytarz, zaczęłam przeglądać katalog pełen zdjęć kraciastych kapeluszy i butów zdobionych frędzlami. Wreszcie ktoś odezwał się nad moim ramieniem:

- Słucham.

Był wysoki, postawny, budzący zaufanie. Pobrząkiwał drobnymi w kieszeni. Na szczęście nie nosił tych idiotycznych strojów, w jakich paradowała większość członków klubu. Spoglądał na mnie bez

cienia uśmiechu, ale w jego oczach nie było też zainteresowania.

- Anthony Manning?
- Tak - odparł z lekką nutą zniecierpliwienia.
- Nazywam się Meg Summers i jestem przyjaciółką Holly, Holly Krauss. - Nie odpowiedział, wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. Wzięłam więc głębszy oddech i dodałam: - Ona jest w szpitalu, nie czuje się dobrze, dlatego chciałabym w jej imieniu odnaleźć pewnego człowieka. Chodzi o dług.

Dopiero teraz uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

- Teraz?
- Tak.
- No więc?
- Gdzie mogłabym go znaleźć?
- Musi pani pojechać do siedziby jego firmy.
- Doskonale.
- To sklep w Kennington. - Zapisał adres na kartce, wyrwał ją z notesu i podał mi.
- Co to za sklep?
- Z tym i owym - mruknął i odszedł. Po kilku krokach odwrócił się i dodał: - Tylko niech pani nie próbuje go wykiwać. On zawsze negocjuje z pozycji siły.

Pomyślałam, że warto by mieć kogoś dla towarzystwa, zabrałam więc Lolę. To chyba ostatnia osoba, na którą można liczyć w kryzysowej sytuacji. Jest drobna, łatwowierna i prostoduszna, łatwo wpada w popłoch. Ale uwielbia Holly, jest jej oddana niczym wierne psisko. A mnie zależało tylko na tym, żeby była obok, posiedziała w samochodzie i zaczekała, aż skończę rozmowę. Nawet nie umiem powiedzieć dlaczego.

Cowden Brothers okazało się nazwą lombardu wciśniętego między zabita deskami agencję turystyczną i zakład fryzjerski. W witrynie stał cyrkowy monocykl, saksofon, gitara elektryczna, szafkowy zegar z wahadłem i mnóstwo tacek z biżuterią. Niewielka tabliczka zachęcała: POŻYCZKI NA DOGODNYCH WARUNKACH,



POUFNOŚĆ ZAPEWNIONA. Pchnęłam drzwi, głośno zadzwieczał umieszczony nad nimi dzwoneczek.

Za kontuarem siedział otyły mężczyzna o drobnej, niepasującej do reszty ciała twarzy. Czytał gazetę i palił papierosa. Za jego plecami inny, znacznie starszy, oglądał w telewizji transmisję z wyścigów konnych.

- Szukam Vica Norrisa - zagadnęłam.
  - A kim pani jest?
  - Meg Summers. Przyjaciółka Holly Krauss.
  - Nie znam pani i nic nie wiem o żadnej Holly Krauss.
  - Podejrzewam, że Vic Norris będzie wiedział, kim jest Holly.
- Zgniół niedopałka w przepelnionej popielniczce.
- On tu nie pracuje - mruknął.
  - Skierowano mnie pod ten adres.

Powoli wyciągnął z paczki następnego papierosa i przypalił go.

- W jakiej sprawie chce się pani z nim widzieć? - zapytał.
- Jeśli się nie mylę, moja przyjaciółka jest winna Vicowi Norrisowi jakieś pieniądze.

- O rety. A co pani ma z tym wspólnego?
- Ona jest chora.

Mężczyzna zaciągnął się głęboko dymem i zakasłał chrapliwie.

- Jak się nazywa?
- Holly Krauss.
- Chwileczkę. - Zniknął za drzwiami prowadzącymi na zaplecze.

Staruch obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, po czym skierował z powrotem całą uwagę na ekran telewizora.

Kiedy grubas wrócił, był zdecydowanie bardziej przyjaźnie nastawiony.

- Zgadza się. Pani młoda dama jest winna szesnaście tysięcy funtów.

- Szesnaście? Słyszałam, że chodzi o jedenaście tysięcy. Zachichotał.

- Odsetki rosną, skarbie rzekł. - Pani przyjaciółka zanadto ociąża się ze spłatą.

- To jest nie w porządku - wycedziłam. - Przecież nie zrobiła tego długu świadomie. A poza tym jest chora.

Ale on jakby mnie nie słyszał. Odwrócił się do swego kompana i zapytał:

- Który wygrał?

- Dziewiętnastka, i to o całą długość - odparł staruch.

- Kurwa mać - warknął sprzedawca.

- Mówiłam, że to nie w porządku.

- Pani przyjaciółka powinna bardziej uważać, od kogo pożycza pieniądze.

- Niczego nie pożyczała. Mimo woli została wciągnięta w partię pokera.

Wzruszył ramionami.

- W przyszłym tygodniu będzie siedemnaście, w następnym osiemnaście. Ale... - Po raz drugi wzruszył ramionami i zapatrzył się w gazetę.

- A jeśli ona nie ma żadnej możliwości spłaty? - zapytałam. - Co robicie, gdy klienci nie są w stanie zapłacić?

Grubas uśmiechnął się szeroko, ukazując braki uzębienia w górnej szczęce.

- Zawsze płacą - powiedział.

Spojrzałam mu w oczy i przeniosłam wzrok na siedzącego z tyłu starucha. Następnie popatrzyłam na wystawione towary, przestażale wieże stereo, zestaw perkusyjny, buty, serwis do herbaty, rower treningowy, kilkanaście zegarków, zegar kominkowy w kształcie karety, wielką i nieporęczną czarną kamerę.

- Dzisiaj jest czwartek - powiedziałam. - Przyjdę z pieniędzmi we wtorek, we wtorek przed szóstą wieczorem.

- We wtorek będzie już siedemnaście tysięcy.

- W takim razie przyjdę w poniedziałek, jeśli mogę zapłacić czekiem.

- Czeki są obciążone dodatkową opłatą.

- Jaką?

- Trzydzieści procent.

- Zapłacę gotówką.

Dzwonek zadźwięczał donośnie, kiedy wychodziłam.

## 31

Miałam w banku prawie jedenaście tysięcy funtów ulokowanych na specjalnym koncie oszczędnościowym. Sześć lat zajęło mi zgromadzenie takiej sumy. Odkładałam pieniądze na zakup domu. Miałam perspektywy najwyżej na chylącą się ku ruinie chatkę gdzieś na przedmieściach, ale na początek i to byłoby niezłe. W każdym razie marzyłam, że któregoś dnia zamieszkać we własnym domku z małym ogródkiem z rabatami wonnych ziół i kwiatów oraz artystycznie poskręcanym drzewkiem owocowym, może jeszcze z kotem. Holly stać było na kupno domu, bo wspólnie z Charliem wyłożyli na niego pieniądze, a poza tym jej matka pożyczyła im połowę sumy. Jak tylko utworzyłyśmy własną firmę, liczyłam na to, że moje oszczędności zaczną przyrastać szybciej, ale były to płonne nadzieje.

Teraz musiałam się pożegnać z marzeniami o wyśnionym domu z ogródkiem i samodzielnym życiu. Ponadto musiałam jeszcze do tych jedenastu tysięcy dołożyć następne pięć, a nie miałam pojęcia, skąd wziąć pieniądze, tym bardziej do poniedziałku. Na koncie bankowym mogłam zrobić debet do wysokości pięciuset funtów, więc tyle byłam w stanie wyciągnąć. A co z resztą?

Po południu siedziałam przy biurku i rozmyślałam o tym. Firma „KS i spółka” dysponowała otwartą linią kredytową o wysokości trzydziestu tysięcy, a obecnie byłyśmy zadłużone na dziewiętnaście tysięcy czterysta funtów. Oznaczało to, że mogę wypisać czek i choćby jutro zdobyć brakującą gotówkę, nie budząc niczyich zastrzeżeń. Wyjęłam nawet z szuflady firmową książeczkę czekową i schowałam ją do torebki. Ale gdy się rozejrzałam po sali, popatrzyłam na Lolę, Trish i pozostałe dziewczyny, które ufały mi bezgranicznie, uważały wręcz za skarbnika, szybko odłożyłam książeczkę

na miejsce. Wiedziałam, że jednym podpisem zrujnowałabym wszystko, na co wspólnie tak ciężko pracowałyśmy.

- Pojedziesz ze mną na Boże Narodzenie do moich rodziców, dobrze?

Nawet nie zabrzmiało to jak pytanie, bardziej jak stwierdzenie rzucone od niechcienia, kiedy podnosiłam do ust widelec wyładowany ryżem. Zalała mnie wszechogarniająca ciepła fala szczęścia, zwyczajnej radości z powodu kierunku, w jakim rozwijał się nasz związek. Odłożyłam widelec.

- Byłoby mi bardzo miło - odparłam, starając się opanować drżenie głosu. - Jeśli ty będziesz tego chciał.

- Będę chciał - rzekł. - Poza tym moi rodzice chcieliby cię poznać.

- Naprawdę? - Uśmiechnęłam się szeroko. - Ja również chętnie ich poznam.

Jeszcze przez chwilę uśmiechaliśmy się do siebie i wróciliśmy do przerwanego posiłku. Od wieków nie wyczekiwałam świąt z utęsknieniem. Najczęściej spędzałam je wraz z rodzicami u mojej siostry w Devonie. Siostra była mężatką, miała dwójkę małych dzieci i kota. Mieszkali w niewielkim domku na odludziu, z olbrzymią kałużą błocka przed progiem i widokiem na morze. Zawsze czułam się tam jak zbędna część zapasowa, ktoś, kto nie tylko przyjeżdża spóźniony, ale w dodatku sam, toteż najwyżej przez dwa dni grałam rolę dobrej córki i wyrozumiałej ciotki, po czym uciekałam z powrotem do Londynu. Ostatnie święta spędzałam z Holly i Charliem, przesiedziałam u nich aż do piątej rano, bo wstawiona gospodyni uparła się, żebyśmy grali w zgadywanki. Zapamiętałam, jak chwiejnie stała w wysokich szpilkach na stole, z papierową czapczką na głowie, i chichotała jak najęta. Za to w tym roku miało być zupełnie inaczej. Snuliśmy z Toddem wspólne plany. Chcieliśmy razem kupić choinkę, razem wyjechać gdzieś na sylwestra, może nawet razem podjąć jakąś decyzję co do naszej przyszłości. A nadchodzący rok rysował mi się w różowych barwach.

Dopiero potem dopuściłam, żeby z zakamarków świadomości znów wypłynęła sprawa Holly. Jej Gwiazdka zapowiadała się co najmniej dziwnie. Rozmawiałam z Charliem na ten temat i powiedział, że jej matka zgodziła się zostać, aż Holly wyjdzie ze szpitala. A potem na kilka dni miała przyjechać jego matka. Do tego Naomi podjęła się gotować im obiady. Biedna Holly, myślałam, leży w szpitalnym łóżku, otepiała, blada i wychudzona, a tymczasem mnóstwo ludzi dyskutuje o niej i układa za nią ważne plany życiowe.

Zawsze uważałam Holly za śmiałą, była dla mnie najśmielszą osobą, jaką znam, ale teraz rządził nią strach. Ciekawiło mnie, czy przyczyny jej lęku tkwiły w niej samej - i były to owe dziwaczne, dręczące ją demony, które uważała za nieodłącznie związane ze swoim charakterem, a które teraz przystąpiły do odrażającej inwazji - czy też pochodziły z realnego świata zewnętrznego, do którego miała już niedługo wrócić. Prawdopodobnie bała się jednego i drugiego, bo przed żadnym źródłem lęku nie mogła uciec, nie miała się gdzie skryć. Sama powiedziała, że nawet we śnie nawiedzają ją okropne koszmary. Jeszcze nigdy nikogo nie było mi tak żal, jak teraz jej, i za nikogo nie czułam się aż tak odpowiedzialna. Wydawało mi się, że wkroczyliśmy w całkiem nowy etap przyjaźni, w którym zaczynałam ją traktować jak własną córkę, siostrę i matkę w jednej osobie. Jak nieznośny ciężar na sercu, tak dokuczliwy, że nawet gdy byłam z Toddem, jakaś część mej świadomości i tak myślała o niej i martwiła się nią. A co do planów, w rodzaju tego, który zrealizowałam dzisiaj, wołałam o nich nawet nie wspominać Toddowi, gdyż dobrze wiedziałam, że uzna to za głupotę z mojej strony.

- Co się stało? - zapytał nagle. - Zachmurzyłaś się i zmarkotniałaś.

- Naprawdę? Przecież nie ma żadnego powodu...

- O czym myślałaś?

- O niczym szczególnym.

- Meg, nie jestem ślepy. Powiedz, o co chodzi.

- Prawdę mówiąc, wołałabym nie omawiać nieswoich spraw.

Oczywiście mam na myśli Holly.

- Ach, Holly. Powinienem był się domyślić.

Na resztę wieczoru zapanował między nami lekki chłód, toteż w końcu, gdy położyliśmy się już do łóżka, opowiedziałam mu o długu pokerowym Holly, mojej wizycie w klubie golfowym i w lombardzie Cowden Brothers.

- Wiesz, co o tym wszystkim sądzę?

- Pewnie uważasz, że postąpiłam jak skończona idiotka.

- Uważam, że jesteś dla niej najmilszą, najbardziej wyrozumiałą i hojną przyjaciółką, jaką można sobie wyobrazić.

- Aha. - Poczulałam, że się rumienię ze wstydu. - Chyba przesadzasz.

- Czy na pewno dobrze to przemyślałaś?

- Wydaje mi się, że tak.

- I masz nadzieję, że Holly to doceni?

- O niczym jej nie powiedziałam. Zależy mi tylko na tym, żeby czuła się bezpieczna, gdy już wyjdzie ze szpitala.

- A więc robisz to wszystko, nawet nie myśląc o jej wdzięczności. To dość niezwykle podejście.

- Nie zależy mi na niczyjej wdzięczności - wypaliłam machinalnie, uświadamiając sobie dopiero po paru sekundach, że to prawda. - Traktuję to bardziej w kategoriach życia i śmierci, szaleństwa i zdrowia psychicznego. Coś mi mówi, że po prostu nie mam innego wyjścia.

Na jakiś czas zapadła cisza. W zamyśleniu przebiegał palcami moje włosy.

- Nad czyni się tak zastanawiasz?

- Myślę, że powinnaś była od początku mi powiedzieć, co zamierzasz.

- Chciałam, ale to przecież tajemnica Holly, nie moja.

- A przede wszystkim nie powinnaś sama rozmawiać z tymi ludźmi.

- Nie byłam sama, zabrałam ze sobą Lolę.

- Bomba. - Zdążył już poznać Lolę.

- Przecież nic się nie stało.

- I naprawdę zamierzasz to zrobić?

- Tak.

- Cóż, w takim razie sądzę, że mógłbym ci dać cztery tysiące. To wszystko, co mam. Można nawet powiedzieć, że trochę więcej niż wszystko.

- Wykluczone - odparłam. - To nie wchodzi w rachubę. Nie wezmę od ciebie pieniędzy. Przecież nawet nie znasz Holly. Spotkałeś ją tylko raz i była wtedy nieprzyjemna i opryskliwa wobec ciebie. O niczym bym ci nie powiedziała, gdybym miała podejrzenia, że zaoferujesz swoje oszczędności. Czuję się teraz okropnie.

- Ale ja chcę ci pomóc.

- Wykluczone.

- Naprawdę tego chcę, Meg. Już podjąłem decyzję.

- Ale to nie w porządku. Naprawdę nie mogę wziąć od ciebie tych pieniędzy.

- Dlaczego?

- Nie mogę i już.

- Więc potraktuj to jak pożyczkę.

- Ale...

- Tyle że nieoprocentowaną.

- Todd.

- Słucham?

- Nie wiem, co powiedzieć.

- A jesteś pewna, że musisz cokolwiek mówić?

Brakujący tysiąc funtów pożyczyłam od Trish i dawnej szkolnej przyjaciółki, która teraz pracowała gdzieś w City, mieszkała w dużym domu w Camden i przeznaczała pięćset funtów na nowe buty. Obiecałam im oddać pieniądze zaraz po świętach, na sto procent, jak tylko wyjdę z drobnych kłopotów finansowych. Obie przyjęły to z lekkim zdumieniem.

W poniedziałek rano niemal odchodziłam od zmysłów ze zdenerwowania. Próbowałam się zmusić do wykonywania zwykłych obowiązków w biurze, ale na niczym nie mogłam się skupić. Godzinę zajęło mi wypisanie rutynowych odpowiedzi na kilka maili, potem zaczęłam z namaszczeniem otwierać pocztę, żeby robić wrażenie zajętej pracą. W czasie przerwy na lunch poszłam do banku i

wycofałam wszystkie swoje oszczędności, jedenaście tysięcy pięćset funtów. Sprawdziłam też, że na rachunku bieżącym mam debet w wysokości czterystu sześciu funtów, a na koncie oszczędnościowym pozostał jeden funt i pięćdziesiąt sześć pensów. Niemal zakręciło mi się w głowie, gdy układałam gruby plik banknotów w plastikowej torbie, którą upchnęłam w torebce. Targały mną sprzeczne uczucia, mieszanina heroicznego samopoświęcenia, bezgranicznego smutku i żalu, dziwnej euforycznej radości. Nie przywykłam do takich szaleńczych dramatycznych wyczynów, toteż czułam się trochę tak, jakbym wdepnęła w życie kogoś zupełnie innego.

Spotkałam się z Toddem przed budynkiem, w którym pracował. Wyszedł na ulicę z miną wytrawnego włamywacza i szybko rozejrzał się na boki, przyciskając do piersi wytartą skórzaną teczkę, którą widziałam po raz pierwszy. Mimo woli zachichotałam bezgłośnie. Uściskałam go mocno i ucałowałam w zimny policzek.

- Cześć - wyszeptał, po czym sam wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Nie jesteś głodny? Nie chciałbyś najpierw czegoś przekąsić?

- Słucham? Mając przy sobie taką gotówkę? Na Boga, Meg, lepiej zawieźmy ją komu trzeba, dopóki nie zostaliśmy jeszcze obrabowani.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Czuję się niesamowicie. Jak przestępca. Jakbyśmy zamierzali obrabować bank czy coś w tym rodzaju.

- Nie pomyliłeś się? Przecież to my jesteśmy teraz łakomym kąskiem dla rabusiów.

- Gdzie masz samochód?

- Stoi w zatoczce za rogiem.

- Chodźmy.

- Todd.

- Słucham.

- Dzięki.

- Podziękujesz mi później. Chodź wreszcie.

\*



Tym razem w sklepie był jedynie grubas, chociaż z zaplecza do-  
latywały hałasy świadczące, że ktoś tam jeszcze jest. Gdy tylko we-  
szliśmy, zamknął drzwi na klucz i powiesił w nich tabliczkę z napi-  
sem ZAMKNIĘTE, po czym wrócił za kontuar, na którym położy-  
łam wypchaną foliówkę, a Todd dołożył dwie szare koperty. Polizał  
palce i zaczął z wprawą przeliczać banknoty. Oboje gapiliśmy się na  
niego. Wręcz nie mogłam oderwać wzroku od jego drobnych dłoni o  
krótkich palcach i wilgotnych warg w kolorze pączka róży, które co  
chwila oblizywał.

- W porządku - odezwał się w końcu.
- Możemy dostać pokwitowanie?

Wyrwał kartkę z notatnika i nagryzmolił na niej otrzymaną kwo-  
tę.

- Nie wygląda to na fakturę VAT.
- I co z tego?
- Jak mam panu zaufać? A jeśli pan zaprzeczy, że odebrał pie-  
niądze, i ktoś dalej będzie nachodził Holly?

Zrobił kwaśną minę.

- Prowadzę uczciwy interes - rzekł. - Jak by to wpłynęło na  
moją reputację? Nasza sprawa została załatwiona, więc proszę stąd  
wyjść.

## 32

Może nie powinnam tego mówić, ale byłam z siebie dumna. Hol-  
ly zostawiła sprawy w niezłym bałaganie, a mnie się udało je upo-  
rządkować. Nie potrafiłam ocenić, czy ucięłam smokowi łeb, czy  
tylko zebrałam pierwszą warstwę kurzu podczas wiosennych po-  
rządków, nie wątpiłam jednak, że dzięki mnie jej świat stał się bar-  
dziej przyjazny. Nie mogłam się doczekać, żeby powiedzieć o tym  
Holly i zobaczyć uśmiech na jej wargach, bo przecież teraz już  
wszystko mogło się tylko polepszać. Okazało się jednak, że byłam w  
błędzie. Kiedy weszłam do sali, leżała odwrócona tyłem do drzwi.

Już ta pozycja wydała mi się znamienna i złowróźbna. Obeszłam łóżko, żeby zajrzeć jej w twarz. Była bardzo blada, a do tego spocona. W pierwszej chwili pomyślałam, że śpi, ale zaraz otworzyła oczy. Tyle że były całkiem pozbawione wyrazu, jak u śniętej ryby.

- Holly? - zagadnęłam. - Jak się czujesz?

Wymamrotała coś niezrozumiałego. Kiedy pochyliłam się nad nią, powtórzyła, ale to był bełkot, zlepek przypadkowych głosek.

- O co chodzi? - spytałam. - Co się stało?

Coraz bardziej zaniepokojona, pobiegłam do dyżurki i niemal siłą przywlokłam pielęgniarkę do łóżka Holly.

- Dzieje się z nią coś strasznego! - zawołałam. - Proszę wezwać lekarza!

Pielęgniarka zmarszczyła brwi i pochyliła się nad Holly. Po chwili wyprostowała się, przeczytała coś z karty chorobowej i oznajmiła:

- Pani Krauss tylko odpoczywa. Niedawno wróciła z pierwszego zabiegu.

- Jakiego zabiegu?

- Terapii elektrowstrząsowej.

Omam nie przewróciłam sekretarki, zanim szturmem wdarłam się do gabinetu doktora Thorne'a. Rozmawiał przez telefon, popatrzył na mnie w osłupieniu. Stałam nad nim i czekałam, aż odłoży słuchawkę.

- Jestem przyjaciółką Holly Krauss - wycodziłam. - Rozmawiał pan ze mną przedwczoraj.

- Zgadza się, Meg. Pamiętam.

- Co się dzieje, do jasnej cholery?! Właśnie przyszedłam do niej w odwiedziny, a ona jest całkiem niekomunikatywna. I oto się dowiaduję, że poddał ją pan terapii elektrowstrząsowej. - Urwałam, lecz nie odpowiadał. - No więc?

- Rzeczywiście, skierowałam ją na tę terapię - przyznał - ale za wiedzą i zgodą samej pani Krauss oraz jej męża.

- Po co, do pioruna?! - syknęłam.

- Przykro mi, ale naprawdę nie mogę z panią omawiać szczegółów leczenia jej przypadku.

- To skandal! - huknęłam. - Zamierzam złożyć na pana skargę! Poderwał się z krzesła.
- Chwileczkę - mruknął. - Proszę zrozumieć, że naprawdę nie wolno mi omawiać z panią przypadku pani Krauss, ale może pani sama z nią porozmawiać.
- Jak? Przecież ona nie jest w stanie powiedzieć ani słowa.
- To musi być efekt działania środków znieczulających albo rozluźniających, na pewno nie ma nic wspólnego z terapią elektrowstrząsową.
- Nie mogę uwierzyć, że zdecydował się pan na tak drastyczne metody. Nie żyjemy w średniowieczu.
- Ależ to wcale nie jest drastyczna metoda - zaoponował. - Pewnie wie pani o niej tylko tyle, ile pokazują w starych filmach. Zapewniam panią, że rzeczywistość jest zupełnie inna. To całkowicie bezpieczna technika. Stosujemy ją nawet u kobiet ciężarnych, którym nie można podawać leków, a u pacjentów geriatrycznych to wręcz standardowa metoda leczenia.
- Tylko po co podłącza pan do prądu jej mózg?
- Przyjął to ze skąpym uśmiechem.
- Ścisłe rzecz biorąc, podłączenie prądu do mózgu oznaczałoby śmierć, jak na krześle elektrycznym.
- Niech mnie pan nie łapie za słówka. Jak podziałają elektrowstrząsy na jej umysł?
- Niewielki odsetek pacjentów informuje o drobnych krótkotrwałych zanikach pamięci, które się szybko cofają. Najważniejsze, że to terapia skuteczna, a u niektórych pacjentów po prostu nieodzowna.
- Ale ma pan na myśli ludzi poważnie chorych?
- Spojrzał na mnie z zakłopotaniem.
- Na przykład jest wprost nieoceniona w przypadkach, gdzie wszystko wskazuje na rychłe zagrożenie pacjenta.
- Chce pan powiedzieć, że Holly znów była w samobójczym nastroju?
- Rozłożył ręce w geście bezradności.

- Przykro mi - rzekł. - O tym nie mogę mówić. Zwrócę tylko uwagę, że jest pani jej przyjaciółką i dobrze ją pani zna. Wie pani, przez co ostatnio przeszła.

- To szaleństwo - syknęłam. - Czysty obłęd. Przecież ona nie jest poważnie chora. I szybko dochodziła do siebie. W głowie mi się nie mieści, że mogło dojść do czegoś takiego. Sama mi mówiła, że odzyskała chęć do życia, że nigdy nie podejmie drugiej próby. I mówiła to szczerze...

Ale doktor Thorne utracił chęć do dalszej rozmowy. Usiadł z powrotem za biurkiem, dając mi do zrozumienia, że moja wizyta dobiegła końca.

Kiedy wróciłam na salę, przy łóżku siedział Charlie, a Holly była całkiem przytomna. Uśmiechnęła się blado na mój widok.

- Jak się czujesz?

- Trochę mi się kręci w głowie - odparła. - Trochę smęci, trochę święci... Nie wiem czemu same „ęci” przychodzą mi na... no, wiesz...

Uznałam za swój obowiązek, żeby stale tryskać optymizmem, zwłaszcza wobec niej.

- Rozmawiałam z doktorem Thorne'em. Jest bardzo dobrej myśli co do twojej kuracji.

- Czulałam się trochę jak... no, wiesz... jak w *Locie nad kukułczym gniazdem*. Myślałam, że jak przyjdiesz któregoś dnia, to zobaczysz mnie z ogoloną głową i zaszytym cięciem po operacji. Dlatego wsadziłam głowę pod poduszkę.

Nawet to przyjąłam ze śmiechem. Przytknęłam dłoń do jej policzka.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała.

Rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas, choć rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Charlie trzymał się z boku, jakby w ogóle nie zamierzał się do niej włączać. Przyniósł nam kawy, poprawił pościel, poukładał w szafce rzeczy żony. Było mi go strasznie żal. Prawie cały miniony rok spędził jako widz „Wielkiego Przedstawienia” Holly, a teraz w dodatku musiał wziąć na siebie obowiązki pielęgniarki.

Ciekawiło mnie, czy przeszkadza mi moja obecność, czy może przyjmuje ją z ulgą. W końcu spojrzałam na zegarek, przypominawszy sobie, że mam własne życie, którym powinnam się zająć. Najpierw jednak chciałam porozmawiać z Charliem. Dałam mu znać ruchem głowy, żeby wyszedł z sali. Zaczekałam na niego w korytarzu przed drzwiami, po którym kręcili się chorzy na wózkach inwalidzkich, pielęgniarki i całe zastępy gorliwych studentów medycyny w śnieżnobiałych fartuchach. Powiedziałam mu, z jakim zaskoczeniem odebrałam zmianę w terapii.

- Tak, wiem - odparł. - To była trudna decyzja. Ale doktor Thorne powtarzał, że to jej pomoże.

- Nie o to mi chodziło. W rozmowie ze mną był irytująco tajemniczy. Mogłam się tylko domyślać z kontekstu jego słów, że Holly znów popadła w samobójczy nastrój.

Nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

- I co? - zapytał w końcu.

- Przecież to nieprawda.

- O co ci chodzi, Meg? Ślepa jesteś, czy co? Jak myślisz, dlaczego ona się tu znalazła? Omal nie umarła w karetce. Tylko cudem zdołali ją odratować.

- Tak, wiem o tym. Ale od tamtej pory wiele się zmieniło. Sama mi mówiła, że odkryła w sobie nową chęć do życia.

Pokręcił głową.

- Chciałbym, żeby tak było. Może przy tobie udawała jeszcze tę samą słodką idiotkę. Przy mnie zachowywała się zupełnie inaczej. Ciągle mówiła o samobójstwie, rozwodziła się na ten temat. Dlatego doktor Thorne uznał, że nadal istnieje poważne ryzyko.

- Z nim też rozmawiała o samobójstwie?

- Tego nie wiem - przyznał. - Ale ze mną, owszem, a ja rozmawiałem z doktorem. Jakie to ma znaczenie?

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że przy mnie zachowywała się zupełnie inaczej.

Obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem spod półprzymkniętych powiek, aż przyszło mi do głowy, że go obraziłam.

- Przecież znasz Holly i wiesz, jaka świetna z niej aktorka. Ale nawet przy tobie powiedziała szczerze, że wsadziła głowę pod poduszkę.
- Tylko tak się wyraziła.
- Za kogo się uważasz, do cholery, żeby rozsądzać, czy tylko się tak wyraziła, czy też kryło się za tym coś więcej?! - syknął.
- Przepraszam - mruknęłam, zaskoczona jego nagłym wybuchem. - Nie kłóćmy się. W końcu obojgu nam zależy na tym samym.
- No właśnie. Coraz bardziej czuję się przytłoczony tym wszystkim. Jestem już na skraju wytrzymałości.
- Świetnie to rozumiem.
- Wiesz co, Meg? Do tej pory martwiłem się, co inni ludzie mogą zrobić Holly. Ale teraz bardziej zajmuje mnie to, co ona sama może sobie zrobić. Czasami myślę, że już ją straciłem. Wydaje mi się, że zależy jej tylko na tym, by umrzeć. A jeśli tak jest naprawdę, to po prostu nie wyobrażam sobie, że któraś z nas zdoła ją powstrzymać przed ostatecznością.

### 33

Na dzień przed wyjściem Holly ze szpitala przywiozłam jej do domu duży bukiet kwiatów, ale tam już stało kilka stylizowanych wazonów z liliami i zimowymi różami, przy których moje zawilce sprawiały wrażenie chwastów. Po domu kręciło się też mnóstwo ludzi. Matka Charliego, która przyjechała tuż przede mną, obfitych kształtów, swobodna w obejściu, siedziała na sofie i paliła mentolowego papierosa, podczas gdy matka Holly pobrzękiwała garnkami w kuchni. Charlie rozwieszał bombki na niesymetrycznej i łysawej choince, a Naomi kończyła właśnie malować ich sypialnię na jasnozielono.

- Doszliśmy do wniosku, że zrobimy jej niespodziankę - powiedziała, spoglądając na mnie z szerokim uśmiechem ze szczytu

drabiny. Na policzku miała szeroką rozmazaną smugę farby.

Poczułam ukłucie dziecięcej zazdrości.

- Trzeba było mi powiedzieć. Pomogłabym.
- Wiem, że jesteś teraz bardzo zajęta. Poza tym lubię malować - wyjaśniła, ostrożnie układając pędzel na krawędzi pojemnika z farbą.
- Napijesz się herbaty? Zostało jeszcze trochę moich ciasteczek imbirowych.

- Nie, dzięki - odparłam. - Nie mam czasu.

Nie wpadłam nazajutrz, uznawszy, że Holly musi się najpierw oswoić z nowymi warunkami. Ale wieczorem, kiedy wracałam do domu, zadzwonił mój telefon komórkowy. To była ona. Powiedziała, że wszyscy bardzo się o nią troszczą, przy czym głośno pociągnęła nosem, aż serce podeszło mi do gardła.

- To prawdziwy koszmar - dodała. - Nasze matki się do siebie nie odzywają, więc Charlie krąży między nimi jak wierny pies oddany dwójce skłóconych właścicieli. Nie chciałabyś tu przyjechać? Bardzo proszę.

- Mówisz poważnie?

- Nie, o tej porze już cię nie wpuszczą. Są zgodni, że powinnam iść spać. Co do mnie są tak zgodni, że dostałabym szału, gdybym nie była już szalona. Wpadnij jutro, dobrze?

- Nie wiem, czy...
- Proszę.
- W porządku. O której mam przyjechać?
- Wpadnij na lunch.
- Przywiozę coś...
- Ani mi się waż. W kuchni jest żarcia dla pułku wojska, każdy musi ugotować swoją pieprzoną zupę. Już wiem, lepiej przywieź tego swojego Todda. W końcu to sobota, prawda?
- Na pewno tego chcesz?
- Nie traktuj mnie jak inwalidki, dobrze? Naprawdę chcę go poznać i przekonać się, czy jest wystarczająco dobry dla ciebie.
- Lepiej...

- Co lepiej? Myślisz, że znów będę dla niego szorstka? Teraz? Spokojna głowa. Pigułki załatwią sprawę.

Wcale nie o to mi chodziło. Miałam obawy, że i jego mi wykradnie.

Przyjechaliśmy w samo południe. Charlie otworzył drzwi, uściaskał mnie serdecznie, a potem równie serdecznie uściśniął dłoń Todda. Miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami i kuchenny fartuch. W salonie było jeszcze więcej kwiatów, przy wazonach stały kartki z życzeniami, paliły się lampki na choince. Ale w powietrzu dominował zapach świeżej farby.

Spodziewałam się, że zastanę Holly w łóżku, lecz siedziała na kanapie, ubrana w stare dżinsy i poplamiony elastyczny golf ze zbyt długimi rękawami. Włosy miała zaplecione w warkoczyki, na twarzy ani śladu makijażu. Wyglądała na dwunastolatkę, bardzo bladą, nieśmiałą i uroczą. W porównaniu z nią poczułam się wielka i spasiona, toteż pochyliłam się szybko i cmoknęłam ją w policzek. Błyskawicznie zarzuciła mi ręce na szyję i uściaskała mocno.

- Na pewno już się nie załamie - powiedziała. - Jestem jak stare doświadczone ptaszysko.

Wstała i wyciągnęła rękę do Todda.

- Zdaje się, że nie byłam wobec ciebie miła, kiedy się ostatnio widzieliśmy - wyjaśniła - ale dowiedziałam się ostatnio, że to wskutek pierwszych objawów choroby psychicznej. Czy możemy teraz zapomnieć o tamtym spotkaniu?

- Z przyjemnością - odparł Todd, z wyraźną rezerwą ściskając jej dłoń. - Cieszę się, że czujesz się lepiej.

- Teraz to już dla mnie jak zły sen. Zwłaszcza że nikt w tym domu nie ma odwagi wspomnieć o tym choćby jednym słowem - dodała melodramatycznym szeptem. - Mówię o śmierci, a raczej o próbie wyjścia jej naprzeciw. Czy też o mojej manii prześladowczej, jeśli mam być szczerą. Wszyscy mówią o chorobie albo „o tym, co ci się przydarzyło”, czy coś w tym rodzaju. Właśnie dlatego tak bardzo chciałam się dzisiaj zobaczyć z Meg. Pewnie już wiesz, jaka ona potrafi być, taka... - urwała, najwyraźniej szukając odpowiedniego



określenia. Siedziałam zaszępiiona na krześle naprzeciwko niej i spoglądałam na nią, oczekując czegoś w rodzaju „niewzruszona”, „ostrożna” albo „pogodna”, lecz Holly wypaliła: - ...prawdziwa. Mamy mniej więcej dwadzieścia bezcennych minut, zanim matka Charliego wróci z supermarketu, a moja zdoła się wypłatać z kolejnej intrygi, w którą sama się wpakowała. Boże, jak bym chciała, żeby już było po świętach. Najchętniej zostałabym w szpitalu aż do Nowego Roku. Meg, czemu mi się tak dziwnie przyglądasz?

- Próbuję znaleźć nowy sposób na to, żeby zapytać, jak się czujesz - odparłam.

- Nie przejmuj się mną. Na pewno nie będę już próbowała się zabić. W każdym razie nie chcę rozmawiać na mój temat. Mam go powyżej uszu. Lepiej powiedz, co słyhać w biurze, przekaż najświeższe plotki, coś w tym guście...

Chciałam jej opowiedzieć o wizycie Reesa i końcu kłopotów z długim karcianym, ale nie była to najlepsza pora, zwłaszcza że Charlie krztał się w kuchni, Todd zerkał na mnie z miną skrzywdzonego dziecka, a Holly szczebiotała jak zdenerwowana nastolatka. Poczułam się nagle zmęczona tym wszystkim.

Zaczęliśmy więc rozmawiać o duperelach, rzeczach mało ważnych. W końcu Holly poprosiła, bym pomogła jej wybrać prezent dla Charliego.

- Nie mam zielonego pojęcia, co mu kupić - przyznała. - Należy do tych mężczyzn, których nie można zbyć byle czym. - Posmutniała nagle i odwróciła się do Todda. - A co ty byś mu dał?

- No cóż... nie wiem. Może coś związanego z pracą?

- Coś mi się zdaje, że ostatnio całkiem zarzucił pracę. Nie pracuje chyba od chwili, kiedy wylądowałam w szpitalu psychiatrycznym. Zresztą wcześniej też niewiele robił. Ciągle mi powtarza, że w tej sytuacji to bez znaczenia, bo są o wiele ważniejsze rzeczy, z którymi powinniśmy się najpierw uporać.

- I ma rację - wtrąciłam.

- Lecz ja wcale nie chcę, żeby on się borykał z moimi problemami. Sama sobie z nimi poradzę. Chcę, żeby wrócił do pracy. Jest

naprawdę dobry w tym, co robi. Pewnie widzieliście jego rysunki. Jak tylko się poznaliśmy, byłam przeświadczona, że czeka go wielka sława. A jednocześnie wbiłam sobie do głowy, że sama też jestem wspaniała. Ale przecież nie możemy siedzieć bezczynnie w domu, nie pracować, żywić się tymi cholernymi zupkami oraz imbirowymi ciasteczkami Naomi, zapominając o całym Bożym świecie, prawda?

- Pewnie masz rację - zgodziłam się, dochodząc do wniosku, że to chyba odpowiednia pora, by powiedzieć jej o długu.

- A co powiesz na szlafrok kąpielowy? - odezwał się Todd.

Holly się rozpromieniła.

- To świetny pomysł. Kupię mu szlafrok. Jesteś genialny, Todd.

- Jest naprawdę uroczy - szepnęła do mnie, gdy wyszedł do łazienki.

- To dobrze - odparłam. - To znaczy... chciałam powiedzieć, cieszę się, że tak uważasz, ale są rzeczy, o których musimy porozmawiać na osobności.

- Później. Teraz chciałabym wyjść na dwór, choćby na krótko.

Podczas lunchu Holly milczała jak zakłęta, podczas gdy Charlie biegał tam i z powrotem, robił mnóstwo niepotrzebnych rzeczy i zdecydowanie za głośno brzękał przy zlewie talerzami i sztućcami. Przy stole wywiązała się dyskusja na temat możliwości śnieżycy, wykraczająca daleko poza ramy obowiązkowej rozmowy o pogodzie. Wtrąciłam coś o pewnych miejscach w Arktyce, gdzie można podrzucać w powietrze wrzątek, a spadnie na ziemię w postaci brył lodu, a Todd z wyszukaną galanterią opowiedział o swojej wyprawie narciarskiej do Norwegii, temperatura spadła tam do minus dwudziestu pięciu stopni, powieki niemal przymarzały do siebie, a pod nosem robiły się sople. Zerkałam nerwowo na Holly, obawiając się, że może rzucić jakąś ironiczną uwagę. Gdy spojrzała na mnie, odniosłam wrażenie, jakby ledwie zauważalnie uniosła prawą brew, ale powstrzymała się od komentarzy.

Kiedy zaś rozległ się dzwonek do drzwi, po jej twarzy przemknął bolesny skurcz. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że musi żyć w ciągłym napięciu i obawie przed tym, kto zapuka do ich domu, więc tym bardziej zapragnęłam wziąć ją za rękę i zapewnić, że wszystko będzie w porządku. Wyczuwalne napięcie minęło dopiero wtedy, gdy Charlie wprowadził do pokoju Naomi i jej matkę, która przywitała wszystkich wylewnie, jakbyśmy byli jedną rodziną. Kiedy dostaliśmy kawę, Anthea zaczęła maczać w niej oblane czekoladą herbatniki pełnoziarniste, a gdy te zaczęły się rozpadać i pływać w filiżance w postaci mazistych zlepków, przystąpiła do wyławiania ich łyżeczką i głośnego siorbania. Jak się okazało, wypila do lunchu dwie duże szklanice jęczmiennego piwa, toteż była w wyjątkowo błogim nastroju.

Naomi dołała jej mleczka do kawy, odrobiną wzbogaciła też kawę Charliego, tłumacząc, że on tylko tyle lubi. Niby drobiazg, lecz ów dowód łączącej ich zażyłości podziałał na mnie jak kubeł zimnej wody. Pochwyciłam karcące spojrzenie gospodarza, które nie uszło także uwagi sąsiadki, gdyż uśmiechnęła się przepraszająco i z błyszczącymi oczami szybko odwróciła głowę.

Jest między nimi romans, pomyślałam. Holly miała pod tym względem rację, tylko skierowała swe podejrzania na niewłaściwą kobietę. Biedactwo. Zresztą Charliego też było mi żal, podobnie jak nas wszystkich. Przyszło mi nagle do głowy, że to wręcz nieprzyzwoite, byśmy siedzieli przy jednym stole w sztucznie beztroskiej atmosferze, rozmawiali o głupstwach i żartowali, ukrywając swe prawdziwe odczucia.

W końcu Holly wstała, odpychając nogami krzesło, które głośno zazgrzytało o podłogę.

- Idę na krótki spacer z Meg i Toddem - oznajmiła.
- Na pewno...?
- Bez dwóch zdań.
- Chcesz, żebym poszedł z wami? - zapytał Charlie.
- Nie, zostań. Dla odmiany będziesz miał trochę czasu dla siebie.
- Tylko ubierz się ciepło.

Włożyła palto, zapięła je pod samą szyję i przewiązała pod brodą wzorzystym szalem. Uniosła twarz do niego, lecz nie pocałował jej w usta, tylko delikatnie cmoknął w policzek, jakby miał do czynienia z chorym dzieckiem.

Kiedy weszliśmy do parku, Todd taktownie został parę metrów z tyłu. Zrobiło się bardzo zimno, mroźny wiatr szczypał w policzki, lecz Holly zdawała się nie zwracać na to uwagi. Powiedziałam jej wreszcie, że odwiedziłam lombard Cowden Brothers i spłaciłam jej dług, więc nie ma się już czym martwić.

- Na pewno skreślili mnie z listy dłużników? - zapytała z powątpiewaniem.

- Można tak powiedzieć.

- Dlaczego?

- Wyjaśniłam im, że tamtego wieczoru nie byłaś już sobą, dlatego...

- Meg, to ja, Holly. Pamiętasz mnie? Nie jestem jeszcze kompletną idiotką i świetnie wiem, że nie mówisz mi prawdy. Jak zwykle w takich sytuacjach pojawia ci się drobna pionowa zmarszczka między brwiami.

- Naprawdę nie masz się czym martwić - powtórzyłam. - Nic ci nie grozi. Możesz się skupić na wychodzeniu z choroby.

- W końcu za to zapłaciłaś.

- To bez znaczenia.

- Spłaciłaś mój dług, prawda? Dobrze zrozumiałam?

- Mniej więcej - wymamrotałam.

- Ile zapłaciłaś?

- Tyle, ile byłaś im winna.

- Ile, do ciężkiej cholery?! Gadaj, Meg! - Złapała mnie za rękę i szarpnęła do tyłu, więc musiałam się zatrzymać.

- Dwanaście tysięcy - skłamałam.

Zamknęła oczy. Widać było, że coś pośpiesznie oblicza w pamięci.

- Niemożliwe - rzuciła po chwili. - Gadaj, ile tego było.

- Szesnaście.

- O, mój Boże, Meg.
- Licznik bił bez przerwy - wyjaśniłam. - Do dzisiaj byłoby o wiele więcej, gdybym nie...
- Zapłaciłaś wszystko, co do pensa?
- Zrobiłabyś to samo na moim miejscu.
- Sama nie wiem, co powiedzieć.
- W każdym razie nie oczekuję wylewnych podziękowań.
- Wcale nie zamierzałam ci wylewnie dziękować. Prędzej chciałam na ciebie nawrzeszczyć, kretynko! Jak ci się zdaje, coś ty narobiła?! - Uniosła zaciśniętą kurczowo pięść, jakby chciała mnie uderzyć, ale tylko wybuchnęła płaczem.

Zawahałam się na krótko, lecz zaraz objęłam ją i pchnęłam w bok, żeby przepuścić ludzi nadchodzących z naprzeciwka.

- Na pewno zrobiłabyś to samo dla mnie - powtórzyłam.
- Skąd wzięłaś tyle forsy? - wychlipała.
- Stąd i zowąd.
- Wycofałaś wszystkie swoje oszczędności, prawda? Zapłaciłaś pieniędzmi, które odkładałaś na kupno domu.
- Przecież pieniądze są po to, żeby je wydawać. Uznałam, że nadeszła ta czarna godzina, na którą je odkładałam.

Holly dziwnie zachichotała przez łzy.

- Ale to moja czarna godzina, Meg. Ja... ja...
- To nie ma znaczenia - przerwałam jej.

Dotarliśmy do bramy ogrodu zoologicznego Golders Hill Park, minęliśmy zagrodę emu i skręciliśmy ku wybiegom kóz.

- Nie wiem, czy ktokolwiek może się czuć nieszczęśliwy, patrząc na te kózki - zagadnęłam. A po chwili, tym samym tonem, zapytałam: - Jak z twoją głową?

- Brutalne pytanie - mruknęła Holly, wpychając dłonie w welnianych rękawiczkach do kieszeni palta.

Minął nas mały brzdąc, który aż piszczał głośno z radości.

- Wściekłam się, gdy się dowiedziałam o terapii elektro-wstrząsowej. Na szczęście chyba nic złego ci nie zrobiła.

- Nie mnie to rozsądzać - odparła. - Przez cały czas byłam pod narkozą. Zawieźli mnie na zabieg, gdy usnęłam, a obudziłam się już znów w swoim łóżku, tyle że skolowana i półprzytomna.

- Podobno musieli szybko podejmować decyzję, bo znów popadałaś w depresję.

- Owszem, też tak słyszałam.

- Mówisz tak, jakby chodziło o kogoś innego. To nie wiesz, czy byłaś w depresji?

- Powiedzieli mi, że po zabiegu mogę mieć drobne luki w pamięci, ale ich nie mam, przynajmniej na tyle, na ile umiem to odcinić. - Uśmiechnęła się smutno. - Może jednak zapomniałam o swojej depresji.

- Zabawne jest to, że gdy rozmawialiśmy tuż przed twoim zabiegiem, sprawiałaś wrażenie, jakbyś szybko wracała do siebie. Powiedziałaś nawet, że w chwili, kiedy to zrobiłaś... -musiałam pokonać wewnętrzny opór, żeby wymówić te słowa - ...kiedy próbowałaś się zabić, już wtedy uświadomiłaś sobie, że nie chcesz umierać.

- Zgadza się.

- Pewnie dlatego miałam nadzieję, że szybko wracasz do zdrowia.

Wzruszyła ramionami.

- Nie jestem najbardziej wiarygodnym świadkiem. Należę już do osób, którym przytykano elektrody do głowy.

- Dlatego tak mnie to zdumiało.

- Doktor Thorne powiedział Charliemu, że główne przejawy nastroju samobójczego to wcześniejsza nieudana próba, co wydaje się cholernie oczywiste, oraz nadmierne zainteresowanie śmiercią. „Depresja sama z siebie nie jest aż tak istotna. Można mieć niesamowitą, beznadziejną depresję i nawet przez chwilę nie myśleć o samobójstwie. Z drugiej strony można popaść w nastrój samobójczy, nie mając w ogóle depresji. Wystarczy, że stanie się to twoją obsesją, niemalże rodzajem hobby. A ja najwyraźniej miałam jedno i drugie przez kilka ostatnich miesięcy, i ewidentnie zaczęłam o tym mówić w szpitalu.

- A teraz?

- Teraz nawet mi to do głowy nie przyjdzie. - Opatuliła się szczerzej palcem. - Miałaś rację, te kózki są wspaniałe - przyznała. - I zgadzam się z tobą w pełni co do ich zdolności terapeutycznych.

Nie sądzisz jednak, że przynajmniej od czasu do czasu przytulne ciepłe wnętrze i kubek gorącej kawy działają jeszcze skuteczniej?

Nie tylko wypiliśmy kawę, lecz Holly nawet zjadła pączka, gdy omawialiśmy jej powrót do pracy. Jak tylko tu przyjechaliśmy, miałam straszną ochotę powiedzieć, że „od tej pory gospodyni żyła długo i szczęśliwie”. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że dla niej oznaczałoby to życie w ciągłym nawale obowiązków. Miała wszystko naraz: dramat, szaleńczą przygodę, senną iluzję, komedię romantyczną i fantastyczną bajkę. Teraz musiała się przekonać, jak wygląda prawdziwe życie brane na trzeźwo. Musiała dalej robić karierę zawodową i troszczyć się o swoje małżeństwo, zatem wszystko zależało od ustaleń, spotkań, negocjacji i punktualności.

Nie za bardzo chciała jeszcze omawiać to szczegółowo, jakbym była jej matką kontrolującą pieczołowicie, czy odrobiła lekcje i wyćwiczyła zadany fragment z muzyki. Powiedziała, że według doktora Thorne'a powrót do pracy wchodził w rachubę najwcześniej za kilka miesięcy, bo teraz jej podstawowym obowiązkiem był powrót do zdrowia. Uznała więc, że skoro ma się skupić na sobie, zajmie się porządkowaniem swojego życia prywatnego i urzędzaniem domu. Przede wszystkim zależało jej na uporządkowaniu stosunków z Charliem.

- I tobą, rzecz jasna - dodała. Zaśmiałam się krótko.
- W stosunkach ze mną nie musisz niczego porządkować.
- Muszę. Pamiętasz ten list, który do ciebie napisałam? Jeśli nie myli mnie moja deliryczna pamięć brutalnie potraktowana wstrząsami elektrycznymi, tylko tobie czułam się zobowiązana wyjaśnić swój postępek. I mam wrażenie, że nadal muszę to zrobić. Weź pod uwagę, że chyba już nigdy nie będę w pełni normalna.

- Lepiej nie wracajmy do tego - powiedziałam. - Nie możesz dłużej tak żyć, jak przez tych kilka ostatnich miesięcy. Nie przetrwałabyś tego. A i my tego byśmy nie wytrzymali. W każdym razie ja.

- Zobaczmy - odparła. - Faktycznie przede wszystkim muszę wydobrzeć. Nie, źle się wyraziłam. Przede wszystkim muszę się jakoś pozbyć z naszego domu matki Charliego. Powrót do zdrowia musi na razie poczekać.

Zaśmiałam się krótko.

- Jest aż tak źle?

- Ciebie nie rusza smród jej mentolowych papierosów? - zdziwiła się. - To połączenie dwóch przeciwstawnych rzeczy, których nie powinno się ze sobą łączyć. Jakby ktoś rozpałał ognisko, używając do tego torebek z miętową herbatą.

- Jeśli mam być szczerą, chyba faktycznie nie powinnaś wracać do pracy, dopóki...

- Lepiej spróbujmy tego ciasta z owocami.

- Spodziewałem się czegoś zupełnie innego. Teraz już rozumiem, dlaczego jesteś do niej tak przywiązana - rzekł Todd.

- Byłam pewna, że ją polubisz, gdy tylko będziesz miał okazję porozmawiać z nią w normalnych warunkach.

- Przynajmniej, że na swój sposób jest bardzo pociągająca.

- Wiem o tym. Wszyscy mówią to samo. Przy niej każdy czuje się kimś niezwykłym.

Na chwilę zapadła cisza. Todd podszedł bliżej, objął mnie i przytulił do siebie.

- Co się stało?

- Nic.

- Przecież widzę.

- Naprawdę nic się nie stało.

Nie dałam się jednak zbić z tropu.

- Zatem uważasz, że Holly jest bardzo ładna?

- Nie powiedziałem, że jest ładna, tylko urocza i pociągająca.

- Większość mężczyzn uważają za ładną.

- Meg.

- Słucham.

- Powinnaś wiedzieć, że nie masz się czym martwić.

- Wcale się nie martwię. Tylko nie wiem, o co ci chodzi.



- Przecież to w tobie się zakochałem i to ty jesteś dla mnie piękna.
- Wcale nie jestem piękna.
- Dla mnie jesteś.
- „Dla mnie” - powtórzyłam, naśladowując jego ton. - Powiedzia-  
łeś to z litości.
- Raczej z pożądania.
- Naprawdę?
- Oczywiście. Czy pamiętasz, jak cię nazwała Holly? Prawdzi-  
wą.

Zarzuciłam mu rękę na szyję i przytknęłam czoło do jego czoła. Miałam wrażenie, że nasz związek nabral podniosłego charakteru, jakbyśmy oboje doszli do wniosku, że wkraczamy w coś wielkiego i istotnego, z czego nie będzie już łatwego odwrotu. Po chwili zauważyłam:

- Charlie ma romans.
- Charlie? Z kim?
- Z Naomi.
- Skąd wiesz?
- Domyślam się. Choćby po sposobie, w jaki na siebie patrzą.
- On przeżywał bardzo trudny okres - mruknął Todd, a po chwili dodał: - Teraz pewnie wszystko rozejdzie się po kościach.
- Tak, ja też mam taką nadzieję. Zatem nie sądzisz, że powinniśmy cokolwiek zrobić w tej sprawie?
- A co moglibyśmy zrobić? Powiedzieć Holly? W żadnym wypadku. Trzeba liczyć na to, że ona nigdy się nie dowie.

## 34

Nie widziałam się z Holly aż do drugiego stycznia, rozmawialiśmy tylko przez telefon. Wciąż nie mogłam się nacieszyć swoim szczęściem i choć nigdy do końca o niej nie zapomniałam, to

jednak spychałam te myśli na dno świadomości. Zakochany człowiek staje się samolubny i zaślepiiony.

Sylwestra i Nowy Rok spędziliśmy z Toddem w domku letniskowym w odludnej części Dorset. Gdy wróciliśmy, zadzwoniłam do Holly. Charliego nie było, wyszedł na cały dzień, a ona oznajmiła, że próbowała zapanować nad chaosem, jaki się wytworzył przez kilka ostatnich miesięcy. Przynajmniej tyle była wszystkim winna, a ponadto chciała mieć jakieś zajęcie na czekające ją długie tygodnie rekonwalescencji.

- Chciałam ci coś pokazać - rzuciła szybko, ledwie przekroczyłam próg ich domu.

Miała na sobie elastyczne wiśniowe spodnie do joggingu i bluzę dresową o kilka numerów za dużą, z rękawami podwiniętymi aż do łokci. Weszłam za nią do saloniku. Na podłodze stało kilka otwartych kartonów wypełnionych do połowy papierami, kartonowymi teczkami, starymi gazetami i zeszytami.

- Wyprowadzasz się?

- Nie, robię tylko porządki - odparła, rozglądając się dookoła. - To starocie sprzed wielu lat. Tu mam stare projekty i szkice, które do tej pory trzymałam dlatego, że włożyłam w nie mnóstwo pracy, ale teraz postanowiłam uroczyście je spalić. A tu są moje ulubione książki z dzieciństwa, jeszcze nie wiem, czy ich nie zatrzymać... no, wiesz, na wszelki wypadek.

- Niezły pomysł - przyznałam. - Bardzo dobry. Z jakiego powodu chciałaś się ze mną zobaczyć?

- Bo znalazłam coś. Nie chcę być nielojalna, a Bóg jeden wie, po co Charlie to chował, uznałam jednak, że muszę komuś o tym powiedzieć.

Zaprowadziła mnie do pracowni Charliego i wskazała leżący na biurku stosik listów.

- Znalazłam je na dnie dolnej szuflady - wyjaśniła. - Tylko mi nie mów, że nie powinnam była grzebać w jego rzeczach. Sama wiem, że nie powinnam. Próbowałam odnaleźć brakujące rachunki telefoniczne, żeby je dołączyć do rozliczeń finansowych. W końcu

muszę się przecież zajmować czymś użytecznym, prawda? No i tam się na nie natknęłam. Śmiało, czytaj.

Zaczęłam z ociąganiem przeglądać listy, czując się coraz bardziej zawstydzona. Wszystkie dotyczyły prac nieoddanych w terminie zawartym w umowie bądź niedostarczonych w ogóle.

- Po prostu przestał pracować - powiedziała Holly. - Coś mi się zdaje, że od bardzo dawna nie wykonał ani jednego zamówionego rysunku. A przecież codziennie się tu zamyka i twierdzi, że pracuje. Długimi godzinami przesiaduje przy tym biurku.

- Biedny Charlie - wtrąciłam smutno.

- Masz rację. Tylko po co udaje przede mną, że jest zajęty? Nie mógłby powiedzieć wprost, że praca mu nie idzie? Powiem więcej, Meg, tkwimy po uszy w finansowym gównie. Na moim koncie jest debet w wysokości siedmiu tysięcy i nie wyciągnę już z banku ani funta. Sprzedałam perłowy naszyjnik babci. I tak go nigdy nie nosiłam. A cholera wie, jak wygląda stan konta Charliego. On w ogóle nie zechce na ten temat rozmawiać. Twierdzi, że to jego problem, nie mój.

- Bo nie chce, żebyś się martwiła.

- Na co czeka, do pioruna? Liczy na jakiś cud?

- To był bardzo trudny okres, tak samo dla niego, jak dla ciebie. Zależy mu na tym, żebyś wróciła do zdrowia. - Sama wyczuwałam fałszywe tony w swoim głosie i czułam, jak powoli zaczynam się czerwienić.

- Pewnie masz rację - odparła Holly, pocierając dłonią policzek. - Nie tak łatwo poukładać wszystko na nowo. To wymaga wiele czasu i wysiłku. Żałuję, że nie ma na to żadnego cudownego lekarstwa. - Zachichotała nerwowo. - Dostałam pigułki tylko na swoje problemy.

- I bierzesz je regularnie?

- Oczywiście. Jak w zegarku. Nie przejmuj się. Łykam je zapamiętałe nawet w te poranki, kiedy każdy atom mego ciała buntuje się przeciwko nim. Wolę nie ryzykować.

Upchnęła listy w dolnej szufladzie biurka, podniosła z podłogi rachunek telefoniczny, spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

- Chryste, aż tyle czasu spędziliśmy przy telefonie? Tylko spójrz, ile razy dzwoniłam do ciebie w ostatnim kwartale.

Zerknęłam przelotnie na rachunek, zwracając uwagę na mój numer widniejący u dołu strony w zestawieniu połączeń. Mój wzrok przykuła jednak data rozmowy. Wzięłam od niej spis i przyjrzałam się dokładniej. O godzinie 15.07 tego dnia, kiedy Holly próbowała popełnić samobójstwo, zarejestrowano krótkie połączenie z jej domowego telefonu stacjonarnego.

- Wydaje mi się, że wtedy... no, wiesz, byłaś już półprzytomna - powiedziałam, wskazując jej parametry połączenia.

Holly popatrzyła na rachunek, zmarszczyła brwi i poprosiła o mój telefon komórkowy. Kiedy podałam, wystukała jakiś numer i przytknęła do ucha.

- Halo! - odezwała się po chwili. - Przepraszam, z kim rozmawiam?... Och, Boże, strasznie cię przepraszam. Pomyliłam się, chciałam zadzwonić... no, do Charliego. Wybacz. Wkrótce się zobaczymy. - Przerwała połączenie i z osłupiałą miną oddała mi telefon. - To Naomi. Chyba i do niej próbowałam w ostatniej chwili dzwonić o pomoc? Zupełnie tego nie pamiętam. Ale w końcu moje wspomnienia z tamtego wieczoru są dość chaotyczne.

Mimo woli poczułam się trochę rozczarowana. Holly mówiła, że próbowała się ze mną skontaktować, że to o mnie głównie myślała, gdy powoli uchodziło z niej życie. Teraz jednak okazało się, że myślała również o Naomi. Do niej także próbowała się dodzwonić. Miałam przed sobą namacalny dowód, że mój numer wcale nie został wybrany jako ostatni tamtego fatalnego dnia. Wcale nie byłam pewna, czy nie zmyśliła sobie tego, że chciała się ze mną skontaktować. Może tylko udawała, by mi dać do zrozumienia, że o mnie myśli.

- Jeśli dobrze pamiętam, mówiłaś, że linia była zerwana - odezwałam się nieco ostrzej, niż zamierzałam.

- I mnie się tak zdawało. Byłam pewna, że nie ma sygnału. Zrozum jednak, że nie panowałam już nad sobą. Kto wie, jaki naprawdę numer wybrałam.

- Ale z rachunku wynika, że siedem po piętnastej zdołałaś jeszcze uzyskać połączenie.

- Na to wygląda.

- I chwilę później telefon przestał nagle działać?

- Byłam na progu śmierci, Meg. Kto wie, co się wtedy działo? Może niechcący wcisnęłam jakiś klawisz? Naprawdę niczego nie pamiętam.

- Musisz jednak czuć się z nią blisko związana - zauważyłam kwaśno, ledwie się powstrzymując, żeby w rozdrażnieniu nie powiedzieć jej całej prawdy.

- Cóż, jestem z nią związana. To w końcu nasza najbliższa sąsiadka. Ale szczerze mówiąc, chyba nawet jej nie lubię. Jest taka... taka... Jak to się mówi? Taka dziarska. Zawsze radosna i chętna do pomocy. Czasami doprowadza mnie przez to niemal do szaleństwa. Ale może właśnie to wtedy zadecydowało. Może podświadomie doszłam do wniosku, że dzięki tej swojej niespożytej energii będzie w stanie mnie uratować.

- I znasz jej numer na pamięć?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Musiałabyś zatem wstać i zajrzeć do spisu telefonów, a przecież traciłaś już świadomość.

- Meg... - syknęła ostro. - Nie chcę się wdawać w dyskusję na temat technicznych aspektów tego rachunku telefonicznego. W innych okolicznościach pewnie bym nawet na niego nie spojrziała. Chciałam go tylko dołączyć do reszty papierów w rozliczeniu finansowym.

- Masz rację. Wiesz co? - Gwałtowna zmiana tematu sprawiła, że Holly uśmiechnęła się szeroko. - Daj mi numer tej agencji turystycznej, o której tyle mówiłaś. Tej, co organizuje wypoczynek w różnych odludnych miejscach.

- Dam ci nawet cały folder reklamowy, tyle że Charlie chce któregoś dnia skorzystać z jej usług. W końcu musimy przystąpić do naprawy naszego małżeństwa, musimy się wreszcie ucziwie i szczerze rozmówić. W nadchodzących dniach będzie sporo okazji, aby się wykazać wrażliwością i wzajemną troską o siebie. Oczywiście przewracanie rzeczy w jego pracowni, i to z pomocą przyjaciółki,

trudno zaliczyć do przejawów troskliwości.

Po raz kolejny odniosłam wrażenie, jakby po jej twarzy przemknął cień wędrującej po niebie chmury, a gdy zniknął, znów sprawiała wrażenie przemęczonej i załamanej. Z widocznym wysiłkiem wyciągnęła wspomniany folder z piętrzącego się pod ścianą stosu rozmaitych czasopism i katalogów, po czym podała mi go.

- Wygląda naprawdę kusząco - przyznałam, przerzucając kartki.

Podniosłam leżący pod biurkiem kawałek papieru, zapisałam na nim numer telefonu oraz adres e-mailowy i schowałam do portmonetki.

- Kiedy wyjeżdżacie? - zapytałam.

- Pewnie niedługo. Bóg jeden wie, z czego zapłacimy za tę wyprawę. Z drugiej strony wydaje mi się, że nie stać nas również na to, żeby nie skorzystać z takiej okazji. Przynajmniej tak twierdzi Charlie.

Położyłam jej ręce na ramionach.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałam ze zbytnim zapalem.

Przymierzałyśmy się do wspólnego uporządkowania rachunków i oddzielenia wydatków, które można będzie odpisać od podatku dochodowego, ale skończyło się na przerzucaniu ciuchów” Holly. Oznajmiła, że zamierza się pozbyć wszystkich rzeczy, których na pewno nie będzie już nosiła.

- Jak choćby to - powiedziała z żalem w głosie, rozprostowując w rękach krótką czarną sukienkę z bardzo silnym akcentem na słowie „krótką”.

- Przecież miałaś ją na sobie podczas przyjęcia w Royal Festival Hall! Wyglądałaś wtedy... - zawahałam się na chwilę - ...po prostu niesamowicie.

- Chciałaś powiedzieć: nedorzecznie. Dobrze wiem, że tak się wówczas zachowywałam. Ledwie mogę znieść te wspomnienia. Na szczęście tamte dni bezpowrotnie minęły. Ale było zabawnie, prawda? Może powinnam ją zostawić, żeby mi przypominała tamto

przyjęcie? A co powiesz o tej koszuli?

- Jest strasznie dramatyczna.
- Wyrzucić czy zostawić?
- Decyzja należy do ciebie.
- Jeśli nie jestem pewna, to lepiej zostawię. Na wszelki wypadek.

W efekcie odłożyła do śmieci tylko jedną spódnicę z zepsutym suwakiem i kilka par pozaciąganych rajstop. Nic więcej. Cała reszta, nie wyłączając koszmarnie pstrokatych i cudacznych ubrań, których należało się pozbyć choćby z respektu dla umiaru - wylądowała z powrotem w szafie. Co dziwne, przyjąłam to z ulgą.

Prosiła, żebym jeszcze została, ale po paru godzinach pobytu w jej towarzystwie miałam dość, powiedziałam, że muszę wracać do domu, gdzie czeka na mnie parę pilnych spraw.

Holly odprowadziła mnie przed dom, uściskałyśmy się serdecznie i wróciła do środka. Odczekałam parę sekund, po czym przeszłam kilkanaście metrów ulicą do sąsiedniego domu, w którym Naomi zajmowała całe piętro. Wiele razy opowiadała mi o swoim skromnym mieszkaniu złożonym z niewielkiej sypialni, toalety z ciekącym prysznicem, ciasnej kuchenki oraz pokoju dziennego, który na szczęście mógł także pełnić rolę pracowni, gdyż był wyposażony w niezależną linię telefoniczną.

Zadzwoiłam do drzwi, odczekałam jakiś czas i zadzwoniłam po raz drugi. Wreszcie rozległy się czyjeś kroki w holu i drzwi się uchyliły. Stał przede mną staruszek w workowatym wełnianym swetrze i ciepłych bamboszach.

- Czy zastałam Naomi?
- Nie. Wyjechali.
- Aha. - Uderzyła mnie liczba mnoga. - Narzeczony ją dokądś zabrał?

- Nie, skądże. Przecież ona już nie ma narzeczonego.

Zmusiłam się do krótkiego chichotu.

- Pewnie ma pan ją cały czas na oku?

- Piecze dla mnie ciastka - odparł. - Czasem wieczorami oglądamy razem telewizję. Musi pani wiedzieć, że moja żona zmarła przed dwoma laty. Mam coś przekazać Naomi?

- Z kim ona dzisiaj wyszła?

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. - Tym razem on zachichotał.

- Chciałam tylko...

- Pojechała z sąsiadem.

- Z Charliem?

- Zgadza się. Jak pani widzi, nie ma w tym niczego zabawnego.

Po chwili zaprosił mnie na herbatę. Uznałam, że warto dotrzymać towarzystwa temu biednemu samotnemu staruszkowi, ale miałam taki mętlik w głowie, że nie byłam w stanie logicznie myśleć, toteż pożegnałam się z nim najwcześniej, jak tylko było to możliwe.

- Może to niezbyt ładnie z twojej strony, Meg, ale w pełni cię rozumiem - rzekł Todd. - Najważniejsze, aby nic nie stanęło Holly na przeszkodzie w powrocie do zdrowia.

Zmarszczyłam brwi.

- Ty nic nie rozumiesz. Tu nie chodzi o romans Charliego, choć Bóg mi świadkiem, wiele bym dała, żeby go zakończyć. Holly tamtego dnia próbowała się do mnie dodzwonić i nie mogła. Telefon działał normalnie podczas rozmowy, której nie pamięta, lecz chwilę później już nie słyszała sygnału, kiedy dzwoniła do mnie, co pamięta doskonale.

- Niby dlaczego, do diabła, tak się przejmujesz tego rodzaju duperelami, podczas gdy...

- Bo pewna straszliwa myśl nie daje mi spokoju, Todd. A jest naprawdę straszliwa i przerażająca.

- To znaczy?

Otworzyłam już usta, lecz nagle coś mnie ścisnęło za gardło. Tknęło mnie, że to przecież idiotyczny, śmieszny wniosek, który chyba tylko sama Holly w swojej obłąkańczej depresji mogłaby sformułować.

- Mniejsza z tym - mruknęłam. - To zwykła paranoja.



Próbował mnie jeszcze namówić, żebym podzieliła się z nim swoimi podejrzeniami, ale stanowczo odmówiłam. Zanadto byłam zażenowana własnymi skojarzeniami.

Nie mogłam się jednak od nich uwolnić i w nocy, kiedy Todd zasnął, jeszcze długo leżałam obok niego, zastanawiając się, jak powinnam dalej postąpić. W wyobraźni wciąż widziałam przed sobą bladą wymizerowaną twarz patrzącej na mnie ufnie przyjaciółki. I nagle mnie tknęło. Czyżby to było właśnie to, co przeoczyłam?

## 35

- Jestem w barze po drugiej stronie ulicy.
- Której ulicy?
- Naprzeciwko biura, głupia. Możemy tu porozmawiać?
- Już idę... Ale nic się nie stało, prawda?
- Czy już do końca życia będziesz myślała, że jak tylko chcę się z tobą zobaczyć, to znaczy, że stało się coś złego?
- Nie, tylko...
- Nic się nie stało. Po prostu chcę pogadać. I mam coś dla ciebie. Więc jak? Zamawiać pikantny sok pomidorowy?
- Z podwójną porcją soli selerowej, sosem Worcester...
- Czarnym pieprzem i plasterkiem cytryny. Pospiesz się.

Mimo zapewnień Holly wciąż byłam przeświadczona, że stało się coś złego, toteż wybiegłam zza biurka i mocując się z ciężkim paltem, zawołałam do Trish, że wrócę najszybciej jak się da i wtedy dokończymy sprawozdanie finansowe.

Siedziała w rogu sali, przy naszym ulubionym stoliku, w palcie oraz szalu zawiązanym pod brodą, w zamyśleniu potrząsając szklanką z wodą mineralną. Wyglądała na zaszepioną, pogrążoną w smętnych rozważaniach, ale rozchmurzyła się, gdy do niej podeszłam.

- Proszę, twój sok - powiedziała, przysuwając mi szklankę. - I jeszcze to. - Z dumną miną wyjęła z torebki kopertę i położyła przede mną.
- Co to jest?

- Dla ciebie.

Pociągnęłam łyk soku pomidorowego i otworzyłam kopertę. Wewnątrz znajdował się czek wystawiony na moje nazwisko. Opiewał na szesnaście tysięcy funtów.

- Holly! No!

- Chyba nie sądziłaś, że ci nie zwrócę tych pieniędzy, prawda?

- Wcale nie liczyłam na zwrot. Myślałam, że potraktujesz je jak prezent. Swoją drogą, skąd wzięłaś taką sumę?

- To było prostsze, o wiele prostsze, niż sądziłam. Wystarczyło zwiększyć nieco kredyt hipoteczny. Ale muszę cię uczciwie przestrzec, żebyś nie próbowała realizować tego czeku w tym tygodniu.

- Ja go wcale nie chcę. Na pewno nie teraz. To bardzo zły okres. Dobrze znam waszą sytuację, toteż podle bym się czuła, gdybym go wzięła.

- Posłuchaj, Meg. Nie zamierzam dyskutować na ten temat. To twoje pieniądze. Znienawidziłabym siebie, gdybym ci ich nie zwróciła. Wiem, że dałaś je z własnej woli, za co jestem ci niezmiernie wdzięczna i czego nigdy, przenigdy nie zapomnę. Do grobowej deski. - W oczach zakreśliły jej się łzy, toteż zamruła szybko, żeby się ich pozbyć. - Potraktuj to jak element mojego powrotu do zdrowia. Oddaje ci je całkiem nowa Holly. Muszę przecież wziąć odpowiedzialność za wszystko, co zrobiłam. Jest mi to potrzebne, Meg. Konieczne. Dlatego włóż natychmiast kopertę do torebki, bo inaczej nie ręczę za siebie.

Zrobiłam, jak kazała, po czym zamknęłam jej dłoń w swoich dłoniach i przez jakiś czas siedziałyśmy naprzeciwko siebie w milczeniu. W końcu poraziła mnie myśl.

- Zatem Charlie już wie?

- Oczywiście - przyznała ponuro. - Nie mogło być inaczej.

- W końcu i tak, wcześniej czy później, musiałybyś mu powiedzieć.

- Pewnie tak.

- Jak to przyjął?

- Nie najlepiej.

- To znaczy kiepsko?
- Dziwisz mu się? W dodatku spadło to na niego, kiedy myślał, że już gorzej być nie może.
- I co powiedział?
- Niewiele. - Pociągnęła łyk wody. - Tylko bardzo, ale to bardzo posmutniał. Zamknął się w swojej pracowni... to znaczy w pokoju, w którym udaje, że pracuje.
- Aha - mruknęłam odruchowo.
- Jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. Kiedy czekałam tu na ciebie, przypomniałam sobie, że wtedy gdy na ulicy ruszyłam z pięściami na obcych ludzi i zostałam odwieziona do szpitala, wcześniej uciekłam z domu. Charlie nie miał pojęcia, dokąd wyszłam. Przez jakiś czas mógł się obawiać, że rzuciłam się pod autobus. Dopiero policja zawiadomiła go telefonicznie i poprosiła, by przyjechał do szpitala. Ja wściekałam się wtedy jak wariatka... - Urwała i zachichotała nerwowo. - Nie inaczej, tylko jak wariatka. Ale gdy zobaczyłam jego minę, tę złość przemieszana z desperacją, w jakimś ostatnim trzeźwym zakamarku mego umysłu zrodziło się poczucie winy. Już wtedy wiedziałam, że nigdy nie będę w stanie wynagrodzić mu tego, co przeze mnie wycierpiał. Setki razy mógł na mnie nakrzyzczyć i wybiec z domu, trzaskając drzwiami, a nawet w drobnym ułamku procenta nie zrównoważyłby tego, co ja uparcie mu robiłam, dzień po dniu i tydzień po tygodniu. Byłoby dla niego o wiele lepiej, gdyby mnie nigdy nie spotkał na swej drodze.
- Nie mów tak.
- Wszystko zniszczyłam.
- Zamieszkać z nami na jakiś czas - palnęłam bez zastanowienia, nawet nie bardzo wiedząc dlaczego. - Na pewno między wami się poprawi. Nie wracaj teraz do domu, Holly.
- Spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się smutno.
- Ciągłe mi powtarzałaś, że wszystko będzie dobrze. Czyżbyś tym razem dostrzegła, że coś nie jest w porządku?
- Tylko odrobinę.
- Lepiej dopij swój sok i wracaj do pracy - powiedziała półgłosem.

Tłumaczyłam sobie, że Charlie jest kulturalnym człowiekiem - nie żadnym superbohaterem, ale też i nie łajdakiem - który tylko przypadkowo wdał się w romans z Naomi. Nawet ja nie potrafiłam go winić po tym wszystkim, co przeszedł. Niemniej bólem napawała mnie myśl, że Holly z wysiłkiem próbuje ratować swoje małżeństwo, gdy tymczasem on przeżywa swoją romantyczną przygodę, o ile jest to tylko przygoda. Nie zamierzałam jej jednak o niczym mówić. Ilekroć o niej myślałam, kojarzyła mi się z nadzwyczaj kruchym, delikatnym mechanizmem, który bardzo łatwo zepsuć, dlatego muszę uczynić wszystko, żeby nie zakłócić jej powrotu do zdrowia.

Nie widziałyśmy się przez kilka dni, ale siedząc za biurkiem, wciąż próbowałam sobie wyobrazić, co ona by powiedziała. Czułam się tak, jakby jej głos stale rozbrzmiewał w mojej głowie, przeplatając się z moim drugim ja. Dzwoniłam do niej, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Robiła wrażenie spokojnej, zrównoważonej i zdeterminowanej. Rozprawę Stuarta wyznaczono dopiero na maj. Gdy Holly się o tym dowiedziała, przyznała po raz kolejny, że ma bardzo mieszane odczucia.

- Wciąż uważam, że stało się to z mojej winy.
- Przecież włamał się do waszego domu i rzucił się na ciebie.
- To niczego nie zmienia.
- Nie nadajesz się na świadka oskarżenia.
- Po prostu powiem wprost, jak do tego doszło. Realistycznie przedstawię sytuację.

Powiedziała mi, że codziennie biega i pływa, a trzy razy w tygodniu spotyka się z jakąś terapeutką z Muswell Hill.

- To dość narcystyczne doświadczenia - wyznała. - Muszę się koncentrować wyłącznie na tym, żeby dbać o swoje ciało i zdrowie psychiczne. W sumie to nudy, nudy i jeszcze raz nudy. Nawet nie masz pojęcia, jak tęsknię za pracą, za czymkolwiek, co nie jest

bezpośrednio związane ze mną. Na pewno szybki powrót do biura tylko by mi pomógł.

- Niedługo do nas wrócisz - odparłam. - Musisz wytrzymać jeszcze tylko parę tygodni.

Kiedy zapytałam, jak się miewa Charlie, odparła, że znów jest dla niej „słodki”.

- Tylko nici z seksu. Czasami odnoszę wrażenie, że już nigdy nie będziemy się kochać.

- Czy to efekt twoich leków? - zapytałam, czując się jak zdrajca.

- Nie chodzi o mnie, tylko o niego. Uważa mnie za inwalidkę.

- Musi minąć jeszcze trochę czasu.

- Może spróbuję go ponownie uwieść w czasie wakacji - powiedziała. - Do roboty, i to bez żadnych wymówek czy wykrętów.

- Kiedy wyjeżdżacie? I dokąd konkretnie?

- Nie umiem ci na razie odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Charlie wszystko załatwia. Próbuje wytargować jeszcze niższą cenę.

- Jak tylko uporam się z tym spotkaniem budowlańców w najbliższy weekend, wpadnę do ciebie na dłużej, chyba że wcześniej wyjedziecie.

- Chciałabym być z tobą na tym spotkaniu.

W jej głosie wyczułam tak głęboki żal, że miałam już na końcu języka: „Więc wracaj jutro do pracy”. Ale równie dobrze mogłabym powiedzieć: „To odstaw leki”. Albo nawet: „Wracaj do dawnego szczęśliwego szaleństwa i bezgranicznego smutku”. Zmusiłam się do tego, by odpowiedzieć swobodnie:

- I ja też cholernie bym chciała, żebyś była tam ze mną. Bez ciebie nic już nie będzie tak samo zabawne.

Gdy tylko odłożyłam słuchawkę, ogarnął mnie dokuczliwy niepokój, tak nieznośny, jak swędzenie w głębi mózgu. Nie zniknął mimo kilku zebrań i dyskusji, w jakich musiałam uczestniczyć. Na lunch miałam kanapkę z baru na rogu, zostałam więc sama w biurze i zapatrzyłam się w ciemny ekran monitora, widząc w nim twarz Holly

Kiedy zadzwonił telefon, aż podskoczyłam na krześle. Na szczęście był to tylko nasz radca prawny, który miał kilka pytań dotyczących warunków, na jakich zatrudniona była Debora. Wyciągnęłam dolną szufladę, żeby sięgnąć po teczkę z jej papierami, i mój wzrok padł na szarą kopertę ze zdjęciami Holly, którą przed paroma dniami Rees cisnął mi na biurko. Upchnęłam ją w najdalszym kącie niczym wstydliwą brudną tajemnicę, ale teraz, gdy tylko skończyłam rozmowę z radcą, wyciągnęłam z niej plik błyszczących fotografii. Zdumiało mnie, że jest ich aż tyle.

Wszystkie zostały zrobione bez jej wiedzy, kiedy sądziła, że jest sama, z dala od zaciekawionych spojrzeń obcych ludzi, a tymczasem bez przerwy była śledzona i fotografowana. Ledwie się powstrzymywałam, żeby nie odrzucić ich z obrzydzeniem, ale z drugiej strony, choć według mnie było to nieprzyzwoite, czułam nieodpartą pokusę uważnego przyjrzenia się każdemu z nich, żeby spróbować dojrzeć w twarzy Holly coś, co pomoże mi zrozumieć, przez co wtedy przechodziła. Ułożone chronologicznie zdjęcia przedstawiały niemal historię jej choroby od coraz śmielszych wypraw w głąb euforii i depresji, aż po rozkwit czystego szaleństwa. Miałam przed sobą fotografie Holly, których nikt nigdy nie powinien oglądać.

Pierwsze, jakie podniosłam do oczu, było lekko zamazane, przedstawiało tylko ją, w dużym zbliżeniu i z półprofilu. Miała na sobie swój sztruksowy żakiet i ten zabawny mały beret wypchany przez zgarnięte pod spód włosy. Rzadko widywałam u niej taką minę, coś w rodzaju nieokreślonej marzycielskiej zadumy. Drugie zdjęcie ukazywało ją przed drzwiami biura, z dość dużej odległości, do tego w moim towarzystwie. Byłam rozwścieczona, szłam z rękami wbitymi głęboko w kieszenie płaszcza, ze spuszczoną głową i zmarszczonymi brwiami. Można było odnieść wrażenie, że każda z nas przebywa we własnym odrębnym świecie. Holly, uchwycona w pół kroku, tłumaczyła coś zawzięcie. Poły jej rozpiętego płaszcza zawisły za nią, a ręce miała uniesione i rozrzucone szeroko w dobrze znanym mi geście; włosy opadały na twarz, a usta pomalowane

jaskrawoczerwoną szminką były rozwarte w szerokim uśmiechu. Wyglądała tak realistycznie, jakby za chwilę miała ruszyć dalej. W sumie robiła wrażenie bliskiej hysterii.

Na kolejnym zdjęciu tonęła w ramionach mężczyzny, w którym nie bez trudu rozpoznałam Stuarta. Miała na nogach jakieś cudaczne buty. On ze zdumieniem spoglądał na nie w dół, lecz ona nie patrzyła na niego, tylko oglądała się w bok. Wargi wyduła jakby w wyrazie pogardy.

Zaczęłam szybciej przerzucać zdjęcia, zwłaszcza te, które ukazywały ją od tyłu. Na którymś dźwigała dwa duże pojemniki z farbą i właśnie wsiadała do taksówki. Usłużnie pochyłał się w jej stronę mężczyzna o trupiej twarzy, zapewne szofer. W taksówce jeszcze ktoś siedział, ale zdjęcie zostało zrobione o zmroku i nie dało się dostrzec niczego poza mglistą sylwetką człowieka. Na innym, zrobionym z oddali, szła przez park u boku Charliego, a dziwnie ziarniste oświetlenie świadczyło, że padał wtedy deszcz. Po raz kolejny uderzył mnie kontrast: on miał ręce skrzyżowane na piersi, ona szeroko rozrzucone i uniesione nad głową. Nawet po tych zdjęciach łatwo dało się ocenić, jak rzadko bywała spokojna. Na następnym, w porozciągany dresie, z tłustymi włosami, przygarbiona, wyglądała jak staruszka.

Nagle trafiłam na zdjęcie, którego w zaskoczeniu omal nie upuściłam. Także przedstawiało Holly, chociaż w pierwszej chwili jej nie poznałam, bo wyglądała jak na własnej karykaturze, w której wylbrzymia się poszczególne elementy. Była w nocnej koszuli i szpilkach nie do pary, przerzucony przez ramię szal ciągnął się za nią po ziemi. Do tego skołtunionie włosy i usta szeroko rozwarte, ni to w okrzyku przerażenia, ni w zwierzęcym bolesnym wrzasku czy mimowolnym jęku rozkoszy. Ledwie potrafiłam się zmusić, żeby nie odwrócić oczu od przerażającej intymności, jaką ukazywała ta fotografia. Uzmysłowiłam sobie nagle, że nigdy w pełni nie zdołam pojąć, czego Holly doświadczała przez te ostatnie miesiące i jakie przeżywała udreki.

Prześlizgiwałam się też wzrokiem po twarzach otaczających ją ludzi. Niemal wszyscy bez wyjątku patrzyli na nią, więc nawet jeśli była ukazana przy krawędzi pola widzenia obiektywu, odnosiło się wrażenie, że jest w samym środku. Jakiś chłopak ze śmiechem wskazywał ją palcem. Poczulałam, że czerwienię się aż po czubek głowy, ale zaraz ogarnęła mnie złość. Naprawdę nikt więcej nie powinien oglądać tych zdjęć, nie powinien widzieć mojej drogiej przyjaciółki w stanie tak bliskim skrajnego szaleństwa, że niemal przeczącym jej człowieczeństwu. Złapałam trzymane zdjęcie za dwa rogi, gwałtownym ruchem przedarłam je na pół i wyrzuciłam do kosza na śmieci pod biurkiem.

I nagle zastygłam bez ruchu. Podświadomie zarejestrowałam coś, czego nie wyłowily moje oczy, a co utkwilo mi w pamieci, choc nie potrafilam powiedziec, co to takiego. Schyilam sie i wyciagnelam z kosza obie polowki fotografii. Popatrzylam na Holly, a potem na otaczajacych ja ludzi, tloczacych sie z boku i za jej plecami. Natychmiast dostrzeglam to, co mnie uderzylo. Zobaczylam jego. Byl na samym skraju pola widzenia obiektywu, kilka metrow za Holly, ubrany w skorzana kurtke, i spogladal w kierunku rozpaczliwej bohaterki zbiegowiska z przerazajacym spokojem, niemal w skupieniu, czym wyrozniat sie posrod zaciekawionych, rozesmianych badz tylko litościwie usmiechniętych gapiow.

Charlie.

Zamknelam oczy i z mej pamieci wyplynely slowa Holly: „Gdy na ulicy ruszyłam z pięściami na obcych ludzi i zostałam odwieziona do szpitala, wcześniej uciekłam z domu. Charlie nie miał pojęcia, dokąd wyszłam. Przez jakiś czas mógł się obawiać, że rzuciłam się pod autobus. Dopiero policja zawiadomiła go telefonicznie i poprosiła, by przyjechał do szpitala. Ja wściekałam się wtedy jak wariatka...”. Tak mi powiedziała. Teraz nie miałam wątpliwości, że usłyszała to od niego. Najwyraźniej laził za nią wszędzie, był więc świadkiem sceny na moście. Tylko ją obserwował? A może na coś czekał? Liczył na udaną próbę samobójczą? Zapatrzyłam się jeszcze raz na tę fotografię, zwracając uwagę, jak bardzo jest opanowany.



Następnie przysunęłam sobie telefon i wybrałam jej numer komórki, ale zgłosiła się tylko poczta głosowa.

- Holly, to ja, Meg - powiedziałam. - Jak odbierzesz tę wiadomość, zadzwoń do mnie. Natychmiast. Słyszysz? Koniecznie zadzwoń. Mam bardzo pilną sprawę.

Potem wystukałam numer domowy i zasłuchałam się w sygnał wywołania, mając wrażenie, że słyszę nawet echo, jakie budzi w pustym domu.

## 37

Nakazałam sobie wewnętrzny spokój, żeby móc pozbierać myśli, choć wydawało mi się, że słyszę, jak pracuje mój umysł, jak strzela iskrami, bulgocze i potrzaskuje z przerażenia. Ułożyłam w pamięci szczegółową listę - mniej więcej tego samego typu, jakie układałyśmy przed wykonaniem każdego zlecenia - tylko po to, by się upewnić, że wszystko do siebie idealnie pasuje i o niczym nie zapomniałam. A zatem: sposób, w jaki Charlie mówił o samobójczym nastroju żony i perspektywie jej straty, świadczył wyraźnie, że na coś się szykuje. Lawinowo mnożył kłopoty finansowe zainicjowane przez Holly. Nawiązał romans z Naomi. A teraz doszły jeszcze te fotografie. Każda z tych rzeczy w oderwaniu od pozostałych jeszcze o niczym nie przesądzała. Ale w sumie... Czy naprawdę zdarzenia układały się w logiczny ciąg, czy też po dziecinnemu próbowałam odczytywać obrazy z kształtu chmur?

I nagle jak cios w głowę uderzyło mnie, że to Charlie musiał być w domu, kiedy Holly próbowała się zabić. To prędeż on, a nie ona, dzwonił do Naomi, podczas gdy jego żona leżała już zamoczona na podłodze. Był tam i palcem nie kiwnął, żeby ją ratować. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że lepiej mu się będzie żyło bez niej. Odzyskałby wolność, z upokorzonego i stłamszonego męża znów stałby się beztróskim przystojnym luzakiem, jakim był, zanim się spotkali.

Aż musiałam się napomnieć w duchu, że przecież chodzi o Charliego. W wyobraźni natychmiast ujrzałam jego twarz. Kiedyś omal się w nim nie zakochałam, a z pewnością lubiłam go i podziwiałam, nazywałam swoim przyjacielem i bratnią duszą, ostatnio zaś było mi go żal. W mojej pamięci dominował widok jego twarzy w radosnym uśmiechu, pociętej licznymi zmarszczkami, z siateczką kurzych łapek w kącikach oczu. Widziałam go, ubranego w luźne wygniecione sportowe ubrania. Świetnie pamiętałam jego minę, gdy w skupieniu coś naprawiał, zabawnie marszcząc brwi i lekko uśmiechając się z satysfakcją. Nie mogłam zapomnieć, z jakim uśmiechem zawsze mnie witał, delikatnie kładąc dłoń na moim ramieniu. Pamiętałam, jaki był, gdy poznał Holly, wręcz otumaniony z miłości, rozkoszujący się jej uczuciem. Nie, musiałam się pomylić. Doszłam do śmiesznego, histerycznego, budzącego odrazę, idiotycznego wniosku.

Wciąż walcząc z takimi myślami, spojrzałam jeszcze raz na zdjęcie, na jego zdumiewająco zimne, uważne spojrzenie. Tego człowieka dotąd nie znałam, najwyraźniej oddanego nowej emocjonującej pasji. Po chwili przeniosłam wzrok na odpychającą, groteskową podobiznę Holly odchodzącej od zmysłów i promieniującej energią samozniszczenia. Przeszył mnie dreszcz przerażenia. Pospiesznie wystukałam jeszcze raz jej domowy numer, mając niemalże pewność, że nikt nie odbierze.

- No, rusz się - wymamrotałam pod nosem. - Podnieś słuchawkę.

Gdzie oni mogli być? Gorączkowo usiłowałam sobie przypomnieć ostatnią rozmowę z Holly. Nie powiedziała niczego, co pomogłoby mi ją teraz odnaleźć. Wspominała o bliskiej perspektywie wyjazdu z miasta, lecz nic nie było jeszcze ustalone, to Charlie załatwiał wyjazd w biurze podróży, nie ona. Więc kto mógł wiedzieć? Obdzwoniłam kilkoro wspólnych znajomych, lecz Holly od pewnego czasu nie utrzymywała z nimi kontaktu. Zadzwoiłam nawet do jej matki, ale ona także nie odbierała. Czułam się coraz bardziej bezradna, siłą zmuszałam się do zachowania spokoju.

Wmawiałam sobie, że to wcale nie jest takie skomplikowane, odnalezienie ich powinno być stosunkowo łatwe. Nagle przypomniałam sobie o numerze telefonicznym biura podróży, który spisałam z folderu reklamowego u Holly. Musiałam go mieć przy sobie. Zaczęłam przetrząsać torebkę, aż znalazłam w portfeliku poszarpany kawałek kartki złożonej na pół. Moją uwagę przykuło wyraźnie odciśnięte w papierze pismo Holly, jeszcze bardziej pochyle niż zazwyczaj, toteż obróciłam kartkę pod kątem do światła, żeby odczytać słowa. „Moja droga i wierna Meg”. Dalej nic nie było. Nie chciałam jednak tracić czasu, żeby się nad tym zastanawiać, choć na krótko coś ścisnęło mnie za serce. Nazywała mnie drogą i wierną przyjaciółką, musiałam więc jej pomóc. Roztrzęsonymi palcami wystukałam numer.

Odebrała jakaś kobieta. Powiedziałam, że moi serdeczni przyjaciele wykupili u nich wyjazd i z powodu pilnych spraw osobistych muszę się z nimi jak najszybciej skontaktować. Miałam nadzieję, że odniesie to pożądaną skuteczną, bo zabrzmiało wystarczająco dramatycznie, a jednocześnie oddali niepotrzebne pytania. Ona jednak przyjęła to z ociąganiem. Powiedziała, że musi ściśle przestrzegać regulaminu, a ten nie pozwala jej ujawniać żadnych szczegółów dotyczących klientów. Rozzłościła mnie tak, że ledwie mogłam nad sobą zapanować. Tyle że w skrajnych sytuacjach nigdy nie wybucham gniewem, a wręcz przeciwnie, staję się tak opanowana i rzeczowa, jak wytrawny adwokat.

- Przecież jesteście biurem podróży, a nie przychodnią chirurgiczną - wycedziłam lodowatym tonem. - To naprawdę bardzo pilna sprawa. Muszę się z nimi skontaktować, żeby przekazać niezwykle dla nich ważne informacje. Jeśli nadal widzi pani w tym poważny problem, proszę oddać słuchawkę swojemu przełożonemu.

Poprosiła, abym zaczęła. Doleciał mnie stłumiony gwar gorączkowej wymiany zdań.

- Sprawdź, czy da się odnaleźć zamówienie - oznajmiła wreszcie.

Podaliśmy nazwiska, lecz zajęło to kilka minut.

- Przykro mi - odezwała się w końcu. - Nie mam nikogo takiego w spisie naszych klientów.

- To niemożliwe - syknęłam. - Na pewno sprawdzała pani pod obydwoma nazwiskami?

Sprawa była beznadziejna. Omal nie wybuchnęłam płaczem z bezsilnej złości. Zaraz jednak tknęła mnie kolejna myśl: Naomi. Jeśli ktokolwiek znał miejsce ich pobytu, to na pewno ona. Ale tego nie mogłam załatwić przez telefon. Sprawa była nazbyt poważna. Musiałam się z nią spotkać osobiście, należało więc obmyślić taktykę działania. Jak tylko Trish wróciła z lunchu, powiedziałam jej, że muszę wyjść na jakiś czas i nie jestem pewna, czy jeszcze wrócę. Obiecałam powiadomić ją telefonicznie. Pojechałam taksówką, rozmyślając przez całą drogę, jak najlepiej to rozegrać. Kierowca coś do mnie mówił, bodajże o nielegalnych emigrantach, ale trakto- wałam to jak szum ruchu ulicznego, jakbym w ogóle nie rejestrowała jego głosu. Gdy dotarliśmy na miejsce, na wszelki wypa- dek zadzwoniłam do drzwi Holly i Charliego, ale bez rezultatu. Przeszłam więc na sąsiednią posesję. Dopiero gdy nacisnęłam dzwonek Naomi, dotarło do mnie, że jej też może nie być w mieście i cała moja akcja to zwyczajna strata czasu, a przecież nie stać mnie na jego marnowanie. Ale w tej samej chwili Naomi otworzyła drzwi. Poczułam się nagle tak, jakbym stała na scenie, w blasku jupiterów, a publiczność właśnie umilkła w oczekiwaniu na mój występ.

- Meg? - odezwała się zaskoczona.

Bez zaproszenia minęłam ją i weszłam do przedpokoju.

- Ja... właśnie... - wybąkałam, usiłując sobie przypomnieć wbi- ty do głowy tekst. - Przyjechałam, żeby zobaczyć się z Holly w waż- nej sprawie. Bardzo ważnej. Mogę wejść na chwilę?

- Ależ... - zaczęła, lecz ja byłam już na wąskich schodach pro- wadzących do wynajmowanego przez nią mieszkania.

- Tylko na minutkę.

- Jeśli się nie mylę, wyjechali na kilka dni - powiedziała, wprowadzając mnie do idealnie uporządkowanego, ale zarazem

przygnębiającego pokoju z beżową kanapą, małym stolikiem z dwoma krzesłami pod ścianą oraz wielką sztuczną rośliną w kącie pochłaniającą mnóstwo światła wpadającego przez wąskie okno.

- Muszę Holly powiedzieć o czymś niezmiernie ważnym, dotyczącym naszej pracy - powiedziałam. - Nie zostawili ci przypadkiem kontaktowego numeru telefonu?

Na dłużej zapadła cisza. Wreszcie Naomi uśmiechnęła się teatralnie.

- Nie - odparła. - W każdym razie nie mnie. Dlaczego mieliby to robić?

- Charlie ma aparat komórkowy, prawda?

- Owszem - przyznała, ale zaraz dodała aż nazbyt pospiesznie: - Lecz ja nie znam jego numeru.

- To naprawdę szalenie ważne - powtórzyłam.

- Mówię, że nie znam numeru.

- Naomi - zaczęłam błagalnym tonem, ale spojrzałam na jej minę, zaciśnięte wargi oraz świdrujące mnie oczka, i ugryzłam się w język. Nie było sensu próbować jej cokolwiek perswadować.

W mojej głowie zapanował mętlik. Nie miałam pojęcia, co dalej robić. Nagle mój wzrok padł na kalendarz leżący na półeczce pod lampą stojącą przy brzegu kanapy. Czyżby to było takie proste? Co miałabym z nim robić? W każdym razie nie mogłam stąd wyjść z niczym. Na pewno jeszcze nie w tej chwili.

- Więc... - zaczęłam z ociąganiem. - Jak się mają sprawy? Oczywiście chodzi mi o Holly.

- Nie najlepiej - odparła, kręcąc głową. - Charlie podejrzewa...

- Tak, wiem, że ona spróbuje drugi raz. Ty też tak uważasz?

- Czasami i ja się bardzo boję, że...

- Nie zrobiłabyś kawy?

- Słucham?

- Napiłabym się kawy. Masz kawę w domu?

- Trochę się spieszę - odparła.

- Może być rozpuszczalna.

- Nie mam rozpuszczalnej.
- No to herbaty.
- Jak chcesz - burknęła.

Przez chwilę spoglądałyśmy sobie w oczy, pełne jawnej nienawiści, wreszcie Naomi wyszła z pokoju. Odczekałam chwilę i zawołałam:

- Pomóc ci?
- Jak chcesz, możesz tu przyjść - odrzyknęła, a jej głos zabrzmiał niespodziewanie donośnie przez cienką ścianę.

Chwyciłam kalendarzyk i zaczęłam gorączkowo przerzucać kartki, aż odnalazłam bieżący tydzień. Było kilka notatek, lecz nie ujrzałam spodziewanego adresu. Widniał za to telefon z długim numerem kierunkowym, a więc spoza Londynu. Oczywiście mógł to być telefon do jej matki, hydraulika bądź kogokolwiek innego. Proszę cię, Boże, żeby to było to, wydukałam w myślach, a już nigdy więcej nie będę grzeszyć. Numer był jednak za długi, by go zapamiętać. Obok kalendarzyka leżał długopis, toteż bez namysłu przepisałam numer na wewnętrzną część dłoni. W tej samej chwili rozległy się kroki. Zdażyłam ledwie odłożyć kalendarzyk, w pośpiechu zapisując jeszcze ostatnie cyfry.

- Co robisz?

Nie wiadomo kiedy zjawiała się tuż za mną. Odwróciłam się na pięcie.

- Właśnie wpadł mi do głowy pewien pomysł - odparłam niemal odruchowo.

- Co?

- Taka już jestem, że jak coś wymyślę, muszę od razu zapisać, bo szybko zapomnę, a zwykle nie mam przy sobie notesu, kiedy jest mi najbardziej potrzebny, dlatego w takich wypadkach zapisuję różne rzeczy na rękę. Taka już jestem. Właśnie wpadł mi do głowy niezły pomysł na wystąpienie przed klientami. - Machnęłam jej dłonią przed nosem, żeby nie zdążyła zauważyć, że jest na niej tylko numer telefonu. - Nie będę cię dłużej zanudzać.

- Chciałam właśnie zapytać, czy używasz mleka do herbaty - powiedziała.

- Przepraszam, ale muszę lecieć. Właśnie coś sobie przypomniałam. Mam zebranie. Już jestem spóźniona, bo w tej chwili się rozpoczyna. Strasznie mi wstyd. Porozmawiamy przy najbliższej okazji. Naprawdę przepraszam, ale...

Dosłownie wybiegłam od niej i pognałam wielkimi susami ulicą, rozglądając się za taksówką. Znajdowałam się jednak na osiedlu domków jednorodzinnych, gdzie rzadko przyjeżdżały. Spojrzałam z lękiem na swoją dłoń, a właściwie na numer telefonu. Czy mógł mi w czymś pomóc? W każdym razie nie szkodzi sprawdzić. Wystukałam go na swoim aparacie komórkowym. Sygnał wywołania rozlegał się raz za razem, a ja byłam coraz bardziej w kropce. Przecież mogli wyjść na długi relaksujący spacer. Albo po prostu wyłączyli telefon. Nie wiedziałam, co dalej robić. Bo przecież nie da się odszukać w książce telefonicznej adresu na podstawie numeru. Przyszła mi do głowy Trish, która świetnie sobie radziła z takimi zadaniami. Zadzwoeniłam do niej.

- Trish? Mam numer telefonu, a chciałabym jeszcze poznać adres. Da się to jakoś załatwić? Mam kupić jakiś program, połączyć się przez internet czy może zadzwonić...

- Co to za numer?

Podyktowałam jej.

- Zaczekaj - mruknęła. Doleciało mnie stukanie w klawisze komputera. - To numer „Ash Tree House” w Corresham, w Suffolk. Chcesz także kod pocztowy?

- Tak.

Podyktowała mi, ja zaś powiedziałam, że nie wrócę już dziś do biura i zobaczymy się dopiero jutro.

- A co z wyjazdem w czasie weekendu?

- Nic się nie zmienia.

- Jest może coś, o czym powinnam wiedzieć? - zapytała.

- I tak się dowiesz - rzuciłam. - W taki czy inny sposób.

Rozłączyłam się i przez chwilę spoglądałam na swoją komórkę, jakbym oczekiwała, że mi coś podpowie. Do głowy przychodziło mi tylko jedno rozwiązanie. Jedna osoba. Pospiesznie wybrałam numer.

- Todd? - W jednej chwili przemknęła mi przez myśl cała ta długa, zagmatwana, niewiarygodna teoria i serce podeszło mi do gardła. Potrzebne mi było znacznie prostsze wyjaśnienie. - Jakiś czas temu, kiedy zapytałam, czy byłbyś gotów wyrządzić mi przysługę, odpowiedziałeś, że oczywiście, nie pytając nawet, o co chodzi. Pamiętasz?... Bo właśnie teraz muszę cię prosić o taką przysługę... Tak, już w tej chwili.

## 38

- Todd - odezwałam się, gdy wyjechaliśmy z Londynu, skęciliśmy na autostradę A12 prowadzącą na wschód i ugrzęźliśmy w południowym tłoku. - Jestem ci bardzo wdzięczna.

Mruknął coś pod nosem, ale nie był to raczej przejaw zagniewania. W każdym razie nie do końca. Ogólnie biorąc, był spokojny i opanowany. Nawet luźny, flegmatyczny sposób, w jaki prowadził auto, miał chyba na celu ukojenie moich zszarganych nerwów. Bo siedziałam na prawym fotelu skulona, wychylona do przodu, jakbym chciała w ten sposób zwiększyć prędkość jazdy.

Niewiele rozmawialiśmy. Przygryzałam z furią kciuk, ilekroć stawaliśmy w korkach, pojękiwałam rozpaczliwie, gdy trzeba było zwolnić, gapiałam się na mapę, jakbym chciała wypatrzeć jakiś cudowny objazd pozwalający ominąć stłoczone auta, i spoglądałam na zegarek, próbując oszacować, ile czasu może nam jeszcze zająć ta podróż. Kiedy zajechaliśmy na stację benzynową, ledwie mogłam wytrzymać, bo tankowanie i płacenie za benzynę trwało koszmarnie długo. Miałam wrażenie, że liczy się każda minuta i sekunda. Nawet najkrótsza kolejka mogła przynieść przerażające skutki.

O zmierzchu zaczął padać drobny deszcz. Autostrada przemieniła się w rozmazany sznur jaskrawych białych świateł zbliżających się z naprzeciwka i rzekę drobniejszych czerwonych światełek, w której posuwaliśmy się do przodu. Zastanawiałam się, gdzie jest teraz Holly i co porabia. Po raz setny wcisnęłam klawisz powtórnego



wybierania numeru w telefonie komórkowym i po raz setny zasłuchałam się w przeciągły sygnał wywołania. Wciąż nikt nie odbierał.

- Myślisz, że zwariowałam? - zapytałam po raz kolejny Todda.

- Ty miałabyś zwariować? - odrzekł zdziwiony. - Dwa tygodnie temu oddałem ci wszystkie swoje oszczędności, żebyś spłaciła dług zaciągnięty u jakiegoś zbira. Teraz od paru godzin wiozę cię poza miasto, żebyś mogła śmiertelnie wystraszyć swoją najlepszą przyjaciółkę, którą bezprzykładnie cierpliwy mąż wywiózł na długo oczekiwany urlop. W tej sytuacji nie czuję się uprawniony do osądzania czyjeś zdrowia psychicznego.

- Och, Todd, jesteś taki wspaniałomyślny.

- Nie wspomnę już o tym, że numer telefonu może nie mieć nic wspólnego z wyjazdem Charliego i Holly i po dotarciu na miejsce natkniemy się na gromadkę zupełnie obcych ludzi.

- Wykluczone - odparłam. - Nie wierzę w to.

- Świetnie. W takim razie musisz mieć rację.

Zamilkłam i pochylałam się jeszcze bardziej, gdyż przerażenie ścisnęło mnie w dołku. Miałam ochotę się pomodlić, chociaż nie byłam wierząca. Oby tylko wszystko było w porządku, błagam, niech nie stanie się nic złego. Wycieraczki przesuwają się monotonnie po przedniej szybie, oczyszczając szerokie półkoliste pasy, w których widok natychmiast zamazywały krople deszczu.

Stopniowo ruch na autostradzie zelżał i Todd nieco przyspieszył. Zrobiło się już całkiem ciemno, niebo było zachmurzone. Tylko nad horyzontem rozlewały się pomarańczowe kałuże blasku wiszącego nad okolicznymi miasteczkami. Wreszcie zjechaliśmy z autostrady w wąską boczną drogę w szpalerze ociekających deszczem drzew. W mijających nas samochodach zapalały się długie światła. Snopy naszych reflektorów wyławiały z mroku zaorane pola i niewielkie zagajniki, jakiś stary kościółek stojący na odludziu, z przysadzistą dzwonnica zwieńczoną spiczastą kopułą. Znowu pochylałam się nad

mapą, próbując odnaleźć najkrótszą drogę do Corresham leżącego już blisko wybrzeża i tworzącego z okolicznymi wioskami duży trójkąt poprzecinany głównymi drogami.

Do tej pory wszystko się zgadzało. Skręciliśmy w lewo w inną boczną drogę zaznaczoną na mapie na żółto, minęliśmy kilka wiosek położonych w takiej kolejności, w jakiej powinny się znajdować, i skręciliśmy po raz kolejny.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - powiedziałam. - Jeszcze tylko parę kilometrów. Lada moment powinno być skrzyżowanie z drogą lokalną.

Po paru minutach zagadnęłam nerwowo:

- Jestem pewna, że już powinniśmy być na miejscu. Chwileczkę... W ogóle nie powinniśmy przejeżdżać przez Foxgrove.

- To co mam teraz zrobić?

- Skręć w lewo. Nie, to droga do Lenham. Nic nie rozumiem... O Boże. Jedź dalej prosto... A może powinniśmy zawrócić i pojechać drugi raz tą samą drogą? - Miałam ochotę głośno wyc z rozpaczy.

- Pozwól. - Todd zatrzymał wóz na poboczu i spojrzał na mapę. - Zdumiewające - przyznał po chwili. - Lepiej podjedźmy pod tamten pub. Wejdiesz do środka i zapytasz o drogę.

- To ruszaj, już.

Wyskoczyłam z auta, nim jeszcze się zatrzymało. Deszcz prawie ustał, ale zimne powietrze było nieprzyjemnie przesycone wilgocią, przypominało lodowaty koc okrywający wszystko dokoła. Z hukiem wpadłam do pubu, przepchnęłam się przez gromadkę mężczyzn i pochyliłam nad kontuarem, za którym stała starsza kobieta.

- Może mi pani powiedzieć, jak dojechać do Corresham?

- Do Corresham? Niech pomyślę... - mruknęła flegmatycznie, wyciągając metalowymi szczypcami kostki lodu z pojemnika i wrzucając je do shakera.

- To pilna sprawa - ponagliłam ją. - Bardzo nam się spieszy.

- Powinniście jechać Stone Street - odezwał się jeden z mężczyzn. - Tamtędy będzie najkrócej.

- A gdzie jest Stone Street?

Cierpliwie wysłuchałam skomplikowanych wyjaśnień i skończyłam do wyjścia.

- W lewo, w prawo, w prawo, w lewo - wyrzuciłam z siebie jednym tchem, ledwie otworzyłam drzwi, nie bacząc na to, że całkiem przemoczyłam nogi, bo wdepnęłam w wielką kałużę. - W lewo, w prawo, w prawo, w lewo. Ruszaj! - powtórzyłam, wskazując na fotel.

Pojechaliśmy dalej i rzeczywiście niedługo dotarliśmy do Corresham, małej grupki zabudowań rozrzuconych wzdłuż wąskiego paska asfaltu.

- Dzięki Bogu. Tu jest „Mill House”, „The Nuttings”, „Pond Far”... Gdzie, do cholery, ten „Ash Tree House”? Nigdzie go nie widzę.

- A tamten?

- Chyba nie ma żadnego szyldu. Zaczekaj, pobiegnę i sprawdzę. Światła się palą, więc ktoś tam jest.

Pognałam pędem ścieżką i załomotałam pięściami w drzwi. Miałam nadzieję, że pojawi się w nich Holly. Albo Charlie. Ale kiedy uchyliły się na kilkadziesiąt centymetrów i odzyskałam zdolność widzenia w smudze światła, ujrzałam kilkuletnią dziewczynkę z warkoczykami, ubraną w żółty szlafrok kąpielowy.

- Zastałam twoją mamusię? - zapytałam.

- Moja mama umarła - powiedziała grobowym głosem.

- Och, bardzo mi przykro. A jest tatuś?

- Tato! - zawołała piskliwym, wibrującym głosem. - Tato! Jakaś pani do ciebie!

- Zapytaj, o co chodzi, dobrze?!

- To pilna sprawa! - zawołałam, po czym pchnęłam drzwi, otwierając je na całą szerokość. - Gdzie jest „Ash Tree House”?

Chwilę później mężczyzna pojawił się na schodach.

- „Ash Tree House”? To chyba ten pensjonat na samym dnie doliny, jak mi się zdaje. Chyba na pewno. Liz! - zawołał przez ramię. - Który to „Ash Tree House”? Nie ten nad strumieniem na tyłach ogrodu, przy drodze do „Rose and Crown”?

- Tak? Czemu pytasz?
- Jest tu jakaś pani, która pyta...
- Nie możecie szybciej? - przerwałam im. - To bardzo pilna sprawa.
- Kawalek dalej i w prawo drogą dojazdową, to pierwszy budynek przy niej.

„Ash Tree House” wyglądał jak obszerna wiejska chałupa o pobielonych ścianach i stał w oddali od reszty zabudowań, na dnie niewielkiej doliny, na skraju zagajnika. W oknach nie paliły się światła, nie unosił się dym z komina. Sprawiał wrażenie opuszczonego i porzuconego.

Ostatni raz wyskoczyłam z samochodu, żeby otworzyć bramę, i już nie wsiadłam, lecz przebiegłam kilkadziesiąt ostatnich metrów dzielących mnie od pensjonatu. Wskoczyłam na ganek i załomotałam do drzwi staroświecką kołatką. Nie było żadnej odpowiedzi. Uklękłam na ganku, odchyliłam mosiężną kłapkę szczeliny na listy i zajrzałam do środka, lecz dostrzegłam tylko szczecinę sztucznego włosia zasłaniającego widok. Przytknęłam nos do okna przy drzwiach, lecz w ciemnościach rozpraszanych jedynie przez światła auta nie zdołałam niczego dostrzec w gmatwaninie mrocznych cieni.

- Holly! - zawołałam, a po chwili powtórzyłam głośniejszym głosem, w desperacji szarpiąc za klamkę. - Holly, jesteś tam?!

Usłyszałam zgrzytanie żwiru pod stopami i odwróciłam się na pięcie. Tuż za mną stanął Todd.

- Nikogo tu nie ma! - wychlipałam.

Todd obrzucił uważnym spojrzeniem pograżony w ciemnościach dom. Schylił się, podniósł kamień i cisnął go w najbliższe okno. Rozległ się zadziwiająco donośny brzęk tłuczonego szkła. Popatrzyliśmy na siebie nawzajem. Byłam prawie pewna, że nigdy wcześniej nie brał udziału w podobnej awanturze, zresztą podobnie jak ja. Oboje zaliczyliśmy się do ludzi rozsądnych, szanujących przepisy prawa. Teraz jednak Todd wytlukł pospiesznie resztki szyby, wyciął od środka zasuwkę i otworzył okno. Krótka mówiąc, dokonaliśmy włamania. Podciągnął się na parapecie i zniknął w mrocznym wnętrzu.

Słyszałam, jak idzie po omacku do drzwi, które w końcu udało mu się otworzyć. Zaczęłam się gorączkowo rozglądać za jakimikolwiek przejawami życia. Razem biegaliśmy od jednego pokoju do drugiego, zapalaliśmy światła i nawoływaliśmy Holly. W którymś z kolei pokoju stanęłam jak wryta, dech zaparło mi w piersi. Otwarta walizka stała na podłodze, wszędzie dookoła wały się jej rzeczy - te same, które niedawno pomagałam jej sortować w szafie. Todd podniósł słuchawkę telefonu stojącego na nocnym stoliku przy łóżku, a po chwili odnalazł końcówkę kabla.

- Odłączony - powiedział.
- Gdzie oni mogą być?
- Musieli gdzieś pójść.
- Też mi się tak wydaje.
- W każdym razie nie odjechali - rzekł, wyglądając przez okno na tylne podwórze. - Ich samochód nadal tam stoi.
- Gdzie?
- Spójrz, widać tylko zderzak w głębokim cieniu pod tamtą wiatą.
- Tak, to samochód Charliego.
- Nie sądzisz, że powinniśmy tam zajrzeć? - Odwrócił się w moją stronę i przez chwilę gapiliśmy się na siebie w osłupieniu, z rozdziawionymi ustami.

Zbiegliśmy po schodach, przeskakując po dwa albo trzy stopnie naraz, otworzyliśmy tylne drzwi i wypadliśmy na podwórze, ślizgając się po rozmięklej błotnistej ziemi. Staralam się nie zwracać uwagi na rozcinające mi skórę na łydkach kolczaste pędy jakichś krzewów. Serce waliło mi jak młotem, a dudnienie pulsu w skroniach szło w zawody z głośnym, chrapliwym i urywanym oddechem. Już z pewnej odległości wychwyciłam ciche pomrukiwanie pracującego silnika, dostrzegłam też wąż wijący się od wylotu rury wydechowej do tylnych drzwi z prawej strony. Todd wyszarpnął zbitek szarego papieru uszczelniającego wąż w rurze i wyciągnął go, podczas gdy ja bezskutecznie szarpałam zamknięte drzwi, próbując je otworzyć.

- Holly! - wrzasnęłam histerycznie, dostrzegłszy przez zarosiałą szybę niewyraźny biały owal jej twarzy. Nie ruszała się. - Holly! Zaraz cię uwolnimy!

- Odsuń się! - zawołał Todd, rozglądając się gorączkowo za czymś ciężkim. Złapał leżącą na ziemi omszałą cegłę.

- Nie tutaj! - rzuciłam gardłowo, kiedy uniósł ją nad głowę. - Wybij tamtą szybę, bo inaczej odłamki potną jej twarz.

Huknął cegłą w sąsiednią szybę, potem drugi raz i trzeci, powiększając wybitą dziurę. Ze środka buchnął nam w twarze nieprzyjemny odór spalin. Todd wcisnął rękę w wąski otwór, przestawił zamek i szarpnięciem otworzył drzwi.

- Uważaj, żeby się nie pokaleczyć - rzekł, ale było za późno na takie ostrzeżenia, gdyż błyskawicznie dałam nura do środka, złapałam nieprzytomną przyjaciółkę pod ramiona i wyciągnęłam ją na mokrą i lodowatą ziemię.

- Holly! - zawołałam, tuląc jej głowę do siebie. - Holly!

Todd kucnął przy nas i zacisnął palce na przegubie jej ręki.

- Żyje - powiedział, wybierając już numer alarmowy w swoim aparacie komórkowym. - Jeszcze żyje, Meg... Potrzebna karetka - mówił gorączkowo do telefonu. - Ktoś próbował się otruć spalinami w zamkniętym samochodzie... Pensjonat „Ash Tree House” na obrzeżu Corresham, przy drodze do „Rose and Crown”. Proszę się pospieszyć. I potrzebna też będzie policja - dodał na końcu.

- Zapytaj, co mamy robić do czasu przyjazdu karetki - podsunęłam desperacko.

Ale on już powtarzał na głos to, co mówiła mu dyżurna z centrali. Zacisnęłam palcami nozdrza Holly i zaczęłam wdmuchiwać jej powietrze do ust. Wargi miała jak z gumy, a skórę lodowato zimną, wyczuwałam jednak wyraźnie bicie serca. Później Todd zastąpił mnie przy sztucznym oddychaniu. Porywy zimnego wiatru falami ciskały w nas krople deszczu osiadłego na liściach pobliskich drzew. Nie wiem, ile czasu to trwało. Kilkanaście minut czy kilka godzin. Zastępowaliśmy się w całkowitym milczeniu.

Wreszcie stały się dwie rzeczy naraz. Nad grzbietem pobliskiego wzgórza pojawiły się snopy świateł samochodów, a po chwili naszym oczom ukazała się karetka i policyjny radiowóz. Niemal

równocześnie powieki Holly rozwarły się gwałtownie. Przez moment patrzyłyśmy sobie prosto w oczy i odniosłam wrażenie, że dostrzegam na jej wargach ledwie widoczny uśmiech.

Później wszczął się zgiełk, otoczyły nas światła, różne hałasy, gorączkowa krzątanina. Ludzie pochylali się nad nią, wymieniali lakoniczne uwagi, wydawali polecenia. Ktoś meldował przez radio. Holly została umieszczona na noszach, przykryta grubym kocem i wstawiona do karetki, a ta zaraz potem odjechała na światłach rzucających migotliwe niebieskie rozbłyski na mijane drzewa. Został tylko wóz patrolowy z dwoma policjantami. Ktoś inny miał się teraz o wszystko zatroszczyć, podeszłam więc do Todda na nogach tak miękkich, jakby miały się za chwilę ugiąć pod moim ciężarem, zarzuciłam mu ręce na szyję i przytuliłam się do niego. Policzki miałam mokre, nie umiałam jednak powiedzieć, od łez czy tylko od deszczu, który znów zaczął padać. Nagle ponad jego ramieniem dostrzegłam ciemną sylwetkę, jaka pojawiła się w otwartej bramie pensjonatu. Człowiek przez chwilę stał tam bez ruchu, po czym zaczął iść z ociąganiem w naszą stronę, by po paru krokach puścić się biegiem.

- Meg?! - zawołał zdziwiony Charlie. - Co tu się dzieje? - Odwrócił się i popatrzył na wóz policyjny. - Gdzie jest moja żona?

I nagle wybuchnął płaczem.

## 39

Popatrzyłam, jak ociera łzy z policzków.

- Co tu się dzieje? - zapytał po raz drugi.

W blasku zapalonych reflektorów radiowozu sprawiał wrażenie śmiertelnie wychudzonego i trupio bladego. Pospiesznie wcisnęła obie ręce do kieszeni kurtki, zaczerwienione oczy silnie błyszczały. Miałam przed sobą człowieka przeżywającego straszliwe udręki i mimo całej mojej wściekłości, smutku i przerażenia zrobiło mi się

go nagle żal, a jednocześnie poczułam nieznośne, przytłaczające znużenie.

- Wszystko w porządku, proszę pana - odezwał się któryś z policjantów, ale szybko wpadłam mu w słowo:

- Zabrała ją karetka, Charlie - powiedziałam, siląc się na spokój. - Poza tym sam doskonale wiesz, co tu się dzieje.

- Jak to? - bąknął w osłupieniu. - O co chodzi?

- Ona żyje.

- Nie rozumiem.

- Świetnie rozumiesz. - Odwróciłam się i podeszłam do policjantów wymieniających półgłosem jakieś uwagi. - To jest mąż tej kobiety. Powinni panowie z nim porozmawiać. On wcale nie targnęła się na swoje życie. To on próbował ją zamordować.

Popatrzyli na mnie z minami wyrażającymi skrajne osłupienie, aż naszły mnie wątpliwości, czy nie uznali mnie za bardziej podejrzaną od Charliego. On tymczasem rozłożył szeroko ręce i zaczął mamrotać coś o tym, że nie wytrzymałby, gdyby Holly coś się stało.

- Przepraszam, panno... - zagadnął jeden z gliniarzy.

- Nazywam się Meg Summers i jestem bliską przyjaciółką Holly - wyjaśniłam. - Razem z moim znajomym przyjechaliśmy właśnie z Londynu. Podejrzewałam, że grozi jej poważne niebezpieczeństwo. Na szczęście zdążyliśmy w samą porę.

- Chcę się zobaczyć z żoną - powiedział Charlie. - Chcę zobaczyć Holly. Możecie mnie do niej zabrać? Wszystko inne jest na razie nieważne.

- Jak mogłeś zrobić coś takiego? - zapytałam. - Jak? Dobrze wiem, przez co przeszedłeś, ale wiem też o Naomi. Wiem wszystko. Przecież mogłeś ją po prostu zostawić, odejść od niej. Jak mogłeś zrobić coś takiego?

- Panno Summers - rzekł z naciskiem policjant. - Proszę się uspokoić.

- Jestem spokojna. Krzyczę na niego? Histeryzuję? Nie. Jestem spokojna. Absolutnie spokojna.

- Meg, skarbie - odezwał się Todd, biorąc mnie za rękę.



Charlie odwrócił się do policjantów.

- Moja żona przeszła niedawno poważne załamanie nerwowe - powiedział. - Już raz próbowała się zabić. Przechodziła terapię elektrowstrząsową. Od pewnego czasu znów zaczęła mówić o samobójstwie...

- To ostatnie to kłamstwo.

- Już próbowała się zabić? - zapytał Charliego niższy z gliniarzy.

- Owszem. Kilka tygodni temu połknęła zabójczą dawkę leków. Cierpi na depresję maniacką. Wszyscy przeszliśmy prawdziwe piekło. Czy możemy odłożyć tę rozmowę na później? Teraz muszę się zobaczyć z Holly.

- Właśnie dlatego, że cierpi na depresję maniacką i już raz próbowała się zabić, wymyśliłeś sobie, że możesz ją zamordować i ujdzie ci to bezkarnie. Masz idealne alibi. Nikogo nie zdziwi jej kolejna próba samobójcza, więc kto mógłby podejrzewać zabójstwo?

- Meg - odezwał się cicho Charlie. - Daj spokój, dobrze?

- Przecież tak bardzo ją kochałeś. Jak mogło dojść do tego?

- Przestań... - Zakrył dłońmi uszy. - Nie chcę tego dłużej słuchać.

- Za chwilę zabierzemy pana do szpitala - zwrócił się do niego policjant. - Tymczasem proszę wejść do środka.

Drugi gliniarz nawet poklepał go po ramieniu.

- Jestem pewien, że nie ma się czym martwić, proszę pana - rzekł. - Na pewno zaszło jakieś nieporozumienie.

Obaj, to znaczy Charlie i ten wyższy z policjantów, ruszyli w kierunku wejścia do pensjonatu. Ja i Todd zostaliśmy z drugim, który nie miał żadnych podejrzeń co do próby zabójstwa, ale nie był też rozszalony ani nawet specjalnie zainteresowany. Tylko spoglądał na mnie trochę niechętnie, jakbym niepotrzebnie skomplikowała mu prosty i oczywisty przypadek.

- Robi się zimno - powiedział. Był w średnim wieku i miał ogorzałą twarz, pewnie od ostrych północnych wiatrów siekących tutaj puste nadmorskie tereny. Nawet teraz drzewa chyliły się nisko

pod uderzeniami wiatru. - Wszyscy chcielibyśmy jak najszybciej się stąd wynieść, prawda? Na razie jednak proponuję, żeby państwo poczekał w swoim samochodzie, a ja się rozejrzę w sytuacji.

- Nie wierzy pan ani jednemu mojemu słowu, zgadza się? Więc jak pan wyjaśni, że podejrzewając, iż Holly grozi niebezpieczeństwo, zmusiłam Todda, żeby mnie tu przywiózł, by ją ratować? Jak pan to wyjaśni? Zwykłym zbiegiem okoliczności?

Nie odpowiedział.

- Chodź, zaczekamy w samochodzie - odezwał się Todd. - Nie musisz na razie niczego udowadniać. Wystarczy, że ocaliłaś jej życie. To najważniejsze, Meg. Do tej pory już by nie żyła, a dzięki tobie jest w szpitalu. Żyje i nie zagraża jej niebezpieczeństwo.

Otworzył mi drzwi auta. Wsunęłam się na fotel, ale nie zamknęłam ich za sobą, choć rzeczywiście było zimno. Siedziałam, zasłuchana w szum wiatru w koronach drzew, podczas gdy on delikatnie masował mi kark. Kilka metrów dalej policjant uważnie oglądał samochód, w którym Holly omal nie straciła życia. Snop mocnego światła jego latarki omiatał wnętrze wozu z każdej strony. Przez jakiś czas obserwowaliśmy to w milczeniu. Wreszcie gliniarz zakończył inspekcję i ruszył powoli ku domowi, oświetlając sobie drogę latarką. Miał na rękach białe gumowe rękawiczki i niósł coś, czego nie byłam w stanie rozpoznać, jakąś szmatkę bądź skrawek materiału, który powiewał na wietrze.

- Któregoś dnia - odezwałam się w końcu - gdy będziemy wspominać całą tę historię, uznamy ją za zły sen albo jakby przydarzyła się komuś innemu.

Wkrótce ten sam policjant wyszedł z domu i zaczął iść w naszym kierunku.

- Chciałbym, żeby państwo pojechali z nami - rzekł, stanąwszy w otwartych drzwiach po mojej stronie. - Znalazłem coś, co pan Carter na pewno będzie chciał zobaczyć, zanim odwieziemy go do szpitala.

- Ja też chcę jechać do szpitala - odparłam.

- Na razie poproszę państwa ze mną.

Ruszyliśmy za nim przez tylne podwórze. Kuchennymi drzwiami pensjonatu wprowadził nas do saloniku, gdzie na podłodze przy progu wciąż połyskiwały okruchy szkła z wybitej przez nas szyby. Charlie siedział w fotelu, z szeroko rozrzuconymi nogami i głową przekrzywioną pod dziwnym kątem. Wyglądał na skonanego z wyczerpania. Nawet gdy obejrzał się na mnie, wyraz jego twarzy ani trochę nie uległ zmianie.

- Więc coś takiego niezwykłego mieliśmy zobaczyć? - zapytałam.

- Znaleźliśmy list - rzekł policjant, obrzucając mnie spojrzeniem pełnym współczucia.

- Jaki list?

- Podczas oględzin samochodu znalazłem ten list na tylnym siedzeniu. Najwyraźniej położyła go obok siebie. Pisze w nim o chęci rozstania się z życiem.

- Wykluczone - rzuciłam stanowczo. - Musiał zostać sfałszowany. Proszę go pokazać.

- No, śmiało, pokażcie jej - burknął Charlie.

Policjant zrobił krok w moją stronę, z foliowej koszulki ostrożnie wyciągnął kartkę z notatnika i położył ją na stoliku. Od razu rozpoznałam zamaszyste pismo Holly. Wielokrotnie żartowałyśmy na ten temat. Była leworęczna i pisała, zakrywając palcami część wiersza, jakby nie chciała, żeby ktoś za wcześnie odczytał słowa. Poza tym bazgrolila tak, że ledwie można było odczytać. Po latach wspólnej pracy należałam do nielicznych, którzy nie mieli z tym większych kłopotów. Często dostawałam poważne zadanie odcyfrowania jej notatek.

- Ledwie zdołaliśmy go odczytać - wyjaśnił policjant.

- Dla mnie to nie jest żaden problem - odparłam, wdychając głośno, i pochyliłam się nad stolikiem. Był to krótki list, złożony zaledwie z paru zdań. Kartka była nierówno urwana, a Holly zaczęła pisać tuż pod poszarpanym brzegiem, jakby zamierzała zostawić dłuższą wiadomość, tylko później się rozmyśliła, doszedłszy do wniosku, że nie ma nic więcej do napisania.

- „Przepraszam” - odczytałam na głos. - „Jest mi strasznie, ale to strasznie przykro. Muszę jednak skończyć z tym wszystkim. Wybacz mi, najlepsza, najbardziej zaufana przyjaciółko. Zawsze będę Cię kochać. Holly”. Nie wierzę - dodałam. - To nie może być prawdą. Coś mi się tu nie zgadza. - Poczułam na ramieniu dłoń Todda, lecz mimo to dokończyłam: - To musi być jakaś pomyłka. Stało się coś dziwnego. Nie rozumiem...

- Postąpiłaś, jak należało - odezwał się Todd. - Ocaliłaś jej życie. - Obejrzał się na Charliego i dodał z naciskiem: - Uratowała ją, prawda?

Ale twarz Charliego przypominała maskę, była jak zastygła w kamieniu. Mętym wzrokiem popatrzył na gliniarza.

- Powinienem być wrócić wcześniej - mruknął. - Mógłbym ją sam uratować.

- Jesteś kłamcą i mordercą!

- Proszę zabrać swoją narzeczoną - zwrócił się policjant do Todda. - Jest za bardzo przygnębiona.

Todd bez słowa sprzeciwu wyciągnął mnie na dwór i odprowadził do samochodu. Wsunął kluczyk do stacyjki, lecz zanim go przekręcił, wychylił się w fotelu i pocałował mnie.

- Gotowa? - zapytał miękko.

- Zaczekaj - rzuciłam.

- O co chodzi?

- Jest coś... - wybąkałam - ...coś, co... zaraz...

- Meg!

- Zamknij się!... Przepraszam. Zamilknij choć na chwilę.

Ukryłam twarz w dłoniach, przyciskając palce do skroni. Coś nie dawało mi spokoju. Czało się na granicy świadomości, lecz wciąż nie potrafiłam tego zidentyfikować. Przypomniała mi się ta chwila, gdy wychylałam się za krawędź peronu metra i spoglądałam w głąb tunelu, wypatrując spóźnionego pociągu. W pierwszej chwili niczego nie słysząc. Tylko czuje się wibracje. I falę rozgrzanego powietrza w wylocie tunelu. Jakieś skrawki papieru podrywają się w powietrze i odlatują, mimo że pociąg jest jeszcze w sporej odległości. Tam samo teraz czułam, że coś się zbliża, tylko nie miałam jeszcze pojęcia, co to jest. Aż nagle mnie olśniło. Tak!

Wsadziłam ręce do kieszeni palta, przypomniawszy sobie, że chodzę w nim już od kilku dni. Od razu znalazłam. Nawet nie musiałam mu się przyglądać. Byłam pewna, że to jest to.

- Muszę na chwilę wrócić.
- Daj spokój, Meg. Nie ośmieszaj się bardziej.
- Naprawdę muszę.

Todd niemal pobiegł za mną. Pewnie sądził, że i ja zwariowałam. Chyba nawet próbował mnie zatrzymać, ale szarpnięciem uwolniłam się z jego uścisku. Kiedy policjant otworzył drzwi pensjonatu, jego mina świadczyła wyraźnie, że mój widok nie sprawia mu żadnej przyjemności. Wszyscy trzej szykowali się już do wyjścia. Charlie wciąż był w palcie i odgrywał swą rolę zrozpaczonego małżonka, gotowego zasiąść na brzegu szpitalnego łóżka swojej żony. Pożegnany list Holly w foliowej koszulce wciąż leżał na stoliku.

- Zapomniała pani czegoś, panno Summers?
- Nie. Przypomniałam sobie o czymś - syknęłam, patrząc gliniarzowi prosto w oczy. - To pan znalazł jej list na tylnym siedzeniu?

- Przykro mi - odparł. - Tę kwestię uważam za zamkniętą.
- Pan go znalazł czy nie?

Westchnął ciężko, z niecierpliwością.

- Tak, ja.
- Gdzie dokładnie leżał?
- Na siedzeniu w samochodzie - mruknął z wyraźną irytacją.
- I to na pewno jest list pożegnany?
- Zgadza się.
- Tyle że z poprzedniej próby samobójczej.

Zapadła grobowa cisza.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - zapytał w końcu gliniarz.

Wyciągnęłam z kieszeni skrawek papieru, na którym zapisałam sobie numer telefonu biura podróży - ten sam, który podniosłam spod biurka w pracowni Charliego - i przyłożyłam go do nierównej krawędzi listu znajdującego się w foliowej koszulce. Pasował idealnie.

- „Moja droga i wierna Meg”... - odczytałam na głos. - Jak sami widzicie, był to list adresowany do mnie.

- Co to ma znaczyć, do cholery?! - wybuchnął Charlie. - Co to za bzdury?!

- To nie są żadne bzdury - odparłam. - Holly powiedziała mi, że napisała pożegnalny list adresowany do mnie, kiedy próbowała się zabić, tylko że nikt nigdy nie odnalazł tego listu. Sądziłam, że po prostu zaginął w tym rozgardiaszu i zamieszaniu, jakie później powstało. Okazuje się jednak, że było inaczej. Charlie go schował. Otóż właśnie, schowałeś go - powtórzyłam, zwracając się bezpośrednio do niego. - Potraktowałeś go jak przepustkę, która cię uchroni przed więzieniem, prawda? Ilekroć dochodziłoby do kolejnych prób samobójczych Holly, podrzucałbyś ten list, oczywiście po oderwaniu pierwszej linijki zawierającej moje imię, i nikt o nic by cię nie podejrzewał. Tyle że stało się coś wręcz przeciwnego. Tenże list stał się dowodem twojej winy.

Na dłużej zapadła cisza. Policjant bardzo ostrożnie, za sam brzeżek, podniósł dołożony przeze mnie skrawek papieru i wsunął go do foliowej koszulki.

- Naprawdę aż tak bardzo ją znieawidziłeś, Charlie? - zapytałam.

Podniósł głowę.

- Ja miałbym ją znieawidzić? - spytał z takim zdumieniem w głosie, jakby rozmawiał sam ze sobą, w skrajnym oszołomieniu, bardziej słuchając brzmienia własnego głosu, niż wyłapując sens padających słów. - Od roku nie zajmuję się niczym innym, jak sprzątaniem po niej. Zawsze musiałem być trzeźwy, kiedy ona się upijała, żeby uspokajać ludzi, których wpięprzyła. Albo z którymi się pieprzyła. Ciągle powtarzała, że dla mnie jest gotowa na wszystko, i mówiła prawdę. Tylko co narobiła? Przepuściła wszystkie nasze oszczędności, a kiedy nic nie zostało, zaciągnęła kredyty, by w końcu jeszcze narobić karcianych długów, wyłącznie dla rozrywki. Gdybym ja ośmielił się zrobić coś takiego, co u niej było na porządku dziennym, to... Sam nie wiem, jak bym z tego wybrnął. Robiła mi rzeczy, jakich nie spodziewałbym się nawet po najgorszych

wrogach. Kiedy się poznaliśmy, byłem kimś, ale systematycznie deptała moją reputację od dnia ślubu. Zniszczyła wszystko, co świadczyło o mojej pozycji, wszystko, co uważałem za swoje osiągnięcie. Dlatego nie rozumiem, czemu miałbym ją zniechęcić, Meg, skoro nie ma już dla mnie żadnej różnicy między miłością a nienawiścią. W końcu to tylko słowa, jak wiele innych. Dlatego postanowiłem z tym wszystkim skończyć. Nie mogłem tego dłużej znieść. Chciałem znowu być panem samego siebie.

Znów na krótko zrobiło mi się go żal, jednakże litość szybko ustąpiła miejsca obrzydzeniu. Sam wystarczająco litował się nad sobą.

- Panie Carter - odezwał się wyższy policjant. – Muszę pana ostrzec, że wszystko, co pan powie...

- Pozwólcie mi się z nią zobaczyć - przerwał mu Charlie.

Odwrociłam się do Todda.

- Chodźmy stąd - powiedziałam.

Wziął mnie za rękę i razem wyszliśmy z pensjonatu.

## 40

Kiedy doleciał mnie znajomy głos, zamarłam pod wpływem natłoku żywych wspomnień.

- Poproszę ten bukiet białych róż - powiedziała szybko, ale mimo to od razu rozpoznałam jej głos.

Było piątkowe wrześnie popołudnie, jeden z tych cudownie rześkich jesiennych dni łączących elementy lata i zimy, gdy w słońcu jest aż nazbyt ciepło, za to w cieniu zimno. Byłam w Soho, bez pośpiechu robiłam zakupy na przyjęcie, napawając się otaczającymi mnie odgłosami i zapachami. Przystanąłam przed straganem z kwiatami, usiłując dokonać wyboru między brązowymi chryzantemami a wielobarwnymi frezjami. W głowie kłębiły mi się setki myśli - o konieczności zakupu sera i owoców na pobliskich straganach, o ludziach, którzy jeszcze nie odpowiedzieli na zaproszenia, o chęci

na coś smacznego na kolację, o groźnej erupcji wulkanicznej opisywanej na pierwszej stronie czytanej przez kogoś gazety - ale to wszystko nagle przestało się liczyć, gdy tylko usłyszałam ten głos. W jednej chwili odżyła w mej pamięci sprawa, którą uważałam już za zamkniętą. Dlatego odwróciłam się z ociąganiem.

Ledwie ją poznałam. Była ubrana w różowe, krótkie, lecz grube paletko, a do tego czarne kozaczki na szpilkach, z wydłużonymi szpicami. Włosy miała sporo dłuższe i nie w lokach, błyszczące policzki zarumienione. Roztaczała wokół siebie atmosferę dobrobytu i bogactwa, w niczym nie przypominała zaganianej i przemęczonej pielęgniarki. Moją uwagę przykuło niezwykle spojrzenie jej piwnych oczu świdrujących mnie znad wazonów z kwiatami. Przez chwilę dostrzegłam w nich błyski strachu i wrogości, które zaraz zniknęły wraz z pojawieniem się teatralnego uśmiechu na jej ustach.

- Meg? Nie myślę się, prawda? Meg Summers?
- Cześć, Naomi - odparłam. - Co u ciebie?
- Wszystko w porządku, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe. W końcu nie przechodzi się nad taką sprawą do porządku dziennego. Trzeba zebrać w sobie siły, żeby znowu podnieść głowę, nie dać się wciągnąć, nie stać się kolejną ofiarą. To przecież straszne, co się wydarzyło, prawda?

Wyglądała na szczerze zasmuconą.

- Próbowałam się z tobą skontaktować - powiedziałam. - Jak było już po wszystkim.

- Naprawdę? Gdybym wiedziała... Nie mogłam jednak dłużej tam mieszkać. Z oczywistych powodów. Musiałam się wyprowadzić.

- Mogę ci postawić kawę?

- No cóż, z przyjemnością, Meg, ale raczej kiedy indziej. Może spotkamy się któregoś dnia, żeby porozmawiać. Teraz za bardzo się spieszę...

- Nie zajmę ci dużo czasu. - Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam w bok, w kierunku kawiarenki przy najbliższym skrzyżowaniu.



Zamówiłam dla siebie kawę, a dla niej ziołową herbatkę. Usiadłyśmy przy stoliku zaraz za witryną, w pełnym słońcu, które grzało tak mocno, że od razu zdjęłam palto. Ona jednak została w okryciu, do tego zapięta pod samą szyję.

- Co u Holly? - zapytała. - Zamierzałam się z nią zobaczyć, ale doszłam do wniosku, że byłoby to dla niej zbyt bolesne. Słyszałam jednak, że czuje się lepiej i nawet wróciła do pracy.

Nie zamierzałam udzielać jej nawet tak ogólnikowych informacji na temat Holly.

- Kontaktowałaś się z Charliem? - zapytałam.

- Z Charliem? Nie. Na początku pisał do mnie z więzienia, ale nie otworzyłam ani jednego listu. - Wzruszyła ramionami. - Chyba nie sądzisz, że chciałabym mieć z nim coś wspólnego po tym, co zrobił Holly i mnie, prawda?

- A cóż takiego zrobił tobie?

- Wykorzystał mnie. I zdradził. Możesz sobie wyobrazić, jak się czułam, kiedy odkryłam prawdę? Przecież kochałam tego człowieka, miałam nadzieję, że będziemy ze sobą... „dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

Nie odpowiedziałam. Na dłużej zapadło kłopotliwe milczenie.

- Wiem, co mówiłaś o mnie w swoich zeznaniach na policji - odezwała się w końcu. - Twój gniew był uzasadniony. Byłaś bardzo wzburzona. To naturalne. Wiedziałaś przecież, jak bardzo byłaś związana z Holly, jak ją podziwiałaś, otaczałaś niemal nabożną czcią. Przykro mi, Meg. Moje stosunki z Charliem mogły ci się wydawać... Prawda jest taka, że było mi go strasznie żal. Uważałam go za człowieka szarpiącego się na końcu smyczy, któremu trzeba pomóc. A potem tak się złożyło, że go pokochałam...

- Charlie dostał wyrok siedmiu lat więzienia - odparłam. - To oznacza, że wyjdzie na wolność po czterech czy równie śmiesznie szybko. Gdybym zjawiała się na miejscu pięć minut później, nie odzyskałby wolności przez piętnaście lat. Zatem przez swoją szaleńczą jazdę z Londynu i wyciągnięcie Holly z samochodu pełnego spalin nie tylko uratowałam jej życie, lecz także oszczędziłam Charliemu

jakichś ośmiu lat więzienia. Gdy wtedy zapytałam cię, czy nie wiesz, dokąd wyjechali, spojrziałś mi prosto w oczy i powiedziałś, że nie masz pojęcia. Tymczasem świetnie wiedziałś, co Charlie zamierza zrobić, zatem zdawałś sobie sprawę, że potrzebuje trochę czasu...

- To nieprawda. - Naomi wyjęła z torebki rękawiczki i zaczęła je powoli wkładać.

- Chciałabym tylko wiedzieć - ciągnęłam - czy nie budzą cię w środku nocy senne koszmary, które każą ci się zastanowić nad tym, jak postąpiłś.

- Nie. Dzięki Bogu śpiam dobrze.

Myślałam, że zaraz wstanie i wyjdzie, lecz nagle skrzywiła się z pogardą, pochyliła w moją stronę i wycedziła:

- A ty zastanawiałś się nad tym choć przez chwilę? Wszyscy byli szczęśliwi, dopóki nie zetknęli się z Holly. Charliemu powodziło się nieźle, był miłym i sympatycznym, utalentowanym rysownikiem, który wiódł dostatnie życie, zanim ją spotkał. A teraz siedzi w więzieniu za próbę zabójstwa. Debora także odnosiła sukcesy, miała przed sobą karierę. Nagle straciła nie tylko pracę, lecz również mieszkanie, a nieomal także zmysły, jak słyszałam. Jej narzeczony Stuart stanął przed sądem, co opisywały lokalne gazety, a podczas rozprawy Holly wystąpiła w roli świadka, oczarowując przysięgłych. Ta sama, dobrze nam znana Holly, prawda? Co prawda Stuart dostał wyrok w zawieszeniu, lecz przez nią będzie miał już na zawsze zabazgraną kartotekę.

- Niezupełnie przez nią, to przecież jasne.

- Nikt nie był złym człowiekiem, dopóki nie zetknął się z Holly. Nikt nie stosował przemocy, nie popełniał przestępstw. Wszyscy byli zwykłymi ludźmi szukającymi tylko swego szczęścia. Tymczasem zaznali nieszczęścia, kiedy ona weszła im w drogę, a raczej przemknęła niczym tornado. Ja też zaznałam nieszczęścia.

- Ale wyglądasz, jakby znakomicie ci się powodziło.

Popatrzyła na pierścionek zaręczynowy na moim palcu.

- Widzę, że ty też w końcu znalazłaś swoje szczęście - odparła.

- Moje gratulacje. Od bratniej duszy.

Uniosła lewą dłoń, na której błyszczał złoty pierścionek.

Todd zostawił w mojej gestii wszelkie przygotowania do wesela.

- Chcę tego wszystkiego, czego i ty - powiedział.

Wcale nie byłam pewna, czy mam się z tego cieszyć, czy raczej złościć. Zdecydowałam się na to pierwsze. W końcu dość dobrze wiedziałam, czego chcę. Przede wszystkim nie mogło to być przyjęcie w stylu spotkań organizowanych przez „KS i spółka”. Nie mogło też przypominać zabawy w wesołym miasteczku, desantu komandosów, karnawału w Rio czy festiwalu w Glastonbury. Chciałam stworzyć szansę naszym przyjaciółom i członkom rodziny mającym się zjechać ze wszystkich stron świata na sympatyczną rozmowę, wypicie i zjedzenie czegoś smacznego, nie mówiąc już o złożeniu nam życzeń.

Miałam pewne obawy co do udziału Holly w tym przyjęciu. Była naszym świadkiem na ślubie cywilnym, bo przecież jak mogłabym o to poprosić kogoś innego, i wtedy też się trochę denerwowałam. Niepotrzebnie. Zachowywała się bez zarzutu. Nie zeskoczyła do urzędu na spadochronie. Nie przebrała się za arlekina. Była w krótkiej błękitnej sukience i toczku z woalką, wyglądała skromnie i sprawiała wrażenie prawie tak samo szczęśliwej jak ja. Uparła się, że zorganizuje skromny lunch dla najbliższych Todda i moich oraz drużby Todda - Francisa. Wypadł wspaniale. Zarezerwowała salę małej hiszpańskiej knajpki przy bocznej uliczce niedaleko urzędu, specjalizującej się w rybach i stekach z rusztu, gdzie bez ograniczeń podawano wino w dzbankach. W którymś momencie popatrzyłam na nią, gdy była pogrążona w luźnej rozmowie z moim kuzynem, i pomyślałam wtedy: „Czemu nie?”. Kiedy pochwyciła moje spojrzenie, zaczerwieniłam się, tymczasem ona zachichotała.

Miała sporo pomysłów na nasze weselne przyjęcie. Sypała nimi jak z rękawa. Znała mnóstwo ciekawych miejsc. Na przykład w jednej z wież Tower Bridge. W sali balowej z panoramicznym oknem

wychodzącym na Oxford Street. W starej tkalni w Spitalfields. Na barce. Na nieczynnej stacji metra. W największym nadmuchiwanym zamku świata. Mogła zaprosić klauna, iluzjonistę, żonglera, kataryniarza, brzuchomówcę z Transwału. Wszystko brzmiało bardzo zachęcająco, zwłaszcza przy jej zapale, jednakże uparcie kręciłam głową.

- Nie - powtarzałam. - To mój dzień, nie chcę nawet żadnych uroczystych przemówień. Todd już mi to obiecał. Ma być prywatka dla dorosłych. Dobre jedzenie i picie oraz tańce, żeby absolutnie nic nie mogło się nie udać.

- Więc co z jedzeniem? - zaciekawiała się i natychmiast zaczęła opowiadać o szefie kuchni, którego ostatnio poznała, a który ponoć umiał zrobić wspaniałe potrawy, wykorzystując wszelkie części zabitego prosiaka.

- Jedzeniem zajmą się rodzice Todda - odparłam. - Nalegali na to.

- Chciałabym pomóc.

- To może najpierw zapytaj? - podsunęłam. - Oczywiście, zanim zaczniesz pomagać.

Ogarnął mnie strach, że może się obrazić, lecz tylko zaśmiała się w głos i uściskała mnie serdecznie.

Jeden z przyjaciół Todda miał dom w Hackney z obszernym ogrodem, ten zaś sąsiedował z jeszcze większym, poprzez bramę w ogrodzeniu można było wykorzystać oba tereny, tworząc jeden niewiarygodnie duży ogród, i to w środku miasta. Tam właśnie postanowiliśmy zrobić przyjęcie weselne. Dziewczęta z naszego biura ozdabiały go przez cały dzień i gdy tam przyjechałam, ledwie zdołałam się powstrzymać od łez wzruszenia. Z gałęzi drzew zwisały girlandy kwiatów, dzwoneczki podzwaniały na wietrze, wszędzie paliły się świece, których rozedrgany blask robił olbrzymie wrażenie w zapadającym zmroku.

Można by jeszcze mnóstwo opowiadać o tym przyjęciu. Choćby o tym, jak się zamartwiałam, czy przyjdą wszyscy zaproszeni goście.

A później - czy wystarczy trunków. Na koniec zaś martwiłam się, kiedy wreszcie się rozejdą. No i o tym, jak w tym podwójnym ogrodzie dopadały mnie wspomnienia z całego dotychczasowego życia pobudzone zarówno przez tych, których nie widziałam od czasu ukończenia podstawówki, jak i tych, z którymi spotykałam się codziennie przy zaparzacze do kawy, przez ledwie mi znane babcie i ciotki, jak również moich byłych chłopaków. O tym, jak w przyspieszonym tempie poznawałam w przekroju życie Todda, zwykle za pośrednictwem ludzi, których miałam bliżej poznać w nadchodzących miesiącach oraz latach i polubić tylko dlatego, że on ich lubi. O spotkaniu z poprzednią dziewczyną Todda, która podziiałała mi na nerwy tym, że miała prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, i jeszcze bardziej tym, że była naprawdę urocza, lecz na szczęście ukoła mój niepokój, przedstawiając swojego nowego chłopaka, który był wyraźnie, już na pierwszy rzut oka, zdecydowanie mniej atrakcyjny od Todda. Ale to są już historie innych ludzi, gdy tymczasem ja nie skończyłam jeszcze historii Holly.

Nie zamierzam stwarzać wrażenia, że martwiłam się o nią przez cały czas, bo nie było to wcale konieczne. Powrót do pracy wymagał od niej nadzwyczajnej odwagi, jakby spod stóp góry musiała się wdrapać na szczyt w betonowych buciorach. Straty były dość poważne. Część klientów nie bała się ponownie skorzystać z naszych usług, lecz sporo było takich, którzy wycofali już złożone oferty. Trzeba było szukać nowych, a i wśród tych zdarzali się tacy, którzy słyszeli jakieś plotki. Sama nie mogłam w to uwierzyć, lecz Holly udało się dokonać rzeczy prawie niemożliwej, wydzwignąć firmę z samego dna i z powrotem postawić na nogi.

Oczywiście nie było już tak, jak kiedyś. Nie mogło być. Rzadko wyczuwało się dawną elektryzującą atmosferę improwizacji, nie zdarzały się już przyjęcia trzydziestosześciodzinne, brakowało tego poczucia balansowania na cienkiej linie bez siatki zabezpieczającej pod spodem. Ale widocznie te rzeczy, które zniknęły, i tak musiały zniknąć. Różnica była taka, jak między rauszem a trzeźwością, szaleństwem a normalnością, jak między dwiema młodymi

dziewczynami, za głupimi na to, żeby dobrze wiedzieć, w co się pakują, a dojrzałymi kobietami, którym życie udzieliło już paru bolesnych lekcji.

Niemniej miałam pewne obawy co do udziału Holly w naszym przyjęciu, choćby tylko z tego powodu, że ostatnim podobnym przyjęciem, w którym uczestniczyłyśmy razem, było jej wesele. Ulżyło mi jednak, gdy tylko ją zobaczyłam. Najwyraźniej reguła mówiąca o tym, że nie należy przyćmiewać swoim wyglądem panny młodej, dla niej przestała obowiązywać z chwilą wyjścia z kościoła. Rozpuściła włosy, tak że spadały jej obfitymi falami na ramiona, i włożyła szkarlatną sukienkę ewidentnie przeznaczoną do nagannych występów. Przytaszczyła ogromne, misternie zdobione pudło przewiązane szeroką wstążką. Uparłam się, że rozpakuję prezent już tam, od razu. A był to globus. Przewiązany wzdłuż równika kolejną różową wstążką z bilecikiem zawierającym trzy zagadkowe słowa: „U Twoich stóp”.

- Jak w tym powiedzeniu, że cały świat... – wyjaśniła Holly.

Todd uściskał ją serdecznie.

- Podoba mi się - rzekł i trącił globus parę razy, aż ten zaczął wirować jak bąk. - Przyjrzyj się. Wiedziałaś, że Nowy Jork jest na tej samej szerokości geograficznej co Rzym?

- Nie miałam pojęcia - odparłam z uśmiechem.

- Dobrze sobie przypomnieć, że ziemia jest okrągła - powiedziała Holly. - Przynajmniej od czasu do czasu.

Kiedy Todd odniósł globus na honorowe miejsce, Holly uściskała mnie mocno, po czym obrzuciła uważnym spojrzeniem od stóp do głów.

- A więc doczekałam tej chwili - powiedziała. - I na dziewięćdziesiąt dziewięć procent to twoja zasługa.

- Najwyżej na dziewięć - zaprotestowałam.

- Zostawmy takie szczegóły do dalszych negocjacji.

- Zrobiłam tylko to, co powinni w tej sytuacji zrobić przyjaciele.

Pokręciła głową.

- Nie sędzę, aby większość z nich była tak samo przekonana, że to nierozzerwalna część umowy. - Ścisnęła mi dłoń. - Och, zapomniałabym. Najlepsze życzenia od Charliego.

- Żartujesz?

- Stale pisze do mnie - przyznała. - A ja czytam te listy, zanim je przekażę mojemu adwokatowi.

- Jesteś pewna, że to dozwolone?

- Cały czas próbuję ustalić, ile w tym było mojej winy. Bo nie ulega wątpliwości, że była. Wydaje mi się, że pokochałam wymarzony ideał, ale Bóg jeden wie, jakie później zgotowałam mu piekło, w jaki koszmar zamieniłam mu życie. To ja go zepchnęłam na dno. Gdyby nie ja, nadal byłby wolny i powodziłoby mu się dobrze. To ja zamieniłam go w potwora zdolnego do popełnienia morderstwa. - Popatrzyła na nowych gości wchodzących na teren ogrodu. - To kiepska pora na taką rozmowę. Ale jest jedna rzecz, o której dowiedziałam się od swojego adwokata. Pamiętasz plan Charliego? Chciał się mnie pozbyć i upozorować samobójstwo, mając nadzieję, że z jednego ubezpieczenia spłaci kredyt hipoteczny, a z drugiego zainkasuje jeszcze niezłą sumkę. Ale nie wczytał się dokładnie w warunki umowy. Nic by z tego nie wyszło. Żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie wypłaca odszkodowań w przypadku samobójstwa. Biedny Charlie. Nie sprawdził się nawet jako morderca. - Jeszcze raz uścisnęła mi dłoń, odwróciła się na pięcie i zniknęła w tłumie.

Później widywałam ją już tylko w przelocie. Tego rodzaju przyjęcia stwarzają powszechnie znany problem, a mianowicie taki, że ludzie zbierają się w odrębne grupki, krewnych, znajomych z pracy, przyjaciół z dzieciństwa. Holly nie pasowała do żadnej z nich. Za każdym razem dostrzegałam ją w innej części połączonych ogrodów, w coraz to innej gromadce gości. A później na dłuższy czas zniknęła mi z oczu. Rozglądałam się za nią, zachodząc w głowę, czy nie wymknęła się ukradkiem do domu, lecz szybko zajmowałam się czymś innym, wdawałam się w rozmowy z innymi ludźmi i całkiem o niej zapomniałam.

Byłam w kuchni, bez reszty pochłonięta wspomnieniami z gimnazjum, pobudzonymi w rozmowie z koleżanką z tamtych lat, gdy

Todd zniecacka zakradł się od tyłu, objął mnie wpół i zapytał:

- Dobrze się bawisz?

- Cudownie.

- Ja dopiero zaczynam poznawać, jak bogate i ciekawe życie wiodłaś do tej pory - rzekł.

- A z kim, do cholery, rozmawiałaś na ten temat? - zaciekawiałam się, tknięta obawami.

- Ze wszystkimi. - Spojrzał na zegarek. - Wiesz, która jest godzina?

- Nie.

- Dochodzi północ. Dlatego chciałem...

Nie dowiedziałam się, czego chciał, gdyż zagłuszyła go potężna eksplozja, od której cały dom zatrzęsł się w posadach. Z przerażeniem pomyślałam, że terroryści podłożyli bombę. Przez okno zobaczyłam w ogrodzie gęsty słup dymu wydobywającego się z domu. Razem z Toddem wybiegliśmy na dwór. Wszyscy goście dyskutowali z ożywieniem, wskazując palcami piętro. Odwróciłam się na pięcie i spojrzałam w górę. Okno sypialni było otwarte na oścież, buchający ze środka gęsty dym kłębił się pod okapem i słuwał ku ziemi niczym wielka struga spienionej brunatnej wody. Po chwili w oknie pojawiło się dwoje ludzi z twarzami umazanymi sadzą jak u kominiarzy. Zerknęłam przez ramię na gości tłoczących się za mną.

- Co jest, do jasnej...?



*W końcu są tu wszyscy. Ci, którzy mnie kochali, i ci, co życzyli mi śmierci; ci, którzy próbowali mnie ratować, i ci, co woleli machnąć ręką. Wszyscy sprawiają wrażenie szczęśliwych. Zaglądadają sobie w oczy, trzymają się za ręce, całują się. Jestem pewna, że niektórzy składają sobie uroczyste obietnice na resztę życia, przed wyruszeniem w tę wielką podróż. I brak tylko jednej osoby.*

*Czasami wydaje mi się, że Charlie nigdy nie istniał, że go wyśniłam, a gdy się przebudziłam, stał się jedynie mglistą sylwetką rozplywającą się w nicości wypełniającej moją głowę. Na swój sposób to prawda. Jak powiedziałam Meg przed kilkoma minutami, ten Charlie, w którym się zakochałam, był wymarzonym ideałem - w takim samym stopniu, w jakim i ja byłam dla niego wymarzonym ideałem. Bo przecież próbował mnie ratować przede mną samą. Jak powtarza moja terapeutka co najmniej trzy razy podczas każdej przekłętej sesji: „Jesteś jedyną osobą, Holly, która sama sobie może pomóc”. Do tego powtarza moje imię w każdym zdaniu: „I co o tym myślisz, Holly?”; „Jak to wytłumaczysz, Holly?”. Chcę jej powiedzieć, że ja też skończyłam kurs zarządzania zasobami ludzkimi, na którym uczą, jak mocno i pewnie ścisnąć na powitanie czując dłoń przy pierwszym spotkaniu i jak patrzeć ludziom prosto w oczy. Jestem śmiertelnie znudzona rozmowami o mnie, tylko o mnie i wyłącznie o mnie. Nie mam nic przeciwko zagłębieniu w głąb, penetrowaniu mrocznych*

tajemnych labiryntów duszy, lecz przecież oprócz tego jest jeszcze wielki cudowny świat zewnętrzny. Co z poezją, muzyką, namiętnością, rzeszą porastającą zielony staw? A potem myślę o przyjaciółkach i rodzinie, o ukochanej Meg, która nawet w taki dzień, w czasie swojego wesela, zerka na mnie od czasu do czasu, żeby się upewnić, że nic mi nie jest. Wytrzymam. Będę dalej brała pigułki, ćwiczyła, chodziła na psychoterapię. Nie chcę umierać po raz trzeci. Jeszcze nie teraz. Niech śmierć jeszcze zaczeka.

Meg pyta, czy tęsknię za dawnym życiem. W dodatku robi to z tak przerażoną miną, że zwykle unikam odpowiedzi. Ale prawda jest taka, że piekielnie tęsknię. Brak mi tamtego życia jak kochanka. Tęsknię za swoim poprzednim ja, nieobliczalnym i fantastycznym, za atramentową czernią, w której czają się różne demony, i za cudownym światłem; za swobodnym spadaniem przechodzącym w kontrolowany lot i za upadkami poprzedzającymi wędrówkę na szczyt; za poczuciem takiego szczęścia i takiej swobody, że aż chciałoby się umrzeć z czystej przyjemności ich kosztowania; za owym szaleństwem rozkoszy graniczącym z przerażeniem. Bo przecież cały świat był mój, leżał u moich stóp.

Ale tęsknota to oznaka powrotu do zdrowia. Prawdę mówiąc, trzymałam sama siebie na tak krótkiej smyczy, że omal się nie udusiłam. Wstawalam o wyznaczonej porze i zjawiałam się w pracy o wyznaczonej porze, punktualnie wracałam do domu, zjadałam przyzwoity posiłek i wcześnie kładłam się spać. Nie wkładałam moich ulubionych ciuchów, z nikim nie flirtowałam, nie tańczyłam, nie piłam, nie chichotałam, nie wylałam, nie błękałam się po ulicach. Ale teraz, stopniowo, popuszczam sobie tej smyczy.

I dziś czuję się dobrze, uspaniałe, prawie jak za dawnych dni, kiedy rozpięta mnie ta cudowna, nieposkromiona energia, że ledwie mogłam ustać w jednym miejscu. Gdy patrzę na Meg, na jej miłą i sympatyczną buzię, wiem, że jest szczęśliwa. Chyba nikt nigdy tak bardzo nie zasłużył na szczęście, jak właśnie ona, która zawsze troszczy się najpierw o szczęście innych. Mam nadzieję, że

*Todd nigdy nie utraci świadomości tego, jakie spotkało go szczęście. Mam też nadzieję, że i ja nie utracę tej świadomości.*

*Oswoiłam się już z myślą, że w gruncie rzeczy mogę polegać wyłącznie na sobie, podobnie jak każdy w tym zwariowanym świecie. To jeden z warunków naszego człowieczeństwa. Przez całe życie szukamy miłości i zażyłości, bezwarunkowego oddania i uznania. Ze strony rodziców, przyjaciół, partnerów. Wszyscy składamy sobie nawzajem obietnice, w które wierzymy, a przynajmniej udajemy, że wierzymy. Kurczowo trzymamy się nadziei, że nie jesteśmy osamotnieni. A mimo to, w chwili najpoważniejszego kryzysu i czarnej rozpacz, tylko my sami jesteśmy w stanie siebie ocalić. Nikt inny nie ma takiej mocy. Zawsze tak uważałam i w pewnej mierze nadal uważam, choć gdy bezbronna znalazłam się na samym dnie i postawiłam już na sobie krzyżyk, jakimś cudem właśnie Meg znalazła się przy mnie. Wciąż we mnie wierzyła, gdy ja traciłam wiarę w siebie, i popychała w stronę życia, gdy byłam już gotowa umrzeć. Gdyby położyć na jednej szali wagi moje demony, a na drugiej Meg, przeważałaby je na pewno. To właśnie nazywam swoim szczęściem.*

*Przyjęcie powoli dobiega końca, coraz więcej ludzi przebąkuje o powrocie do domu. Spoglądam na zegarek, dochodzi północ, a więc już najwyższa pora. Przepycham się przez tłum gości na tyły domu, wchodzę do środka kuchennymi drzwiami i wyciągam paczkę, którą ukryłam wcześniej pod łóżkiem w sypialni gościnniej.*

*Przepelnia mnie bezgraniczna radość, choć doskonale wiem, że zamierzam zrobić coś strasznie głupiego.*

*Wydałam na nie prawie dwieście funtów. Sprzedawca przyjął moje zamówienie z wyraźnym zaskoczeniem, po czym nakazał stanowczo, bym ściśle stosowała się do instrukcji. Jakaś kobieta kupująca zimne ognie popatrzyła na mnie z dezaprobatą. Na pewno nie potrafiła zrozumieć, jak mogłam wydać aż tyle pieniędzy na coś, co nie potrafa nawet tyle, żeby zliczyć do dziesięciu, i jeszcze nic z tego nie zostanie. Bo w głowie jej się nie mieściło, że*

czasami może dokładnie o to chodzić żeby w jednej oszalamiającej chwili przepuścić to, na co się pracowało przez ileś dni czy tygodni.

Wymknęłam się z powrotem do ogrodu. Zauważyłam, że w kuchni Meg tuli się do Todda, który szepcze jej coś na ucho. Nie zauważyli mnie. Na boku opakowania znajdowało się ostrzeżenie, że należy wybrać miejsce w odległości co najmniej osiemdziesięciu metrów od ludzi. Czy to nie śmieszne? Gdybym odmierzyła tych osiemdziesiąt metrów, znalazłabym się nie tylko na tyłach sąsiedniego domu, ale jeszcze po drugiej stronie ulicy. Musiałam więc je rozstawić na krańcu ogrodu. Wmawiałam sobie, że tak będzie dobrze. Prawdopodobnie.

Pierwszy fajerwerk strzela w złym kierunku, prowadnica pochyla się w ostatniej chwili, toteż ładunek wylatuje pod ostrym kątem prosto w stronę domu. Mam fatalne przeczucie, że wpadnie przez otwarte okno do środka. Dokoła rozlegają się okrzyki i piski, z okna bucha gęsty snop dymu. Ale jest już za późno, żeby się tym przejmować, bo od iskry zapala się lont następnego ładunku. Patrzę z przerażeniem, jak drobna iskierka z wolna pełźnie w górę i znika u nasady pocisku. Przez chwilę wydaje się, że całkiem zgasła, lecz nagle rozlega się donośny syk i ładunek niczym rakieta z rykiem wylatuje pionowo w powietrze, znika na mrocznym niebie, gdzie chwilę później zapalają się i słońca, i gwiazdy, i fontanny wielobarwnych iskier. To jest mój prezent dla przyjaciółki.

Czas zatrzymuje się w miejscu. Wgłębi tajemniczego ogrodu wszyscy spoglądają w górę na rozkwitające wielobarwne kwiaty o świetlistych płatkach opadających powoli w naszą stronę. Ich delikatne płomienie zdają się otulać nas swym blaskiem.

Umierałam dwukrotnie. Ale wciąż żyję.